

BESTSELLEROWA MIĘDZYNARODOWA SERIA THRILLERÓW

Czytelnicy
zakochają się
w Antonii Scott.

ABC

Pomysłowa
i ambitna.
The Times

CZERWONA KRÓLOWA

REINA ROJA

JUAN GÓMEZ-JURADO

SON

STYLING
WŁOSY

CZERWONA KRÓLOWA

REINA ROJA

JUAN GÓMEZ-JURADO

SON

Dla Babs

W tekście wykorzystano fragmenty wiersza *Tygrys Williama Blake'a* w przekładzie Jolanty Kozak oraz cytat z dramatu *Król Henryk IV. Część II* Williama Shakespeare'a w przekładzie Leona Ulricha. Cytaty biblijne zaczerpnięto z Biblii Warszawskiej.

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Zakłócenie

Część pierwsza John

1 Zlecenie

2 Flashback

3 Taniec

4 Wideorozmowa

5 Dwa pytania

6 Jazda

7 Ćwiczenie

8 Miejsce zbrodni

9 Syn

10 Kieliszek

11 Wyjaśnienie

Madryt, 14 czerwca 2013 roku

12 Trochę zazdrości

Cztery godziny wcześniej (Mniej więcej o tej porze, kiedy Jon i Antonia przyjeżdżają do La Finki)

13 Zdjęcie

Trzy godziny wcześniej

14 Furgonetka

15 Samolot

16 Szpitalne łóżko

17 Tosty

Część druga Carla

1 Niedogodność

Carla

2 Dowód

Carla

3 Masaż

Ezequiel

4 Argument

Carla

5 Hasło

Carla

6 Lokalizacja

Siedem lub osiem lat temu, pewne popołudnie

7 Centrum Hipiki

8 Mur

Carla

9 Ścieżka

10 Autostrada

Ezequiel

Carla

11 Kość

Bruno

12 Fortel

Parra

13 Oliwa

Carla

14 Papierowa torba

15 Budka wartownicza

16 Zła noc

Bruno

17 Żubr

Carla

18 Gabinet

Parra

19 Patio

20 Tortilla

Co zrobili najpierw

21 Jasna odpowiedź

Co zrobili później

22 Prorok

23 Ojciec

Bruno

24 Mail

Parra

25 Ropucha

26 Western

27 Trzy litery

Parra

Carla

28 Przypomnienie

Carla

29 Aborygeńskie słowo

Parra

Ezequiel

30 Siedem migawek

Carla

31 Zdjęcie

Carla

32 Miła twarz

Część trzecia Antonia

1 Nagłówek

2 Ponowne spotkanie

Ezequiel

3 Rolls-Royce

4 Odmowa

5 Wolna linia

6 Zielona herbata

Carla

7 Pokuta

8 Telefon

9 Kolejny telefon

10 Szantaż

Ramón

11 Mail

12 Dylemat

Carla

13 Przejście

Carla

14 Tunel

[15 Sekret](#)

[Ezequiel](#)

[Carla](#)

[16 Przynęta](#)

[17 Biuro](#)

[Carla](#)

[18 Peron](#)

[Carla](#)

[19 Peron](#)

[Carla](#)

[EPILOG Kolejne zakłócenie](#)

[Fikus](#)

[Nota od autora](#)

[Podziękowania](#)

[Propozycje](#)

[Karta redakcyjna](#)

Zakłócenie

Antonia Scott pozwala sobie myśleć o samobójstwie tylko trzy minuty dziennie.

Dla innych osób trzy minuty mogą być małym wycinkiem czasu.

Nie dla Antonii. Powiedzmy, że jej umysł ma pod maską mnóstwo koni, lecz głowa Antonii nie jest jak silnik samochodu wyścigowego. Powiedzmy, że jest zdolna do przetwarzania mnóstwa informacji, lecz umysł Antonii nie jest jak komputer.

Umysł Antonii Scott przypomina raczej dżunglę – dżunglę pełną małp, które z największą prędkością skaczą z jednej liany na drugą, przenosząc różne rzeczy. Mnóstwo małp i mnóstwo rzeczy, przecinających się w powietrzu i pokazujących sobie kły.

Dlatego w ciągu trzech minut, siedząc na podłodze z zamkniętymi oczami, bosymi stopami i skrzyżowanymi nogami, Antonia potrafi ocenić:

- szybkość, z jaką jej ciało uderzyłoby o ziemię, gdyby wyskoczyła przez okno, które ma naprzeciwko;
- liczbę miligramów propofolu potrzebnych do zapadnięcia w wieczny sen;
- temperaturę, w jakiej powinna być zanurzona w zamrzniętym jeziorze, i ile potrzeba czasu, żeby hipotermia zatrzymała bicie jej serca.

Planuje, jak zdobyć substancję kontrolowaną, taką jak propofol (przekupując pielęgniarkę), i dowiedzieć się, gdzie o tej porze roku jest najbliższe zamrznięte jezioro (Laguna Negra w prowincji Soria). O wyskoczeniu z okna swojego poddasza woli nie myśleć, bo jest dość wąskie, a ona podejrzewa, że obrzydliwe jedzenie, jakie podają w szpitalnej stołówce, idzie jej prosto w biodra.

Te trzy minuty, podczas których myśli, jak się zabić, to jej trzy minuty.

Są święte.

To one utrzymują ją przy zdrowych zmysłach.

Dlatego ani trochę jej się nie podoba, kiedy nieznajome kroki trzy piętra niżej przerywają rytuał.

To żaden z sąsiadów, bo rozpoznałaby sposób wchodzenia po schodach. Ani kurier, bo jest niedziela.

Ktokolwiek to jest, Antonia nie ma wątpliwości, że idzie do niej.

A to podoba się jej jeszcze mniej.

Część pierwsza

John

W naszym kraju – rzekła Alicja, ciągle jeszcze trochę zadyszana – na ogół byłoby się gdzie indziej, gdyby się bardzo długo i prędko biegło, tak jak myśmy biegły.

– To jakiś powolny kraj! – rzekła Królowa. – Bo widzisz, u nas trzeba biec z całą szybkością, na jaką ty w ogóle możesz się zdobyć, ażeby pozostać w tym samym miejscu. A gdybyś się chciała gdzie indziej dostać, musisz biec przynajmniej dwa razy szybciej.

**Lewis Carroll, Po drugiej stronie lustra
(przeł. Robert Stiller)**

1

Zlecenie

Jon Gutiérrez nie lubi schodów.

To nie kwestia estetyki. Te są stare (budynek zbudowano w 1901 roku, zauważył przy wejściu), skrzypią i są zapadnięte na środku po stu dziewiętnastu latach użytkowania, ale to mocne, dobrze utrzymane i polakierowane schody.

Światło jest nikłe, trzydziestowatowe żarówki, które zwisają z sufitu, służą tylko po to, żeby cienie stały się gęstsze. W miarę jak wchodzi, zza drzwi dobiegają go obce języki, egzotyczne zapachy, dziwna muzyka grana na dziwnych instrumentach. Ostatecznie jesteśmy w dzielnicy Lavapiés, jest niedzielny wieczór i zbliża się pora kolacji.

Nic z tego nie przeszkadza Jonowi w schodach, ponieważ jest przyzwyczajony do rzeczy z poprzedniego wieku (mieszka ze swoją matką), ciemnych miejsc (jest gejem) i obcokrajowców o niepewnych dochodach i o niepewnej sytuacji (jest inspektorem policji).

Jona Gutiérreza w schodach wnerwia to, że musi po nich wchodzić.

„Przeklęte stare budynki”, myśli Jon. „Brak miejsca na zainstalowanie windy. W Bilbao to się nie zdarza”.

Nie żeby Jon był gruby. A przynajmniej nie na tyle gruby, by zwróciło to uwagę komisarza. Inspektor Gutiérrez ma tułów w kształcie beczki i dwa dopasowane doń ramiona. W środku, chociaż nie da się ich dostrzec, są mięśnie godne *harrijasotzaille*^{*}. Podniesienie dwustu dziewięćdziesięciu trzech kilogramów to jego rekord, niczego sobie, i to bez regularnych treningów, tylko hobbistycznie. Żeby mieć jakieś zajęcie w sobotnie przedpołudnie. Żeby koledzy nie dokuczali mu ze względu na

to, że jest ciotą. Bo Bilbao to Bilbao, a policjanci to policjanci i wielu ma mentalność starszą niż te pieprzone stuletnie schody, które Jon pokonuje z takim trudem.

Nie, Jon nie jest na tyle gruby, by jego szef go upominał, a poza tym komisarz ma lepsze powody, żeby robić mu wyrzuty. Żeby robić mu wyrzuty i wyrzucić go z korpusu. Tak naprawdę Jon jest zawieszony w obowiązkach bez prawa do pensji – oficjalnie.

Nie jest wcale taki gruby, ale beczka jest osadzona na dwóch nogach, które w porównaniu z tułowiem przypominają wykałaczkę do zębów. Tak więc nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby Jona zwinnym facetem.

Na wysokości trzeciego piętra Jon odkrywa cudo wynalezione przez przodków: spocznik. To skromna deska w kształcie ćwiartki koła wbita w narożnik na półpiętrze. Jonowi wydaje się rajem i siada na niej. Żeby złapać oddech, żeby przygotować się na spotkanie, na które nie ma najmniejszej ochoty, i żeby zastanowić się, jak, do diabła, jego życie mogło się tak szybko schrzanić.

„Siedzę po uszy w bagnie”, myśli.

* *Harrijasotzaile* (bask.) – osoba podnosząca kamień, od nazwy sportu *harrijasotzea* (*harri* – kamień, *jaso* – podnosić), który polega na podnoszeniu różnej wielkości kamieni; popularny w Kraju Basków (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2

Flashback

- ...w pieprzonym bagnie, Gutiérrez – kończy zdanie komisarz. Twarz ma w kolorze homara i oddycha jak szybkar.

Jesteśmy w Bilbao, na komisariacie policji przy ulicy Gordóniz, dzień przed tym, jak Jon stawia czoło sześciu piętrom w dzielnicy Lavapiés w Madrycie. Na razie jednak stawia czoło następującym przestępstwom: fałszowanie dokumentów, preparowanie dowodów, utrudnianie śledztwa i nielojalność zawodowa. Oraz karze od czterech do sześciu lat pozbawienia wolności.

- Jeśli prokurator się wkurwi, może zażądać nawet dziesięciu. A sędzia wlepi ci je z radością. Bo nikt nie lubi skorumpowanych policjantów – mówi komisarz, wałąc otwartą dłońią w stalowy stół.

Siedzą w sali przesłuchań, gdzie nikt nie ma ochoty wchodzić jako gość honorowy. Inspektor Gutiérrez dostał pakiet premium: ogrzewanie ustawione na ten jakże komfortowy poziom między dusznym upałem a śmiercią przez uduszenie, mocne światło, pusta karafka wody, ale na widoku.

- Nie jestem skorumpowany – mówi Jon, opierając się pokusie, by poluzować krawat. – Nigdy nie wsadziłem do kieszeni ani centa.

- Jakby to miało jakieś znaczenie. Oczym ty, do cholery, myślałeś?

Jon myślał o Desiree Gómez, alias Desi, alias Brilllos. Desi ma zaledwie dziewiętnaście lat i już od trzech jest na ulicy. Wystając, odsypiając, dając sobie w żyłę. Laleczka z salonu, wężowe stringi. Nic, czego Jon nie widziałby wcześniej. Ale niektóre z tych dziewczyn niepostrzeżenie wkradają ci się do serca i nagle wszystko staje się jak w piosence

Joaquína Sabiny. Nic poważnego. Uśmiech, zaproszenie na kawę na szóstą i nigdy rano. I nagle zaczyna cię obchodzić, że alfons daje jej po pysku. I gadasz z alfonsiem, chcesz go przekonać, żeby przestał. Ale alfons nie przestaje, bo w mózgu brakuje mu tyle samo elementów, co w uzębieniu. I ona ci się wyplakuje, a ty się gotujesz. I zanim zdążysz się zorientować, podkładasz w samochodzie alfonsa prawie czterysta gramów hery. Wystarczająco, żeby dostał od sześciu do dziewięciu lat.

- Oniczym nie myślałem - odpowiada Jon.

Komisarz pociera twarz dłonią, jakby chciał zetrzeć z niej wyraz niedowierzania. Nic z tego.

- Dobra, gdybyś przynajmniej się z nią pieprzył, Gutiérrez. Ale ciebie kobiety nie kręca, prawda? Czy teraz działasz na dwa fronty?

Jon pokręcił przecząco głową.

- Plan nie był zły - ironizuje komisarz. - Sprzątnąć te śmieci z ulicy to zajebysty pomysł. Trzysta siedemdziesiąt pięć gramów heroiny i prosto do paki. Bez okoliczności łagodzących ani innych historii. Bez uciążliwych formalności.

Plan był świetny. Problem polegał na tym, że wydał mu się tak dobry, że przyszło mu do głowy, by powiedzieć o nim Desi. Żeby wiedziała, że to podbite oko, te siniaki i pęknięte żebra już się więcej nie powtórzą. A naćpanej herą Desi zrobiło się żal biednego alfonsa i o wszystkim mu powiedziała. Alfons postawił Desi za rogiem, ale ukrytą i nagrywającą wszystko telefonem. Wideo sprzedano potem stacji La Sexta za trzysta euro dzień po zatrzymaniu alfonsa za handel narkotykami. I zrobiła się wielka afera. Pierwsze strony wszystkich gazet, nagranie we wszystkich serwisach informacyjnych.

- Nie wiedziałem, że mnie nagrywają, komisarzy - mówi zawstydzony Jon. Drapie się po głowie z kręconymi rudawymi włosami. Tarmosi sobie gęstą siwiejącą brodę.

Przypomina sobie.

Desi miała drżące ręce i fatalny kadr, ale nagrała wystarczająco. Jej twarzyczka lalki doskonale wyglądała w studiach telewizyjnych. Grała oscarową rolę dziewczyny niewinnego człowieka, niesłusznie

oskarżonego przez policję. Alfonsa nie pokazywali w popołudniowych ani wieczornych programach z tym jego obecnym wyglądem (przepecona koszulka, brązowe zęby). Nie, umieszczali jego zdjęcie sprzed dziesięciu lat, jeszcze sprzed pierwszej komunii. Aniołek sprowadzony na złą drogę, to społeczeństwo jest winne, tego typu bzdury.

- Zrujnowałeś reputację tego komisariatu, Gutiérrez. Trzeba być kretynem. Kretynem i naiwniakiem. Naprawdę się nie skapowałeś, co się dzieje?

Jon po raz drugi kręci głową.

Dowiedział się o sprawie, bo wideo dotarło na jego WhatsApp, między kolejnymi memami. Nagranie w niespełna dwie godziny stało się wiralem w całym kraju. Jon natychmiast stawił się na komisariacie, gdzie prokurator już domagał się jego głowy razem z garniowanymi jądrami.

- Przykro mi, komisarzu.

- Jeszcze zobaczysz, jak będzie ci przykro.

Komisarz wzdycha i wychodzi z pomieszczenia, napędzany słusznym oburzeniem. Jakby sam nigdy nie preparował dowodów, nie naginał Kodeksu karnego czy nie oszukał tu i ówdzie. Rzekomo. Nie był jednak na tyle głupi, żeby dać się przyłapać.

Zostawiają Jona samego, żeby kisił się we własnym sosie. Zabrali mu zegarek i telefon – standardowa procedura, by stracił poczucie czasu. Reszta osobistych rzeczy znajduje się w kopercie. Nie ma przy sobie niczego, co by go rozpraszało, godziny płyną bardzo powoli, a on może się torturować za własną głupotę. Mając już przegrany proces medialny, mógł się jedynie zastanawiać, ile lat będzie musiał odsiedzieć w Basauri. W miejscu, gdzie czeka na niego kilku przyjaciół z dłońmi zaciśniętymi w pięści i wielkimi chęciami, żeby dopaść – trzech na jednego – glinę, który ich tam wsadził. A może wyślą go dalej, żeby go chronić, w jakieś miejsce, gdzie jego *amatxo** nie będzie mogła go odwiedzać. Ani przynosić mu pudełek ze swoim słynnym niedzielnym gulaszem rybnym. Dziewięć lat, przy pięćdziesięciu niedzielach w roku, to daje czterysta pięćdziesiąt niedziel bez gulaszu rybnego. Z grubsza. Uważa, że to duża kara. A jego *amatxo* jest już stara. Urodziła go w wieku

dwudziestu siedmiu lat, niemal do końca zostając dziewicą, jak Bóg przykazał. Teraz on ma czterdzieści trzy, a ona siedemdziesiąt. Kiedy Jon wyjdzie, *amatxo* nie będzie już się nadawać do przyrządzania gulaszu. O ile ta wiadomość jej nie zabije. Już pewnie dowiedziała się od tej spod dwa B, tej gadziny z długim jęzorem, dość przypomnieć awanturę, jaką zrobiła opelargonie.

Mija pięć godzin, choć Jon odnosi wrażenie, że pięćdziesiąt. Nigdy nie usiadł spokojnie w jednym miejscu, więc przyszłość za kratkami wydaje mu się nie do zniesienia. Nie zamierza się zabić, bo Jon ceni życie ponad wszystko i jest niepoprawnym optymistą. Z gatunku tych, z których Bóg śmieje się najgłośniej, kiedy zrzuca na nich tonę cegieł. Ale nie znajduje też żadnego sposobu, żeby uniknąć stryczka, który sam założył sobie na szyję.

Jon jest pogrążony w tych czarnych myślach, gdy otwierają się drzwi. Spodziewa się, że znowu zobaczy komisarza, lecz zamiast niego wchodzi wysoki i szczupły mężczyzna. Około czterdziestoletni brunet ze sporymi zakolami, cienkimi przyciętymi wąsami i oczami jak u lalki, które wyglądają, jakby były namalowane, a nie prawdziwe. Garnitur. Teczka. Wszystko drogie.

Uśmiecha się. Zły znak.

- Pan jest prokuratorem? - pyta zdziwiony Jon.

Nigdy go nie widział, a mimo to nieznajomy sprawia wrażenie, jakby czuł się jak u siebie. Ze zgrzytem wysuwa jedno ze stalowych krzeseł i siada po drugiej stronie stołu, nie przestając się uśmiechać. Wyjmuje z teczki jakieś papiery i studiuje je, jak gdyby Jon nie siedział niespełna metr od niego.

- Pytam, czy jest pan prokuratorem - nie ustępuje Jon.

- Mmmm... Nie. Nie jestem prokuratorem.

- Prawnikiem?

Nieznajomy wzdycha, na poły urażony, na poły rozbawiony.

- Prawnikiem. Nie, nie jestem prawnikiem. Może mnie pan nazywać Mentorem.

- Mentor? To imię czy nazwisko?

Mężczyzna dalej przegląda papiery, nie podnosząc wzroku.

- Pańska sytuacja jest dość delikatna, inspektorze Gutiérrez. Zawieszono pana w obowiązkach bez prawa do pensji, to po pierwsze. Ima pan na stole kilka zarzutów. Teraz będą dobre wiadomości.

- Ma pan czarodziejską różdżkę, która sprawi, że znikną?

- Coś w tym rodzaju. Służy pan w korpusie od ponad dwudziestu lat. Ładna liczba zatrzymań. Kilka skarg za niesubordynację. Niewielkie poszanowanie władzy. Uwielbia pan chodzić na skrót.

- Nie zawsze da się przestrzegać zasad co do joty.

Mentor znowu ze spokojem spogląda na papiery z teczki.

- Lubi pan piłkę nożną, inspektorze?

Jon wzrusza ramionami.

- Od czasu do czasu oglądam Athletic.

Mimowolnie. W końcu Athletic to Athletic.

- Widział pan mecz jakiejś włoskiej drużyny? Włosi mają pewną maksymę: *Nessuno ricorda il secondo*^{**}. Nie ma dla nich znaczenia, jak wygrywają, póki wygrywają. Symulowanie faulu w polu karnym to żaden dyshonor. Kopanie przeciwnika jest częścią gry. Pewien mędrzec określił tę filozofię mianem gównianizmu.

- Jaki mędrzec?

Teraz to Mentor wzrusza ramionami.

- Pan jest gównianistą, czego dowodzi pański ostatni wyczyn z bagażnikiem auta sutenera. Jasne, że chodzi o to, żeby sędzia niczego nie zauważył. A tym bardziej żeby powtórka akcji nie trafiła do mediów społecznościowych z hashtagem #DyktaturaPolicyjna.

- Słuchaj no pan, Mentorze, czy jak się tam pan nazywasz - mówi Jon, kładąc na stole swoje wielkie ręce. - Jestem zmęczony. Moja kariera poszła się jebać, a moja matka musi odchodzić od zmysłów, bo nie wróciłem do domu na kolację i nie mogłem jej jeszcze powiadomić, że przez ładnych kilka lat nie będę jej widywał. Tak więc niech pan przechodzi do rzeczy albo wypierdala.

- Zaproponuję panu układ. Pan coś dla mnie zrobi, a ja wyciągnę pana z tego... jak to określił pański szef? Z tego pieprzonego bagna.

- Porozmawia pan z prokuraturą? I z mediami? Daj spokój, człowieku. Nie urodziłem się wczoraj.

- Rozumiem, że trudno będzie panu wysłuchać nieznanego. Z pewnością może się pan zwrócić do kogoś lepszego.

Jon nie ma nikogo lepszego, do kogo mógłby się zwrócić. Ani lepszego, ani gorszego. Od pięciu godzin sobie to uświadamia. Poddaje się.

- Czego pan chce?

- Chcę, inspektorze Gutiérrez, żeby poznał pan moją dawną przyjaciółkę. I wyciągnął ją na tańce.

Jon wybucha śmiechem, w którym nie ma nawet odrobiny radości.

- Obawiam się, że przekazano panu niewłaściwe informacje na temat moich zainteresowań. Nie sądzę, żeby pańska przyjaciółka zechciała ze mną tańczyć.

Mentor znowu się uśmiecha. To uśmiech od ucha do ucha, jeszcze bardziej niepokojący niż wcześniej.

- Oczywiście, że nie, inspektorze. Na to zresztą liczę.

* *Amatxo* (bask.) - mamusia.

** *Nessuno ricorda il secondo* (wł.) - O drugim nikt nie pamięta.

3

Taniec

Tak więc Jon Gutiérrez mierzy się z ostatnim odcinkiem schodów w budynku pod numerem siedem przy ulicy Melancolía (dzielnica Lavapiés, Madryt) w dość kiepskim humorze. Komisarz też nie chciał mu nic powiedzieć, kiedy Jon zapytał o Mentora:

- Skąd on się, do diabła, wziął? Z wywiadu? Z MSW? Z Avengersów?
- Rób, co ci każe, i nie zadawaj pytań.

Jon nadal jest zawieszony w obowiązkach bez prawa do pensji, chociaż zarzuty przeciwko niemu zostały wycofane. A nagranie, na którym widać, jak umieszcza heroinę w samochodzie alfonsa, zniknęło (magia!) z telewizji i portali.

Dokładnie tak, jak obiecał mu Mentor, jeśli przyjmie jego dziwną propozycję.

Ludzie dalej rozmawiają o tej sprawie w mediach społecznościowych, ale Jona niewiele to obchodzi. To tylko kwestia czasu, kiedy hieny z Twittera znajdą kolejnego trupa do gryzienia, aż zostaną czyste białe kości.

Jednak oddech inspektora Gutiérreza jest przyspieszony, a jego serce ściśnięte. I nie chodzi tylko o schody. Bo Mentorowi nie wystarczy, żeby Jon poznał jego przyjaciółkę Antonię Scott. W zamian za pomoc zażądał od niego czegoś jeszcze. I z tego, co mu zdążył wyjaśnić, ta druga część będzie najtrudniejsza.

Dotarliśmy na ostatnie piętro, znajduje drzwi na poddasze.

Zielone. Strasznie stare. Łuszczące się.

Otwarte. Na oścież.

- Halo?

Zdziwiony wchodzi do mieszkania. Przedpokój jest pusty. Ani jednego mebla, ani wieszaka, nawet żalosnej popielniczki z kartą zniżkową Carrefoura. Nic oprócz stosu pustych, zaschniętych plastikowych pojemników na żywność. Pachną curry, kuskusem i typowymi daniami z sześciu czy siedmiu innych krajów. Takie same zapachy wydobywały się z mieszkań, które Jon mijał, wchodząc po schodach.

Przedpokój prowadzi na korytarz, również pusty. Żadnych obrazów, żadnych półek. Dwoje drzwi po jednej stronie, jedno po drugiej i jeszcze jedno w głębi. Wszystkie otwarte.

Za pierwszymi jest łazienka. Jon zagląda i widzi jedynie szczoteczkę do zębów, pastę Colgate o smaku truskawkowym, kostkę mydła. Butelkę żelu pod prysznic. Pół tuzina pojemników z kremem antycellulitowym.

„Proszę, proszę, a więc wierzy w magię”, myśli Jon.

Po prawej jest tylko sypialnia. Pusta. We wbudowanej otwartej szafie dostrzega kilkanaście wieszaków. Tylko nieliczne są zajęte.

Jon się zastanawia, co za osoba tak mieszka, z ledwie garstką rzeczy. Myśli, że pewnie wyszła. Obawia się, że zjawił się za późno.

Dalej, po lewej, mała kuchnia. Stos talerzy. Blat jest oceanem białego silestone. Brudna łyżka deserowa tonie w połowie drogi do zlewu.

Na końcu korytarza mieści się salon. Mansardowy. Ściany z gołej cegły, belki z ciemnego drewna. Delikatne światło wciska się przez dwa świetliki umieszczone między belkami. I przez okno.

Na zewnątrz zachodzi słońce.

W środku Antonia Scott siedzi na podłodze, na środku pokoju, w pozycji kwiatu lotosu. Jest ubrana w czarne spodnie i białą koszulkę. Ma bose stopy. Przed nią leży iPad, podłączony do kontaktu bardzo długim kablem.

- Przerwałeś mi - mówi Antonia. Odwraca iPada ekranem do parkietu. - To bardzo niegrzeczne.

Jon należy do tych osób, które, gdy się wkurzą, przechodzą do ataku. Prewencyjnie. Dla sportu. Dla swoich brązowych jaj.

- Zawsze zostawiasz otwarte drzwi? Nie wiesz, w jakiej dzielnicy mieszkasz? A gdybym był psychopata i gwałcicielem?

Antonia mruga, zdekoncentrowana. Niezbyt dobrze radzi sobie z sarkazmem.

- Nie jesteś psychopata i gwałcicielem. Jesteś policjantem. Baskiem.

Jeśli chodzi o Baska, to Jon nie może tego ukryć, akcent nie pozostawia cienia wątpliwości. Ale jest zaskoczony, że rozpoznała w nim glinę. Zwykle policjanta da się wyczuć na kilometr. Jon, który nie musi płacić za wynajem i całą pensję wydaje na ubrania, bardziej przypomina dyrektora marketingu w swoim uszytym na miarę trzyczęściowym garniturze z chłodnej wełny i włoskich butach.

- Skąd wiesz, że jestem policjantem? - pyta Jon, opierając się o framugę drzwi.

Antonia wskazuje lewą stronę marynarki Jona. Mimo że krawiec starał się, żeby wybrzuszenie od broni nie było widoczne, nie udało mu się to całkowicie. On sam też nie pomógł swoją dietą.

- Jestem inspektor Gutiérrez - przyznaje Jon.

Waha się, czy podać jej rękę, ale w porę się powstrzymuje. Ostrzeżono go, że ta kobieta nie lubi kontaktu fizycznego.

- Przysłała cię Mentor - mówi Antonia.

To nie jest pytanie.

- Uprzedził cię o mojej wizycie?

- Nie musiał. Tutaj nigdy nikt nie przychodzi.

- Przychodzą twoi sąsiedzi, żeby przynieść ci jedzenie. Muszą cię naprawdę lubić.

Antonia wzrusza ramionami.

- Jestem właścicielką tego budynku. A raczej właścicielem jest mój mąż. Jedzenie to czynsz, który od nich pobieram.

Jon dokonuje szybkiego wyliczenia. Pięć pięter po trzy mieszkania, tysiąc euro za każde.

- No, no. Kuskus kosztuje cię fortunę. Musi być dobry.

- Nie lubię gotować - mówi Antonia z uśmiechem.

Właśnie wtedy Jon zdaje sobie sprawę, że jest ładna. „Nie żadna piękność, bez przesady”, myśli. Na pierwszy rzut oka twarz Antonii pozostaje niezauważona, niczym biała kartka. Czarne i proste włosy średniej długości też nie pomagają. Ale kiedy się uśmiecha, jej twarz jaśnieje jak choinka. I przekonujesz się, że oczy, które wydawały się brązowe, tak naprawdę są oliwkowozielone, że po obu stronach ust powstają dołeczki, tworząc idealny trójkąt z tym, który przecina podbródek.

Potem poważnie i ten efekt znika.

- A teraz wyjdź - mówi Antonia, machając ręką w kierunku Jona.

- Nie, dopóki nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia - odpowiada inspektor.

- Myślisz, że jesteś pierwszym, którego przysyła Mentor? Przed tobą było trzech innych. Ostatni zaledwie sześć miesięcy temu. I każdemu mówię to samo: nie jestem zainteresowana.

Jon drapie się po głowie i bierze głęboki oddech. Do napełnienia tego olbrzymiego torsu potrzeba kilku sekund i sporo litrów tlenu. Tak naprawdę chce tylko zyskać na czasie, ponieważ nie wie, co, do diabła, powiedzieć tej dziwnej i samotnej kobiecie, którą poznał trzy minuty temu. A wszystko, o co poprosił go Mentor, to: „spraw, żeby wsiadła do samochodu. Obiecuj jej, co chcesz, kłam, groź, schlebiaj. Ale spraw, żeby wsiadła do samochodu”.

Żeby wsiadła do samochodu. Nie powiedział, co się stanie później. I to właśnie nie daje mu spokoju.

„Kim jest ta kobieta i dlaczego jest taka ważna?”

- Gdybym wiedział, przyniósłbym kuskus. O co chodzi, byłaś policjantką?

Antonia mlaszcze językiem z niezadowoleniem.

- Nie powiedział ci, prawda? Nic ci nie powiedział. Pewnie cię poprosił, żebyś wsadził mnie do samochodu, nie mówiąc, dokąd

mielibyśmy jechać. W sprawie jednego z jego absurdalnych zleceń. Nie, dzięki. Jest mi znacznie lepiej bez niego.

Jon wskazuje ręką pusty pokój i nagie ściany.

- Właśnie widać. Marzenie każdego człowieka: spać na podłodze.

Antonia wycofuje się nieco i przewraca oczami.

- Nie śpię na podłodze. Śpię w szpitalu - rzuca.

„To ją zabolało”, myśli Jon. „A kiedy ją boli, wtedy mówi”.

- Co ci jest? Nie, nie chodzi o ciebie, tylko o twójego męża, prawda?

- Nie twój interes.

Nagle wszystkie elementy układanki zaczynają do siebie pasować i Jon nie może się powstrzymać.

- Coś mu się stało, jest chory i ty chcesz być blisko niego. To zrozumiałe. Ale postaw się na moim miejscu. Poproszono mnie, żebym cię przekonał, byś wsiadła do samochodu, Antonia. Jeżeli mi się to nie uda, czekają mnie konsekwencje.

- To nie mój problem. - Głos Antonii staje się lodowaty. - Mam gdzieś, co się stanie z grubym i niekompetentnym gliną, który tak nawywijał, że go do mnie przysłano. A teraz wyjdź. I przekaz Mentorowi, żeby przestał próbować.

Inspektor Gutiérrez, z twarzą jak z betonu, robi krok do tyłu. Nie wie, co jeszcze powiedzieć tej wariatce. Przeklina się za to, że dał się wciągnąć w tę sprawę, która okazała się wielką stratą czasu. Nie pozostaje mu nic innego, jak wrócić do Bilbao, stawić czoło komisarzowi i ponieść konsekwencje swojej głupoty.

- W porządku - mówi Jon, zanim się odwróci i ruszy korytarzem z podkulonym ogonem. - Ale proszę, bym ci powiedział, że tym razem jest inaczej. Że tym razem cię potrzebuje.

4

Wideorozmowa

Antonia Scott widzi, jak potężne plecy inspektora Gutiérreza znikają w korytarzu. Liczy oddalające się kroki, wolne i ciężkie. Kiedy dochodzi do trzynastu, odwraca iPad.

- Możemy już kontynuować, babciu.

Na ekranie widać staruszkę o życzliwych oczach i natapirowanych włosach. Na jej pomarszczonej twarzy jest więcej bruzd niż w riojańskich winnicach. A to porównanie wcale nie jest od rzeczy, bo kobieta pije kieliszek wina.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłaś? Jeszcze nie ma dziesiątej.

- Zadzwoniłam, kiedy usłyszałam, że wchodzi. Chciałam, żebyś tu była, w razie gdyby sytuacja zrobiła się nieciekawa.

Obie rozmawiają po angielsku. Georgina Scott mieszka w Chedworth, na przedmieściach Gloucester, w małej angielskiej wsi, gdzie czas zatrzymał się przed kilkoma wiekami. We wsi jak z pocztówki. W rzymskiej willi. Ze ścianami pokrytymi mchem. I szybkim łączem internetowym, dzięki któremu babcia Scott i Antonia rozmawiają dwa razy dziennie.

- Ten mężczyzna wydawał się przystojny. Miał głos przystojnego mężczyzny - mówi staruszka, która pragnie, żeby wnuczka wreszcie się ogarnęła.

- To gej, babciu.

- Głupstwa, dziecko. Żaden nie jest gejem, kiedy przysuwasz rękę do kranu. Swego czasu wyleczyłam kilku takich.

Antonia przewraca oczami. Babcia Scott jest przekonana, że poprawność polityczna równa się Winston Churchill.

- To bardzo brzydko, babciu.

- Mam dziewięćdziesiąt trzy lata, dziecko - mówi staruszka za całe uzasadnienie i dolewa sobie wina.

- Mentor chce, żebym wróciła do pracy.

Strumień bordeaux nieco drży i odrobina trunku wylewa się na stół. Niebawem. Babcia Scott ledwie potrafi napisać swoje nazwisko, nie wychodząc za linię, ale jeśli chodzi o nalewanie wina, wciąż robi to z precyzją godną chirurga plastycznego.

- Ale ty nie chcesz, prawda? - pyta babcia głosem przebrnym za niewinną owieczkę, prawie nie wyczuwa się wilka.

- Dobrze wiesz, że nie - przyznaje Antonia. Nie chce się z nią znowu kłócić.

- Oczywiście, moja droga.

- Przeze mnie Marcos od trzech lat jest przykuty do łóżka. Przeze mnie i przez tę pracę.

- Nie, Antonio - zaprzecza babcia, zniżając głos. - Nie przez ciebie. Przez skurczysyna, który pociągnął za spust.

- Którego nie potrafiłam powstrzymać.

- Jestem tylko starą ekscentryczką, kochanie - mówi babcia, a wilk pokazuje już kły - ale wydaje mi się, że jeśli oskarżasz się o grzech bezczynności, to dotyczy się to również ciągłego siedzenia na tym poddaszu.

Antonia milczy przez chwilę. Wystarczająco, żeby małpy w jej głowie pracowały na pełnych obrotach, na próżno usiłując wydostać się z pułapki.

- Dlaczego mi to robisz, babciu? - żali się.

- Bo nie mogę już patrzeć, jak gnijesz tam sama. Bo masz dar, który marnujesz. Ale przede wszystkim z czystego egoizmu.

- Z egoizmu? Ty, babciu? - dziwi się Antonia.

W wieku dziewiętnastu lat Georgina Scott dobrowolnie zgłosiła się jako pielęgniarka i siedemdziesiąt godzin po D-Day wylądowała w Normandii w ogromnym kasku opadającym na brwi i ściskając kartonową walizkę pełną ampułek z morfiną. Naziści byli rzut beretem, a ona pracowała bez wytchnienia, amputując nogi, zszywając rany i wstrzykując środki przeciwbólowe.

Dla Antonii było nie do pomyślenia, że jej babcia mogłaby skrywać choćby najmniejsze pokłady egoizmu.

- Owszem, egoizmu. Stałaś się straszną nudziarą. Całe dni spędzasz zamknięta, a noce... jeszcze gorzej. Tęsknię za czasami, kiedy pracowałaś. I mi opowiadałaś. Zostało mi już niewiele rzeczy, dla których żyję. To - mówi staruszka, podnosząc kieliszek. - I ty. A wino nie smakuje mi już tak samo, jak kiedyś.

Antonia wybuchła śmiechem pełnym niedowierzania. Babcia sądzi, że dwa jedyne zastosowania wody to kąpiel i gotowanie skorupiaków. Ale Antonia rozumie, do czego zmierza. Odkąd stało się tamto,

odkąd zrobiłaś to, co zrobiłaś,

świat wywrócił się do góry nogami. Ona nie - to jasne. To świat, świat, do którego ona już nie pasuje. Świat, w którym - przyznaje niechętnie - dni są niekończącą się litanią poczucia winy i nudy.

- Może masz rację - odzywa się Antonia po chwili. - Może zajęcie czymś głowy dobrze mi zrobi. Tylko tej nocy.

Babcia pociąga kolejny łyk wina i uśmiecha się błogo niczym z reklamy czekoladek.

- Tylko jedna noc, dziecko. Co mogłoby pójść nie tak?

5

Dwa pytania

Jon schodzi po schodach prawie tak samo powoli, jak po nich wchodził. To nietypowe. Zazwyczaj mści się na tych cholernych schodach podczas złażenia, wykorzystując przyciąganie grawitacyjne, które w jego przypadku jest znaczące (nie żeby był gruby). Teraz jednak, nie poddałwszy temu równie absurdalnemu, co zwodniczo prostemu zadaniu, nie wie, co robić, a niezdecydowanie spowalnia jego kroki.

Na wysokości trzeciego piętra, tuż przy spoczniku, dzwoni telefon. Jon siada, żeby odebrać. Nie lubi rozmawiać, kiedy chodzi, bo wtedy słyszczyć urywany oddech.

Numer jest nieznany, ale Jon wie, kto dzwoni.

- Odmówiła - przekazuje, odbierając.

Po drugiej stronie linii Mentor mruczy z dezaprobatą.

- To bardzo rozczarowujące, inspektorze Gutiérrez.

- Nie wiem, czego się pan spodziewał. Ta kobieta straciła rozum. Mieszka w pustym mieszkaniu, bez ani jednego mebla. Sąsiedzi ją karmią, na miłość boską. Igada coś chorego mężu.

- Jej mąż jest w szpitalu. W śpiączce od trzech lat. Scott się za to obwinia. To mogłaby być dźwignia, żeby nakłonić ją do działania, ale odradzam to panu. Kiedy znowu będzie pan z nią rozmawiał...

- Słucham? Ja już dotrzymałem mojej części umowy i przekazałem od niej wiadomość. Teraz chcę, żeby pan dotrzymał swojej.

Mentor wzdycha. To długie, histrioniczne westchnienie.

- Gdyby życzenia były ciastami czekoladowymi, wszyscy byliby grubi. Niech pan to załatwi, jak chce, ale potrzebujemy jej na pokładzie

tego samochodu natychmiast.

Jon wrzuca monetę do automatu.

- Może gdyby nie był pan taki tajemniczy i powiedział mi, o co chodzi...

Po drugiej stronie linii zalega cisza, długa cisza. Jon może niemal usłyszeć obracające się kółka automatu.

- Musi pan zrozumieć, że to wszystko jest poufne. To by oznaczało dla pana poważne konsekwencje.

- Oczywiście.

Inagle, na przekór wszystkiemu, wyskakują trzy truskawki.

- Chcę, żeby Antonia pomogła mi w bardzo skomplikowanej sprawie. Proszę pozwolić, że pana oświecę.

Mentor zaczyna opowiadać inspektorowi Gutiérrezowi. Mówi przez niecałą minutę, ale to wystarczy. Jon słucha, z początku sceptyczny, później - niedowierzając własnym uszom. Nieświadomie wstaje. Po czym, wbrew głęboko zakorzenionemu nawykowi, mimowiednie zaczyna chodzić w kółko.

- Rozumiem. Powie mi pan chociaż, dla kogo pracuje?

- To jest najmniej istotne. Kiedy nadejdzie pora, opowiem to, co powinien pan wiedzieć. Na razie jedyne, co powinno pana martwić, to zabranie Antonii Scott pod adres, który właśnie wysłałem panu na telefon.

Jon czuje, że urządzenie wibruje mu przy uchu.

- Dlaczego Scott jest taka ważna? Z pewnością znajdzie się sześciu czy siedmiu ekspertów od kryminalistyki w Wydziale Analizy Zachowań, którzy mogą...

- Znajdzie się - przerywa mu Mentor. - Ale żaden z nich nie jest Antonią Scott.

- Dlaczego, do cholery, ta kobieta jest taka wyjątkowa? To Clarice Starling, a ja o tym nie wiem? - denerwuje się Jon. Zaczyna mieć już tego po dziurki w nosie.

Mentor odchrząkuje. Kiedy odpowiada, robi to z niejakim wysiłkiem. Niechętnie. Jak gdyby nie chciał się tym dzielić. Bo nie chce.

- Inspektorze Gutiérrez... Ta kobieta, jak ją pan nazywa, nie jest policjantką ani kryminolożką. Nigdy nie miała w ręku broni ani nie nosiła odznaki, a jednak uratowała dziesiątki osób.

- Jak?

- Mógłbym powiedzieć, ale nie chcę psuć panu niespodzianki. I dlatego potrzebuję, żeby wsadził ją pan do samochodu i zaprzął do pracy. Teraz.

Mentor się rozłącza. Jon zamierza zawrócić i znowu wspiąć się po schodach, kiedy ktoś go woła.

- Inspektorze!

Jon wychyla się przez balustradę. Trzy piętra niżej, w półmroku, Antonia macha do niego ręką.

„Ta kobieta jest *sorgin*, czarownicą czy czym, do cholery”, myśli Jon.

Kiedy do niej dociera, ona się uśmiecha.

- Muszę zadać ci dwa pytania. Jeśli odpowiedź będzie prawidłowa, pójde z tobą.

- Co...?

Antonia podnosi palec. Jonowi sięga ledwie do klatki piersiowej, mierzy nie więcej niż metr sześćdziesiąt, w butach. A jednak budzi respekt. Teraz, gdy jest bliżej, Jon widzi ślady na jej szyi. Jakby grube zadrapania na skórze. Stare. Znikają pod koszulką.

- Pierwsze pytanie. Co zrobiłeś? Wiem, że strasznie narozrabiłeś. Mentor wybiera ludzi, którzy nie mają już żadnego wyjścia. Wyznaje absurdalną teorię, że nikt z własnej woli nie zgodziłby się ze mną pracować.

- Naprawdę absurdalna teoria - rzuca Jon.

Sarkazm spływa po Antonii niczym deszcz po nowej goretexowej kurtce. Tylko patrzy na niego wyczekująco, szarpiąc pasek torby przełożonej przez tułów. Jonowi nie pozostaje nic innego, jak odpowiedzieć.

- Ja... podłożyłem trzysta siedemdziesiąt pięć gramów heroiny do bagażnika pewnego alfonsa.

- To jest złe.

- Drania, który tłucze jedną ze swoich dziewczyn. W końcu ją zabije.

- To nadal jest złe.

- Wiem. Ale nie żałuję. Żałuję tylko tego, że mnie przyłapali. Byłem idiotą, bo powiedziałem o wszystkim prostytutce, a ona mnie nagrała telefonem. Zrobiła się wielka afera. Mogę skończyć w więzieniu.

Antonia przytakuje.

- Niewątpliwie masz problemy.

- Niewątpliwie jesteś bardzo bystra. A drugie pytanie?

- Tego typu nieprawidłowości są typowe dla twojego zachowania? Utrudniają ci pracę i wpływają na twoją ocenę?

- Jasne, zawsze, gdy mogę, podkładam fałszywe dowody, kłamię, biję świadków, przekupuję sędziów, żeby wydawali wyroki skazujące. Myślisz, że niby jak zostałem inspektorem?

Antonia nawet nie mruga. Jednak coś w tonie głosu Jona każe jej myśleć, że jego słowa może mają nie do końca dosłowne znaczenie.

- Zadam to pytanie prościej. Jesteś dobrym policjantem?

Jon ignoruje zniewagę. Bo pytanie jest zbyt ważne. Jest, w gruncie rzeczy, wszystkim.

- Czy jestem dobrym gliną?

Sam zadaje sobie to pytanie raz i drugi, odkąd zaczął się ten cały bałagan. A dziecinny błąd, który popełnił, aż do teraz nie pozwolił mu dostrzec prawdy.

- Tak. Jestem zajebistym gliną.

Antonia obserwuje go bez mrugnięcia okiem. W jej oczach są wagi, odważniki i centymetry. Jon czuje się oceniany i tak jest w istocie.

- W porządku - stwierdza w końcu. - Pójdę dziś w toba. A później zostawicie mnie w spokoju.

- Zaczekaj chwilę. Teraz to ja chcę ci zadać pytanie. Jak, do diabła, tu zeszłaś, że cię nie widziałem?

Antonia wskazuje za siebie.

- Za tymi drzwiami jest winda.

Jon patrzy na drzwi osłupiały. Nie przyszło mu do głowy, żeby je otworzyć. „Przecież prawie ich nie widać”. A tym bardziej w świetle tych nędznych żarówek. Kiedy wreszcie dochodzi do siebie, musi biec za Antonią, która idzie już w kierunku drzwi wyjściowych.

- Mam nadzieję, że to nie będzie strata czasu. Ponieważ zrobię to jeszcze tylko ten raz. Liczę, że będzie warto.

- Że będzie warto?

- Że będzie interesujące.

Jon śmieje się w duchu, myśląc o tym wszystkim, co Mentor opowiedział mu przez telefon. Interesujące, mówi.

- Aj, piękna. Będziesz zachwycona.

6

Jazda

Antonia uśmiecha się, kiedy widzi czekający na nich samochód – trzy koła na chodniku, przywileje policji. Ogromne audi A8. Czarny metalik, przyciemniane szyby, aluminiowe felgi, ponad sto tysięcy euro. Jon nigdy nie był zwolennikiem drogich aut (sam ma elektrycznego priusa, żeby podrywać mileniśców), ale rozpoznaje ten uśmiech.

– Podoba ci się samochód, który pożyczył mi twój przyjaciel Mentor?

Antonia przytakuje.

Jon korzysta z okazji i pokazuje jej kluczyki, jakby machał grzechotką niemowlakowi. Po tym, jak umordował się, prowadząc z Bilbao, ostatnie, na co ma ochotę, to znowu usiąść za kierownicą samochodu, nawet takiego jak ten, który jest większy niż salon jego *amatxo*.

– Chcesz poprowadzić?

Antonia kręci głową.

I to cała ich rozmowa w czasie jazdy. I bynajmniej nie dlatego, że inspektor Gutiérrez się nie stara. Kilka razy podejmuje próbę zdobycia informacji pod przykrywką pytań zadawanych w dobrej wierze. Ale Antonia nie połyka haczyka, rzecz dziwna, tylko ma zamknięte oczy i opiera głowę o okno.

„Tak to bywa z dziećmi – gdy tylko wsadza się je do samochodu, natychmiast zasypiają”, myśli Jon, którego cała wiedza na temat dzieci pochodzi z serialu *Współczesna rodzina*.

Dwadzieścia minut później audi zatrzymuje się z delikatnym szarpnięciem pod adresem, który Mentor przysłał mu na WhatsAppie. Antonia prostuje się na siedzeniu.

- Już przyjechaliśmy?

- Prawie.

Stoją naprzeciwko szlabanu. Dwaj ochroniarze wychodzą z budki i podchodzą do samochodu, każdy z jednej strony. Mocne światło latarki ledowej bije po podkrążonych oczach Jona i zaspanych oczach Antonii.

- Zechcecie łaskawie opuścić latarkę, skarbenki? - odzywa się Jon, wystawiając odznakę przez okno.

Ochroniarz podchodzi bliżej. Jego twarz jest ledwie widoczna w ciemności, którą dodatkowo podkreśla czapka naciągnięta po same brwi, ale Jon zauważa, że mężczyzna jest bardzo zdenerwowany. Patrzy uważnie na odznakę, lecz jej nie dotyka. Po kilku sekundach unosi kciuk w stronę swojego kolegi, żeby tamten podniósł szlaban.

- Może pan jechać.

- Był pan tutaj dwie noce temu?

Cisza.

- Nie, miałem wolne.

„Kłamie albo coś przede mną ukrywa”, podejrzewa Jon.

- A pański kolega?

- Tutaj nikt niczego nie widział. Proszę jechać cały czas prosto do drugiego ronda, a potem w prawo i do końca.

Jon woli nie nalegać i ponownie uruchamia samochód, teraz, gdy szlaban jest podniesiony. Reflektory ksenonowe oświetlają wypolerowaną stalową tabliczkę z nazwą miejsca:

LA FINCA

Od Lavapiés dzieli ich sześć piosenek i tyle samo światów, co Jon zauważa, pokonując kilkaset metrów tymi prywatnymi nieskazitelnie czystymi ulicami.

„Ostatnie miejsce na świecie, gdzie można nosić różową koszulkę polo i nie wyglądać jak z reklamy podpasek Evax”.

Na początku, w pobliżu głównej drogi, widzą domy w zabudowie szeregowej, które dalej ustępują miejsca coraz większym i droższym

designerskim willom. Ich ciepłe światła wylaniają się w ciemności niczym wyspy.

- Czytałam o tym miejscu. Superluksusowe osiedle dla milionerów zazdrośnie strzegących swojej prywatności - mówi Antonia, która wyjęła z torby iPad i serfuje po sieci w poszukiwaniu informacji. - Biznesmeni, piłkarze. Ceny domów sięgają dwudziestu milionów euro. Tutaj piszą, że to najbezpieczniejsze miejsce w Europie.

Jon jak przez mgłę przypomina sobie reportaż telewizyjny o La Fince. Połowa drużyny Realu Madryt mieszka w tej makiecie w skali jeden do jednego. Choć w reportażu nie pokazano nic wielkiego, oprócz tych samych syntetycznych i dobrze oświetlonych dróg, które teraz przemierzają. Tyle że nocą ten prywatny raj nabierał nieco bardziej złowrogiego wyglądu.

- Nie wiem, czy na pewno jest tak bezpieczne, jak twierdzą - mówi Jon, myśląc o tym, co Mentor opowiedział mu przez telefon.

Jedzie powoli z opuszczonymi szybami, próbując zrozumieć uniwersum, w które się zagłębiają. Wokół nie widać żywego ducha. Słychać jedynie świerszcze na idealnie przystrzyżonych trawnikach oraz wiatr wiejący nad sztucznym jeziorem, które Jon zostawia po prawej przy drugim rondzie, skręcając tak, jak wskazał mu ochroniarz. Tutaj przejeżdżają przez kolejny szlaban, który zostaje po nich pospiesznie z powrotem opuszczony.

„To jak strefa VIP na osiedlu VIP”, myśli Jon.

Tutaj poszczególne podjazdy są od siebie oddzielone jeszcze bardziej. Oświetlających chodniki latarni jest mniej, a ogrodzenia i bramy prowadzące na teren domów są wyższe. Pół kilometra za szlabanem Jon dostrzega koniec ulicy. Naprzeciwko, na środku drogi, przed bramą wjazdową do ostatniego z domów, stoi czarne audi A8, identyczne z tym, które prowadzi Jon.

- Pewnie skorzystał z promocji - mówi Jon, parkując tuż przy krawężniku.

Mentor stoi oparty o drugi samochód i patrzy na zegarek z wystudiowaną niecierpliwością. Ma na sobie ten sam garnitur co

poprzedniego wieczoru, tylko koszulę zmienił na czystą i wyprasowaną. Nie mógł jednak nic zrobić, żeby ukryć popielatą szarość swojej zmęczonej twarzy, podkreśloną światłem latarni, ani szklistego błysku w tych oczach jak u lalki.

Jon gasi silnik i wysiada z pojazdu. Antonia zostaje w środku.

- Dobra robota, inspektorze Gutiérrez - mówi Mentor, nie ruszając się ze swojego miejsca.

Jon podchodzi do niego i wskazuje za swoje plecy. Zadanie wykonane.

- Oto pańska pupilka. Jesteśmy kwita.

- Trzymając się litery naszej umowy - przyznaje Mentor, odchrząknąwszy - rzeczywiście, bylibyśmy kwita. Przypuszczam jednak, że pańska zawodowa ciekawość wręcz błaga, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? I ani pański szef, komisarz, ani ja nie chcemy, żeby ta ciekawość pozostała niezaspokojona.

Jon prycha z irytacją. Ten drań nie zamierzał tak łatwo zostawić go w spokoju. Przeklina się, że był taki głupi.

- Powiedział mi pan, że jedyne, co mam zrobić, to wsadzić ją do samochodu. Jako pierwszy ze wszystkich szantażowanych przez pana facetów nie rozbiłem się o mur, który postawiła ta kobieta.

- I właśnie dlatego nie mogę pozwolić, żeby wrócił pan do domu, inspektorze - wyjaśnia Mentor, podkreślając każdą sylabę, jakby powód tego, że zmienił warunki umowy, był tak obraźliwie oczywisty jak przyszc na czubku nosa.

- Obiecała mi, że zostanie z panem dzisiejszej nocy. I że potem wróci do domu. Po tej nocy na niewiele się panu przydam.

Mentor wzrusza ramionami.

- Intuicja mi podpowiada, że kiedy Scott zobaczy to, co jest tam w środku, zechce to ciągnąć. A ja potrzebuję, żeby w tym czasie pan o nią dbał. Sama nie radzi sobie z tym najlepiej.

- Nie musi mi pan tego mówić.

- A zatem umowa stoi.

Jon daje sobie chwilę na odpowiedź. Żółć pali go w gardle, ale oszustwo Mentora to minimum, jakiego mógł się spodziewać. Wśród tych nielicznych rzeczy, jakich nauczył go ojciec, zanim się zmył, tę pamiętał najlepiej i zawsze ignorował: „Kiedy jakaś umowa wydaje się zbyt dobra, żeby mogła być prawdziwa, domyśl się reszty”.

Nie żeby miał też wiele opcji. Nie wie, co takiego zrobił ten tajemniczy elegancik, że nagranie Desi zniknęło z mediów, ale podejrzewa, że – cokolwiek to jest – mógłby cofnąć swoją magię pstryknięciem palców. A wtedy koniec z karierą, koniec z gulaszem *amatxo*.

I w jednym Mentor ma rację. W tym momencie inspektor Gutiérrez musi się dowiedzieć, skąd ta cała tajemnica.

Jon się poddaje.

– Nie mam wyjścia. Trzyma mnie pan za jaja.

– Cieszę się, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

Jon odwraca się do samochodu, w którym wciąż czeka Antonia.

– Dlaczego nie wysiada?

Mentor bierze Jona pod łokieć i jeszcze bardziej odsuwa go od audi.

– Proszę na nią teraz nie patrzeć. Przygotowuje się. To wcale nie jest dla niej łatwe.

7

Ćwiczenie

Antonia siedzi sama w aucie i oddycha z trudem. Czas spędzony z zamkniętymi oczami podczas jazdy ledwie zdołał ją uspokoić.

Próbowała niektórych ze swoich najlepszych sztuczek, łącznie z:

- obliczeniem liczby obrotów, jaką wykonały koła samochodu w czasie przejazdu (około siedmiu tysięcy trzystu);
- wyrecytowaniem, w odwrotnej kolejności, listy królów wizygockich (dwa razy zatrzymała się na Gesaleku, bo Jon nie przestawał gadać);
- nakreśleniem najkrótszej trasy między jej domem a parkiem Retiro z pominięciem ulic, których nazwy zaczynają na samogłoskę (jedenaście minut dłużej, jeśli są korki).

To wszystko na niewiele się jednak zdało. Jej serce bije szybciej, oddech jest urywany. Teraz, kiedy Jona nie ma obok niej, ogarnia ją panika. A może raczej to ona pozwala, by panika nią zawładnęła, gdy tylko nie ma nikogo, kto mógłby ją osądzać.

Tak długo uciekała od tego, kim jest, od tego, co może robić, a rzeczywistość w końcu ją dopadła. Antonia ma czarny pas w okłamywaniu samej siebie, lecz nawet ona potrafi przyznać, że w równym stopniu pragnie, jak i boi się wysiąść z samochodu i wrócić do dawnej gry.

Chociaż to nie jest dobry pomysł.

Chociaż przysięgała sobie, że nie wróci ze względu na krzywdę, jaką wyrządziła mężczyźnie, którego kocha.

Chociaż ołowiany ciężar w żołądku domaga się, żeby usiadła na miejscu kierowcy, uruchomiła silnik, wcisnęła gaz do dechy i wydostała

się z tej złotej klatki. Z zarzuceniem włosami i piskiem opon.

Chociaż rozczaruje babcię Scott.

Wtedy patrzy przez szybę i z niejakim zaskoczeniem obserwuje powierzchnię sztucznego jeziora.

Mångata.

Po szwedzku to oznacza przypominające drogę odbicie księżyca w wodzie.

Antonia miała („mam, mam, mam”, powtarza sobie) z Marcosem taką grę, polegającą na znajdowaniu słów niemożliwych, słów, które oddają piękne i nieprzetłumaczalne odczucia, których opisanie po hiszpańsku wymagałoby całego zdania. Kiedy jedno z nich znajdowało takie słowo, oferowało je temu drugiemu niczym skarb. I akurat teraz – przy mocniej wiejącym wietrze i rozchodzących się chmurach – jedno z jej ulubionych słów właśnie zmaterializowało się przed oczami w postaci srebrzystej, drgającej i niedoskonałej ścieżki.

Mångata.

Znak od wszechświata jak każdy inny, który oznacza to, co Antonia chce, żeby oznaczał. Że wszechświat właśnie po to wysłał nam sygnały, byśmy zrobili z nimi, co nam się podoba.

Ciężar w klatce piersiowej staje się lżejszy, oddech się uspokaja. Małpy w głowie krzyczą trochę ciszej. To jest właśnie piękne w pewności, nawet jeśli jest ona tymczasowa. Karmi nas pewną ulgą.

Antonia wypuszcza powietrze, które przytrzymywała w płucach, i otwiera drzwi samochodu.

8

Miejsce zbrodni

Prowadzący do domu chodnik jest oświetlony lampami osadzonymi w dużych wapiennych płytkach. W miarę jak się zbliżają, Jon uświadamia sobie, jak ogromna jest ta willa i nie ma najmniejszych wątpliwości, że kiedy Antonia mówiła, że niektóre posiadłości w La Fince przekraczają wartość dwudziestu milionów euro, miała na myśli jedną z tych. Wszystkie światła są włączone, zarówno te, które białej fasadzie nadają złocistego blasku, jak i te w pomieszczeniach. Basen, widoczny częściowo od głównego wejścia, mierzy co najmniej dziesięć metrów. Jego zewnętrzna część, która oddziela go od sztucznego jeziora, jest zrobiona z grubego szkła. Jon domyśla się, że widziane z domu w ciągu dnia, oba akweny muszą sprawiać wrażenie, jakby tworzyły jeden.

- Chodźmy od tyłu - mówi Mentor.

Nie przywitani się. Ona jedynie ruszyła za nim.

Ścieżka zrobiona z tego samego kamienia, który wykorzystano na chodniku i na fasadzie, prowadzi obok domu aż do basenu. Kiedy skręcają za rogiem, natykają się na jadalnię na świeżym powietrzu z designerskimi krzesłami pod czarną stalową pergolą. Drewniana ścieżka łączy strefę basenu z jadalnią i prowadzi aż do ogromnych szklanych drzwi salonu, które są otwarte. Wnętrze zasłaniają grube drapowane zasłony.

Wysoka kobieta ubrana w charakterystyczny kombinezon ochronny lekarki sądowej, czeka na jednym z krzesel w jadalni z papierosem w jednej i telefonem w drugiej dłoni.

- To w końcu panią zabije, doktorco - wita się Mentor.

Kobieta mamrocze coś niezrozumiale, nie podnosząc wzroku znad telefonu i znowu zaciąga się papierosem.

Mentor mlaszcze z dezaprobatą i odwraca się do Antonii, która patrzy na niego wyczekująco, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą, niczym biegacz na linii startu. Mentor nachyla się w jej stronę, aż jego usta niemal dotykają jej prawego ucha, i pyta:

- Jaki dźwięk wydaje klaszcząca jedna ręka?

Antonia nie odpowiada, tylko wchodzi do oświetlonego salonu.

„O co tu chodzi?“, zastanawia się Jon.

Chce pójść za nią, ale Mentor kładzie mu rękę na klatce piersiowej.

- I jeszcze jedno. Zanim pan wejdzie, chcę pana ostrzec, że to, co za chwilę pan zobaczy, oraz to dochodzenie, moja obecność czy obecność pani Scott są absolutnie poufne. Zobaczy pan i usłyszy rzeczy, które wydadzą się panu dziwne, z którymi nie będzie się pan zgadzał. Będzie pan posłusznym żołnierzem?

- Nigdy nie lubiłem, by prowadzano mnie na smyczy - odpowiada Jon, próbując się wyrwać.

Mentor jest silny - znacznie silniejszy, niż się wydaje pod tym niebywale drogim garniturem - lecz nie może się równać z krzepą Jona i w końcu niechętnie zabiera rękę. Fałda, która zostaje na klatce piersiowej inspektora Gutiérreza, powiększa jeszcze i tak już wielką ochotę, która od dwóch dni wzbiera w Jonie, żeby dać mu po głębie.

- Proszę mnie nie zmuszać do zmuszania - dodaje Mentor. - Nie proszę wcale o tak wiele. Tylko o to, żeby siedział pan cicho i grał.

Obaj znowu mierzą swoje siły, tym razem spojrzeniami. Szala przechyła się na przeciwną stronę. Jon musi przełknąć ślinę i zdusić wściekłość. To nie jest moment, by wybuchnąć, ale jeszcze nadejdzie.

- Pograjmy chwilę - mówią jego usta, choć z jego oczu bije zupełnie inna obietnica.

Mentor zadowolona się zawieszeniem broni i odsuwa się na bok.

Na zewnątrz noc jest ciepła. W środku jest strasznie zimno. „Ktoś ustawił termostat w trybie zamrażarki”, zauważa Jon, odsuwając zasłony.

Po wejściu do salonu dwie rzeczy, o których – jak sądził – wiedział, nieco się chwieją.

Przede wszystkim wydawało mu się, że wie choćby pobieżnie, czym jest luksus. Jego matka była nauczycielką w szkole podstawowej, jedną z tych z powołaniem i wystarczającą pensją, żeby sobie poradzić, zwłaszcza że ojciec zostawił im grosze, kiedy odszedł do innej. Ale *amatxo* miała przyjaciół, których od czasu do czasu odwiedzali, kilkoro w Bilbao, kilkoro w Álavie. Dwuczłonowe nazwiska, posiadłości, samochody. Krojona ręcznie szynka *Joselito* na podwieczorek, *Vega Sicilia* prawie każdego wieczoru, niektóre niedzielne polowania zjadały trzy czwarte części całego dochodu. Po takiej wizycie człowiek wracał do swojego mieszkania po drugiej stronie rzeki *Nervión* i zasypiał z myślą, że dotknął nieba.

A po latach wchodzi do tego salonu i uświadamia sobie, że tak naprawdę nawet nie wiedział, jaki kolor ma niebo.

Przestrzeń jest niezmiernie duża, choć architekt włożył wiele wysiłku, żeby dostosować ją do ludzkiej skali. Otwarta na wyższą kondygnację, świetlik w suficie, ogromne wysokie na cztery metry okno. Po jednej stronie jadalnia z kominkiem, w głębi ściana oddzielająca salon od holu wejściowego. Gustownie powieszony obraz. Jon rozpoznaje jeden *Rothki* i dwa *Miró*. Chce sobie przypomnieć autora kolejnego, nazwisko ma na końcu języka, to na pewno *Holender*. W końcu rezygnuje, ograniczając się do oszacowania: obrazy w salonie są warte dziesięć razy więcej niż dom.

„Ktokolwiek tu mieszka, nie ma najmniejszego kontaktu z rzeczywistością ani bladego pojęcia, co znaczy być człowiekiem”. Myśl wpada do jego głowy i wypada równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając za sobą delikatne oszołomienie.

Po drugiej stronie salonu znajduje się pokój dzienny. Jest tam telewizor osiemdziesięciocalowy, tak cienki, że wydaje się, jakby był

namalowany na ścianie. Są sofy z twardej i gładkiej skóry. W rogu zaś coś, co po raz drugi podważa przeświadczenia Jona.

Pod jednym względem policjanci są podobni do psów: jeden rok to tak naprawdę siedem lat.

Przez ponad dwadzieścia lat Jon widział wystarczająco dużo śmierci. Ćpun zadźgany w ciemnej uliczce, chłopak, który skoczył z mostu Miraflores, dwoje staruszków zasztyletowanych przez nastoletnich sąsiadów. Kiedy człowiek już tyle widział, zdaje sobie sprawę, że wszystkie śmierci są takie same. Ustające bicie serca, dźwięk tłuczonego szkła, a na końcu samotność. Człowiek się uodparnia, sądzi, że już nic nie może go zaskoczyć ani zszokować.

I wtedy patrzysz na martwego nastolatka na sofie i uświadamiasz sobie swój ogromny błąd.

- Boże! - krzyczy Jon.

Nie może mieć więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat. Ma na sobie białą koszulę i białe spodnie, prawie niedające się odróżnić od skóry sofy i jego własnej, która swego czasu była śniada, a teraz jest wyblakła, niemal przezroczysta. Wszystkie oznaki życia opuściły jego ciało, niesamowicie chude, a mimo to nadal siedzi, idealnie wyprostowany, z nogą założoną na nogę, prawa ręka spoczywa na kolanie, lewa trzyma kieliszek napełniony po brzegi gęstym, czarnawym płynem. Nie ma butów ani skarpet, a nagie stopy przybrały fioletowo-niebieską barwę, taką samą jak usta. Oczy są otwarte, a twardówka żółtawa.

Najohydniejsze ze wszystkiego są otwarte usta wykrzywione w parodii uśmiechu. Skrzep krwi ześlizguje się z dolnej wargi i zbiera się w dołeczku na brodzie.

Jon powstrzymuje pierwszy bezlitosny odruch wymiotny, który domaga się, by zwrócił kolację, której nie zjadł. Z mieszanką złości i współczucia zaciska dłonie w pięści, żeby utrzymać zawartość żołądka w środku i profesjonalizm na zewnątrz.

Kiedy udaje mu się uspokoić, kieruje wzrok na Antonię, która w kuckach, tuż przy zwłokach, przygląda się twarzy ofiary. Są tak blisko siebie, że wydaje się, jakby za chwilę mieli się pocałować.

- Scott - odzywa się łagodnie Mentor. - Powiedz nam, co widzisz.

Jon nie słyszał, kiedy wszedł, ale ten tajemniczy mężczyzna stoi zaledwie kilka kroków za nim. Jego głos ma na celu dwie rzeczy: uspokoić Jona i przywrócić Antonię do realnego świata. A przynajmniej, żeby skontaktowała się z nimi, gdziekolwiek jest.

- Nie ma śladów przemocy - odpowiada cicho, tak że Jon musi się przysunąć, żeby ją słyszeć. - Żadnych ran powierzchownych ani śladów obronnych na rękach.

Milknie, jak gdyby mówienie dalej było dla niej dużym wysiłkiem.

- Przyczyna śmierci - naprowadza ją Mentor.

Antonia wyjmuje ze swojej torby parę rękawiczek nitrylowych, zakłada je i naciska kciuk nieboszczyka.

- Wstrząs hipowolemiczny albo hipoksemia, albo i to, i to. Jego nerki musiały przestać pracować w tym samym czasie, kiedy serce nie miało już czego pompować do reszty ciała. Powolna i bolesna śmierć. Sinica jest niewielka, obejmuje tylko usta i palce u stóp. Musiał być odurzony i leżeć, w przeciwnym razie byłaby także obecna na rękach. Ból głowy i mdłości spowodowałyby, że zgiąłby się wpół i wił. Miałby na skórze ślady własnych palców.

- A po ludzku? - pyta Jon.

- Wykrwawił się - odzywa się ktoś za plecami Jona.

9

Syn

- Przedstawiam wam doktor Aguado, naszą lekarzkę sądową. Od wczorajszego popołudnia pracuje na miejscu zbrodni - mówi Mentor.

Kobieta, która czekała na zewnątrz, teraz dołączyła do nich, choć zdjęła kaptur kombinezonu, odsłaniając długie blond włosy zebrane w koński ogon. Musi mieć około czterdziestu lat. Długie rzęsy, rozmazany makijaż, piercing w nosie, zmęczony uśmiech, pozornie apatyczne spojrzenie. Nie podaje mu ręki, za co Jon jest jej w głębi duszy wdzięczny. Przerażają go ręce lekarzy sądowych.

- Wykrwawił się? Jak? Od pchnięcia nożem, strzału?

- Morderca wprowadził kaniulę do tętnicy szyjnej i upuścił z niego całą krew - odpowiada doktorka.

- Zrobił to bardzo powoli - dodaje Antonia, mówiąc bardziej do samej siebie niż do nich. - Nie spieszył się.

Niebywała chudość nieboszczyka nabiera sensu. Ciało człowieka ma od czterech do pięciu litrów krwi. Bez tego całego płynu w rezultacie powstała pusta skorupa, którą mieli przed sobą. Jona zalewa fala współczucia, gdy wyobraża sobie ostatnie chwile chłopaka.

- Powiedziała, że nie ma śladów obrony. Jak zdołał zapanować nad ofiarą? - pyta inspektor.

- Pobrałam próbki ze śluzówki i znalazłam pozostałości benzodiazepin. To wszystko, co mogę wam powiedzieć bez możliwości przeprowadzenia autopsji.

- Rozmawialiśmy już o tym, Aguado. Nie mamy zgody rodziny, tak więc proszę nie nalegać - ostrzega ją Mentor.

Jon niczego nie rozumie. Kiedy rozmawiali przez telefon, gdy był na schodach w kamienicy Antonii, Mentor powiedział mu, że popełniono morderstwo niemożliwe, że zabójca wszedł do miejsca, które dysponuje najwyższymi środkami bezpieczeństwa, i że odszedł, nie zostawiając śladu. Jon nie spodziewał się takiej niedorzeczności.

W przypadku brutalnej zbrodni decyzja o autopsji nie należy do rodziny, tylko do sędziego śledczego, którego nieobecność, nawiasem mówiąc, aż rzuca się w oczy. Wszystko na tym miejscu zbrodni, w tym śledztwie, jest postawione na głowie, nie przestrzega się żadnych procedur, Kodeksu postępowania karnego ani ustalonych zasad. Tylko lekarka sądowa? Bez jednostek wsparcia, bez inspektorów (z wyjątkiem jego, rzecz jasna)? Co może sprawiać, że...?

Jon przerywa sam sobie. Nie zadał jeszcze, oczywiście, ważnego pytania.

- Kim jest ofiara?

Doktorka Aguado wychodzi na chwilę, po czym wraca z teczką. W środku jest zdjęcie wysokiego szczupłego chłopaka o kręconych włosach i smutnych oczach. Jest na plaży, pozuje niechętnie, jak przystało na jego wiek i pozycję. Nieśmiertelny, niezniszczalny, wolny od wszelkich zmartwień. Fotografia musi pochodzić z tego lata, domyśla się Jon. Boże, jak on nienawidzi zdjęć „przed”. Nienawidzi zestawiać całego i zdrowego człowieka, którego mu pokazują, nieświadomego przeznaczenia, które zbliża się do niego z otwartą paszczą, z tą powłoką, która zostaje później.

Chłopak wyciąga rękę do około ośmio- lub dziewięcioletniej dziewczynki, która trzyma plastikową piłkę i uśmiecha się bezzębnie do aparatu.

„Gdzieś tam jest dziewczynka, która nie będzie się już bawić ze swoim bratem”, myśli Jon. „Zastanawiam się, jak jej o tym powiedzą. To zawsze jest najtrudniejsze. Spojrzeć komuś w twarz i powiedzieć, że jego świat rozpadł się na kawałki. Że nie da się go złożyć, ponieważ ktoś zabrał kilka elementów”.

Na dole zdjęcia Aguado napisała imię i nazwisko ofiary. Jon czyta na głos. Głośno. Wyraźnie.

- Chwila. Álvaro Trueba. Ten chłopak to...

- Tak. Syn. Jeden z nich - przerywa mu Mentor. - Ma pan konto w banku jego matki, inspektorze?

Jon bierze głęboki oddech. Kręci mu się w głowie, gdy uzmysławia sobie, w co się pakuje.

- W Bilbao najpopularniejsze są BBVA i BBK, wie pan, dbamy o własne interesy.

- Zaszokował mnie pan - odpowiada Mentor tonem pełnym sarkazmu.

Nagle Jon uświadamia sobie, dlaczego klimatyzacja jest podkreślona do maksimum. W środku musi być najwyżej trzynaście albo czternaście stopni.

- To wcale się nie dzieje, prawda? Dlatego ten dom jest pieprzoną zamrażarką. Żeby ciało tego dzieciaka jak najdłużej wytrzymało w nienaruszonym stanie. Kiedy już z nim skończycie, ktoś po kryjomu przekaże go rodzinie. Powiedzą, że chłopak utopił się w basenie albo coś takiego, i będą mieli pogrzeb bez skandalu ani mediów.

- I z otwartą trumną. Zdziwiłby się pan, co może zdziałać zmotywowany balsamista.

Jon wskazuje dookoła, na ogromny salon i obrazy warte miliony.

- Te wszystkie pieniądze i władza kupują dużo motywacji, prawda? Tym właśnie się pan zajmuje, ze swoimi drogimi samochodami, sekrecikami i cynicznymi tekstami? Przykrywaniem gówna bogaczy?

Mentor odwraca się do niego z zaciśniętymi ustami i chmurnym wzrokiem.

- To właśnie pańskim zdaniem się dzieje?

- Nie mam pojęcia, co się dzieje, już pan o to zadbał. Widzę jedynie, że martwy dzieciak na sofie gówno pana obchodzi. Jesteście zbyt zajęci służeniem... - Jon waha się przez chwilę, ale nie może uniknąć banału - ...innym interesom.

- A powie mi pan, co jest słuszne? Podręczny gruby glina?

- Przynajmniej nie jestem niczym sługusem.

Mentor obserwuje Jona z rozbawieniem, jak gdyby patrzył na zwierzę w zoo, które właśnie zrobiło coś niespodziewanego.

- Proszę mi wybaczyć, inspektorze. Moja praca nie jest łatwa i nie zawsze osiągam to, co zamierzam.

Jon nie do końca wierzy w jego przeprosiny. Tak naprawdę w ogóle nie wierzy. Ale jako że drugą opcją jest stawienie mu czoła, postanawia udawać.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - mówi Jon. - A sytuacja nie pomaga.

- I dla pana jest jeszcze gorsza, bo pracuje pan po omacku. - Mentor pokazuje w kierunku Antonii, która prawie się nie ruszyła, odkąd tu weszła, i wymienia dziwne spojrzenie z doktorką Aguado. - Dajmy jej przestrzeń, inspektorze. Jeśli wyjdzie pan ze mną na zewnątrz, powiem panu prawdę.

10

Kieliszek

Nieświadoma scysji, do której doszło za jej plecami, nieświadoma tego, że Jon i Mentor wyszli z domu, Antonia Scott daje się ponieść swojemu ćwiczeniu, chłonie każdy szczegół miejsca zbrodni. Przesuwa wzrok z jednego elementu na drugi w nieustającej pętli, w której są następujące przystanki:

- Biała koszula, zapięta pod samą szyję.
- Nienaturalna pozycja ciała.
- Absolutny brak krwi na dębowej podłodze, na sofie, na dywanie utkanym ręcznie w Indiach.

„Oczy, rękana kolaniedrugatrzymakieliszeknietozbyt wiele.”

- Duszę się - mówi ochrypłym głosem.

Nadal kuca, oczy ma zamknięte, stara się, żeby informacja jej nie przygniotła, żeby jej nie pożarła. Próbuje znowu wyobrazić sobie *Mångata*, ale jest bardzo daleko, po drugiej stronie ceglanej ściany złożonej

[koszula, ciało, kieliszek na oparciu sofy]

z obrazów.

Sądziła, że da radę.

Ale.

Nie może, nie sama. Zalewają ją szczegóły, narzucają własne, przytłaczające warunki.

Ostatecznie się poddaje.

„Tylko ten raz. Ten będzie ostatni”.

Wyciąga rękę. Niemal błagając.

Doktorka Aguado podchodzi od tyłu. Trzyma mały metalowy pojemnik, z którego wyjmuje czerwoną kapsułkę i kładzie ją na otwartej dłoni Antonii.

- Chce pani trochę wody?

Antonia nawet nie odpowiada, tylko zaciska dłoń w pięść i wkłada kapsułkę do ust. Siekaczami rozgryza żelatynę, uwalniając upragniony gorzki proszek, po czym bierze go pod język, żeby śluzówka wchłonęła chemiczny koktajl i z największą prędkością przeniosła go do krwiobiegu.

Liczy do dziesięciu, wydychając powietrze między każdą cyfrą, schodząc po stopniach coraz niżej, aż do miejsca, w którym potrzebuje się znaleźć.

Nagle świat staje się coraz wolniejszy, coraz mniejszy. Znika elektryczność, która mrowiła ją w rękach, w klatce piersiowej i na twarzy.

- Dziękuję - udaje jej się powiedzieć. Lekarce, kapsułce, ogólnie całemu wszechświatowi. - Dziękuję.

- A więc to pani - mówi Aguado. - Bardzo chciałam panią poznać. Dużo czytałam na temat pani pracy. To, co zrobiła pani w Walencji...

- To ja - przerywa jej Antonia. I to prawda. To ona, znowu. - A pani jest nową lekarką sądową.

- Robredo odszedł w zeszłym roku, miał dość czekania na pani powrót. Praca w Murcji. Zastanawiam się, kto chciałby przenieść się do Murcji - mówi Aguado, podając Antonii teczkę - mając możliwość pracy z panią.

„Ktoś mądry”, myśli Antonia. Gestem odmawia przyjęcia teczki. Jeszcze nie jest gotowa. Najpierw sama musi wszystko zobaczyć.

- Ani jednej kropli krwi na miejscu zbrodni - stwierdza. - Oczywiście nie licząc kieliszka.

Gęsty płyn zaczął już krzepnąć na ściankach szkła Bohemii, które chłopak trzyma w dłoni. Kiedy morderca umieścił tam krew, musiała przypominać wino, nalane do pełna.

- To krew ofiary?

- Zrobiłam test bromokrezolowy. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że krew z kieliszka i krew ofiary mają tę samą grupę, B Rh dodatni. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy dostaniemy potwierdzenie DNA.

„A więc za pięć dni. Wtedy mnie już tu nie będzie”.

- Co to za substancja we włosach? - pyta Antonia, która się podniosła, żeby przyjrzeć się jej z bliższej odległości.

Głowa chłopaka błyszczy w świetle lamp. Ma kręcone włosy zaczesane do tyłu i na pierwszy rzut oka wydaje się, że to żel, ale wygląda zbyt tłusto. Malańka kropla spływa po skroni.

- Oliwa z oliwek na dziewięćdziesiąt dziewięć procent - czyta lekarka. - Cynamon i jeszcze jeden składnik, którego na razie nie zidentyfikowaliśmy. Byłam w MobLabie, stoi zaparkowany z tyłu, ale nie mam tu wystarczających narzędzi.

MobLab to furgonetka załadowana po brzegi aparaturą do badań wykonywanych przez lekarza sądowego. Z zewnątrz wygląda jak czarny mercedes sprinter, bez szyb, całkiem zwyczajny. W środku można się jednak poczuć jak na statku kosmicznym, pełno tam probówek, produktów chemicznych i komputerów. Ale ma swoje ograniczenia.

- Wysłała pani próbki do Oddziału?

- Za kilka godzin będziemy coś wiedzieć - mówi Aguado.

Konieczność czekania na jeden element układanki frustruje Antonię. To miejsce zbrodni zostało zaaranżowane w najdrobniejszych szczegółach w określonym celu - dowiedzieć się, w jakim, jest sprawą najważniejszą. Wskazuje kieliszek.

- Sprawdzła pani w kuchni?

- W stojaku jest puste miejsce. Marka i model się zgadzają.

Morderca wykorzystał rzeczy z domu, żeby przekazać wiadomość. Jedyne, co przyniósł ze sobą, to oliwa.

Wino i oliwa. Antonia czytała o czymś takim. Albo słyszała. Nagle pojawia się wspomnienie. Ona jako mała dziewczynka. Ma siedem lat,

dwa miesiące i osiem dni. W bazylice La Mercé. Wszyscy ubrani na czarno. Zapach chryzantem, ulubionych kwiatów jej matki.

- To psalm - mówi Antonia, wskazując ciało. - Psalm dwudziesty trzeci. Nie pamiętam, który werset.

Doktorka Aguado patrzy na nią zdezorientowana.

- Sądziłam, że pani pamięta wszystko, co przeczytała.

„Bo tego nie przeczytałam. Usłyszałam na pogrzebie. Trzy dekady temu. Od tamtego dnia czytanie Biblii nie miało większego sensu”.

- Nie zawsze - odpowiada Antonia.

- Chyba to mam. „Zastawiasz przede mną stół wobec nieprzyjaciół moich. Namaszczasz oliwą głowę moją, kielich mój przelewa się” - recytuje Aguado. - O to pani chodziło?

Antonia wydaje obojętny pomruk. Kieliszek pełen krwi, głowa wysmarowana oliwą. Dziwny zbieg okoliczności. A ona nie wierzy w zbiegi okoliczności.

- Jestem już gotowa na pani teczkę, doktorco Aguado.

Antonia potrzebuje kwadransa, żeby przeczytać sto stron zawierających dane, schematy i informacje, które przygotowała dla niej lekarka sądowa. To wspaniała praca, o wiele staranniejsza i dokładniejsza niż w przypadku jej poprzednika. Antonia waha się, czy jej pogratulować, ponieważ powinna być możliwie najbardziej zdystansowana wobec członków zespołu (Dyrektywa numer jedenaście Regulaminu) i nie okazywać im empatii (Dyrektywa numer trzy), żeby relacje były jak najbardziej jednostronne (Dyrektywa numer siedemnaście). Dawniej przestrzegała regulaminu.

Już nie.

- Gratuluję raportu, doktorco. Cieszę się, że Robredo wyjechał do Murcji, zyskaliśmy na tej zmianie.

Aguado się odwraca - zbyt późno - żeby Antonia nie zauważyła rumieńców na jej policzkach.

Antonia z kolei na powrót skupia się na papierach. Najgorsze przychodzi wtedy, gdy znajduje zdjęcie chłopaka na plaży. Antonia wie,

że nie może oglądać ofiar jako ludzi. Cały jej trening doprowadził do zbudowania bariery emocjonalnej, która zamienia ofiary w fakty, w części hieroglifu, który zaczyna się obrazem, a kończy określonym wynikiem. Wcześniej potrafiła to zrobić, choć z wielkim wysiłkiem.

Już nie.

„Wszystko zmieniło się po tym, co spotkało Marcosa. Po tym, co mu zrobiłam. Po tym, co nam zrobiłam”.

Uświadamia sobie, że składa obietnicę chłopcu ze zdjęcia. Obietnicę, której nie może wypełnić, ponieważ koliduje ona z obietnicą, którą złożyła Marcosowi. Którą złożyła samej sobie. Co z kolei jest przeciwieństwem tego, czego oczekuje od niej babcia Scott.

„Dorwę tego, kto ci to zrobił”, mówi chłopakowi ze zdjęcia.

W miarę jak słowa układają się w jej głowie – żałuje. Nie ma też jak tego odwołać. Na tym polega problem, kiedy składa się obietnicę zmarłym.

Gdy się ich zawiedzie, trudniej prosić o wybaczenie.

11

Wyjaśnienie

Mentor kieruje się w stronę jadalni na zewnątrz i siada na jednym z krzeseł. Le Corbusier albo podobne. Drogie i niewygodne, stwierdza Jon, kiedy robi to samo i czuje, że oparcie nie zostało zrobione dla kogoś jego postury, chyba że projektantowi chodziło o torturowanie.

Na stole została paczka marlboro light doktorki Aguado. Na odstrasającym zdjęciu umieszczonym na opakowaniu widać dziecięcą trumnę.

Makabryczny zbieg okoliczności sprawia, że Jonowi ściska się serce, więc odwraca wzrok.

Mniej wybredny Mentor wyciąga rękę do paczki papierosów, proponuje jednego inspektorowi, który kręci głową. Mentor zapala jednego, zaciąga się trzy razy, kaszle jak opętany, gasi go na szklanej powierzchni, mokrej od wody ze zraszaczy.

- Nie martwi się pan, że zanieczyści miejsce zbrodni?

- Żeby tylko było co zanieczyszczać. Aguado pracuje nieprzerwanie od dwudziestu sześciu godzin, sprawdziła cały dom i zebrała ślady.

Jon gwizdże z podziwem. Każdy metr kwadratowy należało przeszukać metodą kratki, zrobić zdjęcia, wypatrzeć anomalie. W tak wielkim domu to było zadanie dla czterech lub pięciu osób.

- Dobra jest.

- Doktorka Aguado jest najlepsza w Hiszpanii. Na szczęście dla mnie i na nieszczęście dla niej musi pracować ze mną.

- Jakies efekty?

- Będziemy coś wiedzieć, kiedy dostaniemy próbki od rodziny i służących, żeby ich wykluczyć. Niczego nie oczekuję. Są włosy i naskórek, ale sam pan wie, że to gównno warte. Niestety, nie jest jak w serialach.

Jon doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Seriale telewizyjne przedstawiają tak zniekształcony obraz pracy lekarzy sądowych, że czasami nawet sami policjanci wpadają w tę samą pułapkę, co widzowie, i wierzą w cuda.

Mentor ponownie przyciska do stołu zgaszonego już papierosa i odsuwa od siebie paczkę.

- Rzuciłem kilka miesięcy temu. Od czasu do czasu przypominam samemu sobie dlaczego.

- Łatwiej nie robić sobie dużej krzywdy, krzywdząc się tylko trochę.

- Otóż to. Dlaczego został pan policjantem, inspektorze Gutiérrez?

Jon się krzywi.

- Wyszliśmy, żeby to pan mówił.

- Proszę zrobić mi tę przyjemność, inspektorze.

Pauza. Jon nie wie, którą odpowiedź podać. Tę oficjalną, którą opowiada znajomym i samemu sobie, czy tę prawdziwą. Może z powodu późnej godziny, a może z powodu emocji, z jego ust ostatecznie wychodzi ta druga.

- Żeby nie zrobiono mi krzywdy - przyznaje.

Teraz to Mentor okazuje zaskoczenie w obliczu szczerości.

- Wow...

- Wiem, wiem. Taki wielki i silny facet jak pan i całe to gównno. Proszę nie wkurzać mnie psychoanalizą. Ojciec mnie zostawił, lubię fiuty, mieszkam z matką. Znam wszystkie dowcipy i tanie wyjaśnienia. Rzecz w tym, że... że się boję. Zawsze się bałem.

- Czego?

- Wszystkiego. Kiedy byłem nastolatkiem, bałem się zamachów. Bałem się, że mnie potną, jak będę wracał ze szkoły. Bałem się wypadków. Że złapię AIDS. Praca w policji pomaga. Jesteś blisko tego

wszystkiego, widzisz nieszczęścia innych. To daje ci coś w rodzaju magicznej tarczy. Jakby ciebie to nie dotyczyło.

- Trochę krzywdy, żeby nie zrobić sobie dużej krzywdy - mówi Mentor.

- Właśnie.

- Ale dziś tak nie było, prawda?

Jon nie odpowiada. Nie ma w zwyczaju reagować na oczywistości.

Obaj kamuflują się na chwilę w ciszy, odzyskując pozycje. Mentor poprawia się na krześle i opuszkami palców próbuje odzyskać paczkę papierosów, którą wcześniej tak starannie od siebie odsunął. Płomień zapalniczki na kilka sekund kradnie jego twarz ciemności. Tym razem nie zaciąga się pospiesznie trzy razy, tylko delektuje się dymem, połykając go z umiarem.

- Pomysł pojawił się pięć lat temu w Brukseli. W Fischer Institute. Zna go pan?

- Nie mam przyjemności.

- To think tank Unii Europejskiej.

- Wiem, czym jest think tank: masą bogatych dupków, którzy uważają, że lepiej od innych wiedzą, co jest najlepsze dla świata.

Mentor chichocze i podnosi ręce.

- Winny. Rzecz w tym, że my, te dupki, czasami mamy rację. Kilka lat temu było takie badanie. Pamięta pan zamach na lotnisku na Teneryfie z dwa tysiące dwunastego?

Jon przytakuje. Jak mógłby zapomnieć. Najbliższe kamery monitoringu zarejestrowały moment wybuchu bomby, zanim obraz zrobił się czarny. Pozostałe kamery pokazały równie okropne obrazki: przerażeni ludzie biegnący przez terminal, przewracający i depczący po drodze tych wolniejszych.

- W badaniu przeanalizowano dane, którymi różne organy policji dysponowały przed atakiem. Policja lokalna, policja autonomiczna Wysp Kanaryjskich, Gwardia Obywatelska, Policja Krajowa. Oni wszyscy mieli elementy tej układanki. Żaden organ nie podzielił się nimi z pozostałymi.

- Nic nowego – stwierdza Jon.

Świetnie to zna, sam jest funkcjonariuszem policji krajowej w Bilbao i Ertzaintza⁴ też codziennie uprzykrza mu życie. Relacje między organami policyjnymi są gorzkie niczym niedziela emeryta. Zawisać, różnice w wynagrodzeniach. Narastająca latami niechęć. A ostatecznie cierpieli na tym ludzie.

- To, co stało się na Teneryfie, potem powtórzyło się w Turynie w dwa tysiące piętnastym i na Las Ramblas w Barcelonie w dwa tysiące siedemnastym. Badanie przeprowadzili Niemcy. Sami mają z tym problem. Osiemnaście organów policji.

- Pieprzony chaos.

- Badanie nie ograniczało się do terroryzmu, uwzględniało też inne głośne sprawy. Nietypowych seryjnych morderców, jak Remedios Sánchez. Dziesięć ataków w ciągu dwudziestu czterech dni i trzy martwe staruszki. Albo jak Kovacs, klaun z Düsseldorfu.

- Czarne łabędzie. Nieprzewidywalne.

Kiedy Jon to mówi, na twarzy Mentora maluje się grymas zdziwienia. Według najnowszej teorii czarny łabędź to mające ogromny wpływ na rzeczywistość straszne zdarzenie, którego ani nauka, ani historia nie mogły przewidzieć i które może być wyjaśnione dopiero *a posteriori*. Jak 11 września, kryzys gospodarczy z 2008 roku czy powrót mody na noszenie nerek.

- Nie spodziewałem się, że czytał pan Taleba, inspektorze – mówi Mentor i patrzy na Jona, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

- Proszę mnie nigdy nie lekceważyć – odpowiada Jon. Za żadne skarby świata nie przyznałby, że poznał tę koncepcję, przeglądając wymiętoszone czasopismo w poczekalni u dentysty.

- Obiecuję, że nie będę tego robił. Wnioski badania były takie, że stworzyliśmy w Europie nowy świat. Bez granic, bez celników. Pięć milionów kilometrów kwadratowych, gdzie bandyci mogą się poruszać, jak im się żywnie podoba. I setki organów policyjnych, które rywalizują między sobą. Właśnie wtedy pojawił się projekt Czerwona Królowa.

- Jak w Alicji? Zetną jej głowę?

- Właśnie stąd pochodzi nazwa. To stara teoria ewolucyjna. Pamięta pan ten fragment w książce *Po drugiej stronie lustra*, kiedy Alicja i Królowa biegą i biegą, a nie ruszają się z miejsca?

Jon wykonuje nieokreślony gest ręką. Najgorsze w pozowaniu na mądrzejszego niż w rzeczywistości jest to, że oszustwo wcześniej czy później wyjdzie na jaw.

- Czerwona Królowa mówi Alicji, że w jej kraju trzeba biec tylko po to, żeby pozostać w miejscu - ciągnie Mentor. - Kiedy odniesiemy to do ewolucji, okaże się, że potrzebna jest nieustanna adaptacja, żeby dotrzymywać kroku drapieżnikom.

- Ale my już to robimy - broni się Jon.

- Jak? Więcej policjantów? Więcej komputerów? Więcej broni? Czy może ma pan na myśli kurs o cyberprzestępczości, który zorganizowano na komisariacie w zeszłym roku?

- Trudno powiedzieć. Cały kurs spędziłem na graniu w Angry Birds.

- Ostatecznie przewagę mają przestępcy, bo poruszają się szybciej, są niewidzialni i nikt o tym nie wie.

Jon przenosi wzrok na dom.

- Chyba zacznam rozumieć.

- Projekt zaczął się jako eksperyment. Oddział centralny i jednostka specjalna w każdym kraju Unii Europejskiej. Z bardzo specjalnymi zadaniami, które należało trzymać w tajemnicy przed opinią publiczną.

- Proszę podać mi przykład.

- Seryjni mordercy. Wyjątkowo nieuchwytni brutalni przestępcy. Pedofile. Terroryci.

- Osamotnione bydlaki - podsumowuje Jon.

- Podobnie jak oni, nasza jednostka nie ma żadnych powiązań. Ani hierarchii. Ani wewnętrznych rywalizacji. Ani biurokracji. Jedynie agenta łącznikowego o kryptonimie Mentor.

- Rany, a ja sądziłem, że to pańskie prawdziwe nazwisko.

Mężczyzna uśmiecha się niechętnie.

- Każdy Mentor ma do dyspozycji grupę techników, którzy funkcjonują zawsze poza normalnymi kanałami. Żadnych odznaczeń, nagród ani awansów. A na szpicy, na placu gry, dwie osoby. Giermek - mówi, wskazując Jona - i Czerwona Królowa.

- Moja rola stała się jasna: beużyteczny szofer z odznaką i pistoletem.

- Niech się pan tak nie docenia. Potrzebny jest doświadczony policjant, żeby chronić i doradzać głównemu „aktywowi”.

- Skoro pan tak mówi. A ona?

Mentor zapala kolejnego papierosa.

- Królowa pojawia się na miejscu zbrodni, ogląda je i odchodzi. Nasza jednostka nigdy nie zajmuje się sprawą na wyłączność, jaka by ona nie była. Ogranicza się do pracy z boku, patrząc przez ramię prawdziwym policjantom.

- Ale nie tym razem.

- Ale nie tym razem, bo pojawiły się... wyjątkowe okoliczności.

Jon się śmieje i potrząsa głową w obliczu cynizmu Mentora. Zawsze był zwolennikiem nazywania rzeczy po imieniu. Członek, akcja zbrojna, słaby ekonomicznie. Co oznacza fiuta, zamach i biedaka.

- Jak do niej dotarliście?

- W każdym kraju zaczął się bardzo długi i bardzo kosztowny proces selekcji. Kandydaci musieli spełnić szereg wymogów, o które szalenie trudno: znikome relacje osobiste, swoboda poruszania się, niezwykła umiejętność myślenia lateralnego. Nie miało znaczenia, czy to mężczyźni czy kobiety, wysocy czy niscy, grubi czy szczupli. Nie szukaliśmy następnego Jamesa Bonda. Szukaliśmy wyjątkowych umysłów. Osób, które mogłyby patrzeć tak jak nikt inny.

W głosie Mentora daje się wyczuć dumę, co nie umyka uwadze inspektora.

- To pan ją znalazł, prawda?

- Trzy miesiące przed rozpoczęciem projektu Hiszpania była jedynym krajem, który nie miał swojej Królowej - mówi Mentor. - A nieprzerwane poszukiwania prowadziliśmy już od roku. Przejrzałem tysiące teczek

i przeprowadziłem rozmowy z setkami osób. Wreszcie pojawiła się ona.
I wiedziałem, że to właśnie ta.

* *Ertzaintza* – baskijska policja autonomiczna.

Madryt, 14 czerwca 2013 roku

Wysoki szczypty mężczyzna trze oczy ze zmęczenia. A dzień się jeszcze nie zaczął.

Plan na ten tydzień to nowe podejście do problemu. Do tej pory stosowali połączenie testu osobowości z testami na inteligencję. Wysoki mężczyzna specjalizuje się w psychologii poznawczej i analizie zachowania. Ale na razie na niewiele mu się to przydało, gdy przychodziło do wskazania prawidłowych testów. Korzystał z tych najśłynniejszych, stworzonych przez CIA, FBI, MI6. Wszystkie jednak zawodziły w tym, co najważniejsze. Odzwierciedlały inteligencję kandydata, lecz nie jego zdolność do improwizacji.

„Kogo ja chcę oszukać. Problemem jest surowiec”.

W tym tygodniu próbują czegoś innego. Test został stworzony przez znacznie mniej atrakcyjną instytucję niż agencje wywiadowcze: międzynarodowy koncern naftowy. Wykorzystują go do oceny reakcji na sytuację kryzysową z niemożliwym zakończeniem. Mężczyźni wydało się to bardziej zabawne niż przydatne, kiedy zaproponowała mu go asystentka, ale byłaby to interesująca zmiana po tylu powtarzalnych i bezowocnych testach. A przynajmniej tak sądzili. Po setkach prób okazuje się jednak równie nieskuteczny jak poprzednie.

- Przynajmniej zaoszczędzimy sobie recytowania listy rzeczy, jakie człowiek zabiera na statek kosmiczny.

- Test NASA jest bardzo przydatny - mówi asystentka, upijając łyk kawy.

Mężczyzna patrzy na nią kątem oka z zazdrością. Nie może się doczekać, żeby dostarczyć organizmowi kofeiny, wie jednak, że jeśli

przed obiadem wypije trzecie cortado, po południu będzie w nieznośnym nastroju. Jeszcze bardziej nieznośnym.

- Na miłość boską, nawet moja babcia by wiedziała, że gdyby została sama, musiałaby wybrać tlen, a nie wodę. I że nie powinno się brać kompasu ani pistoletu. Urwali się z choinki, czy co? No dobrze, zaczynajmy. Kim jest pierwszy dzisiejszy kandydat?

- Numer siedemset dziewięćdziesiąt trzy. Dwadzieścia sześć lat. Inżynier przemysłowy.

- Niech wejdzie.

Asystentka wciska przycisk na klawiaturze przed sobą i drzwi się otwierają.

Znajdują się na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Complutense. Nie ma nic lepszego, żeby zamaskować te testy i żeby absolutnie nikt nie podejrzewał, że pozorują studenckie badania. Miejsce też jest odpowiednie. Białe pomieszczenie, bez okien, gdzie można ustawiać temperaturę, wyposażone w jednokierunkową szybę. Z jednej strony szkło, z drugiej lustro. Kabina dowodzenia i głośniki.

Wysokiemu szczupłemu mężczyźnie spodobało się to miejsce, kiedy prawie rok temu rozpoczął się proces selekcji. Pochodzący z zamożnej rodziny, ochronę rodzinnego domu najpierw zamienił na ochronę uniwersytetu, a później Fischer Institute. Jego życie było raczej nudne. Dlatego po wejściu do laboratorium ogarnęło go dziwne wrażenie. Poczuli się jak w filmie szpiegowskim. Albo w *Big Brotherze*.

- Czuję się jak w filmie szpiegowskim.

- Albo w *Big Brotherze*, prawda? - powiedziała asystentka.

Mężczyzna ją polubił. To dobra dziewczyna. Jak świeży kwiat. Z tych, co po przebiegnięciu pięciu kilometrów przychodzą do pracy, wyglądając jak róża, i zawsze widzą pozytywną stronę wszystkiego. Z czasem jego opinia na jej temat stała się jeszcze lepsza. Są dni, kiedy już prawie nie chce jej udusić. Ani jej, ani całej gromady palantów, inteligencików i dziwaków, którzy przewinęli się przez ten pokój. Ponad siedmiuset.

W tym czasie dokonali wstępnej selekcji sześciu osób, które mogłyby pasować do profilu. Ale po trzecim teście zostały odrzucone. Nie został już nikt ze wstępnie wybranych. A to oznacza, że zaczynają od początku.

„Nic. Nie mamy nic. A wszystkie pozostałe kraje ruszyły już z projektem”.

Dobrze wiedział, że szefowie w Brukseli za chwilę mogą dać mu kopa w dupę. A to mu się nie podobało. Wszystko, co wcześniej robił w swoim życiu, to siedzenie nad książkami. Przede wszystkim przyswajanie idei innych. Lepiej radził sobie z powtarzaniem niż tworzeniem. Dlatego, kiedy zaproponowano mu udział w projekcie Czerwona Królowa, skoczył w niego z zamkniętymi oczami. A teraz zanurzał się we własnej porażce.

Numer siedemset dziewięćdziesiąt trzy wytrzymał pół godziny. Oczywiście na końcu się poddał, platforma wiertnicza zatoneła i wszyscy zginęli. Na tym polegała trudność tego testu. Cokolwiek by zrobił, jakkolwiek by odpowiedział, kandydat nie mógł wygrać. Program, który generował pytania, cały czas rzucał wyzwania i mnożył problemy, aż dana osoba rezygnowała albo popełniała błąd.

- Nie uzyskał wcale złego wyniku - mówi asystentka.

Przebłysk nadziei...

- Zostałby wybrany?

- Oj... prawie w zielonej strefie, ale nie.

...który szybko gaśnie. Mężczyzna znowu trze oczy, błagając siebie o cierpliwość.

- Niech wejdzie siedemset dziewięćdziesiąt cztery.

Kobieta jest niska. Drobna. Wydaje się przeciętna, aż uśmiecha się do lustra, i wtedy jest ładna. „Nie żadna piękność, bez przesady”. Ale ma w sobie coś.

- Dzień dobry - mówi mężczyzna, naciskając guzik interkomu, łączący kabinę z pokojem obserwacyjnym. - Przedstawię pani pewną historię. Wszystkie podane przez panią odpowiedzi przełożą się na

punktację, jaką otrzyma pani w naszym badaniu. Prosimy, żeby maksymalnie się pani skupiła, dobrze?

Kobieta nie odpowiada.

- Słyszała mnie pani? Chyba jest jakiś problem z interkodem - mówi mężczyzna, nie zauważając, że nie puścił guzika.

- Słyszałam doskonale. Właśnie maksymalnie się skupiałam - odzywa się kobieta.

Mężczyzna się uśmiecha i po raz pierwszy ma ochotę zabić tę niejaką Scott.

- W porządku, zaczynajmy - mówi i czyta p, który pojawia się na ekranie i którego początek, po tygodniu, zna prawie na pamięć. - Jest pani kapitaną platformy wiertniczej znajdującej się na pełnym morzu. Jest noc, a pani smacznie śpi. Nagle w środku nocy budzi panią asystent. Światła ostrzegawcze są włączone, wyje alarm. Ostrzeżenie przed kolizją. W waszą stronę zbliża się tankowiec.

- Gdzie znajduje się platforma? - pyta kobieta.

- Na środku morza, daleko od jakiegokolwiek pomocy.

- Muszę znać dokładne położenie.

- Dokładne położenie jest nieistotne.

- Ja go potrzebuję - upiera się kobieta.

- W pani stronę płynie tankowiec. Na pokładzie ma trzysta tysięcy ton ropy naftowej. Jaka jest pani pierwsza reakcja?

- Biorę mapę nawigacyjną i określam dokładną lokalizację mojej platformy.

Mężczyzna jest zdezorientowany. Nikt przedtem nie podał takiej odpowiedzi.

- Proszę pani - mówi mężczyzna, starając się ukryć irytację w głosie. - Mogę zapytać, skąd ten upór dotyczący nieistotnej informacji?

Antonia mruga kilka razy i rozkłada ręce, jak gdyby odpowiedź była oczywista.

- Żeby znaleźć jakiegokolwiek rozwiązanie, trzeba wiedzieć, jakie jest twoje położenie względem problemu.

Mężczyzna odwraca się do asystentki.

- Zapytaj program o lokalizację platformy.

- Osiemdziesiąt trzy stopnie czterdzieści cztery minuty szerokości północnej, sześćdziesiąt cztery stopnie trzydzieści pięć minut długości zachodniej - odpowiada po wklepaniu czegoś na klawiaturze.

Mężczyzna powtarza lokalizację przez interkom.

- Dobrze, teraz, kiedy zna pani dokładne położenie, jaka jest pani druga reakcja? Przypominam, że czas reakcji jest kluczowy dla uratowania życia ludzi, których ma pani pod opieką.

Kobieta zastanawia się przez kilka sekund.

- Patrzę w kalendarz.

Mężczyzna prychnął przez nos w geście niedowierzania. Tak mocno, że poruszają się papiery, które ma przed sobą.

- Bo oprócz tego gdzie, trzeba też wiedzieć kiedy, prawda? - mówi, nie wciskając guzika interkomu.

Asystentka znowu coś wklepuje i pokazuje mężczyźnie datę na ekranie.

- Według pani kalendarza jest dwudziesty trzeci stycznia dwa tysiące trzynastego roku. Jaki jest pani plan działania?

- Wracam do łóżka.

- Przepraszam, ale chyba źle zrozumiałem.

- Wracam do łóżka - powtarza kobieta. - Według podanej lokalizacji platforma znajduje się mniej więcej na środku Oceanu Arktycznego. Biorąc pod uwagę szerokość geograficzną i datę, morze jest całkowicie zamrożone, więc tankowiec nie może się zbliżyć z dużą szybkością. Czy to koniec eksperymentu?

Zszokowany mężczyzna wyłącza interkom i odwraca się do asystentki, która właśnie skończyła wprowadzać dane do programu.

- Uzyskała najwyższą punktację - mówi z niedowierzaniem. - Według programistów tylko jedna osoba na siedem milionów podała taką odpowiedź.

- Kim, do diabła, jest ta kobieta?

Asystentka szuka w swoich papierach.

- Kandydatka numer siedemset dziewięćdziesiąt cztery: Antonia Scott.

- Ciekawe nazwisko.

- Urodziła się w Barcelonie, jedynaczka. W rubryce zawód ojca wpisała „korpus dyplomatyczny”. To wszystko, co umieściła w formularzu.

Zgłośników dobiega głos kobiety.

- Halo? Mogę już iść?

- Proszę chwilę poczekać, jeśli będzie pani tak miła. Oceniamy wyniki - odpowiada pospiesznie mężczyzna, po czym znowu puszcza przycisk. - Nie masz nic więcej?

- Z formularza, który wypełniła, nie. Poczekaj, sprawdzę w naszej bazie. Zobaczmy... Zgłosiła się za namową przyjaciela, który nie chciał przyjść na test sam. Bezrobotna. Przystojny narzeczony. Studiowała filologię hiszpańską. Indeks naprawdę kiepski. Średnia ocena trzy.

Dla mężczyzny to spore rozczarowanie po tylu kandydatach z celującymi ocenami.

- Miała trójkę ze wszystkich przedmiotów - dodaje asystentka, szukając w komputerze.

Słyszac to, mężczyzna przez chwilę siedzi nieruchomo, a potem parska śmiechem.

- No jasne - mówi, klepiąc się w kolano.

- Co cię tak bawi?

- Wiesz, jaka jest jedyna trudniejsza rzecz niż trafienie wszystkich liczb w Euromillions?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie grałam. Najlepsza loteria to praca i oszczędzanie.

Mężczyzna jest tak podekscytowany, że zapomina złościć się na to zdanie, niegodne nawet kubka Mr. Wonderful.

- Jedyna trudniejsza rzecz niż trafienie wszystkich liczb w Euromillions to nie trafić żadnej.

- Nie widzę związku - odpowiada asystentka ze zdziwioną miną.

- Wiesz, jak trudno dostać tę samą ocenę, identyczną, ze wszystkich egzaminów na studiach? Mając egzaminy ustne, testy, pytania otwarte? Z tyloma różnymi profesorami, oceniającymi subiektywnie? Dostawanie za każdym razem trójki jest o wiele trudniejsze niż bycie najlepszym na roku.

Asystentka otwiera szeroko oczy i usta.

- Och. Och. - I jeszcze raz: - Och.

- No właśnie. Tam siedzi ktoś, kto przez całe swoje życie bardzo się stara, żeby ukryć się na widoku.

Mężczyzna głaszcze twarz kobiety przez lustro, jak ktoś, kto przywołuje roztargnione rybki, stukając w szybę akwarium.

„Ale ja cię znalazłem, panno Scott”.

12

Trochę zazdrości

- Skąd pan wiedział? - pyta Jon. - Skąd pan wiedział, że to ona?

Mentor gwałtownie gasi papierosa.

- Obawiam się, że nie mogę panu tego wyjawić. Ale Hiszpania miała wreszcie swoją Czerwoną Królową i to nie była jaka.

- Co ma pan na myśli?

- Przypuszczam, że już pan zauważył, że Antonia jest osobliwa.

- Osobliwa to eufemizm. Jej zachowanie łatwo można pomylić z szaleństwem albo głupotą.

- To byłby błąd. Prawda jest zupełnie inna. Antonia Scott jest najinteligentniejszą osobą na ziemi.

Jon prychnął z niedowierzaniem. Jedną sprawą to przyjąć za pewnik, że jechałeś samochodem z dysfunkcyjną wariatką, a inną to dowiedzieć się, że byłaś w towarzystwie geniuszki, nawet o tym nie wiedząc. Co to mówi o człowieku?

- Proszę być tak dobrym i powtórzyć - mówi Jon, zakładając ręce na piersi.

- Jest najinteligentniejszą osobą na ziemi. O której wiemy. - Mentor zachowuje ostrożność. - Może w Bangladeszu jest jakiś pasterz kóz z IQ dwieście czterdzieści trzy. Nigdy nie można być całkowicie pewnym. Jak na razie osobą z najwyższym zarejestrowanym ilorazem inteligencji jest Antonia Scott. Mogłaby pracować dla NASA, rządzić krajem, robić wszystko, co tylko by zechciała. A zamiast tego przekonałem ją, żeby pracowała dla mnie.

- Dopóki nie zwiłała, co? - rzuca złośliwie inspektor.

Gęsty przelotny cień przemyka przez oczy Mentora.

- Na początku wszystko było dobrze. Antonia przeszła ciężki dla siebie i kosztowny dla nas trening. Uczestniczyła w jedenastu sprawach i rozwiązała dziesięć z nich.

- Znam którąś?

- Racją bytu projektu jest zajmowanie się ważnymi sprawami w sposób chirurgiczny. Bez pierwszych stron gazet. Kiedy kończymy, odsuwamy się na bok.

- I jakiś anonimowy policjant rejestruje zatrzymanie?

- Coś w tym stylu. W każdym razie Antonia osiągnęła najlepsze wyniki z całego projektu. I trzy lata temu wszystko się schrzaniło.

- Co to spieprzyło?

- To, co wszystko zawsze pieprzy. Prawdziwa miłość.

Jon, który ma spore doświadczenie w sprawach sercowych i który z niebywałą regularnością szuka kogoś, kogo imię mógłby nadać każdej morskiej fali - to już sześciu w ciągu dziewięciu lat - wstaje z krzesła jak wyrzucony sprężyna.

- Chodzi o męża, tak? Proszę opowiadać.

Mentor stuka się delikatnie w podbródek, zamyślony. Kręci głową.

- Gdybym to zrobił, zawiódłbym jej zaufanie.

Jon ponownie siada na krzesło z ramionami opadniętymi z rozczarowania.

- Niezły z pana opowiadacz, najlepsze zachowuje pan dla siebie.

- Sama kiedyś panu opowie. Jeśli uzna, że powinna.

„Trzeba przyznać, że drań jest pewny siebie”, myśli Jon.

- Zakłada pan, że wróci. Ale wyraziła się jasno. Tylko ta noc.

Uśmiech zadowolenia na twarzy Mentora się rozmywa.

- To nie byłoby dobre.

- Dla sprawy czy dla pana?

- W ciągu tych trzech lat byłem mocno naciskany - przyznaje Mentor. - W Hiszpanii były bardzo poważne zagrożenia bezpieczeństwa,

a nas tam zabrakło i nie mogliśmy pomóc. Odkąd ona odeszła, utknęliśmy.

- Nie próbowaliście szukać następcy Antonii?

- Próbowaliśmy... - Na twarzy Mentora pojawia się frustracja. - Ale się nie udało. Bez Królowej ta jednostka nie ma sensu. Mamy ostatnią szansę, żeby ten projekt przetrwał.

- Dlatego wysyłał pan do niej posłańców. Dlatego zgłosił się pan do mnie.

- Potrzebowałem kogoś, kogo mogłem zaszantażować.

Jon pamięta taki dzień, lata temu, kiedy po powrocie do domu zastał miłość swojego życia na kanapie z innym. Jon zrobił krok do tyłu i dyskretnie zamykał drzwi - nigdy nikomu nie przeszkadzał, taki miał charakter. Zanim zamknęły się całkowicie, niewierny partner odwrócił głowę w stronę Jona. Ich spojrzenia się zetknęły, a tamten dalej robił swoje.

Czysta okrutność, jaka unosiła się między nimi dwoma („tak już jest, nie żałuję, wóz albo przewóz”), bardzo przypominała to, czego inspektor doświadcza, kiedy Mentor otwarcie przyznaje, że dla niego Jon jest tylko narzędziem. Czuje interesującą mieszankę współczucia, zdumienia i wstrętu. I może również trochę zazdrości.

- Jak pan może spać w nocy?

Cisza. Mentor pokazuje pokorną, skruszoną twarz. Albo jej niemal idealną imitację, dobrze wyćwiczoną przed lustrem.

- Moja praca wymaga kompromisów, pocieszam się myślą, że z tego wszystkiego wychodzi coś dobrego.

„Prawie, prawie uwierzyłem”.

- Śpi pan jak dziecko, prawda?

- Całą noc. Ciągiem.

„Zdecydowanie zazdrość”. Jon zawsze podziwiał chemicznie czystych skurwysynów. Być może dlatego, że nie może się stać jednym z nich. „Coitao, jesteś coitao. Taki dobry, pocziwy, że aż głupi”, powtarza mu co chwilę matka. A Jon tak naprawdę chce być odrobinę zły, jak Mentor.

Choć trudno mu to przyznać, zaczyna lubić tego drania.

- To jest cała prawda? Tym razem bez kłamstw?

- Prawie cała. I bardzo niewiele - odpowiada Mentor, śmiejąc się z zadowoleniem. - W przeciwnym razie nie byłbym sobą.

W tym momencie z domu woła ich Antonia.

Mentor wstaje i elegancko zapina guzik marynarki.

- Co pan na to, inspektorze? Pisze się pan na tę pracę?

Jon także wstaje, przeciąga się, wyciąga wielkie ręce, strzela knykциями.

- Zrobię wszystko, byle tylko podnieść dupę z tego gównianego krzesła.

Cztery godziny wcześniej

(Mniej więcej o tej porze, kiedy Jon i Antonia

przyjeżdżają do La Finki)

Carla Ortiz zwraca większą uwagę na ekran swojego laptopa niż na trasę, którą wiezie ją Carmelo. Deszcz towarzyszył im przez całą drogę z La Coruñi, uparty deszcz, który siekł w przednią szybę ogromnego porsche cayenne. Carla prawie nie zwracała na niego uwagi, skoncentrowana na ważnym raporcie, nad którym pracuje na tylnym siedzeniu.

Dopiero po przejechaniu przez tunel Guadarrama, gdy deszcz ustępuje miejsca bezchmurnej nocy, Carla podnosi głowę znad komputera.

- Czy Maggie jest tam dobrze?

Carmelo obdarza ją uspokajającym spojrzeniem w lusterku wstecznym. Niebieskie oczy, okolone mnóstwem zmarszczek. Carla widziała to spojrzenie w lusterku - zabawne, żartobliwe, czułe - odkąd pamięta. Carmelo jest w rodzinie całe życie. Należy do rodziny.

- Lepiej niż w ramionach, proszę pani. Ten nowy van to luksus, jak nie wiem co.

Carla nie jest do końca przekonana. To prawda, że van - przyczepa do przewozu koni przyczepiona do SUV-a - jest najlepszy, jaki da się kupić za pieniądze, i że podróż do Madrytu nie jest długa. Ale Carla zawsze bardzo się martwiła o swoich przyjaciół. Kiedy była mała, w klubie jeździeckim, gdzie nauczyła się jeździć, widziała, jak trzech mężczyzn próbowało wsadzić do przyczepy żrebaka, który był zdenerwowany i nie

chciał się ruszyć. Popychali go, ciągnęli za uzdę. Zwierzę się zapierało. Kiedy jego kopyta dotknęły wnętrza wana i usłyszał tu inny dźwięk, strach zamienił się w panikę. Stał dęba, próbując się uwolnić. Impet spowodował, że uderzył karkiem o krawędź przyczepy i padł na ziemię – martwy. Carla nigdy nie zapomni odgłosu, jaki wydało jego ciało przy upadku, przewracając przyczepę i pociągając za sobą dwóch mężczyzn.

Maggie nie jest żadnym płochliwym źrebakiem. To jedenastoletnia klacz holsztyńska, grzeczna i wytresowana przez jednych z najlepszych trenerów na świecie. Jest również bardzo droga. Ojciec Carli kupił ją na aukcji za cztery miliony trzysta tysięcy euro. Ale dla Carli cena – jakakolwiek cena jakiegokolwiek rzeczy – nie ma znaczenia. Maggie jest w rodzinie od sześciu lat. Należy do rodziny.

– Przystanęmy na chwilę.

Carmelo zatrzymuje się w pierwszym miejscu postojowym, żeby Carla wysiadła, rozprostowała nogi, zaciągnęła się kilka razy papierosem i sprawdziła, jak się miewa Maggie. Klacz wystawia pysk przez okienko i Carla głaszcze ją delikatnie po pięknej białej łacie na kasztanowej skórze.

„Mówiono, że lata psuje całość. Co ci idioci mogą wiedzieć”.

– Kiedy będziemy na miejscu, Carmelo? – pyta Carla po powrocie do samochodu.

– Za niecałą godzinę – odpowiada szofer, sprawdziwszy GPS. – Ale jeśli pani chce, najpierw zawiozę ją do domu, a później sam zabiorę Maggie do Centrum Hipiki.

Carla zastanawia się przez chwilę. Wprawdzie kusi ją wizja położenia się do łóżka czterdzieści minut wcześniej, ale chce osobiście zostawić klacz w boksie. W nocy będzie lepiej spać, a pojutrze muszą stanąć na wysokości zadania. W końcu zrezygnowała z podróży do Madrytu prywatnym samolotem, żeby móc jej towarzyszyć. Nie miałoby sensu zostawiać Maggie w rękach Carmela tylko ze względu na kilka dodatkowych minut snu.

– Nie, jedźmy od razu. Potem odstawisz mnie do domu.

Próbuje się skupić na prezentacji, którą przygotowuje na spotkanie akcjonariuszy w najbliższy poniedziałek. Jest zadowolona ze swoich wyników, choć wie, że to nie wystarczy. Jest szefową marketingu działu damskiego w pylnym imperium swojego ojca, a ten co roku wymaga od niej stałego wzrostu. Chociaż osiągnęła go po raz trzeci z rzędu, ojciec i tak będzie narzekał na niewielki przyrost wśród kobiet między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia albo że sprzedaż rośnie słabiej, niż się spodziewano. Zawsze znajduje coś, z czego nie jest zadowolony. Ale to rozumiałe – nie można zostać najbogatszym człowiekiem na świecie, będąc konformistą. Sfrustrowana i wyczerpana zamyka laptopa i wyjmuje telefon. Jest już po północy. Zbyt późno, żeby porozmawiać z Mariem, ale wie, że Therese, opiekunka, jeszcze nie śpi. Prawdopodobnie ogląda *The Crown* na dużym telewizorze w salonie, mimo że jej nie wolno i że we własnej sypialni ma czterdziestocalowy odbiornik. Carla jednak stara się nie ganić pomocy domowej za małe występki. Trzeba dać im trochę luzu. A Therese jest w rodzinie od czasu narodzin Maria. Prawie należy do rodziny.

Zostało jej mało baterii, mniej niż dziesięć procent.

„Wystarczająco, żeby napisać na WhatsAppie, za chwilę go naładuję”, myśli.

Carla: Wszystko w porządku?

Therese niania: Wszystko spokojnie i cicho. A u pani dobrze?

Carla: Jadę do domu. Czy mogę go zobaczyć?

Po kilku sekundach Therese przesyła jej zdjęcie Maria leżącego na łóżku na brzuchu i śpiącego smacznie w piżamce ze Spider-Manem, bez żadnych trosk. Carla czuje ukłucie poczucia winy, że nie wróciła do domu na czas, żeby go wykąpać i położyć, ale od razu się uspokaja. Ostatecznie ją też wychowywały opiekunki, rzadko widywała matkę i wcale nie było tak źle.

„Praca przede wszystkim”, myśli Carla, owijając się szalem i zamykając na chwilę oczy, tylko na chwilę, tylko się zdrzemnie...

Budzi ją gwałtowne hamowanie, które sprawia, że laptop spada jej z kolan.

- Co się dzieje, Carmelo?

- Odcięto drogę dojazdową do Centrum Hipiki. GPS pokazuje, że jesteście dwieście metrów od celu, ale jest tu znak „roboty budowlane”.

Carla wygląda przez przednią szybę. Wybudowano tu duży ośrodek jezdziecki, który ma zostać otwarty pojutrze na nowym osiedlu niedaleko dzielnicy La Moraleja, jeszcze bez ostatecznego oświetlenia. Na zewnątrz widać tylko ciemność i drzewa. Reflektory porsche oświetlają tablicę z napisem OBJAZD ROBOTY BUDOWLANE.

- Tam ktoś jest - mówi Carla, wskazując przed siebie.

Jakaś postać idzie w ich stronę ze świecącą pałką w dłoni.

- To chyba ochroniarz.

Pokazuje im w stronę drogi gruntowej po lewej, niemal ukrytej między drzewami.

- Trzeba będzie zawrócić i pojechać naokoło - przypuszcza Carla.

Znalezienie drogi zostawia w rękach Carmela i szuka laptopa na podłodze. Podnosi go ze skrzywioną miną - tylko tego brakowało, żeby straciła całą prezentację. To byłby koniec świata.

„Najgorsze, co mogłoby mi się teraz przytrafić”, myśli.

Przy hamowaniu spadł także jej telefon. Nie wie, gdzie może być. Maca prawą ręką, a lewą opiera się o siedzenie.

„Gdzie on się, do diabła, podział?”

Boli ją szyja z powodu niewygodnej pozycji, niemal równoległej do oparcia.

- Daleko jeszcze? - pyta szofera.

Jej palce muskają wreszcie znajomy kształt iPhone'a. Wślizgnął się pod przednie siedzenie. Urządzenie wibruje, przyszła wiadomość na WhatsAppie.

„Już prawie go mam”, myśli, wyciągając rękę. „Jeszcze tylko trochę”.

- No nie wierzę - odzywa się Carmelo, uderzając dłonią w kierownicę. - Kolejny objazd?

Carla marszczy brwi w swojej akrobatycznej pozycji i się prostuje. Telefon podniesie, kiedy dojadą na miejsce i będzie mogła włączyć lampkę podsufitki, teraz nie chce oslepiać szofera.

- Ale którędy niby mamy teraz jechać? Przecież Centrum Hipiki jest tam - mówi Carla, wskazując wysokie mury, niespełna sto metrów dalej po jej prawej stronie.

Podchodzi do nich postać w kasku, kamizelce odbłaskowej i rękawiczkach, w dłoni też trzyma świecącą pałkę. Pokazuje kierowcy, żeby opuścił szybę, i ten wykonuje polecenie.

- Dobry wieczór - mówi mężczyzna ze świecącą pałką.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, którędy mogę się dostać do Centrum Hipiki? Jest późno, a klacz musi spać - mówi Carmelo.

„Kiedy jest zmęczony albo spięty, wtedy akcentuje się jego akcent z Arteixo”, myśli rozbawiona Carla. „Akcent się akcentuje”, nie kryje zachwyty swoją grą słów. „Boże, jak już późno i jaka jestem zmęczona”. Wyobraża sobie siebie w łóżku, zakopaną w koce. Jutro czeka ją bardzo ciężki dzień.

- To bardzo prosto, jeśli pan wysiądzie, pokażę.

Carmelo otwiera drzwi i stawia jedną nogę na drodze gruntowej. Mężczyzna unosi pałkę i wskazuje nią w ciemność, a jednocześnie nachyla się nad szoferem, jakby chciał mu lepiej pokazać, którędy ma się dostać do budynku.

- Proszę spojrzeć, to tam.

- Gdzie?

Maggie porusza się niespokojnie w przyczepie, rzy, staje dęba, jest zdenerwowana.

Konie wiedzą.

Carla dostrzega coś błyszczącego w ręce mężczyzny z pałką chwilę przed tym, jak Carmelo również zauważa to kątem oka i cofa się zdziwiony. Za późno. Nóż zatapia się w szyi szofera pionowym ruchem z mokrym trzaskiem, przebijając pokaźną warstwę tłuszczu i przecinając tętnicę. Nieznajomy przytrzymuje Carmela lewą ręką, używając pałki jako drążka, którym blokuje klatkę piersiową szofera. Ten próbuje sięgnąć do tego, co znajduje się w jego szyi, tego wbitego w niego obcego elementu. Czternaście centymetrów ostrej stali, które teraz opuszczają jego ciało wraz z fontanną odtlenowanej krwi. Krwi, która zamiast płynąć do serca, opryskuje otwarte drzwi porsche, wlatuje do schowka i wsiąka w ziemię.

Carmelo pada na kolana, desperacko usiłując zatamować krwotok, na powrót wsadzić do ciała życie, które wycieka mu przez palce. Wydaje bulgoczący dźwięk, który stopniowo zamienia się w szklisty pisk.

Carla nie otworzyła ust, choć ma ochotę krzyczeć, jej gardło ściska jednak strach i zaskoczenie, straszliwy dysonans, jaki dostrzega między umierającym ciałem, które pada na ziemię, a uprzejmym, miłym i opiekuńczym mężczyzną,

należy do rodziny

którego zna i szanuje, i przypomina sobie tamtego żrebaka z dzieciństwa, a jednocześnie przychodzi jej do głowy, że Carmelo już nigdy więcej nie zobaczy swoich wnuków. Carla zna jednego z nich, jest rówieśnikiem Maria, raz bawili się razem w posiadłości i

Mario. Och, Boże. Mój syn.

wtedy Carla uzmysławia sobie, że ona będzie następną, że mężczyzna z nożem – to już nie jest mężczyzna z pałką, teraz jest tylko mężczyzną z nożem – już się odwraca i rusza na drugą stronę porsche, przechodząc przed reflektorami, i że jeśli chce jeszcze zobaczyć Maria, musi coś zrobić „już, natychmiast”, lecz jej palce nie trafiają w uchwyt, ślizgają się mokre od potu i ogarnięte strachem, i nagle jej się udaje, słysząc metaliczny trzask i drzwi się otwierają, a mężczyzna z nożem „już tu jest”.

Wtedy Carla popycha drzwi samochodu i rzuca się przed siebie.

13

Zdjęcie

- Nie umarł tutaj.

To pierwsze, co mówi Antonia, kiedy obaj mężczyźni wracają do salonu.

Chłopaka nie ma już na sofie. Po zakończeniu analizy Antonii doktorka wsadziła ciało do czarnego worka na suwak, który teraz leży na podłodze.

- Mów dalej – prosi Mentor.

- To jest drugorzędne miejsce zbrodni. Chłopak nie umarł tutaj, nie dałoby się tego zrobić, nie zostawiając śladu. Morderca tylko przywiózł tu ciało i zorganizował całe przedstawienie. Dla kogo, tego nie wiem.

Jon patrzy na nią zdziwiony. Coś się w niej zmieniło. Kiedy tu przyszła, wyglądała jak przerażony królik oślepiony reflektorami samochodu. Wzbudzała czułość, mimo że sprawiała wrażenie, jakby myślami znajdowała się gdzie indziej. Teraz jest spokojna. Nawet jej postawa uległa zmianie, ramiona nieco bardziej wyprostowane, podbródek uniesiony.

Inna.

- My też nie. Mam ci streścić to, co wiemy?

Antonia kiwa głową i opiera się o ścianę, z rękami w kieszeniach, wyczekująco.

- Osiem dni temu dostałem telefon z góry – opowiada Mentor, celując w sufit palcem wskazującym. – Zapytali, czy jesteś gotowa na powrót do pracy. Powiedziałem, że nie wiem, ale mogę spróbować. Wtedy

usłyszałem, że być może twój udział nie byłby konieczny, ale że stało się coś poważnego.

- Chłopak zniknął - zgaduje Jon.

- Zgadza się. Był w szkole, poprosił o wyjście do toalety i już nie wrócił. To wszystko, co wiemy. W liceum nie ma kamer monitoringu, a nauczyciele pomyśleli, że postanowił zwać z lekcji matematyki. Najwyraźniej zdarza się to dość często, więc nauczyciel wysłał mail do rodziców. Ojciec odpisał niemal od razu, informując, że chłopak nie czuje się dobrze i że następnego dnia nie przyjdzie do szkoły.

- Rodzice już wiedzieli - stwierdza Antonia. - Ten, kto go porwał, już ich powiadomił, że zabrał chłopaka.

Jon przejeżdża dłonią po włosach.

- I powiedział im też, żeby nie zgłaszali porwania na policję.

- Rodzice to ludzie z kontaktami. Wiedzieli, do kogo się zwrócić. Gdy tylko morderca się rozłączył, w gabinetach na górze zaczęły się przesuwac pionki. Ja dostałem telefon zaledwie półtorej godziny po zniknięciu chłopaka.

„Sprawiedliwość jest jednakowa dla wszystkich”, myśli Jon, który pilnie potrzebuje wypić piwo, albo dziesięć.

- A później?

- Później nakazali nam nic nie robić. Przygotować się, by w razie potrzeby wkroczyć do akcji. Nic więcej.

„Stracony tydzień”, myśli Jon. „Przez ten tydzień morderca mógł działać całkowicie swobodnie i robić z biednym Álvarem, co mu się żywnie podobało”.

- Wczoraj o siódmej rano służba znalazła ciało Álvara Trueby - wtrąca doktorka Aguado. - I wtedy poproszono nas o pomoc.

- Ufając, że przyłączysz się do fiesty - dodaje Mentor.

Antonia podchodzi do nich.

- Co się stanie z chłopakiem? - pyta.

- Powiedzą, że miał zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Wysoką gorączkę. Jeden z naszych lekarzy to poświadczy - odpowiada Mentor.

Antonia patrzy na niego bez mrugnienia okiem.

- Nie tak zawsze pracowaliśmy, Mentor. Wcześniej naginaliśmy trochę zasady. Prześlizgiwaliśmy się na obrzeżach tego, co dozwolone. Ale to... to nie jest w porządku.

- Może wcześniej nie było w porządku, Antonia - odpowiada Mentor, wzruszając ramionami. - Ale potem ty odeszłaś. Zostawiłaś nas na lodzie.

- Nie waż się mi tego wypominać - mówi ona, celując w niego palcem.

Mentor wyjmuje z teczki zdjęcie, na którym chłopak jest na plaży ze swoją siostrą, i pokazuje je Antonii.

- A ty nie waż się mi mówić, że sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli nazwisko tego dzieciaka pojawi się w programach śniadaniowych. Jeśli wilki rozszarpia każdą część jego życia, kiedy stanie się trending topic na Twitterze. Jeśli jego siostra będzie dorastać z ciągłym wspomnieniem o tym, co naprawdę spotkało jej brata. Innej dziewczynce być może pozwolono by o tym zapomnieć. Ta mała - mówi Mentor, stukając w zdjęcie palcem wskazującym - jest córką prezeski największego banku w Europie. Nigdy nie pozwolą jej o tym zapomnieć. W każdym artykule, w którym się pojawi, na każdym zdjęciu, które jej zrobią, będą dodawać „naznaczona przez tragedię”. Chciałabyś tego dla swojego dziecka?

Mentor kończy i wpatruje się w Antonię z dobrze dopasowaną maską uczciwości.

Jona zaś kusi, żeby bić brawo.

„Drań manipuluje nią pierwszorzędnym materiałem. Kłamstwa tak przypominające prawdę, że prawie nie do odróżnienia. Teraz rozumiem, co miał na myśli, mówiąc o gównianizmie. Ten facet nadepnąłby na szyję swojej umierającej babce, byle tylko wygrać”.

- Chwila, to ty masz dziecko? - pyta Jon, kiedy znaczenie ostatniego zdania, jakie usłyszał, dociera do jego mózgu.

Antonia nie odpowiada, jej spojrzenie utknęło we wzroku Mentora.

- Powiedz mi, że ten, kto to zrobił, nie zabije ponownie - odzywa się męszczyna delikatnym tonem.

Antonia bierze głęboki oddech. Nie spieszy się z odpowiedzią, a kiedy wreszcie to robi, mówi bardzo powoli.

- Szczegółowo zaplanowane porwanie. Morderstwo bez skrupułów ze szczególnym okrucieństwem. Ten, kto to zrobił, jest piekielnie inteligentny i tak, zabije ponownie. To jest dopiero początek.

- Mamy do czynienia z seryjnym mordercą? - pyta doktorka Aguado.

- Nie - odpowiada Antonia. - To coś innego. Jakiś inny gatunek zwierzęcia. Coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam.

Trzy godziny wcześniej

Carla otwiera drzwi porsche. Mężczyzna rzuca się na nią – za późno. Drzwi zamykają się za jej plecami niczym wygłodniała paszcza, ale Carla jest już na zewnątrz, leci do przodu. Jej stopy nie mają wystarczającego kontaktu z podłożem, jej płaskie buty ślizgają się na nierównym terenie.

Nie upadaj, nie upadaj teraz.

Jeśli upadniesz, dorwie cię.

Carla się potyka, jej mięśnie po tyłu godzinach w samochodzie są pozbawione siły, ale udaje jej się wyprostować na tyle, żeby biec. Jeden krok, dwa kroki, to wszystko, czego potrzebuje, biec, oddalić się stąd. Ręka wyciąga się w jej stronę.

„Trzask”, słycać.

Ciało Carli nagle się zatrzymuje, oddech urywa się w jej gardle.

Palce mężczyzny zdołały chwycić jej szal – usłyszała dźwięk chrzęszczącej tkaniny, a nie, czego się obawiała, łamiącego się karku – i ciągną do siebie.

Wiedziona impulsem Carla obraca się wokół własnej osi. Traf chce, że robi to w prawą stronę, jak grzeczne i posłuszne wskazówki zegara. Jej ciało zostaje uwolnione, szal zaś zostaje w rękach człowieka z nożem, który rzuca szal na ziemię i rusza w pościg.

– Chodź no tu – warczy głos za jej plecami.

Carla okrąża vana Maggie, która rży, gdy przebiega obok, i skręca w przeciwną stronę, zostawiając przyczepę między sobą a swoim prześladowcą. Po drugiej stronie jest tylko droga, żadnego miejsca, w które mogłaby pójść, a nie zajdzie zbyt daleko w tych płaskich butach, prawie że sandałach. Zdjęcie ich to też żadne rozwiązanie. Droga jest

pełna piasku i kamieni, pachnie kurzem. Jej bose stopy byłyby pokiereszowane w ciągu kilku sekund, a prześladowca – w butach o mocnych podeszwach, z długimi i silnymi nogami – natychmiast by ją złapał.

*W Centrum Hipiki świeci się światło,
biegnij tam, idiotko,*

słyszysz w swojej głowie i jest to głos jej matki, choć to niemożliwe, ponieważ jej matka zmarła jedenaście miesięcy temu.

Carla biegnie, zostawia za sobą samochód i wtedy widzi świecącą pałkę na drodze gruntowej, która prowadzi do Centrum Hipiki, i nie rozumie, jak mogła się poruszać tak szybko. Skręca ponownie, przeskakuje poboczne, zapuszcza się między drzewa, słyszy łamiące się gałęzie jakiegoś krzewu, raniące jej łydki, i żałuje, nie po raz ostatni, że włożyła sukienkę zamiast dżinsów.

Za późno. Materiał zaplątuje się w gałąź i Carla leci do przodu, wymachując rękami. Upadek powstrzymuje pień drzewa, na którym ląduje twarzą. Słychać trzask. Nie może się powstrzymać i wydaje z siebie jęk.

Z nosa leci jej krew. Obficie.
„Złamałam go. Boże, jak to boli”.
Zaciska zęby.

Biegnij dalej.

Za jej plecami słychać kroki mężczyzny, ciężkie, bezlitosne, zagłębiające się w las. Ale teraz Carla ma przewagę: kilka metrów i ciemność, nieoceniona ciemność. Chowa się za drzewem – to dąb ostrolistny, na plecach czuje szorstką i grubą korę, jej ręce lepią się od żywicy, drzewny zapach wciska jej się do nosa – i zastanawia się, co robić.

„Zadzwoń na policję”.

Telefon został w samochodzie,

pod siedzeniem.

„Chwyć gałąź i go zaatakuję, wezmę go z zaskoczenia”.

Jest znacznie większy od ciebie.

„No to pobiegnę do przyczepy i dosiądę Maggie, wbiję ostrogi i będę pędzić jak wiatr”.

Wcześniej odetnie ci drogę.

I będziesz potrzebować kilku sekund,

żeby otworzyć rygiel

i pomóc Maggie wyjść.

Nawet jeśli będziesz jechać na oklep

i nie będziesz się ześlizgiwać,

choć zdołasz utrzymać równowagę,

on może wsiąść do porsche

i ruszyć za tobą znacznie wcześniej,

niż Tobie uda się znaleźć w ciemności

główną drogę.

Głos, który nadal przypomina głos matki, nie dał jej więcej opcji.

Musisz dostać się do Centrum Hipiki

i poprosić o pomoc.

- Chodź no tu - powtarza mężczyzna. - Chodź no tu.

Jest coraz bliżej.

Światło latarki przeczesuje las niczym niecierpliwa macka.

Carla kuca, szuka czegoś po omacku. Ściółka. Suche gałęzie, które łamią jej paznokcie. Coś lepkiego, czego woli nie rozpoznawać. Szyszka - nie, to się nie przyda. Wreszcie jej dłoń zaciska się wokół małego, szorstkiego kamienia.

Kroki mężczyzny z nożem są już prawie przy niej. Słyszy jego oddech, urywany i ochrypły.

Carla rzuca kamień w przeciwnym kierunku, najdalej, jak może. Jednak niezbyt daleko. Dźwięk rozbrzmiewa żałośnie blisko.

To cała przewaga, jaką masz, wykorzystaj ją.

Mężczyzna z nożem się odwrócił, wygłodniała wiązka światła przeszukuje teren bliżej przyczepy. Carla postanawia zdjąć buty, wie, że będzie bolało, że będzie bardzo bolało, ale wie również, że narobi mniej hałasu, a w tej chwili uniknięcie hałasu to jej jedyny sposób ucieczki. Przygarbiona rusza w stronę Centrum Hipiki. Każdy krok jest torturą dla duszy, każdy kontakt z podłożem wydaje się rozbrzmiewać po całym lesie, krzycząc: „jestem tu, chodź po mnie!”

Do tortury mentalnej dołącza ból fizyczny, kiedy sosnowe igły, które wyłożyły ziemię dywanem, zaczynają się wbijać w podeszwy stóp, w delikatną i wrażliwą skórę między palcami. Nagromadzony i powtarzający się ból paradoksalnie jest znośniejszy niż pojedynczy, wywoływany przez jedno ukłucie, i Carla pozwala przejść kontrolę adrenaliny. Absurdalna przytomność umysłu, która ogarnia nas czasami w chwilach największej paniki, sprawia, że parafrazuje powiedzenie, które usłyszała na studiach.

„Jedno ukłucie to tragedia, tysiąc ukłuć to statystyka”.

Dwadzieścia metrów dalej kończą się drzewa i tam są już mury Centrum Hipiki, rzut kamieniem, na końcu zbocza pełnego suchych krzaków i pozostałości materiałów budowlanych.

Nie ma przejścia. Nie ma bram.

Musisz obejść mur.

„Ale znajdę się na widoku. Zobacz mnie”.

W pobliżu widocznego rogu leżą stalowe belki oraz worki z piaskiem. Jeśli tam pobiegnie, mogłaby je wykorzystać jako kryjówkę, zanim zniknie za rogiem.

To będzie osiemdziesiąt metrów. Może mniej. Na studiach przebiegłabyś w ciągu dwunastu sekund. Wspaniały sprint

*z rękami zgiętymi pod kątem prostym, wyprostowanymi
palcami
i szybkością na twarzy.*

Carla dotyka swoich bosych zmaltretowanych i poranionych stóp. Wyrywa kilka igieł, ale inne wbiły się między skórę a mięśnie i się złamały – będą potrzebne szczypce, kąpiel w gorącej wodzie ze środkiem dezynfekującym i milion plastrów.

„Kiedy wrócę do domu. Kiedy wrócę do domu. Dziś w nocy wrócę do domu. Dziś w nocy pocałuję mojego syna”.

Prostuje się nieco i ogląda za siebie, ale nie widzi ani nie słyszy mężczyzny z nożem. Może go zgubiła. Może się zmęczył i pojechał do domu. Może pąkle nauczą się śpiewać tej wiosny.

Pomału wchodzi na drogę, starając się stąpać ostrożnie i teraz na własnej skórze przekonuje się, że podstępny dywan z igieł sosnowych był rajem w porównaniu z kamienistym terenem, który wykrzywia jej kostki i wysyła do mózgu bolesne skurcze, kiedy szorstkie i ostre kamienie wchodzi w kontakt ze skórą. Każdy krok to trzyfazowe cierpienie. Pierwsza faza: antycypacja bólu, który poczuje, jeszcze z nogą w powietrzu. Druga faza: ból, który powodują już powstałe rany po wejściu w nieśmiały kontakt z podłożem. Trzecia faza: ból prawdziwy, rzeczywisty, kiedy cały ciężar ciała przenosi się na nogę i Carla musi mocno zacisnąć zęby, by nie krzyknąć.

Pięćdziesiąt kroków.

Dwadzieścia.

„Uda mi się”.

Wtedy skierowane na mur reflektory porsche poruszają się. Carla się spieszy, wykrzesuje siły z jedyne miejsca, w którym jeszcze zostały: niezniszczalnego, niemal fizycznego pragnienia, żeby znowu być w domu ze swoim synem.

Samochód się przemieszcza i oświetla Carłę akurat w chwili, gdy dociera do worków z piaskiem. Kuca za nimi, kuli się.

„Nie widział mnie. Nie mógł mnie zobaczyć”.

Samochód się zbliża i zatrzymuje.

Carla słyszy, jak drzwi się otwierają.

- Chodź no tu - mówi mężczyzna z nożem. Nie stoi dalej niż sześć metrów od niej. - Chodź no tu albo zawrócę i poderżnę gardło twojemu koniowi.

„To klacz. To klacz i nazywa się Maggie”.

Carla usiłuje zrobić się malutka, przyciska głowę do worków z piaskiem, jak gdyby chciała się z nimi stopić i zniknąć. Ale tak się nie stanie.

- Chodź no tu - powtarza mężczyzna z nożem. - Chodź no tu, teraz. Albo poderżnę gardło twojemu koniowi.

Carla zaciska dłonie w pięści i krzyczy ze strachu i frustracji.

Nie rób tego. To tylko klacz,

mówi głos jej matki.

„Nie mogę pozwolić, żeby wyrządzono jej krzywdę. Należy do rodziny”.

I wtedy wstaje, a mężczyzna z nożem jest już obok niej, rzuca się na nią ze swoim ochrypłym oddechem i swoimi silnymi rękami, Carla czuje na szyi metal, a świat znika.

14

Furgonetka

- Dobra - odzywa się Jon. - Zaczniemy od tego, co już wiemy.

Jon i Antonia siedzą w MobLabie, porównując swoje notatki, podczas gdy doktorka Aguado - już bez kombinezonu, ubrana w dżinsy i sweter - pisze na swoim MacBooku ze słuchawkami na uszach. Muzyka jest bardzo głośna, jakiś zagraniczny rock, którego Jon nie potrafi rozpoznać.

W środku furgonetki jest wystarczająco miejsca, żeby w komfortowych warunkach mogły tam pracować cztery osoby. Przez otwarte drzwi Jon widzi Mentora wydającego polecenia trzem ubranym w granatowe kombinezony osobom, które przyjechały drugą czarną furgonetką bez okien. Wyciągają metalowe skrzynki i plastikowe worki i układają je na białym lastryko, którym jest wyłożony podjazd do garażu rezydencji. Choć nie słyszy, co im mówi, Jon nie ma wątpliwości, jakie będzie zadanie nowo przybyłych: zetrzeć wszelkie ślady tego, co zdarzyło się w domu.

- Chłopak zniknął w szkole, przed zakończeniem lekcji. Rodzice niemal natychmiast poprosili dyskretnie o pomoc.

- Morderca z nimi rozmawiał - stwierdza Antonia. - Potem nie działo się nic, aż do wczorajszego poranka, kiedy ciało chłopaka, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiło się w salonie rodzinnego domu. Od czego byś zaczął, gdyby to była jedna z twoich spraw?

Jon uśmiecha się gorzko. Sprawy, którymi się zajmuje, to pchnięcia nożem z powodu narkotyków, dziwki, które przepadają bez śladu (jeśli mają szczęście - zmieniają rewir; jeśli nie - trafiają do piachu),

samochody, które znikają w jednym miejscu i pojawiają się w innym, spalone. Gówniane życia, które kończą się w gówniany sposób.

- To nie jest taka sprawa jak moje.

- Przynajmniej spróbuj.

Inspektor Gutiérrez sporządza szybką listę. Raporty finansowe rodziców; wyciągi z kont bankowych i kart kredytowych rodziny, przyjaciół i ludzi z najbliższego otoczenia; telefon i komputer chłopaka; przesłuchania potencjalnych świadków. To byłoby pierwsze, o co by poprosił.

- To do niczego nam się nie przyda - przyznaje Antonia. - Rodzice nie są normalnymi ludźmi. Ich raporty finansowe pochłonęłyby nas na kilka miesięcy. Nie ma świadków, nie licząc nauczyciela, który mówi, że chłopak wyszedł do toalety.

- Może jest ktoś, kto coś widział i nic nie powiedział. Moglibyśmy pójść do szkoły.

Antonia wskazuje na zewnątrz, gdzie Mentor wydaje polecenia i gestykułuje.

- Nie pozwoliliby ci. Nie tak działamy. Poza tym sześć minut po przyjeździe do szkoły jeden z chłopaków zamieściłby nasze zdjęcie na Instagramie. Po kwadransie zjawiliby się dziennikarze.

Jon klepie się w udo, zirytowany.

- Dyskrecja nie pomoże w znalezieniu mordercy tego chłopaka. Nie tak się to załatwia.

- Policja nie tak to załatwia. My nie jesteśmy policją. Policja jest powolna, stanowcza i przewidywalna. To słoń, który opuszcza głowę, wyznacza sobie metę i niszczy wszystko na swojej drodze. My jesteśmy kimś innym.

„Ja owszem, jestem policjantem”, myśli Jon. „Powolnym, rzetelnym. Ale nie słoniem, nie jestem gruby”.

Potem podąża za wzrokiem Antonii, która znowu wskazuje mu drzwi MobLabu i mężczyznę, który czeka na zewnątrz, teraz zajęty rozmową przez telefon.

Sfrustrowany Jon nie chce przyznać jej racji. Czuje się tak, jakby wrzucono go do rzeki Nervión w ubraniu i z dwoma ciężarkami przywiązanymi do stóp.

- Nie wiem, czy chcę grać w waszą grę.

- Ja cię o to nie prosiłam - mówi Antonia. - Jak dla mnie, możesz sobie iść, kiedy chcesz.

- Żeby to było takie proste.

- Jesteś tu, bo popełniłeś błąd.

Być może mysz, złapana w pułapkę, która właśnie zamknęła się z głośnym trzaskiem, ze złamanym tułowiem i serem poza swoim zasięgiem, mogłaby lepiej niż Jon wyjaśnić ten makabryczny żart, który najwyraźniej chciał zrobić mu los.

- W porządku. Nie jesteśmy słoniem. Więc kim?

- Bierzemy, co jest, i radzimy sobie sami.

- A co możemy wykorzystać?

Antonia znowu przegląda w myślach wszystkie elementy sprawy, jeden po drugim. Ciało, naruszone, ale bez żadnych śladów. Przygotowane miejsce zbrodni. Przedmioty z domu użyte do szalonego planu mordercy.

Może go zobaczyć, jak umieszcza ciało, czarny cień, który porusza się z największą precyzją. Który dostaje się na niedostępne osiedle, a potem je opuszcza.

- Kiedy jeden człowiek zabija drugiego, zawsze panuje wielki bałagan - mówi Antonia. - Wszędzie jest krew. Poprzewracane krzesła, rozwalone meble.

„Izęby, i szkło, i porozrzucane butelki”, myśli Jon, który widział, co się dzieje, kiedy człowiek jest człowiekowi wilkiem.

- Ale w tym wypadku to gra na naszą niekorzyść. Powiedziałaś, że morderca zabił chłopaka w innym miejscu i dlatego nie ma śladów.

- Nie ma odcisków palców, włosów ani naskórka. Nie zostawił też DNA na stole w kuchni.

- Byłoby miło z jego strony.

- Ale mylisz się, jest coś, co możemy wykorzystać. Wiemy, że zostawił wiadomość, a przynajmniej są wystarczające powody, by tak myśleć. Oliwa we włosach chłopaka.

- Psalm dwudziesty trzeci. Motyw religijny?

- Nie mam pojęcia. Ale wiemy, że bardzo się postarał, by zostawić tę wiadomość i że zrobił to, nie popełniając błędów. A to mówi o nim znacznie więcej, niż gdyby zrobił inaczej. Spójrz na to.

Antonia szuka w swoim iPadzie i pokazuje mu zdjęcie. Nie jest ładne.

- Stara sprawa? - pyta Jon, starając się nie odwracać wzroku.

- Jedna z pierwszych.

Na fotografii widać martwą kobietę w sypialni. Pościel jest skotłowana i pełna ciemnych plam. Twarz ofiary zakrywa poszewka na poduszkę.

- Seryjny morderca. Sewilla, lata temu. Trzy ofiary, zanim go złapaliśmy. Ta jest trzecia, choć wszystkie były podobne. Morderca był właścicielem zajazdu w Écija.

- Zabójca z nożyczkami. Pamiętam. To ty go złapałaś? - pyta Jon z nagłym szacunkiem.

Antonia obdarza go trudnym do rozszyfrowania uśmiechem, który wygląda tak, jakby namalował go Da Vinci.

- Mnóstwo nadużyć seksualnych i znęcania od czasów szkoły średniej. Brzydkie sprawy, ale uchodziło mu to płazem.

- Aż pewnego dnia aniołek postanowił podnieść poprzeczkę.

- Był sprytny. Próbował zatrzeć ślady najlepiej, jak mógł, dlatego upiekło mu się za pierwszym razem. To, że w Hiszpanii nie ma więcej seryjnych morderców, wynika głównie z tego, że popełniają błędy i są łapani, zanim dotrą do ofiary numer dwa. Ten był bystry. A mimo to przyjrzyj się temu miejscu zbrodni.

- Bałagan.

- Chaos. Wybuch przemocy, dostaje to, czego chce, obiekt swojej przyjemności i swojego pożądanego. Cięcia na jej skórze nie są czyste,

waha się, zanim wbije nożyczki. A kiedy kończy... poczucie winy, wyrzuty sumienia.

- Dlatego zasłania jej twarz - mówi Jon, wskazując zdjęcie.

Antonia dotyka ramienia doktorki Aguado, która zdejmuje słuchawki i patrzy na nią pytająco.

- Może pani pokazać na ekranach zdjęcia z miejsca zbrodni?

Kobieta przytakuje i sięga do myszki. Chwilę potem na siedmiu trzydziestocalowych monitorach, które zajmują jedną ze ścian MobLabu, zaczynają się wyświetlać zapętlone fotografie, które zrobiła Aguado. Znajdują się na nich salon, pokoje oraz oczywiście sofa i ofiara.

- Czego tu nie widzisz? - pyta Antonia.

- Nie ma poczucia winy, wyrzutów sumienia.

Antonia się nie odzywa. Wbija wzrok w tę karuzelę zdjęć, jej źrenice przechodzą od jednego do drugiego. Jon czeka cierpliwie, ale przeczuwa, że coś jest nie tak. W oczach Antonii znowu pojawił się ten sam drżący błysk, który miała wcześniej, gdy w kuckach w salonie oglądała ciało.

- Dobrze się czujesz?

Całą wieczność później Antonia wreszcie rejestruje pytanie. Ale postanawia odpowiedzieć na inne, takie, które zadaje samej sobie.

- Wszystko jest sztuczne - mówi. - To nie ze względu na...

Milknie w środku zdania.

„Jakby wyjęto z niej baterie”, myśli Jon.

Doktorka Aguado podjeżdża między Antonię a niego i podaje jej coś. Antonia odpycha jej rękę.

- Nie. Muszę pomyśleć.

- Tak będzie łatwiej.

- Powiedziałam nie. Proszę odejść.

- Pani Scott...

- Powiedziałam, że ma pani odejść - mówi Antonia twardym i przenikliwym głosem. Diament drapiący szkło.

Skrepowana Aguado wstaje, wygładza dżinsy, wyciąga rękawy swetra.

- Sprawdzę, czy Mentor czegoś nie potrzebuje.

Jon czeka, aż kobieta opuści furgonetkę, i dopiero wtedy prostuje się na krześle i pochyla ku Antonii.

- Powiedziałaś, że to sztuczne.

Antonia patrzy na niego, po oczach widać, że trudno jej wyrazić myśli.

- Nie chodzi o chłopaka. Chodzi o coś więcej. O władzę.

- O władzę? Jakiego typu władzę?

- Morderca uważa, że wszystko przemyślał. Ale jest w błędzie. Zostawił nam dwa... dwa...

- Dwa co?

Antonia spuszcza głowę. Kiedy znowu ją podnosi, po policzkach spływają jej grube łzy.

- Przepraszam. Sądziłam, że dam radę. Ale nie mogę.

Po czym wstaje i opuszcza furgonetkę.

15

Samolot

Jest tylko punkcikiem na porannym niebie.

Bombardier Global Express 7000 wystartował z lotniska w La Coruña jeszcze w nocy i miał się zbliżać do lądowania w Madrycie tuż po wschodzie słońca. Chociaż właściciel i zarazem jedyny pasażer na pokładzie samolotu zobaczy słońce za swoim oknem wcześniej niż mieszkańcy hiszpańskiej stolicy.

- Zostały dwie minuty, proszę pana - informuje pilot przez interkom.

Ramón Ortiz nie podnosi jeszcze wzroku znad dokumentów, które jeden z jego asystentów wręczył mu do ręki na schodach prowadzących na pokład samolotu. Są wśród nich raport sprzedaży z poprzedniego dnia, problemy z otwarciem nowego sklepu w Singapurze i kilka mniejszych spraw. Nie może się zajmować wszystkim tak, jakby chciał, ale rozniósł pogłoskę - w którą nawet sam uwierzył - że nie ma żadnego szczegółu, który umknąłby jego uwadze. Lubi zjawiać się niezapowiedziany albo dzwonić do któregoś ze sklepów, pytać o kierowniczkę (której nazwisko przekazują mu odpowiednio wcześniej) i rozmawiać o błahostkach. Wie, że później kierowniczką opowie o tym każdemu, kogo spotka. W ten sposób tworzą się legendy, nie trzeba zbyt wiele.

Osiemdziesięcioletni Ortiz przebył długą drogę, odkąd był smarkaczem, który wracał do domu pieszo pięć kilometrów po ośnieżonej drodze z butami w rękę, żeby ich nie zniszczyć. Bo nie miał innych.

Między twardą skórą tamtych butów a miękką skórą z zadu konia, która pokrywa siedzenia jego prywatnego samolotu, było mnóstwo wschodów słońca. Przesuwa dłonią po podłokietniku, z uznaniem niepozabawionym pewnego dyskomfortu. Skóra jest doskonała, bez dwóch zdań. Jednak ten olbrzymi luksus, nawet po tylu latach, wciąż wydaje mu się obcy. Jak gdyby był pożyczony. To jego córka Carla nalegała, żeby pokryć siedzenia tą konkretną skórą, do kompletu z sofą Chesterfield, którą wciąż trzyma w swoim domu i która towarzyszy mu od czasu otwarcia pierwszego sklepu przed czterdziestu laty.

Ramón uniósł brew, usłyszawszy o koszcie, który zwiększał fakturę za samolot – trzydzieści pięć milionów euro – o kolejne sto tysięcy. Ale z Carlą nie ma dyskusji. Wszystko ucina krótkim: „Przestań, przestań, będziesz najbogatszym człowiekiem na cmentarzu”.

I oczywiście to będzie prawda. Bez względu na to, gdzie go pochowają.

– Minuta, proszę pana – przekazuje pilot.

Ramón polecił mu, żeby zawsze informował go o chwili, w której wschodzi słońce. Nie chce tego przegapić, pochłonięty pracą. Wie, że pilot trochę oszukuje, ponieważ samolot wznosi się nieznacznie, żeby przewidywanie spełniło się w dokładnym momencie. Jednym z przywilejów bycia najbogatszym człowiekiem – jeszcze na ziemi, a nie pod nią – jest to, że może sobie wybrać godzinę wschodu słońca.

Zdejmuje okulary do czytania, które opadają na jego klatkę piersiową, przytwierdzone do łańcuszka zawieszzonego na szyi, i rozpira się w fotelu, żeby podziwiać spektakl za oknem. Jego uwagę odwraca jednak wibracja na stoliku z litego drewna mahoniowego. Dzwoni jego prywatny telefon, który ma zasięg Wi-Fi dzięki połączeniu satelitarnemu Bombardiera. Kolejne pięćdziesiąt tysięcy euro dodatkowych kosztów, nie licząc pięćdziesięciu euro za minutę połączenia. Kolejny wydatek, któremu się nie sprzeciwiał. „Nie zechcesz stracić ważnego połączenia, kiedy lecisz”, powiedziała Carla. Mając na względzie, że tylko garstka osób zna ten numer telefonu, Ramón zawsze

wie, że jeśli dzwoni, to chodzi o coś ważnego. Dlatego, choć niechętnie, odwraca wzrok od okna.

To połączenie audio FaceTime. Zdjęcie Carli wita go z ekranu. Dziwne, bo zwykle nie wstaje tak wcześnie, a tym bardziej nie dzwoni o tej porze.

Odbiera.

- Co ty robisz, że już jesteś na nogach?

Głos, który mu odpowiada, nie należy do Carli.

- Dzień dobry, panie Ortiz.

- Kto mówi? Skąd pan ma ten numer?

Niski suchy głos wyjaśnia mu ze wszystkimi szczegółami, dlaczego ma ten numer telefonu i dlaczego dzwoni z FaceTime jego córki.

- Proszę posłuchać, jeśli pan ją skrzywdzi...

- Już ją skrzywdziłem, panie Ortiz. I skrzywdzę jeszcze bardziej. I pan mi tego nie zabroni. A teraz proszę się zamknąć - nakazuje.

Ramón Ortiz słucha. A kiedy słońce wschodzi i świeci mu prosto w twarz, nie zwraca na nie uwagi, ponieważ w jego wnętrzu narasta ciemność. I kiedy mężczyzna, który przetrzymuje jego córkę, przerywa połączenie, Ramón Ortiz po raz pierwszy w swoim życiu nie wie, co robić.

- Pięć dni - to ostatnie, co mu powiedział.

„Pięć dni”.

Przez długie minuty Ramón Ortiz łamie sobie głowę. Jest tak roztrzęsiony, że nawet nie zauważa, że wylądowali, a pilot informuje, że może już opuścić samolot.

Ramón podejmuje pewną decyzję. W książce adresowej szuka numeru telefonu. Numeru, który - podobnie jak ten jego - zna bardzo mało osób.

Nigdy się jednak nie spodziewał, że będzie musiał go wybrać.

16

Szpitalne łóżko

Babcia Scott jest rozczarowana.

Antonia ma to gdzieś.

- Jestem rozczarowana, dziecko - mówi babcia Scott.

- Mam to gdzieś - odpowiada Antonia, nie przestając piłować paznokci.

Siedzi w pokoju sto trzydzieści cztery w Szpitalu Moncloa. Jej iPad stoi na stole, a Antonia stara się doprowadzić do porządku paznokcie. Wybór oświetlenia w pokoju jest dwojaki: dziewiętnastowieczny mrok lub poparzone źrenice. Na szczęście Antonia ma własne rozwiązanie. Z domu przyniosła sobie lampkę biurkową. Tak naprawdę przyniosła znacznie więcej rzeczy. Przede wszystkim prawie wszystkie swoje ubrania. Komodę, żelazko, ekspres do kawy Nespresso oraz całe mnóstwo kosmetyków i środków higieny osobistej, które zajmują prawie całą podłogę w łazience. Wejście do niej przypomina wersję gry Saper, tyle że z kremami na cellulit.

Marcos nie będzie z niej korzystał w najbliższej przyszłości.

- Musisz stamtąd wyjść.

- Powiedziałyśmy, że tylko jedna noc.

- Nie pamiętam, co powiedziałyśmy - kłamie babcia Scott. - Ale dobrze wiesz, że dalsze zamykanie się w sobie nie przyniesie ci nic dobrego.

Najlepsze w rozmowie z kimś przez połączenie wideo, kiedy robisz sobie paznokcie, jest to, że możesz ukryć wzrok, a druga osoba nic nie może na to poradzić.

- Nic mi nie jest.

Jej kłamstwo od czasów dzieciństwa. Dla kogoś takiego jak ona, która zauważała wszystko wokół (niewierność ojca, chorobę, którą matka ukrywała przed nią do momentu, gdy mogła już tylko płakać, niezręczność tych wszystkich, którzy znajdowali się w obecności tej dziwnej i drobnej dziewczynki), zakrawa na ironię, jak słabo się zawsze starała, by cokolwiek przekazać.

Jasne, teraz rozmawiała z babcią Scott. A babci umyka niewiele rzeczy. Jest tak spostrzegawcza, że potrafi wywnioskować, że fakt, iż wnuczka praktycznie mieszka w szpitalnym pokoju swojego męża będącego w stanie śpiączki; że nie ma środków do życia; że oprócz niej prawie z nikim nie rozmawia, jest przeciwieństwem stwierdzenia, że nic jej nie jest. Sama zdała sobie z tego sprawę, bez niczyjej pomocy.

Mądrość staruszków.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, dziecko.

- Mam okropne paznokcie - odpowiada Antonia, która za chwilę zacznie piłować kość.

Przez słodką i krótką chwilę Antonia sądzi, że babcia da sobie spokój z tą sprawą. Błąd. Pauza wynika z tego, że upija łyk herbaty Darjeeling (z trzema kostkami cukru) i zjada ciasteczko maślane. Jest diabetyczką, ale żyje według własnych zasad.

- Minęło już wystarczająco dużo czasu. Znosiłam twoje wymówki, twoje uzalanie się nad sobą, twoje łyzy. Ale koniec z tym. Masz pracę, w której jesteś bardzo dobra, pracę, dzięki której możesz zmienić różne rzeczy. Pracę, w której się nie nudzisz.

„Gdyby to było takie proste”, myśli Antonia.

Babcia ma trochę racji. Nigdy nie sądziła, że to, co robi - co robiła - będzie w ogóle możliwe. Dla niej wyzwania zawsze miały ograniczenia, o czym przekonała się jako nastolatka. Każda dziedzina wiedzy, do której się zabierała, po paru tygodniach stawała się nijaka. W przeciwieństwie do innych utalentowanych osób, które prawie zawsze wybierały takie dziedziny, jak fizyka czy matematyka, gdzie zwykle rozumowanie przynosiło im intelektualne nagrody, Antonia nie lubiła liczb. Nie żeby

nie była w tym dobra. W ciągu kilku sekund potrafiła obliczyć pierwiastek kwadratowy z dziewięciu cyfr bez użycia ołówka i papieru.

Jest wiele osób, które w tym trudnym wieku, kiedy ciało się zmienia, a świat staje się niewyobrażalnie wielki, myślą, że nigdy nie zostaną pokochane. Oczywiście Antonia również należała do tej grupy. Ale oprócz tego uważała, że nigdy nie zdoła znaleźć niczego, co naprawdę ją zainteresuje, co zmusi ją do zaangażowania całego swojego mózgu i swoich zmysłów na rzecz określonego zadania.

To pierwsze zostało unieważnione, kiedy poznała Marcosa.

To drugie – kiedy poznała Mentora.

Dzięki obu poznała miłość, inną miłość. Pierwszy obdarzył ją miłością, drugi dał jej coś, co mogła pokochać. Oczywiście tam, gdzie jest miłość, są także ogromne, niezmierzone ilości cierpienia.

To, które zadajesz, i to, które zadają tobie.

– Babciu – mówi Antonia, odkładając wreszcie na bok pilnik i zmywacz do paznokci. – Próbowałam, naprawdę. Ale to bardzo trudne. Pali w środku.

– Wcześniej mogłaś.

– Wcześniej było wcześniej, a teraz jest teraz.

– Kiedy stało się to z Marcosem...

– To nie stało się ot tak, babciu.

– Stało – przekonuje babcia Scott, wstając i machając palcem przed ekranem. Oskarżycielski, nieustępliwy palec babci. Oczywiście staruszka nie wie zbyt dobrze, gdzie patrzeć i palec wskazuje ostatecznie w inną stronę, więc efekt się nieco rozmywa. – To nie ty wystrzeliłaś.

– I tak jestem za to odpowiedzialna.

– Nie, nie jesteś. Rozumiem, że kiedy to się stało, byłaś załamana. Ale musisz iść dalej. Nie chcesz wrócić? W porządku. Poszukaj sobie innej pracy.

Antonia nie wyobraża sobie, że mogłaby podawać kawę w barze ani korzystać ze swojego dyplomu z filologii (który uzyskała tylko po to, żeby

ojciec nie suszył jej głowy) jako nauczycielka hiszpańskiego w szkole średniej.

„Co sprawia, że mamy ładny dylemat”.

Dylemat, problem, alternatywę, zagwozdkę, twardy orzech do zgryzienia, ślepy zaułek. Dyplom z filologii jednak na coś się przydaje. Człowiek zna całą masę synonimów na określenie gównianej sytuacji.

- Babciu... - zaczyna znowu Antonia.

Po czym milknie, ponieważ tak naprawdę nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Bo bez względu na to, jak bezsensowne wydaje jej się życie, musi je przeżyć. Gdyby tylko wiedziała jak.

- Minęło już wystarczająco czasu. Przestań się ukrywać - kończy babcia.

Rozłącza się i jej twarz znika z ekranu iPada, zostaje na nim tylko twarz Antonii, skonfundowana i zdezorientowana. To akurat ostatnie, co chciałyby teraz widzieć.

Wyłącza tablet. Przez ostatnie trzy lata nie miała zbyt dobrej relacji ze swoją twarzą. Jeśli może tego uniknąć, po zmierzchu nigdy nie przegląda się w lustrze.

„Minęło już wystarczająco czasu”.

Antonia obserwuje mężczyznę leżącego na łóżku. Twarz, dawniej o tak ostrych rysach, że człowiek mógł się skaleczyć od samego patrzenia, teraz jest woskową maską, bladą i bez życia. Włosy, niegdyś czarne, grube i długie, teraz są oklapnięte i tak cienkie, że mogłyby się złamać przy powiewie wiatru. Usta, te usta, które wystarczyło ledwie musnąć, żeby wywołać *kilig* (słowo, które w języku tagalskim oznacza „kiedy czujesz motyle w brzuchu z powodu szczęścia”), są suche i popękane. Mięśnie, twarde i żyłaste, są tylko zwykłym potwierdzeniem, bolesnym przypomnieniem tego, czego już nie ma.

Antonia bierze go za rękę i znajduje pocieszenie.

Ręce się nie zmieniły. Nie trzymają już dłuta, nie odgarniają z jej twarzy zbuntowanej grzywki, nie obejmują jej piersi, nie przykrywają jej

w nocy, kiedy się odkryje, ale to wciąż są jego ręce. Kościste palce, kwadratowe dłonie. Ręce mężczyzny, ręce rzeźbiarza.

Z niego, z Marcosa, którego kocha i za którym tak bardzo tęskni, zostały tylko te ręce i mocne serce. Serce, które wciąż bije siedemdziesiąt sześć razy na minutę. Czasami wpatruje się w elektrokardiogram z jego denerwującym i nieustannym bip, bip, bip, aż zmęczenie bierze górę i zasypia na sofie, która przez ostatnie tysiąc sto szesnaście nocy była jej jedynym łóżkiem. Później, w ciągu dnia, wraca do swojego mieszkania, które opróżniła z absolutnie wszystkiego, co przypominało jej męża, żeby mogła być sama i wykonywać swój rytuał. Rytuał, który utrzymuje ją przy zdrowych zmysłach. Trzy minuty dziennie, jedyne trzy minuty, podczas których pozwala sobie myśleć, by porzucić wszystko, cierpienie i poczucie winy, i więzienie, jakim jest jej uprzywilejowany umysł.

Antonia Scott pozwala sobie myśleć o samobójstwie tylko trzy minuty dziennie. Po nieprzespanej poprzedniej nocy nie ma sił ani ochoty wracać do mieszkania, a potem przyjeżdżać tu znowu, żeby spać z Marcosem, tak więc przygotowuje się do uzyskania swojej nędznej dawki spokoju tu, na miejscu.

Zdejmuje buty.

Przyjmuje pozycję kwiatu lotosu na podłodze.

Zamyka oczy.

Opróżnia płuca.

Ktoś puka do drzwi.

17

Tosty

- Nie wyglądasz dobrze.

Inspektor Gutiérrez stoi w drzwiach pokoju z uśmiechem i kawą z automatu w dłoni. Jego elegancki włoski garnitur z chłodnej wełny jest tak wygnieciony, że wydaje się, jakby jeszcze nie do końca został ściągnięty z owcy. Włosy na czubku głowy sterczą. Wygląda, jakby spał w samochodzie, ponieważ spał w samochodzie.

- Jak mnie znalazłeś? - pyta Antonia.

- Może nie jestem najinteligentniejszym człowiekiem na świecie, ale wciąż jestem policjantem.

- Ja chcę tylko być sama.

- A ja chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Nie możesz wejść.

- Nie zamierzałem. Nienawidzę szpitali.

- Nikt nie lubi szpitali.

Antonia zamyka mu drzwi przed nosem.

Jona kusi, żeby zapukać ponownie, ale ma wystarczająco zdrowego rozsądku, żeby usiąść i zaczekać na ławce przy dystrybutorze wody. Zabija czas, czytając wydrukowany eleganckim fontem Comic Sans plakat, który ostrzega, że zakażenia szpitalne są trzecią najczęstszą przyczyną zgonu w Hiszpanii, i zachęca do korzystania z antyseptycznego żelu z pojemnika umieszczonego na ścianie. Jon naciska dozownik, ale pojemnik oczywiście jest pusty.

Antonia wychodzi po kilku minutach. Założyła buty i powiesiła na ramieniu swoją torbę.

- Chodźmy do kawiarni.

Jon w milczeniu podąża za nią na parter. Policjant ma swoje sztuczki. Jedną z najbardziej przydatnych to pozwolić, by mówili inni, kiedy twoja średnia snu z ostatnich trzech nocy wynosi trzy godziny i piętnaście minut.

Antonia siada przy barze. Kelner wita ją delikatnym uśmiechem, który rezerwuje dla stałych klientów, i bez pytania podaje jej colę light w puszcze oraz szklankę z kostką lodu.

- A dla pana? - pyta Jona.

- To samo, tylko poproszę w czystej szklance.

Kelner posyła mu mordercze spojrzenie i z największą starannością wybiera najgorszą szklankę, jaka wyszła ze zmywarki.

- Daj nam dwa tosty z jajkiem, Fidel.

- Zawsze tu jadasz? - pyta ją Jon.

- Kolację zawsze. Obiad zwykle jem w domu.

Inspektor z obrzydzeniem przypomina sobie zaschnięte pojemniki w przedpokoju. Kiedy dostaje tosta, Jon przekonuje się, że w szpitalu mocno trzymają się tradycji. Płyta do smażenia musiała być nieczyszczona od pierwszego użycia.

- Przydałoby ci się trochę warzyw.

W odpowiedzi Antonia sarkastycznie omiata wzrokiem sto dziewiętnaście kilogramów policjanta, które powodują trzeszczenie taboretu. Zajmuje jej to dłuższą chwilę.

- Nie jestem gruby, tylko dobrze zbudowany. Chociaż przyznam ci się do czegoś - mówi Jon, zniżając głos, jak gdyby chciał powierzyć jej wielki sekret. - Lubię jeść.

- Mnie jest wszystko jedno. Mam anosmię.

Jon unosi brew, prosząc o rozwinięcie.

- Nie czuję żadnego zapachu.

- Nic a nic? Tak jak wtedy, gdy ma się katar?

- Mam tak od urodzenia. Mogę czuć tylko bardzo mocne zapachy, jak słodki i słony. Prawie cała reszta smakuje jak papier.

- A kiedy kroisz cebulę? Nie płaczesz?

- Płacę jak wszyscy. To nie ma nic wspólnego z zapachem, po prostu z cebuli uwalniają się związki siarki, które wchodzą w reakcję z wilgocią oczu i tworzą kwas siarkowy.

- Kijowo - mówi inspektor. I mówi to na poważnie.

Nieświadomie - bo dobry z niego człowiek i dlatego że kiedy mięknie mu serce, nie myśli wiele - kładzie swoją wielką łapę na ramieniu Antonii i je ściska.

Jon nie jest wielkim fanem filmików z kotami, lecz jeden ich typ szczególnie go bawi: te, na których podli właściciele kładą za czworonogiem ogórek, a kiedy kot się odwraca, wyskakuje jak oparzony, sztywny ze strachu. Jego instynkt pomylił ogórek z wężem.

Dość podobnie reaguje Antonia, kiedy Jon chwyta ją za ramię. Taboret przewraca się na podłogę z wielkim hukiem. Sześć osób, które siedzą w kawiarni, odwracają się w stronę widowiska.

- Przepraszam - kaja się Jon. Schyla się, żeby podnieść taboret, w tym samym momencie co Antonia i zderzają się głowami.

„Idiota, idiota, idiota. Przecież ci powiedziano, że masz jej nigdy nie dotykać”.

- Nigdy mnie nie dotykaj - mówi Antonia, trzymając się za czoło, gdzie się uderzyła. - Boże, jesteś masywny, czuję, jakbym zderzyła się ze ścianą.

- Każde z nas używa głowy do czegoś innego. Moja przydaje się do wyważania drzwi.

- Żebyś wiedział.

Fidel pojawia się z kilkoma kostkami lodu zawiniętymi w serwetkę. Oczywiście tylko dla niej. Jona także boli, ale wstydzi się poprosić o więcej i daje sobie spokój.

Wygląda na to, że incydent nie odebrał jej apetytu. Przykładając sobie do czoła lód jedną ręką, kończy kanapkę. Oraz frytki z torebki, które podano im jako dodatek. I zamawia kolejną colę.

„Taktyka zwlekania. Czekaj, aż to ja zacznę mówić”, myśli Jon. „Ale facet z Bilbao bardzo trudno jest pokonać w grze w to, kto jest bardziej uparty”.

Tak więc milczy, kończąc swoją tłustą kanapkę małymi i kulturalnymi gryzami.

- Dobra, czego chcesz? - pyta Antonia, kiedy ma już dość czekania, aż on zacznie.

- No, szczerze mówiąc, mała, to jechać do domu, do mamy, która cały czas pisze do mnie na WhatsAppie i pyta, kiedy wracam, bo trzeba jej pomóc przesunąć komodę. Za każdym razem, kiedy widzę na jej statusie „pisze...”, wiem, że mniej więcej za pół godziny będę miał kłopoty.

- Jest chora czy coś?

- Tylko na przywiązanie. Chce, żebym ją zabrał do Bingo Arizona. Sama wstydzi się krzyknąć bingo.

- Biorąc pod uwagę, że nie będę tego ciągnąć, za chwilę przestaniesz z tobą tęsknić.

Jon przytakuje ze zmęczonym uśmiechem.

- Twój przyjaciel konspirator już mnie uwolnił - mówi, i to jest prawda.

Mentor powiedział mu, że nie musi już zostawać. Oczywiście powiedział mu też coś jeszcze. Coś, co wszystko zmienia.

Antonia przygląda mu się podejrzliwie.

- A więc po co przyszedłeś? Pożegnać się?

- Nie. Przyszedłem się dowiedzieć, czego ty chcesz.

- Już ci powiedziałam. Zostać tu z moim mężem. I zanim cokolwiek powiesz - ostrzega go, widząc już pytanie w oczach Jona - uprzedzam cię, że to nie jest temat, na który lubię rozmawiać.

- Rozumiem. A co będzie z Álvarem Truebą?

Antonia zastanawia się nad tym przez - jak się wydaje - półtora tygodnia, mniej więcej. Następnie podnosi szklankę do ust, żeby uciszyć sumienie. Jasne, że to cola light, więc nie wygląda tak jak w filmach.

- To nie mój problem. Chłopak nie żyje i nic tego nie zmieni.

- A sprawca chodzi sobie po ulicy.
- Możliwe, że już nigdy o nim nie usłyszymy.

Jon mocno pociąga nosem i spogląda w bok.

- Tak, no cóż, skoro o tym mówisz...

Wkłada rękę do kieszeni marynarki i wyjmuje zdjęcie. Kładzie je na barze. Farbowana blondynka, duże brązowe oczy, wysokie kości policzkowe. Bliżej trzydziestki niż czterdziestki. Zwyczajny wygląd, jak każda dziewczyna po studiach, która rozpoczyna życie zawodowe i zaczęła jej się dobrze wiesć. Nie patrzy w obiektyw aparatu, a w jej uśmiechu kryje się powściągliwa nieśmiałość. A także pewne ludzkie ciepło, jeszcze bardziej powściągliwe.

Antonii wydaje się, że gdzieś ją widziała. Nagle sobie przypomina. Czasopismo na papierze powlekanym, które znalazła podczas jednej ze swoich wędrówek po szpitalu. Kobieta siedziała na koniu, miała jasne spodnie i skupioną twarz.

- Czy to ta osoba, o której myślę?

- Carla Ortiz - potwierdza Jon cichym głosem, upewniwszy się, że kelner stoi przy drugim końcu baru, pochłonięty meczem piłki nożnej, który transmitują w telewizji. - Dziedziczka najbogatszego człowieka na świecie.

Antonia mruga kilka razy, przyswajając informację. Potem wydaje zmęczone westchnienie, którym chce odsunąć się od tego, co nieuniknione, lecz bez powodzenia.

- Zna... Znaleźli ją?

- Nie. Wiemy, że zniknęła razem ze swoim szoferem i swoją ulubioną kłaczą. Wczoraj wieczorem wyjechała samochodem z La Coruñi do Madrytu, ale nigdy tu nie dotarła.

- Może miała wypadek.

- Dziś rano ojciec dostał telefon od porywacza.

W głowie Antonii ruszyła ciężka maszyna. Jon widział to już wcześniej. Pozwala jej pracować.

- To mógłby być nasz facet.

„Nie ten sam facet”, myśli Jon. „Powiedziała nasz facet. Ten, z którym zetknęło nas pieszkie szczęście. A tak mógłbym już wracać do Bilbao, do kurwy nędzy”.

Nie musi zadawać pytania, ale i tak to robi.

A Antonia Scott podaje mu jedyną odpowiedź, jaką może dać.

Część druga

Carla

*Kłamstwa, co wygrywają sprawy
tak krótkie, że brukają
szyby akwarium
pełnego miejskich ryb.*

Joaquín Sabina/Pancho Varona

1

Niedogodność

- Musimy się zastanowić, jak podejść do sprawy - mówi Mentor.

Wezwał ich na plaza Villa de París, a właściwie do ogrodu tuż przy Sądzie Najwyższym. To miejsce jest ogrodem wyłącznie z nazwy, bo oprócz czterech żywopłotów na krzyż rosną tam tylko kamienie. Mentor czeka na nich, siedząc na ławce przy latarni. Jest już ciemna noc i po parku spacerują jedynie mężczyzna z psem, który obwąchuje ziemię.

- Nad czym tu się zastanawiać? - utyskuje Jon. - Wchodzimy, gadamy z nim i zabieramy się do roboty.

- Obawiam się, że będą niedogodności.

- Przyszedł ktoś jeszcze - mówi Antonia. To nie jest pytanie.

Mentor wykonuje gest irytacji.

- Pan Ortiz zadzwonił do odpowiedniej osoby, a ta odpowiednia osoba zadzwoniła do nas. Ale jego adwokat się zdenerwował, czym jeszcze bardziej zdenerwował jego. Tak więc ci z WPW są tam na górze i teraz to ja jestem zdenerwowany.

„Wydział Porwań i Wymuszeń Policji Krajowej”, myśli Jon z ukłuciem zazdrości. „Elitarna jednostka. Twardzi faceci, profesjonalści”.

- No więc co robimy? Zostawiamy to im i wracamy do domu?

- Będziemy pracować tak jak zawsze, zanim pan pojawił się w naszym życiu, inspektorze Gutiérrez. Odsuwacie się na bok i nie przeszkadzacie. I nie mówicie za dużo.

- Co ma pan na myśli? - pyta zirytowany Jon.

- Ma na myśli to, że my nic nie wiemy o drugiej sprawie - wyjaśnia Antonia.

„Sprawa zamordowanego chłopaka z La Finki po prostu nie istnieje. Jak na jednostkę stworzoną w celu unikania rywalizacji i dyskrecji między różnymi wydziałami policji całkiem niezłe powielamy stare przyzwyczajenia”.

- Nie ma innej sprawy. Ta jest jedyna - podkreśla Mentor, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - Zrozumiano?

Antonia przytakuje i Jon, choć niechętnie, robi to samo. Jeżeli potwierdzi się to, co podejrzewają, i za zniknięciem Carli Ortiz stoi ta sama osoba co za zabójstwem chłopaka, będą musieli postępować zgodnie z zasadami.

- Pan nie idzie? - pyta Mentora Jon.

- Mam telefony do wykonania. Przemyślcie to dobrze i nie róbcie hałasu. A przy okazji, Scott...

Antonia patrzy na niego.

- ...cieszę się, że jesteś z powrotem.

Antonia odwraca się, nie odpowiadając. Kiedy odchodzi, Mentor przekazuje Jonowi małe metalowe pudełko.

- Co to jest? - pyta inspektor, potrząsając nim. - Brzmi jak grzechotka.

- Proszę to przechować. To dla niej.

- Tabletki? Kiedy niby mam jej to dać?

Mentor puszcza do niego oko.

- Kiedy poprosi.

Do mieszkania jest parę minut spacerem, znajduje się przy ulicy General Castaños. Penthouse o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych, przebudowany z największą starannością przez pracownię architektoniczną Eh1ique Barrery. Zprzepięknym i przytulnym salonem. Jon dowiaduje się tego wszystkiego bez konieczności wchodzenia na górę, za pomocą kilku kliknięć w wyszukiwarce telefonu, kiedy czekają na dole przy domofonie. Wszystkie zdjęcia znajdują się w popularnym magazynie plotkarskim. Reszta - na Instagramie Carli Ortiz.

„Życie tych ludzi to nieustanne okno wystawowe”, myśli Jon. „I ścieżka dostępu. Z każdą umieszczaną w sieci fotką otwierają drzwi szaleńcom. Czy oni nie zdają sobie z tego sprawy?”

Ostatnie zdjęcie, które wrzuciła Carla Ortiz, przedstawia ją z synem na tarasie tego mieszkania, a za nimi doskonale widać budynek Sądu Najwyższego. Każdy z jej dwustu dwudziestu ośmiu tysięcy obserwujących z Google Maps i odrobiną oleju w głowie potrzebowałby niecałych dziesięciu minut, żeby namierzyć dokładny adres.

„Przynajmniej chłopiec stoi odwrócony plecami. Przynajmniej to zrobiła dobrze”.

Otwierają się drzwi na klatkę. Jon i Antonia wjeżdżają do penthouse'u windą, minąwszy ochroniarza, który wita ich nieznacznym skinieniem głowy. Drugi czeka przy wejściu do mieszkania – jedynego na piętrze – przy otwartych drzwiach.

„Trochę za późno na takie środki bezpieczeństwa”.

W tym domu na ścianach nie ma żadnego Rothki, ale po wejściu Jon odczuwa wrażenie, że mógłby tu być. Podłoga jest z szarego mikrocementu, meble zaś z litego drewna, w stylu industrialnym. Na ścianach wiszą czarno-białe fotografie krajobrazowe oraz kilka przedstawiających Carłę i jej syna. Żadnych mężczyzn. Przedpokój otwiera się na ogromny salon i osiemdziesięciodwucalowy telewizor. Po drugiej stronie – kominek.

Tam i z powrotem chodzi niespokojnie mężczyzna. Jest niski, krępy – „pulchny” to pierwsze słowo, jakie przyszło Jonowi do głowy – i łysy. Ubrany w nieśmiertelną białą koszulę z podwiniętymi rękawami, teraz tak mokrą od potu spod pach, że wilgotne plamy niemal łączą się na klatce piersiowej. Nie wita się z nimi, gdy wchodzą, tylko na nich patrzy, zobojeństwa już na tę defiladę nieznanym.

Na sofie, z laptopami i włączonymi dyktafonami, siedzą dwaj funkcjonariusze WPW, którzy przedstawiają się jako kapitan José Luis Parra i kapral Miguel Sanjuán. Ten niejaki Parra – ogolona głowa, kozia bródka, mocny uścisk samca alfa – wygląda na szefa.

– Państwo są tymi obserwatorami, o których mówili mi moi przełożeni – odzywa się. Głos ma profesjonalny, ale w jego oczach daje się

dostrzec, że niezbyt lubi towarzystwo.

- Nie będziemy wam przeszkadzać - mówi Jon, opierając się o ścianę. - Proszę pracować dalej.

- Pan Ortiz złożył już zeznanie i jest wyczerpany - wtrąca łagodnym głosem siwowłosa mężczyzna w garniturze, który stoi na środku salonu z rękami założonymi na piersi. Przypomina Michaela Caine'a, tyle że nie ma w sobie za grosz człowieczeństwa. Jon nie musi się zbytnio wysilać, żeby wywnioskować, że to adwokat.

- Panie Torres, wiem, że jest późno i że wszyscy są zmęczeni po całym stresującym dniu, ale proszę mi wierzyć, że nie mamy za bardzo od czego zacząć. Jeżeli pański klient nie pomoże nam stworzyć listy podejrzanych, niewiele zdołamy zrobić.

- Nie ma problemu - mówi Ortiz.

- Ramón - ostrzega go adwokat, zniżając głos. - Wiesz, co powiedział lekarz.

„Zniża głos, ale wystarczająco, byśmy wszyscy słyszeli”.

- Mój klient ma ponad osiemdziesiąt lat, nie naciskajcie na niego mocno, bo się załamie.

- Powiedziałem, że nie ma problemu. Słyszałeś już tych panów. Pierwsze godziny są najważniejsze.

- Potrzebujemy pełnej listy osób, które mają dostęp do pańskiej córki, panie Ortiz - mówi Parra. - A przede wszystkim listy osób, które chciałyby zrobić jej krzywdę.

- A jej były mąż? - pyta Sanjuán. To facet w okularach i z gęstą brodą, zawzięcie gryzie końcówkę długopisu Bic i zanim się odzywa, spogląda na swojego szefa.

- Borja? To nie on - odpowiada Ortiz.

O rozwodzie przeciętnego tenisisty z córką multimilionera po zaledwie trzech latach małżeństwa rozpisywały się plotkarskie gazety, choć Jonowi wydaje się, że czytał, iż wszystko przebiegło w dobrej atmosferze i za porozumieniem stron.

- Skąd ta pewność?

- Bo to miernota bez jaj. Skoro nie miał odwagi, żeby zawalczyć o moją córkę w trakcie małżeństwa, to tym bardziej nie porwałby się na coś takiego.

- O ile mi wiadomo, podpisał umowę przedmażeńską.

- I dobrze na tym wyszedł. Pięć tysięcy euro miesięcznie do końca życia, żeby się wyniósł i siedział cicho.

„To ci dopiero porozumienie stron!”

- Może uznał, że to niewielka suma. Ostatecznie pańska córka jest...

- Jedyne, co musi robić, to dwa razy w miesiącu widywać się z moim wnukiem - przerywa Ortiz, niezbyt zadowolony, że przypomniano mu, że jego córka odziedziczy osiemdziesiąt miliardów euro. - Którego zresztą bardzo kocha. Poza tym wczoraj miał turniej na Ibizie. To nie on.

Parra i Sanjuán zerkają na siebie kątem oka. Jon zdaje sobie sprawę, że zarzucają wędkę. Doskonale wiedzieli, że nie zrobił tego były mąż, ale teraz potrząsają Ramónem Ortizem, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Może z kimś współpracuje - sonduje Parra.

- Och, na miłość boską - denerwuje się Ortiz, odchylając się na oparcie krzesła. Przez chwilę wydaje się, że brakuje mu tchu.

- Panowie... - odzywa się adwokat Torres i podchodzi do swojego klienta, żeby położyć rękę na jego ramieniu.

Ortiz zdejmuje ją delikatnie, lecz stanowczo. Ma zaczerwienioną twarz, ale nie zamierza przerywać.

- To nie on! Człowiek, który do mnie dzwonił, to ktoś inny i oczywiście nie brzmiał jak ktoś, kto mógłby być przyjacielem Borjy.

- Może byłoby dobrze, gdyby zrelacjonował nam pan całą rozmowę - odzywa się po raz pierwszy Antonia.

Wszyscy odwracają się w jej stronę.

- Mamy to już za sobą. Jutro przekażemy wam streszczenie zeznania pana Ortiza - mówi Parra, wskazując laptop. - Wracając do listy podejrzanych...

- Będzie dobrze, jeśli usłyszą to dwie pary nowych uszu - wtrąca znowu Antonia.

- Pani... jak się tam pani nazywa - protestuje Parra. - Mamy dużo pracy i sama pani widzi, że pan Ortiz jest wycieńczony.

- Rozumiemy, że dla pana Ortiza powtórzenie rozmowy jest zbyt dużym wysiłkiem - mówi Jon bardziej niewinnym i rozważnym tonem.

Parra piorunuje go wzrokiem, ale jest już za późno.

- To żaden wysiłek. Jestem tylko zmęczony - mówi, naturalnie, Ortiz. - Zadzwoniono do mnie dziś rano o godzinie szóstej czterdzieści siedem.

- Przez telefon?

- Przez FaceTime audio. Carla często tego używa, mówi, że to bezpieczniejsze. Ja się na tym nie znam.

- Co powiedział porywacz?

- To był mężczyzna o niskim głosie, powiedział, że ma moją córkę Carlę. Poprosiłem, żeby nie robił jej krzywdy, na co odparł, że już ją skrzywdził. I że skrzywdzi ją jeszcze bardziej, i że ja nie mogę mu tego zabronić.

- Powiedział coś jeszcze?

- Podał mi swoje imię: Ezequiel.

Carla

Najpierw przychodzi ból.

Ostre, nieznośne klucie, które wypełnia wszystko. Które wywołuje krzyk.

Krzyczy przez, jak się jej wydaje, wieczność, całą siłą płuc. To rozdzierający, pierwotny krzyk. Nie ma jeszcze strachu – ten nadejdzie później. Jedynie przemożna potrzeba, żeby ból ustał jak najszybciej.

Nie ustaje.

Łagodnieje, kiedy udaje jej się nieco podnieść. Leżała na złamanym nosie, z rozpostartymi ramionami, bezwładnie. Kiedy się porusza, kości nosowa i czołowa stykają się i ona czuje to wewnątrz swojej twarzy, niemalże słyszy ostry, nienaturalny trzask.

Nie może nic zobaczyć. Panuje całkowita ciemność.

Strach jeszcze nie nadchodzi. Kłujący ból ustąpił, ale zostawił swojego młodszego brata – walenie młotem. Teraz jej twarz jest jak naciągnięta na bęben skóra, która dostaje ciągle, bezlitosne uderzenia, a ból ten rozchodzi się promieniście w stronę oczu, linii włosów, uszu, szczęki.

Carla szlocha cichutko, podczas gdy jej mózg usiłuje zrozumieć, skąd pochodzi ten ból i jak sobie z nim poradzić. Próbuje usiąść, ale nagły przepływ krwi do głowy tylko wzmacnia cierpienie.

„Uspokój się. Uspokój się”.

Znowu się kładzie, tym razem na plecach, i wydaje się, że dzięki temu bębnienie łagodnieje. Niedużo, ale zostawia miejsce na pozostałe odczucia.

Carla czuje, że usta są suche i gorzkie. Krew, teraz zaschnięta, skleiła jej wargi i zewnętrzną stronę zębów.

Boli, kiedy je odrywa.

To niewielki, znośny ból, który na słodką chwilę pozwala jej zapomnieć o tamtym drugim. Niczym ktoś, kto przestaje patrzeć na tygrysa w pokoju, ponieważ środkiem przebiega właśnie myszka i gdy tylko gryzoń znika w dziurze w listwie przypodłogowej, tygrys domaga się swojego pożywienia z ostrym uśmiechem i wzrokiem pytającym, od czego zacząć.

To nie krew jednak sprawia, że Carla ma gorycz w ustach. Na końcu opuchniętego i suchego języka czuje smak żelaza i baterii. Reszta – podniebienie, wewnętrzna strona policzków – jest skolonizowana przez chemiczny i nieprzyjemny smak.

„Mam coś w środku”.

Odnosi wrażenie, jakby ręce i nogi nie należały do niej, zamieniły się w niezależne i senne prowincje; wysyła im polecenia, na które odpowiadają niechętnie. Żołądek to małeńka ściśnięta kulka kwasu, z której coś stara się wydostać. Carla wydaje z siebie beknięcie, głośne i suche, niczym strzał, pełne tych samych dziwnych zapachów, które wypełniają jej usta. Za powietrzem, po otwarciu śluzy, podąża zawartość żołądka, której nie ma zbyt wiele. Nie mogąc się powstrzymać, Carla wymiotuje śliną i żółcią, dwa, trzy razy, aż skurcze ustają.

Wtedy dosięga ją wspomnienie. Objazd. Mężczyzna z nożem. Pościg przez las. Ukłucie w szyję, kiedy już się poddała.

„Nie”.

„Nie”.

Jej prawdziwa sytuacja otwiera się przed nią z przerażającą jasnością. Najgorsza sytuacja.

To wtedy nadchodzi strach.

2

Dowód

- To wszystko?

Ortiz nie odpowiada od razu. Przez ułamek sekundy wzrokiem szuka pomocy u swojego adwokata, ale się powstrzymuje. Gest nie umyka uwadze Jona, który potrafi rozpoznać kłamcę.

- Tak. Potem się rozłączył.

- Nie przedstawił żądań, nie powiedział, że zadzwoni ponownie?

- Nie - odpowiada stanowczo Ortiz.

„Zbyt stanowczo”.

- Zadzwoni. Zawsze dzwonią - odzywa się Sanjuán.

- Powiedział pan, że nie brzmiał jak ktoś, kto mógłby znać byłego męża pańskiej córki - wtrąca Parra, zdeterminowany, żeby z powrotem przeciągnąć rozmowę na swoją stronę. - Co miał pan na myśli?

- To był człowiek o twardym głosie. Wydawał się... bezlitosny. Zupełne przeciwieństwo Borjy.

„Oto mężczyzna przywiązany do byłego męża swojej córki. Ale z drugiej strony, kto inny może go tu bronić?”

- Pańska córka nie zna nikogo o imieniu Ezequiel, prawda?

- O ile mi wiadomo, nie. Ja też nie znam.

- Przyjmijmy, że jest to pseudonim, a nie prawdziwe imię.

„Widać, że to elitarna jednostka”, myśli Jon.

- Jeszcze jakieś pytanie o rozmowę telefoniczną czy możemy kontynuować to, co zaczęliśmy? - pyta Parra, zwracając się do Antonii.

Ona mamrocze przeprosiny i coś o potrzebie pójścia do łazienki. Nikt nie zwraca na nią uwagi.

- Idźmy więc dalej. Pańska córka zniknęła wczoraj między dziesiątą wieczorem a dzisiejszym porankiem. Ostatnia informacja, jaką o niej mamy, pochodzi z chwili, kiedy jej szofer...

- Carmelo - wtrąca Ortiz, wznawiając swój nerwowy spacer po salonie. - Jest jak rodzina.

- ...kiedy jej szofer Carmelo Novoa Iglesias zatrzymuje się, żeby zatankować na stacji benzynowej w Villanueva de los Caballeros w prowincji Valladolid. Odnotowano transakcję na karcie kredytowej szofera na kwotę siedemdziesięciu ośmiu euro. Benzyna, dwie butelki wody i paczka lukrecji. Poprosiliśmy stację o nagrania z kamer, żeby sprawdzić, czy w tym momencie Carla jechała z nim samochodem.

- Do czego pan zmierza?

- Od kiedy zna pan Carmela Novoę, panie Ortiz? - pyta Parra, pochylając się na krześle.

- Teraz rozumiem - odpowiada biznesmen. - Ponieważ nie możecie położyć łapy na moim byłym zięciu, bierzecie się za Carmela. Ile razy mam panu powtarzać, że porywaczem jest nieznajomy?

- Panie Ortiz... niech pan zrozumie, że musimy szukać w otoczeniu rodziny. Jeśli chodzi o zniknięcie, w siedemdziesięciu ośmiu procentach przypadków sprawca jest powiązany z rodziną. Dlatego zawsze zaczynamy od najbliższych, a potem poszerzamy ten krąg.

- To nie jest zniknięcie. To jest porwanie.

- Porwanie bez żądań. O ile nam wiadomo - dodaje Parra.

„Ten coś wyczuwa”, myśli Jon. „Może jednak w tej łysej pale ma kawałek mózgu”.

- Przypuszczamy, że przedstawi je później - wtrąca adwokat, gdy widzi, że jego klient milczy. - Panowie sami tak powiedzieli.

- Tak, to prawda. A zatem powiedziała by pan, że szofer, pan Carmelo Novoa, jest osobą godną zaufania?

„Coś wyczuwa i naciska na starego, żeby się przekonać, czy popełni błąd. Bo wie, że nie mówi mu wszystkiego. Stara sztuczka”.

- Całkowicie.

- Poprosiliśmy kolegę z La Coruñi, żeby popytał o pana Novoę - mówi Parra, pokazując otwarte okienko WhatsAppa w telefonie. - Pisze, że jest częstym gościem Casino Atlántico.

Ortiz nie odpowiada.

- Wiedział pan coś o tym?

- Panowie, mój klient nie musi wiedzieć o...

- Tak, wiedziałem - przerywa businessmen. - Jest kontrolowany.

- Wygląda na to, że bywa tam kilka razy w tygodniu. Głównie blackjack.

- O tym też wiem.

- I ma długi przekraczające sto tysięcy euro.

Słyszając to, zaskoczony adwokat podnosi głowę i patrzy na Ortiza z niepokojem.

Ortiz przystaje, opiera się o kominek, obgryza skórę przy kciuku.

- Nie czuję się swobodnie, mówiąc o tym.

- Rozumiem, panie Ortiz. Ale to ważne - upiera się Parra.

Po trwającym całą wieczność manikiurze robionym zębami Ortiz w końcu odpowiada.

- Carmelo miał kryzys po śmierci żony. Trzydzieści jeden lat małżeństwa. Wciągnął się w karty.

- Zwrócił się do pana?

- Kilka miesięcy temu. Już powiedziałem, należy do rodziny. Jestem ojcem chrzestnym jego najstarszego wnuka, na miłość boską.

- Dał mu pan pieniądze?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiada businessmen. - To nie byłby dobry pomysł.

- Dla pana taka suma to drobiazg, prawda?

- Majątek mojego klienta nie ma tu nic do rzeczy, kapitanie Parra - wtrąca adwokat.

- A może jednak ma?

Ortiz chwytą jedną z ozdób stojących na kominku - ceramiczną kulę w delikatnych barwach czekolady i pomarańczy, pochodzącą z jednego

z jego sklepów z działu Dom – i rozbija ją o podłogę. Trzask tłuczonej ceramiki przełamuje niezręczną ciszę, jaka zaległa po stwierdzeniu Parry, i teraz zamienia ją w lodowatą i fizyczną ciszę.

– Jestem bogaty – mówi Ortiz z wykrzywioną twarzą. – Mam pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Owszem, mogłem jednym gestem sprawić, że zniknęłyby wszystkie problemy Carmela. Zamiast tego zaoferowałem mu wsparcie. Poszukałem dla niego pomocy. Powiedziałem mu, że będzie u nas pracował przez resztę swojego życia. Że tak postępuje się z członkami rodziny. Carmelo należy do rodziny.

– Pańska odmowa przekazania mu pieniędzy, sumy dla pana nieznaczącej, musiała być dla niego upokorzeniem. I to mogło wywołać urazę. Podczas sześciogodzinnej jazdy samochodem jest mnóstwo okazji. Musiał tylko zatrzymać się w miejscu postojowym pod byle prepem, obezwładnić pańską córkę, a później poprosić swojego współnika, żeby się z panem skontaktował.

Niechęć do słów policjanta zaczyna ustępować. Ortiz nie zwykł przyznawać się do błędów. Nie robił tego, kiedy był biednym dwudziestolatkiem, a tym bardziej teraz.

– To znaczy, że jestem winny – mówi biznesmen w ostatnim przypiływie oburzenia. – Oskarża mnie pan o to, że przyczyniłem się do nieszczęścia mojej córki.

– Ja tego nie powiedziałem, panie Ortiz. Chcemy tylko, żeby otworzył pan oczy na to, co oczywiste.

I Ortiz otwiera oczy, zapadają mu się ramiona, a z płuc ucieka powietrze. Wygląda tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, a prawą ręką nie przestaje masować sobie lewego ramienia.

– Nie czuję się zbyt dobrze – mamrocze.

Adwokat podchodzi do niego i kładzie ręce na jego ramionach.

– Wytrzymaj – mówi mu na ucho. – Lekarz już czeka.

A do pozostałych dodaje:

– Panowie, spotkanie dobiegło końca.

Parra i Sanjuán wstają niechętnie. Nie wyglądają na zbyt zadowolonych z przebiegu rozmowy.

- Będziemy potrzebować dostępu do komputera Carli, haseł...

- Nie mam takiej informacji, ale pomożemy, w czym będziemy mogli - mówi Torres, stając między nimi a Ortizem. - Zajmę się tym osobiście.

Antonia stara się przełamać mur, jaki tworzy adwokat, i podchodzi do biznesmena.

- Jeszcze jedno, proszę pana. Gdzie jest pański wnuk?

Ortiz patrzy na nią tak, jakby usiłował zrozumieć, kim jest ta kobieta i co robi w mieszkaniu jego córki. Kiedy się odzywa, jego głos brzmi tak, jakby dobiegał z odległości miliona kilometrów.

- Mój wnuk został wywieziony w bezpieczne miejsce. Za granicę. Nie chcę, żeby tu był, jeśli to wszystko znajdzie się w mediach.

- Przez nas to się nie stanie, panie Ortiz - zapewnia Parra.

„A co dopiero przez nas”, dodaje w duchu Jon.

Carla

Głośne, metaliczne uderzenie przerywa krzyk.

Na chwilę straciła przytomność – nie wie na jak długo. Przypomina sobie mgliście, że po omacku szukała wyjścia, ale nie znalazła żadnego. Ogarnięta niepokojem wołała o pomoc, aż ochrypla, aż ledwie mogła wydobyć z płuc słaby jęk. Wtedy rozbrzmiało uderzenie, odbijające się wokół Carli głuchym, niejasnym echem.

– Nie podoba mi się, że krzyczysz – mówi ktoś, kiedy echo milknie.

To twardy głos. Głos mężczyzny.

– Proszę pana. Halo, proszę pana. Potrzebuję pomocy – odpowiada Carla cienkim głosem.

Cisza.

– Halo... słyszy mnie pan? – dodaje Carla, maksymalnie nadwyrężając gardło.

– Słyszę. Nie podoba mi się, że krzyczysz.

– Proszę pana, muszę stąd wyjść. Musi mnie pan wypuścić, proszę. Boję się ciemności.

– Podaj mi hasło do swojej poczty.

Carli kręci się w głowie. Jest bardzo gorąco. Ma trudności z oddychaniem, tlenu jest niewiele. Musi się stąd wydostać za wszelką cenę.

– Niech mnie pan wypuści! Chcę wyjść!

Rzuca się do przodu na czworakach w poszukiwaniu wyjścia w tych ciemnościach. Jej dłonie natrafiają na coś solidnego, metalowego. Kiedy się o to opiera, nieco ustępuje, a potem wraca do poprzedniej pozycji.

Drzwi. To są drzwi.

Na kolanach, oparta o metalową płytę, Carla zaczyna uparcie walić. Jej dłonie wydobywają z metalu ledwie nieśmiałe szept.

- Niech pan otworzy! Niech pan otworzy, prooszę...!

Ostania sylaba błagania przeradza się w coraz słabszy szloch. Carla opada plecami na metalowe drzwi, nie przestając płakać.

Wtedy pojawia się drugie uderzenie. Ponieważ Carla jest oparta o płytę - ramionami, rękami, głową - dźwięk rozlewa się po całym jej ciele. W uszach dzwoni, przepona się ściska, ból nosa nasila, z przerażenia gryzie się w język.

- Nie podoba mi się, że krzyczysz, i nie podoba mi się też, że płaczesz.

Carla znowu chce krzyczeć, całe jej ciało błaga, żeby znowu krzyczała, żeby prosiła, żądała od tego mężczyzny, by wypuścił ją natychmiast. Ale zmęczenie, ból i coś jeszcze mówią jej, żeby zaczekała.

I to właśnie robi, w milczeniu, zaciskając dłonie w pięści, żeby nie krzyczeć.

- Jesteś już spokojniejsza?

- Tak - szepcze Carla.

- Podaj mi hasło.

Carla otwiera usta, żeby odpowiedzieć, i znowu coś ją powstrzymuje. To głos, który słyszała już wcześniej. W lesie.

Nic nie mów.

„Zabije mnie”.

*Nic nie mów. Jeśli podasz mu hasło,
będzie miał dostęp do WSZYSTKIEGO.*

„Jeśli zrobi mi krzywdę, i tak je zdobędzie”.

*Więc negocjuj. On coś chce,
ty też o coś poproś.*

- Hasło - powtarza mężczyzna.

- Nie.

- Podaj mi hasło albo tam wejdę i cię zabiję.

Groźba sprawia, że Carla znowu się wycofuje. Jej oddech przyspiesza.
„To bluff”.

- Nie zabije mnie pan. Jeśli mnie pan zabije, nie dostanie hasła.

Cisza.

- Mogę wejść i krzywdzić cię, dopóki mi go podasz.

„Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę mu go podać”.

Nie poddawaj się tak łatwo.

Zawsze zbyt łatwo się poddawałaś.

Carla zaciska dłonie w pięści, kiwa głową w przód i w tył, próbując myśleć pomimo bólu.

„Spokojnie. Spokojnie”.

- Jak panu na imię? Ja jestem Carla. Mam na imię Carla - powtarza, ponieważ gdzieś usłyszała albo przeczytała, a może zobaczyła w jakimś filmie, że trzeba sprawić, żeby

Powiedz to. Porywacz. Gwałciciel. Morderca.

Wybierz jedno określenie.

mężczyzna, który może cię skrzywdzić, zobaczył w tobie osobę. Żeby cię uczyłowieczył. Żeby wiedział, że nie jesteś tylko ciałem, że nie jesteś przedmiotem.

- Już wiem, jak się nazywasz.

- A pan, jak się nazywa?

Cisza.

- Możesz się do mnie zwracać Ezequiel.

- Ezequiel... Ja mam na imię Carla. Proszę mnie wypuścić i dam panu pieniądze. W tej chwili mogę zrobić panu przelew. Potem mnie pan wypuści. Przysięgam, że nie powiem, co się stało.

- Nie chcę pieniędzy. Chcę hasło.

- W porządku. Proszę przynieść mi wody.

Cisza.

- Podasz mi hasło, jeśli przyniosę ci wody.

To nie jest pytanie.

Jeszcze dłuższa cisza, po której Carla słyszy metaliczny zgrzyt przy drzwiach.

- Masz.

- Gdzie jest? Niczego nie widzę!

Słychać kliknięcie. Prostokąt światła odznacza się w ciemności, na podłodze, na końcu drzwi.

Na jego środku stoi półlitrowa butelka wody.

Blask, jaki roztacza, jest nierealny, przypominający, że dookoła niej nie ma nic oprócz ciemności. Carla rzuca się na butelkę. Plastik chrzęści w jej niecierpliwych dłoniach, kiedy zdejmuje zakrętkę i podnosi do ust. Wypija połowę dwoma długimi łykami. Wpadają do jej żołądka, pustego i słabego, jak dwa ciosy. Wracają skurcze i Carla zwraca cały płyn na podłogę.

- Masz już swoją wodę. Teraz hasło.

Carla zbliża się do świetlnego prostokąta. Musi mieć nie więcej niż dwadzieścia centymetrów wysokości i dwa razy tyle szerokości. Na kolanach próbuje przez niego wyrzeć. Po drugiej stronie dostrzega parę butów oświetlonych latarką. Wiązka światła rani jej oczy. Podnosi rękę i usiłuje dojrzeć coś przez palce.

- Proszę zaczekać. Porozmawiajmy, możemy... mogę...

Prostokąt światła znika wraz z metalicznym zgrzytem. Carla słyszy szczęk po drugiej stronie. Może rygiel.

„Nie. Nie”.

- Proszę mnie wypuścić! - krzyczy, waląc znowu w drzwi.

- Poprosiłaś o wodę w zamian za hasło. Podaj mi je.

Zdesperowana Carla płacze, skołowana.

Nie podawaj. Jeśli mu je podasz,

nie będziesz już miała czym negocjować.

- Proszę...

Tym razem trzy uderzenia, wściekle, jedno po drugim, ogłuszają świat Carli. Jej bębienki dzwonią, drgają, drzwi się trzęsą. Carla zwija się w kulkę na podłodze, podciągając kolana i zakrywając uszy dłońmi.

Przez łzy zaczyna podawać hasło.

3

Masaż

Antonia i Jon starają się dyskretnie ulotnić, zjeżdżając windą, ale kiedy docierają do wyjścia z budynku, natykają się na jednego z ludzi z Wydziału Porwań, który blokuje drzwi.

- Nie pozwolicie nam przejść, co?

Policjant kręci głową, pokazuje za ich plecy i zakłada ręce na piersi. Kiedy się odwracają, widzą Parrę z rozpaloną twarzą. Schodził, przeskakując po dwa stopnie.

- Można wiedzieć, skąd się wzięliście? - pyta, stawiając czoło Jonowi.

- Spokojnie, kapitanie, jesteśmy wśród przyjaciół - mówi Jon, wyjmując odznakę z kieszeni marynarki i umieszczając ją na wysokości jego oczu.

Parra nawet na nią nie patrzy.

- Już wiem, coś za jeden, inspektorze Gutiérrez. Nie wiem tylko, co robi trzeciorzędny glina, wtykając nos w sprawę najwyższej wagi. Na dodatek moją sprawę. A ta to kto?

Antonia zapada się nieco w sobie wobec agresywności kapitana. Nie może się ruszyć, bo drugi policjant zrobił krok do przodu i stoi tuż za jej plecami.

- Do niej nawet się nie odzywaj. A ty się cofnij - ostrzega Jon - bo jeszcze dostaniesz w zęby.

Ten drugi odsuwa się o milimetr albo dwa.

- Zapytałem, kto to.

- Co za różnica. Powiadomiono cię, że przyjdziemy, prawda? - odpowiada Jon, chowając odznakę.

- Tak, powiedzieli mi ci z góry. Że przyjdzie dwoje obserwatorów.

- No i właśnie to robimy, obserwujemy. Nie lubisz, jak na ciebie patrzę?

Jon nadaje ostatnim słowom odpowiedniej nuty zniewieściałości i złośliwości, żeby heteroseksualny kapitan José Luis Parra - ojciec rodziny dumnie noszący koszulkę polo z herbem Hiszpanii wyhaftowanym na rękawie - się zdenerwował.

- Posłuchaj no, pedziu...

Jon napina całe ciało, gotowy na przyjęcie ciosu, który widzi już w oczach Parry, ale on nie nadchodzi. Pojawia się za to głos Antonii.

- Kapitanie Parra, nazywam się Antonia Scott. Zajmuję się analizą najpoważniejszych przestępstw, jestem z Interpolu.

Jon jest w szoku. Antonia oblepiła swój głos słodkim syropem, a uśmiech brokatem. Żywy obrazek pojednania. Nawet podaje rękę kapitanowi. Ona - która ucieka przed kontaktem fizycznym niczym wolny strzelec przed inspekcją urzędu skarbowego - stoi teraz z wyciągniętą ręką.

Na szczęście dla Antonii Parra nie jest chętny do ściskania dłoni. Z niedowierzaniem patrzy w dół - jest od niej wyższy o prawie trzydzieści centymetrów.

- Ty, z Interpolu!

Antonia sięga do swojej torby i z jednej z kieszonek wyjmuje legitymację. Kapitan Parra bierze ją do ręki i studiuje ze zdumieniem.

- No tak - mówi, stukając legitymacją Antonii w wewnętrzną część dłoni. - A czego tu szuka Interpol, skarbie?

- Pracujemy nad dużym międzynarodowym projektem. Interesują nas przestępcy, którzy wymykają się typowym schematom, i nowe sposoby, jak sobie z nimi radzić. Już dawno poprosiłam o możliwość pracy z panem i ze specjalistami z WPW. Kiedy dowiedzieliśmy się o tak ważnym zniknięciu, wsiadłam w pierwszy samolot do Madrytu.

„Jeśli jest coś, co uwielbia taki samiec alfa jak ten, to masowanie ego”, myśli Jon.

- Studiowanie pańskich metod da nam niezwykle cenną informację dla korpusów policji na całym świecie - ciągnie Antonia. - Nie co dzień można pracować z jednostką, która ma osiemdziesięciosiedmioprocentową skuteczność w ciągu ostatnich sześciu lat.

„Nieźle łechtanie, mała”.

Parra ostrożnie przygryza dolną wargę. Kusi go, żeby w to uwierzyć.

- Tak naprawdę osiemdziesiąt osiem koma trzy procent skuteczności. A ten? - pyta, wskazując Jona.

- Inspektor Gutiérrezz został mi przydzielony jako łącznik. W tym momencie jest na etapie zmiany zawodowej.

- Raczej zawieszony w obowiązkach bez prawa do pensji. Jak tam kurewka, Gutiérrezz? Chyba złapała cię pod dobrym kątem.

Jon ma na końcu języka wiele odpowiedzi, które obejmują matkę, żonę i siostrę - o ile ją ma - kapitana Parry. Musi jednak zacisnąć zęby.

- Nawaliłem. I teraz proszę bardzo, robię za niańkę.

- Wiem, że nasza obecność nie jest typowa, kapitanie, ale proszę mi wierzyć, chcemy jedynie zobaczyć, jak to robicie. I być może dorzucić ziarno piasku.

Parra przytakuje z bardzo poważnym wyrazem twarzy, próbując wycofać swoje słowa i nie dać po sobie poznać, jaki jest zadowolony.

- Niech to będzie małe ziarno. Jak będziecie przeszkadzać, od razu wypierdalacie, Interpol czy nie. I żadnych rozmów ze świadkami bez mojej wiedzy i bez obecności jednego z moich ludzi, jasne?

- Nie przyszłoby nam to do głowy - zapewnia Antonia.

Parra odwraca się do Jona, który robi cielece oczy.

- Właśnie.

- No to już, spać - mówi kapitan, jakby zaganiał do łóżek dwoje dzieci w wieku przedszkolnym. - Jutro rano wpadnijcie na komendę, ktoś przekaże wam wszystkie informacje.

Ezequiel

„Jestem, zasadniczo, dobrym człowiekiem”, pisze mężczyzna w swoim zeszycie. Zawsze nosi go przy sobie. Nic specjalnego. To taki sam zeszyt, jaki ma każdy uczeń, do kupienia za trzy euro dziewięćdziesiąt pięć centów w każdym supermarkecie.

„Popełniłem błędy, jak wszyscy. Nie jestem idealny. Bywa, że daję się ponieść impulsom. Popełniam nieczyste akty, prawie zawsze w myślach, czasami w czynach. Kiedy nie mogę tego uniknąć, kiedy nie ma innego wyjścia, ponieważ ciało jest słabe, bez względu na to, jak mocno staramy się trzymać je w ryzach. Kiedy to się dzieje, natychmiast czuję się brudny i zawstydzony, czasami tracę nad sobą panowanie. Na rękach i twarzy czuję przytłaczający ciężar i nie mogę spać. Jestem rozdrażniony”.

Mężczyzna wrywa kartkę, kładzie ją na popielniczce i podpala róg. Papier zaczyna płonąć, najpierw powoli, a potem szybciej, kiedy ogień dociera do górnej krawędzi. Nienasycony jęzor za każdym razem szuka jego palców. Nigdy ich nie sięga.

„Płomienie zawsze pragną mięsa”, pisze mężczyzna na nowej stronie. „Ale istnieją sposoby, żeby ich uniknąć. Spowiedź, która oczyszcza naszą duszę i przygotowuje nas na niebo, gdzie Jezus czeka na nas z otwartymi ramionami. Ale spowiedź, sakramenty to nie wszystko. Konieczna jest silna wola, żeby okazać skruchę i wypełniać wolę Boga na Ziemi. I być dobrymi ludźmi. Ja jestem dobrym człowiekiem”.

Przestaje pisać, ponieważ nie może się skoncentrować. Jego pismo, zawsze eleganckie, okrągłe i wyraźne, dziś wychodzi mu koślawe i cienkie jak nogi pająka. Nie udaje się mu zaznać przyjemności, zwyczajnej i szczerzej, która przychodzi w sposób naturalny z możliwości zapisywania własnych myśli dobrą i rzetelną kaligrafią. Ani, rzecz

oczywista, spokoju duszy. Kiedy był dzieckiem, nauczył go tego Ojciec. Był on szorstkim i twardym, ale mądrym człowiekiem. Znał sposób na oczyszczenie duszy z czynów, które ją plamiły, kiedy w pobliżu nie było księdza. Należało tylko wypisać je na kartce i wysłać Bogu, tak jak Abel złożył swoją ofiarę. Dym unosi je prosto do nieba.

„Ojciec każdego wieczoru zapisywał i palił kartkę. Pamięta, że czasami nawet nago, jeszcze ze spuchniętymi kostkami dłoni. I pamięta też spokój, jaki pojawiał się na jego twarzy, kiedy grzech ulatywał z dymem”.

Chce napisać o tym wspomnieniu, ale nie może.

Carla Ortiz znowu krzyczy.

Oto dobitny przykład egoizmu i niewdzięczności. Dał jej wodę, o którą prosiła, chociaż wcale nie musiał tego robić. Mógłby wyciągnąć z niej hasło do komputera biciem. Na biciu się zna.

Mężczyzna nienawidzi przemocy, ponieważ nie przystoi ona dobrym ludziom. Przeraża go używanie jej, a kiedy to robi – kiedy nie ma innego wyjścia – musi jak najszybciej przelać swoją spowiedź na papier. Chciał tego uniknąć, szukając pokojowego rozwiązania, i oto rezultat. Nie ma dobrego uczynku, który pozostanie bezkarny.

Wstaje i wali w drzwi kluczem nasadowym. Dwa razy. Więźniarka natychmiast milknie.

Wraca do stołu. Jest zadowolony.

Tym razem nie popełnił błędów. Mężczyzna nie jest przestępcą, nigdy nim nie był. Zawsze miał uczciwą pracę. Nie robiłby tego, gdyby nie został zmuszony. Gdyby dano mu inną możliwość.

Dlatego jest zadowolony, że nie popełnił błędów.

Przy porwaniu zawsze najtrudniejszy jest kontakt z rodziną. Telefony, maile, wszystko da się namierzyć. On jednak postępował zgodnie z wytycznymi, jakie otrzymał, zanim zadzwonił do ojca. Użył anonimowego serwera VPN, który ukrywał jego adres przed połączeniem z internetem, i wyłączył komputer od razu po zakończeniu rozmowy. Reszta operacji to była bułka z masłem. Zabicie klaczy, żeby jej rżenie nie zwróciło niczyjej uwagi, to jedyna rzecz, która wiele go

kosztowała. Nie lubi krzywdzić niewinnych zwierząt. Dlatego odwrócił wzrok, kiedy przecinał jej rdzeń kręgowy. Później ukrył samochód między drzewami i odpiął przyczepę.

Wtedy zdaje sobie sprawę z błędu, jaki popełnił. Poważnego błędu.

To błąd, który musi naprawić jak najszybciej, w tej chwili.

4

Argument

Antonia idzie sześć dużych kroków przed nim w stronę samochodu, który zostawili przy ulicy Génova, prawie na wysokości plaza de Colón. Jon daje jej kilka metrów przewagi. Tak czy owak, to on ma kluczyki. I potrafi rozpoznać wściekłą kobietę po tak subtelnych szczegółach, jak stawianie takich kroków, jakby stąpała po czaszkach wroga.

Wsiadają do samochodu, zapinają pasy. Jon chwytą kierownicę, ręce na dziesiątej dziesiątej, i wpatruje się w auta jadące aleją Castellana w stronę alei Recoletos. Jest prawie trzecia w nocy, więc nie jest ich dużo.

Inny ważny szczegół, który Jon wie na temat kobiet, dotyczy tego, że jeśli są bardzo milczące i mocno wkurzone, należy je zapytać, dlaczego są takie milczące i takie wkurzone.

- O co ci chodzi?

Jon spodziewa się usłyszeć „o nic”, szlagierową odpowiedź kobiet na to pytanie, lecz zamiast tego dostaje odpowiedź całkowicie szczerą.

- Ta walka samców była niepotrzebna.

„Piękny sposób, żeby mi podziękować”.

- To on jest samcem, mała. Ja ssę fiuty.

- Obaj zachowywaliście się jednakowo. Wszyscy faceci są tacy sami, bez względu na to, co siecie.

Jon milczy, klnie w duszy, robi rachunek sumienia, drapie się po głowie. Nadal nie rozumie, gdzie popełnił błąd.

- Musiałem cię bronić, nie widzisz tego? Chcieli nas zastraszyć. A moja partnerka nie boi się nawet Boga.

- Jeśli zechce, Parra może nam rzucać kłody pod nogi.

- Wiem. Ale jeśli damy się zastraszyć, zrobią z nas chłopców na posyłki albo odsuną nas na bok. Równie dobrze może przyjść minister spraw wewnętrznych i powiedzieć, że nie będziesz rozkazywać jednemu z tych supergliniarzy.

- Rozwiązaniem jest odpowiednie podejście do ludzi.

- Rozwiązaniem... Myślisz, że to łyknełi? Owszem, dzięki twojemu numerowi napuszył się jak paw, ale gdy tylko zejdzie z niego powietrze, znów będzie się zachowywał jak palant. Nie podoba mu się, że tu jesteśmy.

- Jestem przyzwyczajona do pracy w taki sposób.

- A ja nie. To mój pierwszy raz. I tym bardziej, gdy trzeba ukrywać informację, która jest kluczowa dla sprawy.

- Z tego samego powodu nie możemy pozwolić, żeby odsunęli nas na bok.

- Dlaczego nie powiemy o wszystkim Kapitanowi Mięśniakowi? Że podejrzewamy, że ta sama osoba, która przetrzymuje Carlę Ortiz, już wcześniej porwała i zabiła i że są bardziej pogubieni niż ośmiornica w garażu?

„Boże, to byłoby fantastyczne”, myśli Jon i raduje się w duchu, wyobrażając sobie minę kapitana Parry w takiej sytuacji.

- Nic mu nie powiemy.

- Dlaczego?

- Bo Mentor nas poprosił, byśmy tego nie robili.

- Mentor, ten pan, który wbrew twojej woli wciągnął cię w to bagno kłamstw, żebyś zrobiła coś, czego nie chcesz zrobić?

Antonia mruga zdumiona.

- Tak, on - odpowiada, jak zawsze odporna na sarkazm.

Jon prychnął z irytacją.

- Chodzi mi o to, że nie musisz dalej bawić się w jego gierki.

- Ma swoje powody.

- Ten gówniany samotny strzelec i to, że mamy szukać sprawiedliwości dla chłopaka, z którego upuszczono krew, mogłyby być

coś warte wcześniej, a i to niewiele, kiedy w grze były tylko prywatność rodziców i skandal. Ale nie teraz. Teraz w grze jest życie. Carli Ortiz i jej szofera. Choć wygląda na to, że zniknęła tylko ona, kurwa – mówi Jon, waląc ręką w kierownicę.

To dobry argument i Jon zauważa, jak Antonia go przyjmuje i powoli przetwarza. Inspektor zaczyna liczyć samochody jadące w obu kierunkach. Spieszący się ludzie, ludzie jadący w różne miejsca, miejsca, gdzie czekają na nich inni ludzie.

„Boże, jaki jestem zmęczony”.

Jedenaście samochodów na północ i sześć na południe później Antonia odpowiada.

– Nie możemy jeszcze nic powiedzieć. To, czego Parra dowiedział się o szoferze, to uzasadnione podejrzenie. Kierowca ma telefon, środki i sposobność. Będzie lepiej, jeśli sami dowiemy się czegoś na własną rękę, zanim powiemy im cokolwiek o morderstwie w La Fince. Nawet gdybyśmy chcieli to zrobić.

– Ty nie chcesz.

Antonia wzrusza ramionami.

– Zazwyczaj jest tak, że kiedy mnie wzywają, to oznacza, że sprawa jest tak trudna, że pozostali mają duże szanse, by ją spaprać.

„W jednym ma rację”, myśli Jon. „Jeśli coś może podniecić Kapitana Mięśniaka, to jego zdjęcie na pierwszych stronach gazet, pomagającego bogatej dziedziczce największej fortuny świata wydostać się z miejsca, w którym jest przetrzymywana. Odpowiedni telefon we właściwym momencie. Nie chodzi o to, czy porwanie Carli Ortiz stanie się powszechnie znane, czy nie, tylko kiedy to się stanie. A jeśli jeszcze połączyć to z tą drugą sprawą...”

– Dobra, ja też nie ufam kapitanowi, ale to ty powiedziałaś, że jego teoria na temat szofera jest uzasadniona. Naprawdę uważasz, że to on mógł porwać Carłę Ortiz?

– Musimy to sprawdzić, zanim postanowimy, co robić. Ale jeśli szofer wciąż żyje, zapraszam cię na kolejnego tosta z jajkiem – mówi Antonia

z ponurym uśmiechem.

- No to co robimy? - pyta Jon, uruchamiając silnik.
- Na razie coś zjemy. Umieram z głodu.
- Jest czwarta nad ranem.
- Jedź, no już.

Carla

Kiedy Ezequiel odchodzi, kiedy wraca cisza – czas znika.

Jesteśmy do niego tak przyzwyczajeni, tak zanurzeni w naszej codzienności wypełnionej pracą, posiłkami, rozmowami, snem, że przyjęliśmy czas za pewnik. Naturalnie wpływające dni, małe wyzwania, radości, frustracje zamieniają się w nasz cały horyzont. Sam czas staje się środkiem uspokajającym, który znieczula nas na jedyną niepodważalną rzeczywistość. Wszystko, czym jesteśmy, czego dotykamy, co przeżywamy, co mamy i bzykamy, co krzywdzimy i co krzywdzi nas, istnieje tu i teraz, które zaczyna się w naszej skórze, a kończy w naszych myślach. Kiedy Carli odbierają czas, ta okrutna rzeczywistość to jedyne, co jej zostaje.

Oto, czym jesteś. Oto, co jest.

Tak trudno przyswoić sobie tę rzeczywistość, której staramy się unikać przez całe życie. Nasze społeczeństwo, nasza kultura, nasz mózg. Trzy filary doskonałej roboty inżynierskiej, która ma tylko jeden cel: uniknięcie nieuniknionej prawdy o ciele. Które jest rozpadającym się więzieniem.

Kiedy odbierają ci czas, zabierają ci zasłonę przed oczu.

To nie do przyjęcia.

Byłoby nie do przyjęcia dla każdego w jej sytuacji. A tym bardziej dla Carli Ortiz, dziewczynki, która dorastała jako księżniczka, wiedząc – bez względu na to, jak rodzice chcieli ją chronić, istnieją wysiłki niemożliwe – że zostanie królową.

Tak więc Carla, nadal w pozycji embrionalnej, zakrywając sobie uszy rękami, odrzuca tę rzeczywistość.

To dość wygodna sytuacja.

Ona jest Carlą Ortiz, dziedziczką najbogatszego człowieka na świecie. Za kilka lat – ma nadzieję, że za wiele, nie spieszy jej się, bardzo kocha swojego ojca, ale taka jest kolej rzeczy – to ona będzie najbogatszą kobietą na świecie. Najbogatsza kobieta na świecie nie może przecież zostać bez czasu w wieku trzydziestu czterech lat.

Jej po prostu tutaj nie ma. To się nie dzieje.

Jest na zawodach, za chwilę pojawi się na torze. Sprawdza popręg Maggie, jak zawsze dwa razy. Uzdę, sztyblety. Zanim wsiądzie, dwukrotnie uderza piętą w ziemię. Na szczęście.

*Nie, nie ma cię tam. Gdzie są twoje sztyblety,
twój kask, twoja szpicruta?*

Nie, jest w biurze, przygotowuje raport. Ważny raport. Raport, który pokazuje, że dobrze się spisała. Że przez kolejny rok walczyła, żeby zaskarbić sobie aprobatę ojca, która nigdy się nie pojawia.

*Nie, nie ma cię tam. Gdzie jest twój wskaźnik laserowy,
twój komputer, twój ekran?*

Nie, jest w domu ze swoim synem. Jest wieczór i on chce obejrzeć kolejny odcinek *Niesamowitego świata Gumballa*, *SpongeBoba Kanciastoportego* albo *Rexcatadores*. „Tylko jeden i do łóżka”. „A potem bajka, mamusiu”. „Tak, a potem bajka”.

„Nie, tam też cię nie ma”.

Właśnie wtedy nadchodzi wściekłość. Ponieważ nie ma na sobie sztybletów, nie stoi przed prezentacją w PowerPoincie przy długim stole w sali konferencyjnej, nie może też powąchać włosów dopiero co wykapanego syna – a to najlepszy zapach na świecie.

„Nazywam się Carlą Ortiz! Niemożliwe, by mnie to spotkało!”

Otwórz oczy. To właśnie cię spotyka.

„To niesprawiedliwe. Jestem dobrą matką, dbam o mojego syna. Jestem dobrą córką, jestem dobrą pracownicą. Jestem dobrą amazonką.

Jestem dobrym człowiekiem. Od urodzenia zawsze dawałam z siebie wszystko, zachowywałam się dobrze wobec otaczających mnie osób. To niesprawiedliwe”.

Życie nie jest sprawiedliwe.

„Mam mnóstwo pracy. Muszę kierować działem, muszę wychować mojego syna. Mam przed sobą całe życie. Takie rzeczy przytrafiają się... innym osobom”.

Jakim osobom?

Carla chce zignorować głos, który słyszy – tak wyraźny, tuż obok niej, zawieszony w ciemności. Głos, który kwestionuje każdą jej myśl. Na to pytanie jednak odpowiada.

- Innym osobom, które nie są mną – szepcze.

A mimo to jesteś tu.

„To powinno przytrafić się komuś innemu”.

Komuś staremu?

Komuś biednemu?

Komuś... niepotrzebnemu?

Carla płacze ze złości i odrazy do samej siebie. Ponieważ odpowiedź brzmi „tak”. W tej chwili zamieniłaby się z jakąkolwiek osobą. Jakimkolwiek nieznanym. Ta myśl jest tak wyraźna, tak silna, że przez chwilę na powrót widzi siebie w La Coruñi, jak spaceruje nadmorską promenadą. Ludzka rzeka płynie w jej stronę i Carla toruje sobie drogę pośród tłumu, wybierając „kogoś”. Kogo zamknęłaby w ciemności, żeby tylko ona mogła dalej żyć, wolna, szczęśliwa. Bez szwanku. Wszystkie mijane osoby odwracają głowy w jej stronę. Zakonnica, matka, rowerzysta, emeryt trzymający za rękę wnuka. Wszyscy na nią patrzą, ze swoimi pustymi spojrzeniami, pustymi i nic nieznaczącymi zyciami, ich wszystkich i każdego z osobna zamieniłaby na siebie, nie wahając się

ani sekundy. Próbuje chwycić za ramię jedną z tych osób, a potem drugą, chce kogoś wyciągnąć, żeby wepchnąć go w ciemność, która postępuje, przesuwa się w jej stronę. Wszyscy jej unikają, a ona idzie dalej, w końcu wszyscy znikają i w ciemności zostaje tylko Carla.

Ona i głos.

Nie jesteś wyjątkowa.

Tylko uważasz się za wyjątkową.

Ale nikt taki nie jest.

Tak, ona owszem, jest wyjątkowa. Nazywa się Carla Ortiz. Jest szefową tysięcy osób, a za kilka lat – ma nadzieję, że za wiele, nie spieszy się jej, bardzo kocha swojego ojca, ale taka jest kolej rzeczy – zostanie szefową setek tysięcy osób. Kiedy wychodzi na ulicę, przy drzwiach czekają paparazzi. Każdy jej gest, każde słowo, każda garsonka, którą wkłada, stają się tematami artykułów, zdjęć, komentarzy. Jej ojciec jest wpływowym człowiekiem, z licznymi kontaktami. W tej chwili jej zniknięcie znalazło się na głównych stronach wszystkich portali na całym świecie, stało się trending topic w internecie. #GdzieJestCarla, a może #BringBackCarla. Cała Hiszpania czeka, aż zostanie znaleziona, i zwraca uwagę na najdrobniejszą nawet informację. Wszyscy wspierają wojsko, które zrekrutował jej ojciec, żeby ją uratować.

W jednej chwili jej fantazja staje się już namacalną prawdą. To kwestia godzin, może minut, kiedy grupa umundurowanych mężczyzn wpadnie w to miejsce, wyrwie te metalowe drzwi, zabierze ją do syna. Jej ojciec będzie czekał na zewnątrz, podobnie jak dziennikarze. Carla będzie wyglądać na zmęczoną, ale wyjdzie ze spokojnym wzrokiem i wysoko podniesionym czołem. Przywita się nieśmiałym, lecz wyraźnym uśmiechem. Żeby stało się jasne, że jej nie złamano. Zdjęcie obiegnie cały świat. A za kilka miesięcy, kiedy będzie bezpiecznie, udzieli pierwszego wywiadu zaufanej dziennikarce, której opowie o swoich torturach. I to będzie doskonała reklama dla jej marki, której ubrania noszą silne kobiety na całym świecie, sprzedaż wystrzeli, a jej ojciec wreszcie pokocha ją bardziej niż jej przyrodnią siostrę.

To kwestia godzin. Może minut.

5

Hasło

Antonia prowadzi go do baru nieopodal ronda Embajadores. Na zewnątrz - zlot taksówek. W środku - stado wygłodniałych taksówkarzy. To wstrętna speluna, którą od zamknięcia przez inspekcję sanitarną dzieli tylko jeden karaluch. „Kuchenne koszmary odmówiłyby nagrywania w tym miejscu”, myśli Jon. Ale potem przychodzi zamówienie i och, do diabła z uprzedzeniami. Inspektorowi Gutiérrzewi podają piwo i antrykot z papryką - tak wielki, że ma własny kod pocztowy - które sprawiają, że jedna się ze światem. Antonia zadowala się kanapką z polędwicą i serem oraz niezbyt świeżym kawałkiem tortilli odgrzanym w mikrofalach.

„Na Boga, jak ta dziewczyna się fatalnie odżywia. Nie wiem, jakim cudem jest taka chuda. Jej głowa musi spalać mnóstwo paliwa”.

- A tak w ogóle - odżywa się Jon, kiedy kończą jeść. - Co to za legitymacja, którą pokazałaś temu palantowi?

- Jest prawdziwa. Albo na tyle prawdziwa, na ile prawdziwy może być kawałek plastiku, który nic nie znaczy. Mentor załatwił mi kilka.

- Twój przyjaciel jest pełen niespodzianek.

- To kawał gnojka.

„Wyczuwam jakieś ale”, myśli Jon.

- Ale to, co robi, to, co zrobiliśmy... na coś się przydało. Zawsze. Ze wszystkimi kosztami - mówi i się zachmurza.

Na chwilę przestrzeń między nimi wypełnia dźwięk telewizora - Canal 24 horas.

- Nie chcesz mi nic powiedzieć.

- To moje sprawy - odpowiada Antonia. I nagle wybucha śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Nic. Wcześniej nazwałeś mnie swoją partnerką. To nie jestem już ciężarem, od którego chcesz się jak najszybciej uwolnić?

Jon zakłada ręce na piersi. To ważne pytanie, które zasługuje na przemyślaną odpowiedź. Owszem, Antonia Scott jest nieznośna, skryta, apodyktyczna, źle się odżywia, jest nieprzewidywalna i najprawdopodobniej chora umysłowo lub na skraju szaleństwa.

Ale.

- Nie, tak sędzę. Siedzimy w tym razem i mam ci pomagać do końca. W Bilbao nic na mnie nie czeka. Tylko *amatxo* z bingo i gulaszem.

- Nie miałeś partnera na komisariacie?

- Przeszedł na emeryturę trzy miesiące temu. Dobry facet. Bardzo zabawny. Cristiano Ronaldo w grze w scrabble. Brakuje mi go.

- Chłopak?

- Obecnie nie. A ty?

- Mąż. Już wiesz, gdzie jest.

- Od kiedy?

- Od trzech lat.

- Hm. A ty masz trzydzieści ile?

- Trzydzieści i reszta niech cię nie obchodzi - odpowiada Antonia, rzucając w niego zmiętą i tłustą serwetką.

- No właśnie. Ciało domaga się pewnie nocnego rytmu od czasu do czasu.

Antonia natychmiast oblewa się rumieńcem. Efekt jest niesamowity, jej policzki w ciągu sekundy przybierają kolor purpury. Jon nie widział czegoś takiego od czasu Heidi, a tamta dziewczynka była przecież z kreskówki.

- No nie... Proszę, proszę, panno Scott... A więc miałaś przygody na jedną noc. Tak trzymaj - mówi Jon, podnosząc piwo i wskazując na nią podbródkiem.

Antonia otwiera usta, chce zaprzeczyć, lecz zdaje sobie sprawę z daremności tego gestu.

- Nie ma czego świętować. Nie jestem z tego dumna - mówi szorstko.

- Mała, ciało chce tego, czego chce.

- Teraz ciało chce pracować.

Jon patrzy na nią wnerwiony. Spogląda na zegarek. Ponownie patrzy na nią, jeszcze bardziej wnerwiony.

- Myślałem, że odpoczniemy kilka godzin. Twój przyjaciel Mentor zarezerwował dla mnie pokój w czterogwiazdkowym hotelu. Może i jest skurwielem, ale za to skurwielem z klasą. A ja jestem wykończony.

- To źle myślałeś. Bierz swoje piwo i idziemy do stolika w głębi.

Jon podąża za nią, możliwie najdalej od pozostałych klientów. Antonia pociera ręce o tył spodni, żeby pozbyć się wszelkich śladów tłuszczu, jakie mogły jeszcze na nich zostać, i wyjmuje z torby iPad.

- Jest coś jeszcze, na co musimy zwrócić uwagę, Jon. Rozmowa z Ramónem Ortizem ani trochę mi się nie podobała. Widziałam strach w jego oczach.

- Boi się o córkę. To normalne - odpowiada inspektor. Chciałby wiedzieć, do czego zmierza.

- To normalne - powtarza Antonia i milknie.

- Co takiego zobaczyłaś?

- Nie jestem najlepsza w interpretowaniu ludzkich emocji.

- To oczywiste. Ale...

- Ale w takich przypadkach jak ten strach objawia się na trzy sposoby: niepokojem, niepewnością i traumą. To ostatnie powinno być bardziej obecne. A wraz z tym potrzeba ochrony.

- Nie mówimy o kimś zwyczajnym. To milioner, który zatrudnia tysiące osób.

- Wiem. Ale wciąż jest ojcem tej kobiety.

Jon pociąga długi łyk piwa.

- To wszystko wzięłaś z jakiejś książki, prawda?

Antonia przytakuje powoli.

- No więc ja nie czytałem zbyt wiele, a instynkt podpowiada mi dokładnie to samo. Że ten człowiek nas okłamał.

- Coś ukrywa. A to, czego nie mówi, jest najważniejsze.

- To co mamy zrobić?

- Musimy wyprzedzić trochę Parre i resztę, zanim wyciągniemy więcej wniosków. Trzeba skorzystać z usługi lokalizacji telefonu Carli i zacząć od tego.

- A to dobre - mówi Jon ze zdumieniem. - Do tego nie potrzeba żadnego geniusza. Pierwsze, co zrobił Parra, to zadzwonił do Apple'a, żeby podali mu tę informację.

- I minie kilka dni, zanim mu ją udostępnią. W tej chwili na pewno zajmuje się komputerem z biura Carli, żeby dostać się do jej aplikacji, ale będzie potrzebował hasła do chmury. Którego nie ma.

- No jasne, a ty je zdobędziesz, tak? - pyta Jon, dopijając piwo.

- Mogę spróbować - odpowiada Antonia.

Włącza iPada i zaczyna na nim stukać.

- To absurd, Antonia. Muszą istnieć miliony kombinacji.

- Sześćset czterdzieści pięć bilionów możliwości. Z hakiem.

- Dobra, wygląda na to, że zajmie ci to chwilę, więc idę po drugie piwo.

- Tylko bezalkoholowe, bo zaraz będziesz prowadził.

„Jasne”, myśli Jon, wstając i kierując się do baru. „Jedyne, co będę prowadził, to moje atrakcyjne ciało do łóżka. Jestem ledwo żywy”.

Bierze swoje piwo - i kilka oliwek obeschniętych u góry i mokrych na dole, w tym barze są bardzo hojni - i wraca do stolika. Antonia przestała stukać i czeka na niego z rękami założonymi na piersi.

- Już się poddałaś?

- Nie. Już to mam.

Jon jest tak zdziwiony, że prawie wylewa piwo. Prawie, bo żeby facet z Bilbao wylał piwo, to musi być naprawdę bardzo zdziwiony.

- Nieprawda.

Antonia odwraca iPad, pokazując mu, że zdołała dostać się do konta Carli Ortiz.

- Jak to zrobiłaś?

- Wystarczą podstawy psychologii - odpowiada bardzo poważnym tonem. - Analizujesz osobę, której hasło chcesz zdobyć, myślisz o najłatwiejszych słowach, jakie może wykorzystać, łączysz je z rokiem jej urodzenia, urodzinami syna, ojca, psa, rokiem, w którym skończyła studia... a potem to już podstawowa kombinatoryka. Kilka prób i gotowe.

Jon, który już wcześniej stał z otwartymi ustami, teraz odnosi wrażenie, że będzie musiał podnosić szczękę z podłogi za pomocą dźwigu. I stałby tak dalej, gdyby Antonia nie dodała:

- Miała je zapisane na karteczce samoprzylepnej w szufladzie biurka. Znalazłam je wcześniej, kiedy wyszłam do łazienki. Chodź, zobaczymy, czy namierzymy jej telefon.

Carla

Rzecz w tym, że nikt nie przychodzi.

Carla odnosi wrażenie, że mijają godziny, minuty, miesiące. Nie da się tego stwierdzić, ponieważ czas zniknął.

Bez przerwy jest teraz, a teraz jest ciemnością.

I nikt nie przychodzi.

Nikt nie przyjdzie.

- To tylko kwestia czasu. Posiedzę tutaj spokojnie, bez ruchu jeszcze pięć minut - szepcze.

Carla pozwala, by minęło całe stulecie. Albo minuta. Nie da się tego stwierdzić. Potem zaczyna płakać. Nagle ogarnia ją smutek, tak samo potężny i intensywny, jak złość i wyparcie. Carli jest ogromnie żal Carli, rozpaczliwie żal. Bez względu na to, jaki popełniła błąd, jaka przewina zasłużyła na tę karę - wszystko się skończyło. Niebo płonie bez ognia, światło upadło i się rozbiło. Muzyka, pieszczoty, sprawiedliwość, śmiech - wszystko zostało pochłonięte i został tylko popiół. Po drugiej stronie tych metalowych drzwi nie ma niczego. Świat zniknął. W innych miastach, w innych krajach nie ma ludzi, którzy pracują, jedzą, śmieją się i uprawiają miłość. Gdyby byli, Carla musiałaby nienawidzić tych osób. Lepiej wierzyć, że wszystko zabrał przyływ i samej też pozwolić mu się zabrać.

Dosyc już, głupia.

„Zostaw mnie”.

Wstawaj.

„Nie mogę”.

*Nie możesz, tak samo jak nie mogłaś sprawić,
żeby Borja trzymał fiuta w spodniach?
Nie możesz, tak samo jak nie możesz wracać na czas,
żeby położyć spać swojego syna?
Nie możesz, tak samo jak nie możesz sprawić,
żeby twój ojciec kochał cię bardziej,
niż swoją przyrodnią siostrę?*

„Dosyć już, mamo!”

Carla płacze. Ale to już nie są łzy smutku ani wściekłości, ani wyparcia. Nie wie, co to za łzy, które nawet nie tworzą się w jej suchych oczach i w jej odwodnionym i spoconym ciele.

Wstawaj.

Carla się słucha. Po raz pierwszy, odkąd Ezequiel sobie poszedł, próbuje się podnieść. Mięśnie nóg i rąk nie reagują, są zdrętwiałe. Czuje bardzo silne skurcze, a ból nosa pojawia się znów, jakby wcale nie odszedł kilka godzin – miesięcy albo minut – temu. Wraz z bólem wraca do Carli odrobina świadomości i woli. Wystarczająco, żeby spróbować stanąć na nogi. Nie udaje jej się, uderza ramionami o sufit.

Jest z kamienia. Zimny w dotyku. Szorstki. Nieprzyjemny.

Carla na powrót opada na podłogę. Fakt, że sufit jest tak bardzo blisko, wywołał kolejny atak paniki, z którym poradzenie sobie zajmuje jej wiele minut. Kiedy znowu odzyskuje nad sobą kontrolę, w majtkach i między udami czuje wilgoć i chłód. Zsikała się. To najmniejszy z jej problemów. Największy: nic nie widzi.

Gdyby dorosły przyjaciel Carli zapytał ją w zeszłym tygodniu, czego się boi, Carla sporządziłaby dorosłą listę: starości, braku miłości, niekompetencji rządzących. Ale Carla nigdy nie przyznałaby się do tego, co przyznała – z czystego strachu – Ezequielowi kilka dni, godzin albo miesięcy temu.

Carla panicznie boi się ciemności.

Odkąd miała trzy latka, za każdym razem, gdy gasła lampka w jej pokoju, krzyczała i krzyczała, aż mama znowu ją włączała. Aż do trzynastego roku życia musiała spać przy zapalonym świetle. Bez niego zupełnie nie potrafiła zasnąć.

Kiedy miała trzynaście lat, pewnej nocy przyrodnia siostra weszła do jej pokoju i wyrwała niebieskie światło ze ściany.

- Nie jesteś już małym dzieckiem - powiedziała.

Rosa nie jest zła, nigdy taka nie była. Ale nie darzyła też Carli wielką miłością. Matka Rosy zmarła, kiedy dziewczynka miała osiem lat. Jej ojciec ożenił się ponownie i na świat szybko przysłała Carla. Rosa oba te wydarzenia odebrała jako zdradę pamięci jej matki. Być może dlatego w sposobie, w jaki traktowała Carlę, zawsze znajdował się cień okrucieństwa. A może to tylko wzajemna fizyczna antypatia, którą zawsze do siebie czuły. Rosa, ze swoim zezowatym okiem i przy kości, z prostą chłopięcą fryzurą, z jej miłością do książek i dziwnym, ciężkim chodem, który Carli zawsze przypominał chód zranionego zwierzęcia. Rosa na tę dziewczynkę o długich nogach i jasnych kręconych włosach, która wszystkim się podobała, którą wszyscy starali się zadowolić, zawsze patrzyła jak na muchę w zupie.

Oczywiście, kiedy zabrała światło, w jej oczach był chłód.

Może nienawiść.

Na nic nie zdały się protesty i błagania Carli. Jej matka okazała zrozumienie. Ojciec - nie. Wychowywał Carlę, żeby została jego dziedziczką, którą Rosa nie chciała być. Ona studiowała, żeby zostać lekarką. Ubrania jej nie obchodziły. Uważał więc, że wszystko, co zahartuje Carlę, jest dobre.

Carla się nie zahartowała, a przynajmniej nie pod tym względem. Na podłogę w swoim pokoju rzucała różne rzeczy, aby mieć usprawiedliwienie, jeśli ojciec wejdzie i zobaczy włączone światło. „Dzięki temu o nic się nie potknę, jeśli wstanę”, wyjaśniała. Chociaż szybko nauczyła się kłaść ręcznik pod drzwi, żeby spod spodu nie przebijał blask.

W ciemności czaiły się potwory. Nieuchwytne kształty żądne twojego ciała i szpiku z twoich kości, które nie mogły się doczekać, żeby zatopić w nich swoje ostre zęby. Może nie możesz zobaczyć potworów, ale one oczywiście mogą widzieć ciebie.

Carla zawsze o tym wiedziała.

Okazuje się, że miała rację.

Teraz musi stawić czoło ciemności, której tak bardzo się boi. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby się w niej poruszać, odnaleźć się w niej. Ale wygląda na to, że jej umysł nie chce współpracować. Nieuchwytne kształty wróciły, tyle że tym razem wyglądają inaczej. Mężczyzna w kamizelce odblaskowej, mężczyzna z nożem. Wyobraża go sobie po tej stronie metalowych drzwi, czającego się w mroku z przygotowanym ostrzem, czekającego, aż ona wyciągnie rękę, żeby wbić nóż w jej otwartą dłoń.

Zaczynaj od czegoś prostego.

Uklęknij.

Carla próbuje słuchać głosu, bo co innego może zrobić?

Drży, ale udaje jej się przejść od pozycji embrionalnej, w której się znajduje, do uklęknięcia na podłodze. Następnie opiera się na dłoniach. Wreszcie się prostuje.

Teraz do góry.

Podnosi rękę, tak powoli, że prawie nie czuje ruchu. Kiedy opuszki palców sięgają do sufitu – ledwie muśnięcie paznokciami – błyskawicznie cofa rękę, jakby oparzyła się gorącą patelnią. Próbuje ponownie i tym razem udaje jej się dotknąć sufitu opuszkami palców. Trzeci raz. Przesuwa po nim dłońmi. Znajduje się mniej więcej dwadzieścia centymetrów od jej głowy, gdy klęczy. Może metr dwadzieścia od podłogi?

Teraz nadchodzi najtrudniejsze.

Teraz musi się ruszyć.

Nie czeka, aż głos powie jej, że ma to zrobić. Już to wie. Musi się dowiedzieć, gdzie jest, musi sprawdzić, czy ma do dyspozycji jakieś narzędzie. Przez dłuższą chwilę zastanawia się, jak to zrobić. Wreszcie postanawia iść na czworakach. Najpierw znajduje metalową płytę, która służy za drzwi jej więzienia. Przywiera do niej biodrami i nogą, jedną rękę kładzie na podłodze – próbując nie myśleć o tym, co może po niej biegać albo pełzać na swoich keratynowych łapkach – a drugą porusza przed sobą. Rozcapierzone palce. Szukające. Macające.

W ten sposób udaje jej się znaleźć krawędzi drzwi. W górnej części jest coś w rodzaju wywietrznika, mnóstwo małych dziurek. Próbuje przystawić oko do jednej z nich, ale nie widzi niczego. Jednak wpada przez nie strumień świeżego powietrza, niewielki, lecz wyczuwalny.

Carla szacuje, że drzwi muszą mieć jakieś dwa metry wysokości.

Trzeba sprawdzić resztę. Carla ma tego świadomość, ale odsunięcie się od metalowych drzwi nie jest łatwe. Odsunięcie się od kierunku, który w jakiś sposób określiła jako kierunek ucieczki. Podjęcie decyzji zajmuje jej długo.

Musisz ruszyć się dalej.

Musisz wiedzieć, gdzie jesteś.

Kiedy to robi, korzysta z tej samej metody. Przywiera ramieniem do ściany i zaczyna iść na czworakach z wyciągniętą ręką. Nie zajmuje jej to długo. Ściana przeciwnie do metalowej płyty znajduje się w odległości zaledwie półtora metra. Cały jej świat jest teraz zredukowany do powierzchni o wielkości trzech metrów kwadratowych.

W rogu Carla natrafia na coś w rodzaju dziury.

„Chyba znalazłam łazienkę”.

Milion lat temu, podczas miesiąca miodowego z Borją, wykrzyknęła to samo zdanie z jednego końca bungalowu o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych na jednej z wysp Fidżi, podczas gdy po drugiej stronie jej świeżo poślubiony mąż dawał bagażowemu zbyt wysoki napiwek, żeby wyniósł się jak najprędzej.

Dysonans między wspomnieniem a jej rzeczywistością jest tak wielki, że Carla wybucha śmiechem. Histerycznym, niepoświadczonym. Głośnym. Śmieje się do łez.

I właśnie wtedy słyszy, jak ktoś woła ją zza ściany.

6

Lokalizacja

Inspektor Gutiérrez nigdy nie lubił zarywać nocy.

Zwykle zasypia około północy w piżamie na kanapie przy włączonym serialu. Trzy chrapnięcia i idzie do sypialni, powłócząc nogami, kiedy akurat pojawia się kolejny odcinek, a logo Netflixa wydaje dwa głośne uderzenia. Niestety źli ludzie wybierają noc na robienie złych rzeczy. Tak więc zarywanie nocy jest obowiązkiem, gdy wykonuje się zawód, który wybrał.

„Ja go nie wybierałem. To on wybrał mnie”.

Kiedy skończył liceum, kiedy musiał zacząć życie, Jon się bał. To, co opowiedział Mentorowi, jest prawdą. Ale było także coś w nim, jakiś ogień, z którego zostało więcej niż rozżarzone węgle. Nazwanie tego ognia oznaczałoby zmniejszenie go. I tak wydał osiemset siedemdziesiąt cztery pesety na opłatę za egzamin wstępny. Stawił się, przeszedł testy fizyczne (nie żeby był gruby, ale ta część trochę go kosztowała) i znalazł się w akademii w Ávili, a później z bronią w ręku i w mundurze, a następnie pomagając ludziom na ulicy. Rok w Pampelunie i kolejne dwa lata w La Rioja. Nawet uniknął legitymowania, chociaż *amatxo* mówił, że tym się właśnie zajmuje, a ona udawała, że w to wierzy. W końcu wrócił do Bilbao, został inspektorem i ten zawód siedział w nim już tak głęboko, że nigdy nie mógłby go z siebie wyrwać. A ten ogień, mimo tego całego gówna, jakie widział, nadal rozsądnie w nim płonie w wieku czterdziestu kilku lat.

Do tego ognia sięga inspektor Gutiérrez, wyczerpany po trzech bardzo długich dniach, kiedy wraca z Antonią do samochodu

i uruchamia silnik. Aplikacja Znajdź mój iPhone z konta Carli Ortiz wyrzuciła punkt na mapie i tam się teraz udają.

- Telefon jest wyłączony - odzywa się Antonia. - I jest coś, co mnie dziwi. Ktoś taki jak Carla Ortiz powinien mieć laptop.

- Jaki komputer miała w domu?

- iMac Pro. Najdroższy od Apple'a.

- Jest dyrektorką, która często podróżuje. Powinna mieć laptop tej samej marki.

- A ten powinien mieć tę samą usługę lokalizacji w chmurze, co reszta urzędzeń.

Jon, który nigdy nie był fanem Apple'a, nie do końca rozumie, jak to wszystko działa.

- Nie do końca rozumiem, jak to wszystko działa - mówi.

- Kupujesz sobie urządzenie i przypisujesz je do swojego konta. Jeśli ci je kradną albo je gubisz, łączysz się ze swoim kontem z jakiegoś innego przy użyciu hasła i możesz sprawdzić, gdzie się znajduje. Albo, jak w tym przypadku, jaka jest ostatnia lokalizacja. Kiedy urządzenie włączy się ponownie i połączy się z internetem, aktualizuje tę informację w chmurze.

- A laptopa brak?

- Tak. No więc albo go nie ma, w co wątpię, albo ktoś usunął go z chmury. A do tego potrzebne jest hasło.

- A zatem albo zrobiła to Carla, albo ktoś zmusił ją, by podała mu hasło.

- Właśnie. Tak więc możliwe, że wciąż żyje.

Dobra wiadomość. Trochę benzyny do ognia.

- Już dojeżdżamy - mówi Jon.

Dotarcie na miejsce zajęło im niecałe dwadzieścia minut. Nie ma jeszcze szóstej rano i M-30 jest prawie pusta, więc Jon trochę depnął na gaz. Niedużo, bo nie lubi pędzić. Ale czas mija dla Carli Ortiz, a to jest pierwsza solidna wskazówka, jaką mają.

- Nie przestrasz się, jeśli dociągnę do stu czterdziestu - mówi Antonii. Ona nawet nie mruga i na miejsce docierają w mgnieniu oka.

Nie wiedzą tylko zbyt dobrze, gdzie dotarli. Jon zatrzymuje samochód, kiedy GPS informuje, że „dotarł do celu”. Są na pustej drodze.

- Ico teraz?

- Te systemy nie zawsze są precyzyjne, przede wszystkim na terenach niezamieszkałych - mówi Antonia. - Jeśli w mieście pokazuje z dokładnością do pięćdziesięciu metrów, to tutaj, na polu, może być dwieście albo i więcej.

- A jeśli ten cały Ezequiel wyrzucił telefon przez okno samochodu, to znaczy, że musimy szukać dziesięciocentymetrowego przedmiotu na obszarze... jak dużym? Jestem kiepski z matematyki.

- Na stu dwudziestu pięciu tysiącach sześciuset sześćdziesięciu czterech metrach kwadratowych - odpowiada Antonia po chwili. - W zaokrągleniu.

- W zaokrągleniu... Będziemy musieli przyjechać tu w ciągu dnia. Izmnóstwem ludzi.

- Nie trać tak szybko nadziei. Spójrz, tam coś jest.

To nie budynek, wygląda raczej jak grupa budynków otoczonych murem. Przy wjeździe świeci się światło. Brama wjazdowa ma kolor butelkowej zieleni z budką wartownika. Jon zatrzymuje samochód tuż przy niej i dwukrotnie puka w szybę.

- Chyba nikogo nie ma - mówi Antonia.

- Całe szczęście, że drzwi są otwarte - cieszy się Jon. Schyla się przy wejściu do budki i wyjmuje coś z kieszeni.

Siedem lub osiem lat temu, pewne popołudnie

Jon gonił złodzieja, którego miał już po dziurki w nosie. Luis Miguel Heredia już po raz czwarty uciekał przed nim na własnych nogach. Jego nogi były lekkie, jak to u nastolatka. Nogi Jona słabsze i wolniejsze (nie żeby był gruby). Chłopak był coraz śmielszy i uciekanie ówczesnemu podinspektorowi Gutiérrezowi traktował jak zabawę. Taki był uradowany, że biegnąc, odwrócił się, żeby pokazać Jonowi podwójny środkowy palec. Tak pechowo – lub szczęśliwie, zależy kogo zapytać – że kiedy odwrócił się ponownie, przywalił nosem w znak ustęp pierwszeństwa przejazdu. Huk było słychać nawet po drugiej stronie rzeki.

Jon dogonił go kilka – no, kilkanaście – sekund później. Luismi Szczur, bo tak był znany na ulicy, zaczynał do siebie dochodzić. Usta miał całe we krwi.

– Już nie biegнешz, co, Luismi? – zapytał Jon, opierając ręce o kolana. Jeszcze nie odzyskał całkiem tchu. Kusiło go, żeby kopnąć go w jaja, by mieć pewność, że się nie podniesie i nie pobiegnie dalej. Bardzo go kusiło, czuł już mrowienie w czubku prawej stopy.

Zamiast tego schylił się i pomógł mu oprzeć się o znak, który przerwał jego bieg.

Kiedy chłopak się podnosił, krew zabarwiła na czerwono przód białej koszulki reklamowej Andamios Atxukarro S.L.

– Cholera, to moja jedyna czysta koszulka – powiedział, wypluwając więcej hemoglobiny na spodnie własne i policjanta.

- Już nie - odparł Jon, wyjmując z kieszeni chusteczkę i przyciskając mu ją do nosa, żeby zatamować krwotok. - Ani mi się waź znowu uciekać, bo wydrę ci duszę.

- Ja jestem od biegania - chciał powiedzieć, ale spod chusteczki i ze ściśniętym nosem, zabrzmiało to raczej jak „jachesteotbiechania”.

- Jesteś dupkiem. Jak wyważasz drzwi w Otxarkoaga? Nie wiesz, że tam mieszkają sami biedacy?

„Jasne, chłopak mieszka w dzielnicy San Francisco, która jest jeszcze gorsza”.

- To gdzie mam kraść?

- Wynoś się do Abandoibarra, dzięki temu się od ciebie uwolnię. Na dodatek tam może nie rozwałą ci łba, jeśli cię złapią. Co najwyżej cię zatrzymają.

Luisi pokręcił głową na tyle, na ile pozwalała mu wielka ręka Jona.

- Barik wychodzi bardzo drogo. - Miał na myśli kartę transportu miejskiego. - I drzwi są mocniejsze.

- Tutaj niewiele zdobędziesz. - Jon zabrał chusteczkę, krwotok ustał. - No już, na komisariat.

Luisi się spiął i był gotów uciekać, ale każde ramię Jona waży mniej więcej tyle, co on sam, i oba miał na sobie.

- Nie mogę iść na komisariat. Jutro mam egzamin i nic się nie uczyłem.

- Egzamin? Z czego ty możesz mieć egzamin?

- Kończę szkołę zawodową.

- Bez jaj.

- Przysięgam.

Wyciągnął z plecaka zeszyt z notatkami. Leżał pod sześcioma telefonami i nie wyglądało na to, żeby je kupił.

- Puść mnie, no już. Przecież sędzia i tak by mnie jutro zwolnił, jestem niepełnoletni.

Jon drapał się przez chwilę po głowie i w końcu puścił Luismiego. Ten obiecał, że w zamian pokaże mu, jak wyważać drzwi.

- To bardzo łatwe, nawet taki stary *txakurra** jak ty może się tego nauczyć.

Jon niczego nie oczekiwał, nie wierzył też, że chłopak mówił poważnie o egzaminie, możliwe, że nawet ukradł zeszyt, kto go tam wie. Ale dwa miesiące później Luismi przyszedł na komisariat przy Gordóniz i zapytał o Jona. Przyniósł pod pachą tytuł zawodowy i małą walizkę dla niego.

- Już nie kradnę - powiedział. - Chodź, idziemy do twojego domu.

- Ty do mojego domu nie pójdziesz, tam jest moja matka.

Zabrał go więc do opuszczonego budynku niedaleko pasma górskiego Artxanda i tam Luismi pokazał mu, jak używać narzędzi z małej walizki na wszystkich zamkach, jakie znaleźli.

- Rzecz polega na czuciu w opuszkach palców. Musisz poczuć takie delikatne wibracje, a potem ciach.

- Ach, złodzieju, pewnego dnia uszczęśliwisz jakąś kobietę - powiedział Jon, nie przestając manewrować wytrychem.

- No pewnie. Wiesz, ile zarabia ślusarz?

* *Txakurra* (bask.) - pies.

7

Centrum Hipiki

- Gotowe - mówi Jon, kiedy udaje mu się ustawić w linii prostej elementy cylindra i ten przekręca się z trzaskiem. Nie może uniknąć nutki goryczy, gdy przypomina sobie, ile lat miał Luismi, kiedy rąbnął w znak. Z pewnością nie był dużo starszy od chłopaka, którego znaleziono wykrwawionego w La Fince. Dwa zupełnie odmienne życia.

Podnosi się i najpierw wpuszcza Antonię do środka.

Z budki na teren ośrodka prowadzą drzwi, które mają tylko wewnętrzną zasuwkę. Po drugiej stronie - ogromne patio i głucha cisza. Naprzeciwko nich stoi parterowy budynek. Po prawej, przyklejony do ściany, drugi. Wszędzie ciemność.

- Tutaj trzymają konie - mówi Jon.

- Skąd wiesz?

- Nie czujesz?

- Nie.

- Ach. Racja. Wybacz - przeprasza Jon, przypominając sobie o problemie Antonii.

Nagle latarka oświetla im twarze. Jon instynktownie staje przed swoją partnerką.

- Stać! Ręce do góry!

- Spokojnie, bez paniki - mówi Jon, mimo wszystko podnosząc ręce. - Jesteśmy z policji.

Ochroniarz opuszcza latarkę i kieruje promień światła na ziemię. Nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Ani pistoletu. Kazał im podnieść ręce, uzbrojony jedynie w latarkę i bardzo silną wolę.

- Jak tu weszliście?

- Drzwi budki były otwarte. Komu przyszło do głowy je tak zostawiać?

- To mój pierwszy tydzień. Nie powinniście wchodzić.

- Pukaliśmy, ale nikogo nie było.

- Poszedłem do kibla.

- Masz słomę na ramieniu - wtrąca Antonia, wskazując bluzę ochroniarza.

- No dobra, w porządku, zdrzemnąłem się na tyłach stajni, na belach siana. Ta pora pod koniec zmiany jest najgorsza. Trudno wytrzymać.

- W taki sposób nie utrzymasz tej pracy drugi tydzień. A skąd wiesz, że jesteśmy z policji, skoro nie poprosiłeś nas o legitymację?

Chłopak zastanawia się przez chwilę.

- Po co mielibyście mówić, że jesteście z policji, gdybyście nie byli?
„Niepodważalny argument”.

- Pewnie o czymś zapomnieliście - ciągnie ochroniarz. - Wasi koledzy byli tutaj całe popołudnie. Odjechali, kiedy przyszedłem na zmianę. Szukali skradzionej klaczy czy coś takiego. Mój szef pokazał im cały kompleks, ale nic nie znaleźli.

Antonia i Jon patrzą na siebie.

- A do kogo należała ta klacz? - pyta ona.

- Bo ja wiem, nam nigdy o niczym nie mówią. Jestem tylko nocnym stróżem. Wiem tyle, że jakaś klacz miała przyjechać wczoraj w nocy, a nie przyjechała.

- Przepraszamy na chwilę - odzywa się Jon, biorąc Antonię na stronę.

- To tutaj Carla musiała przywieźć swoją klacz na jutrzejsze zawody - mówi Antonia. - To nowe miejsce, nie ma go nawet na Google Maps.

Jon włącza latarkę w swoim telefonie i oświetla tablicę na ścianie. WIELKA INAUGURACJA CENTRUM HIPIKI MORALEJA SPORT CLUB AND SPA. Akurat następnego dnia. Na liście uczestników znajduje się Carla Ortiz razem ze swoją klaczą Maggie.

- Proszę bardzo, tu ją masz. Na oczach wszystkich.

- Rozejrzyjmy się - prosi Antonia.

- Ci z WPW już pewnie wszystko dokładnie przeszukali.

- Wiem. Ale jej telefon jest w promieniu dwustu metrów. A gdzie miałyby być, jeśli nie w miejscu, gdzie rzekomo...

Antonia nie kończy zdania. Odwraca się i biegnie w stronę ochroniarza.

- Potrzebuję drabiny.

- Drabiny? Może w składziku...

- Dobra, nieważne.

Niedaleko wejścia stoją dwa śmietniki w kolorze butelkowej zieleni, niemal czarne w ciemności. Antonia podchodzi do jednego z nich i wchodzi na pokrywę. Potem próbuje wspiąć się na mur, ale jest dla niej za wysoki.

- Nie pomożesz mi?

Jon, który ze zdumieniem obserwował tę operację, podchodzi do śmietnika. Nie wie, co jest w środku, ale z pewnością nic, co chciałby oglądać. Antonia oczywiście nie musi się tym martwić.

- Oszalałaś, jeśli sądzisz, że wejdę na ten pojemnik. To garnitur od Toma Forda.

- Ten garnitur nie jest od Toma Forda. Ze swoją pensją nie możesz sobie na taki pozwolić.

- Dobra, ale to niemal idealna podróbka. A ty wiesz, ile zarabiam?

- Zamknij się i włącz tu. Ja ci kupię garnitur od Toma Forda, prawdziwy.

- Ale przecież ty nie masz ani grosza. Karmią cię sąsiedzi.

- Włącz i powiem ci, jaką kasę dostaniesz od Mentora za to, że mi pomagasz.

Jon próbuje wejść w tym samym miejscu, co ona, ale nie udaje mu się wspiąć na pokrywę. Nie żeby był gruby.

- Chodź tu i pomóż mi - mówi, przywołując ochroniarza.

Ten podchodzi i krzyżuje ręce na wysokości kolan, żeby podsadzić Jona.

- Gdybym tylko wiedział, co, do diabła, zamierzacie zrobić.

- Gdybym ja to wiedział, młody.

Może chłopak nie jest najbystrzejszy, ale za to silny i udaje mu się utrzymać ciężar inspektora Gutiérreza, żeby ten wspiął się na tłusty śmietnik. Z niewielką gracją i jeszcze mniejszą godnością, niezdarnie nierzadym samobójca bez powołania. Ale wchodzi.

- To jaką dostanę kasę?

- Później ci powiem. Pomóż mi.

Jon powtarza sposób, jaki ochroniarz zastosował wobec niego, i Antonia wdrapuje się na mur, na którym na szczęście nie ma potłuczonego szkła. Najpierw siada na nim okrakiem, a potem staje. Jon przypuszcza, że nie wchodzi tam koty. Ale nie zajmuje tym myśli. Wystarczy, że musi dopilnować, aby jego partnerka nie spadła, nie dotykając jej przy tym, i nie stracić równowagi na pokrywie śmietnika, która zaczyna się niebezpiecznie wyginać pod jego stu dziewiętnastoma kilogramami.

„Na Boga, dziewczyno, pośpiesz się”.

8

Mur

Stojąc na murze, Antonia obserwuje ciemność, która zaczęła się rozpuszczać w świetle indygo poprzedzającym dzień. Jest zimno, do świtu zostało jeszcze długie pół godziny, ale korony sosen odznaczają się już, rozmyte, na tle nieba, które zmienia kolor z czarnego na szary. Wiatr wrywa szepty z lasu sosnowego, a brzęczenie cykad dzieli czas na nieprzyjemne interwały. W głębi krajobrazu, bardziej niż widać, wyczuwa główną drogę. Do niej dobiega boczna, ledwie ścieżka, jeszcze niewyasfaltowana.

Antonia nie wyjmuje iPada, żeby określić swoje położenie. Ekran by ją oświetlił, a ona potrzebuje, żeby oczy przyzwyczyły się do mroku.

Ma lepszą metodę.

Przywołuje w pamięci mapę tej okolicy, którą analizowała, kiedy tu jechali. W myślach nakłada ją na rozciągający się przed nią krajobraz. Centrum Hipiki znajduje się na szczycie wzgórza, liczącego około dwudziestu metrów, otoczonego dwoma lasami sosnowymi, które łączą się za kompleksem.

„Ktoś ukradł naturze mnóstwo hektarów, żeby bogacze mogli jeździć konno”, myśli i natychmiast stara się wyrzucić rozpraszające myśli, wszystko, co nie ma związku z zadaniem.

„Tutaj. Teraz”.

Na jej mentalnej mapie zaczyna się konfigurować pozycja miejsca, do którego dodaje punkt, w którym usługa lokalizacji zaznaczyła ostatnie połączenie z telefonem Carli. Zakreśla wokół niego koło i oblicza położenie względem miejsca, w którym się znajduje.

Jest prawie na przeciwległym przecięciu.

„Czegokolwiek szukamy, nie ma tego w Centrum Hipiki”, myśli.

Teraz na tej mentalnej mapie wizualizuje samochód Carli Ortiz, który przemieszcza się z głównej drogi do Centrum Hipiki. Linia urywa się w miejscu, w którym nakreśliła mentalne przecięcie.

Po jej lewej stronie wyraźnie widać wznoszący się teren, las sosnowy stopniowo się podnosi i zamienia w górę. Nie jest to miejsce, w które można się dostać samochodem. W przeciwnym kierunku, po jej prawej stronie, nachylenie jest łagodniejsze.

Chociaż go nie widzi, Antonia wie, że między tamtymi drzewami jest ścieżka.

- To musi być tam.

Carla

Początkowo Carla sądzi, że to, co usłyszała, to głos, który rozbrzmiewa w jej głowie. Głos, który nie istnieje. Głos, który przypomina głos jej matki, ale to nie może być ona, ponieważ matka zmarła jedenaście miesięcy temu. Wtedy słyszy:

- Halo? Jest tam kto?

Słumiony głos dociera zza ściany.

„Już idą. Idą po mnie!”

Serce Carli zaczyna szybciej pompować krew, adrenalina gwałtownie rośnie. Wreszcie. Wiedziała, że musi wytrzymać. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Idzie na czworakach w stronę ściany i zaczyna w nią uderzać.

- Tak! Jestem tutaj! Pomóż mi, proszę, pomóż mi!

Po drugiej stronie panuje cisza. Ciężka cisza.

- Halo? Słyszysz mnie? - odzywa się znowu Carla.

- Ciebie też złapał - odpowiada druga osoba.

To głos kobiety, słodki, z madryckim akcentem przebijającym się przez rozczarowanie.

Ekscytacja Carli zamienia się w rozgoryczenie. Nie rozmawia z jednym ze swoich wybawców, lecz z inną ofiarą. Płacz wraca, utyka jej w gardle, z wielkim wysiłkiem zawraca go z powrotem do żołądka.

- Jak się nazywasz? - pyta.

- Nie... nie wiem, czy powinnam ci mówić.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, kim jesteś.

Ta druga kobieta brzmi tak, jakby była bardzo, bardzo przestraszona. Ten fakt, zamiast zarazić ją strachem, w jakiś sposób zaszczepia w Carli

odwagę.

- Ja nazywam się Carla... - Chce podać swoje nazwisko, ale w porę milknie.

- Ja jestem Sandra - odpowiada tamta po bardzo długiej chwili.

- Wiesz, gdzie jesteśmy, Sandra?

- Nie. - Brzmi tak, jakby zaraz miała się rozpląkać.

- Wiesz, kto nas porwał?

- Taki wysoki mężczyzna. Wsiadł do mojego samochodu. Miał nóż.

- Podał ci swoje imię?

- Ezequiel. Powiedział, że ma na imię Ezequiel.

- Zrobił ci krzywdę?

Wtedy Sandra się załamuje. Przez długie minuty słysząc jedynie cichy i rozpaczliwy szloch. Dźwięk jest tłumiony przez oddzielającą je ścianę.

Ale nie lęk.

Lęk przenika przez cegły niczym delikatna i trująca mgła, która przedostaje się do płuc Carli. Ponieważ wie - przeczuwa - że los Sandry jest również jej losem.

- Zrobił ci krzywdę - mówi Carla, kiedy tamta nieco się uspokaja.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Carla owszem, chce o tym rozmawiać, uważa wręcz, że nigdy nie było tematu, który interesował ją bardziej niż to, co ten człowiek zrobił Sandrze.

Przełyka ślinę. Stara się jej nie zmuszać. Nie chce, żeby się w sobie zamknęła. Na myśl przychodzi jej profesorka negocjacji z Brompton. „Nigdy nie okazuj zaniepokojenia otrzymaną informacją, nigdy nie daj się ponieść emocjom”. Miss Rathe. Co za suka. Ale ją cisnęła. „Pewnego dnia te umiejętności mogą uratować ci życie”, powtarzała. Jasne, gdyby mogła je sobie przypomnieć.

Odwróć uwagę. Zmień temat. Pójdź okrężną drogą, żeby dotrzeć do tego samego miejsca.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem taksówkarką – odpowiada Sandra. – A ty?
- Pracuję w firmie odzieżowej. Na szczeblu zarządzania.
- W której?

Carla podaje jej nazwę.

- Mam wasze rzeczy – mówi taksówkarka. – Kupuję głównie na wyprzedzających. Chociaż nie zawsze są moje rozmiary.

Jasne, że nie, ponieważ kluczowe dla biznesu jest to, żeby wszystko, co wykładają, zeszło bardzo szybko i w ten sposób zmusza się klientki, by odwiedzały sklepy co dziesięć dni. Tak to wymyślił jej ojciec – genialny pomysł, dzięki któremu pieniądze płynęły szerokim strumieniem.

- Byłam tam w zeszłym tygodniu – dodaje Sandra. – Znalazłam taki niebieski top, który mi się spodobał. W białe kwiaty. Ale był bardzo drogi, nawet z rabatem.

Carla wie, o który top chodzi. To jeden z hitów sezonu. Chociaż ona nie jest do niego przekonana.

- Sandra, kiedy stąd wyjdziemy, osobiście pójde z tobą do sklepu i weźmiemy wszystko, co zechcesz.

- Zrobiłabyś to dla mnie?

- Jasne.

- Jeśli wyjdziemy.

Obie milczą.

- Jak to się...?

- Kończyłam pracę, była noc. Zatrzymał furgonetkę obok mnie i się na mnie rzucił. Poczułam ukłucie na szyi. Chyba mnie odurzył. Obudziłam się tutaj. Od tamtej pory nie czuję się dobrze.

- Co ci jest?

- Cały czas bardzo chce mi się spać. Chyba dosypuje mi coś do wody. Smakuje dziwnie, gorzko. Strasznie trudno mi nie zasnąć – mówi. Jej głos rzeczywiście jest coraz bardziej przygaszony.

Nagle zaalarmowana, Carla odszukuje swoją butelkę wody, w której została ledwie jedna trzecia. Odkręca zakrętkę, bierze krótki łyk. Nie ma smaku ani zapachu.

Bez względu na to, co zamierza Ezequiel, nie traktuje ich jednakowo.

- Niczego nie pij.

- Jest bardzo gorąco i strasznie chce mi się pić. I zanim wyszedł, powiedział, żebym dopiła wodę, bo jeśli nie...

- Wyszedł? Jak to wyszedł?

Dokąd wyszedł? Zostawił je tutaj same? Myśl jest przerażająca, ambiwalentna. Z jednej strony wywołuje ulgę, z drugiej zaś nieokreślony strach. A jeśli coś mu się stanie? A jeśli będzie miał wypadek i nikt ich nigdy nie znajdzie? Carli nie przychodzi do głowy bardziej okrutny los niż śmierć z głodu i pragnienia w tych ciemnościach. Potrzebują Ezequiela, by pozostać przy życiu. A Carla musi się dowiedzieć, skąd Sandra wie, że Ezequiel wyszedł.

Dziewczyna nie odpowiada.

- Sandra. Posłuchaj mnie. Nie możesz zasnąć. Sandra.

- To trudne. - Jej głos jest ledwie słyszalny.

- Skąd wiesz, że wyszedł? Skąd to wiesz, Sandra?

Cisza trwa całą wieczność.

Zostaje przerwana na chwilę...

- Jest... dziura.

A potem już nic.

9

Ścieżka

- Musi być gdzieś tutaj - mówi Antonia jedenaście sekund po wejściu na mur.

- Co takiego?

- Ścieżka między drzewami.

- Widzisz ją w takiej ciemnicy?

- Widzę ją w mojej głowie. Pomóż mi zejść, boję się odwrócić.

- Co? Chcesz, żebym cię zniósł?

- Myślę, że dasz radę.

- Dziewczyno, dam radę z czterema takimi jak ty.

„Może pięcioma”, myśli Jon, chwytając Antonię w pasie i zabierając ją z muru. Jako *harrijasotzaille* ze swoim rekordem wynoszącym prawie trzysta kilogramów, ta chuda kobieta, która musi sobie wkładać kamienie do kieszeni, żeby nie porwał jej wiatr, wydaje mu się lekka jak piórko.

- Myślałem, że nie lubisz, jak ktoś cię dotyka.

- Bo nie lubię. Ale kiedy jestem o tym uprzedzona, jest znacznie łatwiej.

Wracają do samochodu, pożegnawszy się z ochroniarzem, który prosi ich tylko o to, by nie mówili nikomu, że zostawił otwarte drzwi budki.

- Bez obaw - zapewnia go Jon - będziemy milczeć jak grób.

- Skręć w tę drogę. I jedź powoli, najwolniej, jak tylko możesz - przekazuje mu Antonia, kiedy Jon siada za kierownicą. - I włącz długie światła.

Reflektory xenon audi A8 – tak mocne, że gdyby skierować je w niebo, mogłyby wezwać zamaskowanych mścicieli – zamieniają świt w biały dzień, w miarę jak Antonia idzie przed samochodem, drogą w dół. Wzrok utkwiony w prawą stronę, torba mocno przyciśnięta do ciała i bardzo krótki krok, tak krótki, że Jon musi cały czas hamować. Żeby jej nie potrącić, bo to nie przystoi. Audi, które nie zostało stworzone z myślą o takim spacerze staruszki, protestuje, chce się wyrwać do przodu, trzeba je nieustannie powstrzymywać.

– Można wiedzieć, czego szukamy? – pyta Jon, wystawiając głowę przez okno.

Antonia każe mu się zamknąć, machając ręką bez odwracania.

Parę minut później GPS podaje mu informację.

– Dotarliśmy do miejsca, które wpisałaś wcześniej w nawigację – mówi, ponownie wystawiając głowę.

Dziesięć metrów dalej Antonia przystaje i schyla się obok krzaków i zarośli rosnących przy drodze, znikając na sekundę z pola widzenia. Kiedy wstaje, ciągnie coś.

Jon się prostuje i dostrzega, że ciągnie krzaki, które nie są przytwierdzone do podłoża korzeniami, jak przystało na krzaki, tylko rzucone byle jak.

Antonia pokazuje mu, żeby zaparkował. Jon natychmiast zauważa, że krzaki zasłaniają drogę gruntową między drzewami, ledwie zakurzoną ścieżkę. Jego uwagę zwraca błysk z prawej strony, wysiada więc z samochodu, żeby to sprawdzić.

– Chyba coś widziałem – odzywa się do swojej partnerki.

W zaroślach znajdują ukryty odbijający światło przedmiot. Jon ciągnie za niego, jest zaczepiony. Kiedy wreszcie ustępuje i znajduje się w blasku reflektorów, Jon wydaje z siebie gwizd.

– Chyba zaczynam rozumieć, co się tutaj stało.

Antonia stawia znak i usuwa kilka suchych liści, które przykleiły się do napisu OBJAZD ROBOTY BUDOWLANE.

– Prawie nowy.

- Na pewno go ukradł.

- Niekoniecznie. Można takie kupić w internecie. Kosztują niecałe dwadzieścia euro.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy? - dziwi się Jon, patrząc na nią kątem oka.

- Z ciekawości, jak prawie wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że każdy może kupić oficjalny znak i zamknąć drogę za mniej niż cenę steku z ziemniakami?

- Jeśli chcesz, możesz go nawet spersonalizować, dodając nazwę urzędu miasta - wyjaśnia Antonia, wskazując róg znaku, gdzie wyraźnie widać napis URZĄD MIASTA LAS ROZAS.

- Inikt nie wymaga żadnych dokumentów?

- Nie. Robią tak, jak nasz przyjaciel ochroniarz z Centrum Hipiki. Po co masz mówić, że jesteś z urzędu miasta, skoro nie jesteś?

„Na przykład, jeśli jesteś psychopata, który chce przekierować kogoś z drogi, żeby móc go porwać”, myśli Jon. „Ale do tego właśnie przyczynił się internet. Nie tylko podaje nasz adres, nasz numer telefonu, nasze zwyczaje do dyspozycji każdego pieprzonego szaleńca. Udostępnia także narzędzia, by zrobić nam krzywdę”.

- Ruszajmy dalej, zobaczymy, dokąd to prowadzi.

Jon wraca do audi i prowadzi je ścieżką, podczas gdy Antonia znowu idzie przed nim, uważnie przyglądając się trasie. Nie brak tu wybojów ani zakrętów i tym razem Jon jest wdzięczny, że porusza się z prędkością narzuconą przez Antonię. Czterdzieści albo pięćdziesiąt metrów dalej ścieżka się rozszerza. Drzewa ustępują miejsca polanie o średnicy około dwudziestu metrów.

Antonia się zatrzymuje. Jej uwagę zwróciło coś na ziemi.

Jon wysiada z samochodu i podchodzi do niej. Na kamienistym podłożu znajduje się plama, duża i ciemna, niemal czarna w świetle brzasku, który nie może się do końca przebić. Inspektor Gutiérrez nie potrzebuje, żeby Antonia się schyliła, wzięła garść poplamionej

i wyschniętej ziemi i przysunęła mu ją do nosa. Metaliczny zapach czuć nawet na stojąco.

Ale ona to robi – mimo wszystko.

– Powąchaj.

Jon odwraca głowę.

– Nie trzeba. To krew, Antonia.

– Dużo krwi – mówi ona. – Ktokolwiek to był, nie wyszedł z tego cało.

– Prawdopodobnie dźgnięcie w szyję – domyśla się Jon, który wcześniej widział wiele podobnych.

Raz dwóch ćpunów pobiło się w dzielnicy Las Cortes o to, kto komu był winien pięć euro. Ten, który wygrał, dostał bilet w jedną stronę do Basauri z pokrytymi wszystkimi kosztami. Przegrany zostawił przy stawie z kaczkami ciemną kałużę, która niezbyt różniła się od tej tutaj.

– Poświęć tu – prosi Antonia, wskazując miejsce kawałek dalej.

Jon włącza latarkę w telefonie i widzi na ziemi ślad. Jest słaby, ledwie wgłębienie w miejscu, gdzie kamienie porzucają swoją nieregularną konfigurację i tworzą prawie niewidoczną linię.

Kilka kroków dalej ślad ginie w zaroślach.

Inspektor Gutiérrez rozpina marynarkę i odslania broń.

– Stań za mną. I będzie lepiej, jeśli ty będziesz świecić – mówi, przekazując Antonii telefon.

– Przesadzasz. Ten, kto to zrobił, wyniósł się stąd wiele godzin temu.

Jon zawsze instynktownie chronił innych, od dziecka. Nie bez znaczenia są wielkość jego ciała i serca. I bo tak, do cholery. Bo niektóre rzeczy są, jakie są. Tak więc jedną ręką wymachuje telefonem, żeby go od niego wzięła, a drugą delikatnie odpycha ją do tyłu.

– Zaufaj mi.

Antonia bierze telefon.

– Mogliśmy poprosić ochroniarza o latarkę.

„Albo wziąć ze sobą porządną Mag-lite”, myśli Jon, który zawsze ma taką pod ręką. W swoim samochodzie, w tym, który został w Bilbao, zaparkowanym dwie przecznice od komisariatu.

Kiedy wchodzą między drzewa, podążając za śladem, igły sosnowe chrzęszczą pod stopami, donosząc o najściu.

Poza tym panuje cisza.

Jon czuje dziwne mrowienie na skórze głowy. Mrowienie, które czuł już wiele razy. W sytuacjach, kiedy sprawy nie potoczyły się dobrze. Nigdy w życiu nie musiał strzelać ze swojej broni – bardzo niewielu policjantów to robi. Ale kilka razy musiał ją wyjąć. I ta elektryczność – setki insektów biegających między jego czaszką a włosami – zawsze była wtedy obecna.

Kładzie rękę na pistolecie i odpina kaburę.

– Bądź ostrożna.

– Już ci mówiłam, że nie mamy się czego obawiać. A tym bardziej jego – mówi Antonia, kierując latarkę w swoją lewą stronę.

W kręgu jasnego światła widać rękę.

Błada, szarawa skóra promienieje upiornym blaskiem.

Kiedy podchodzą, przekonują się, że ręka jest połączona z resztą ciała Carmela Novoi Iglesiasa. Leży na plecach na krzewie czystka, który zachował jeszcze kilka kwiatów. Puste oczy szofera wyglądają tak, jakby szukały odpowiedzi na pytanie o sens jego śmierci między drzewami. Nie znajdują jej. Opłakują go błyszczące krople rosy na rzęsach.

Carmelo ma podwójny uśmiech zdumienia. Grymas śmierci oraz to, co do niej doprowadziło: okrutne usta otwarte z boku szyi.

– Chyba wiesz mi tosta – mówi Antonia.

Jon, który pomimo tylu lat służby nadal czuje mdłości w obliczu charakterystycznego odoru śmierci, teraz zaciska zęby, żeby zatrzymać w środku jedyny przyzwoity posiłek, jaki zjadł w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Obawiam się, że podejrzania Parry co do winy szofera były bezpodstawne – mówi inspektor, kiedy już udaje mu się dojść do siebie.

– Chyba że był współnikiem i ten cały Ezequiel postanowił zatrzeć jego ślady. Ale nie wydaje się to prawdopodobne. Pomyliłam się, Jon.

Miałeś rację. Powinniśmy jak najszybciej powiedzieć Parze o zbrodni w La Finca.

- Proszę, proszę. Antonia Scott się pomyliła. Wstrzymać druk!

- Skończ tę dziecinadę. A poza tym udowodnienie tego było naj...

Jon jej przerywa, podnosząc rękę.

- Słyszałaś to?

Szorstki dźwięk i pomruk. Charakterystyczny odgłos ruszającego samochodu. A potem groźny ryk silnika rozkręcającego się do maksimum, raz, dwa razy. W bezcielesnej ciszy lasu o brzasku dźwięk wydaje się dochodzić ze wszystkich stron i z żadnej.

Oboje rozglądają się zdezorientowani.

- Co...?

Wtedy włączają się światła porsche i dzieją się trzy rzeczy naraz.

Kierowca puszcza hamulec, a samochód, napędzany siłą silnika o mocy pięciuset koni, wystrzela w kierunku Antonii Scott niczym gigantyczny czarny drapieźnik.

Oślepiąca Antonia stoi w miejscu. Jej stopy wydają się wrosnięte w ziemię, nie może się ruszyć. W tym czasie - półtorej sekundy, może dwie - jaki dwutonowy samochód potrzebuje, żeby przebyć dystans do jej sparaliżowanego ciała, pojmuje koncepcję, która zawsze ją fascynowała. Dlaczego sarny i zające nie uciekają przed samochodem, który ma je za chwilę przejechać? Odpowiedź dostaje od własnego systemu nerwowego: naturalnym mechanizmem organizmu ssaka o zmroku, kiedy otrzymuje sygnał o zagrożeniu i zostaje oślepiony, jest pozostać na miejscu. Nieźle jak na ostatnią myśl przed śmiercią.

I trzecia: ani trochę nie zważając na swoją fizyczną integralność i z odwagą wykraczającą poza obowiązek, inspektor Gutiérrez rzuca się na Antonię Scott i przewraca ją na ziemię tuż przed tym, jak zderzak wielkiego luksusowego SUV-a uderzyłby w jej klatkę piersiową z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, co odpowiada upadkowi z piątego piętra.

„Ale ze mnie dupek”, myśli Jon, wciąż leżąc na Antonii.

- Złaź, złaź! - krzyczy ona, wyslizgując się spod jego ciała niczym jaszczurka.

Jon wstaje i sięga po pistolet akurat w tej samej chwili, gdy widzi światła pozycyjne porsche przemykające między drzewami, które prowadzą na ścieżkę. Przyjmuje pozycję równoramienną - stopy rozstawione, kolana ugięte, lewa ręka podtrzymuje prawą - i strzela.

Strzał, który miał trafić w tylną szybę, zatapia się w bagażniku. Brakuje mu praktyki. Nie bez znaczenia jest też i to, że przeklęte porsche podskakuje na nierównym terenie niczym kulka w bębnie.

Nie zdąża oddać drugiego strzału, ponieważ Antonia znalazła się w jego polu widzenia.

- Cholera, gdzie leziesz, *zoroputoa*^{*}? Zejdź mi z drogi!

Antonia nie odpowiada. Idzie prosto do samochodu.

„Ta baba mnie zabije”, myśli Jon, biegnąc za nią. „A jeśli nie, to ja zabiję ją”.

* *Zoroputoa* (bask.) - wariatka.

10

Autostrada

Jon Gutiérrezz nie lubi szybkich pościgów.

To nie kwestia estetyki. Kiedy ogląda je w kinie, wszystko wygląda magicznie. Przyspieszony montaż, zmiany ujęć, muzyka, dźwięk, który przemieszcza się z przednich głośników do tylnych, żeby widz miał poczucie ruchu.

To, czego Jon nie lubi w szybkich pościgach, to siedzenie na miejscu pasażera.

Do samochodu dotarł w ostatniej chwili, kiedy Antonia uruchomiła już silnik i kręciła kółka na polanie. Inercja zatrzymała na chwilę auto i Jon skorzystał z okazji, żeby otworzyć drzwi i wsiąść, kiedy ona wrzucała bieg, żeby wrócić na ścieżkę.

- Można wiedzieć, co cię ugryzło? - pyta Jon, zapinając pas. - Mogłem do ciebie strzelić!

Antonia nie odpowiada. Jedzie prawie dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę przez tak wąską przestrzeń, że zalecana prędkość to spacer i na dodatek z koszem piknikowym. Końce zderzaka wyrywają po drodze krzaki. Ale Antonia pozostaje niewzruszona.

Ma taki wyraz twarzy, który Jon widział już wcześniej i który nauczył się rozpoznawać. Szkliste oczy, napięta szczęka. To oznacza, że jej mózg pracuje szybciej niż normalnie, szybciej niż to, co może przetworzyć. Jej umysł musi się zająć dwoma złożonymi problemami jednocześnie, a ona uparła się, żeby zrobić to za jednym zamachem.

Maksymalna prędkość audi A8 (225 km/h).

Ułożenie ciała.

Odległość między drzewami.

Maksymalna prędkość porsche cayenne turbo (nie zna jej, przeklina się, że tego nie sprawdziła).

„Dźgnięcie

w szyjębrakślądówobronnychnarękachniemogęwszystkiegonaraz...”

Znowu się dusi. Prowadzenie z taką prędkością to nie jest dobry pomysł. Kiedy Antonia zwraca się wreszcie do swojego towarzysza, poddaje się. Kolejny raz.

„Tylko ten jeden raz. Ten będzie ostatni”.

- Mentor dał ci coś dla mnie? - pyta, wyciągając do niego rękę.

Jon początkowo nie rozumie, o czym mówi, jest za bardzo skupiony na drodze. Wskazuje naprzeciwko.

- Uwaga!

Ścieżka znowu skręca, za chwilę wyjadą na niewyafaltowaną drogę, która łączy Centrum Hipiki z autostradą. Antonia stara się kontrolować tylną część auta na kamienistym terenie, skręcając kierownicą w przeciwnym kierunku. Audi wyjeżdża na drogę tylko z jednym uszkodzeniem: tylnymi drzwiami wgniecionymi przez drzewo, które pomogło im dokończyć hamowanie.

Po porsche nie ma ani śladu. To cztery na cztery, chociaż z tych do szpanowania. I na tym terenie ma przewagę.

- Mentor dał ci coś dla mnie? - powtarza, stukając Jona w ramię.

Do Jona wreszcie dociera, o co go prosi. Sprawdza kieszenie, mając nadzieję, że nie zgubił metalowego pudełeczka. W końcu znajduje je w kieszeni kamizelki, w miejscu zegarka, który powinien się tu znajdować, a którego jego ojciec nigdy mu nie подарował.

Otwiera pudełeczko. Jest podzielone na dwie części.

- Która?

- Czerwona - odpowiada, wyciągając otwartą dłoń. - Szybko.

Jon podaje jej kapsułkę.

Antonia wkłada ją do ust. Słyszy, jak ją rozgryza i widzi poruszający się język - wszystko z mistrzowską precyzją wynikającą z doświadczenia.

Jon już wcześniej widział tę maestrię gestów u chudzielców o brązowych zębach i cienkich żyłach.

- Trzymaj kierownicę - nakazuje mu.

A ona zamyka oczy. Zamyka oczy, nie zdejmując nogi z gazu.

- Zabijesz nas! - krzyczy Jon, odpinając pas i łapiąc kierownicę.

Przynajmniej droga jest prosta, ale z taką prędkością na takim terenie mogło się zdarzyć wszystko.

Jego pomoc w prowadzeniu trwa dokładnie dziesięć sekund. Jon o tym wie, ponieważ Antonia liczy je po cichu, niemal szepcząc mu do ucha, kiedy tak się nad nią pochyla. Nie dociera do zera (wtedy byłoby jedenaście), tylko mówi:

- Już. - I znowu chwytą kierownicę.

Jon wraca na swoje miejsce i desperacko szuka pasa. Dopiero kiedy go zapina, ma odwagę ją ochrzanić. Nie robi tego jednak, ponieważ dostrzega, że coś się w niej zmieniło. Wydaje się, jakby siedziała bardziej prosto, ramiona ma wyżej. Jej oczy nie są już szkliste, zamieniły się w dwa promienie laserowe.

- Zoroputoa. Jesteś zdrowo popierdolona - mówi Jon.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli dociągnę do dwustu - droczy się Antonia, przełączając drążek w tryb sekwencyjny i dotykając delikatnie łopatek, żeby wrzucić wyższy bieg. Na razie jedzie tylko stówę, dwa razy szybciej niż dozwolone. Koła audi nie zostały stworzone do jazdy po ziemi.

„Cholera, kiedy ją pytałem, czy lubi samochody, nie spodziewałem się czegoś takiego”.

Niewyasfaltowana droga kończy się dwieście metrów dalej. I wygląda na to, że na autostradę wjeżdża właśnie podejrzany. Albo ktoś jeszcze ucieka z największą prędkością czarnym porsche cayenne turbo tą pustą drogą.

Antonia wciska gaz do dechy, teraz, gdy jej cel znajduje się w zasięgu wzroku.

- Potrzebuję - odzywa się do Jona niesamowicie spokojnym głosem - żebyś sprawdził w internecie, z jaką maksymalną prędkością może jechać ten samochód.

- Chcesz, żebym teraz stukał w telefon? - pyta Jon, który obiema rękami złapał się uchwytu nad drzwiami.

- A ty co? Chcesz żyć sto lat?

- Żebyś wiedziała, że to planowałem.

- Zapytaj Siri - mówi Antonia, wrzucając niższy bieg, żeby móc skręcić na autostradę, nie wypadając z trasy.

Nie do końca przekonany Jon puszcza jedną rękę i wciska boczny przycisk swojego telefonu.

- Siri, do ilu dochodzi porsche cayenne?

Po chwili namysłu Siri odpowiada skrupulatnie.

- Oto, co znalazłam w internecie: „Kiedy dochodzisz, nakręcasz mnie na maksa”.

Jon stwierdza, że Siri nie rozumie akcentu z Bilbao, i postanawia poszukać sam.

- Dwieście osiemdziesiąt sześć kilometrów na godzinę - mówi.

Antonia zaciska usta. Częściowo wściekła na wieść, że ten drugi samochód może osiągnąć wyższą o sześćdziesiąt kilometrów na godzinę prędkość maksymalną niż oni; częściowo skoncentrowana na jeździe. Teraz wszystkie jej zmysły i umiejętności są skupione na prowadzeniu tej ogromnej maszyny. Kiedy koła znajdują się na asfalcie, porzuca wszelkie środki ostrożności. O ile do tej pory w ogóle jakieś zachowywała.

- Trzymaj się mocno - mówi do Jona.

- Jeszcze mocniej? - pyta inspektor. Kostki dłoni zbieleły mu już z wysiłku.

„Dobrze, że uchwyt jest przytwierdzony do nadwozia”.

- Zadzwoń do Mentora - mówi Antonia. - Powiedz mu, że podejrzany jeździe A szóstką w kierunku północnym.

Ruch na drodze jest jeszcze niewielki. Nie ma nawet siódmej rano, a słońce już wzeszło. Dlatego Antonia może rozpędzić auto do stu

sześćdziesięciu i zaczyna wyprzedzać samochody na prawo i lewo, jak gdyby prawa fizyki i zdrowego rozsądku jej nie dotyczyły. Dwie minuty później Antonia dostrzega porsche w oddali. Ani o sekundę za późno.

- Zjeżdża! - krzyczy Jon.

- Zjazd na obwodnicę.

Jeszcze sekunda i straciłaby go z pola widzenia. Antonia jeszcze bardziej naciska na gaz. Zna tę drogę. Panuje tu znacznie mniejszy ruch i jest pełna zjazdów. Jeżeli nie zdoła się do niego zbliżyć i znowu stracą go z oczu - zniknie.

Przez niekończących się pięć sekund musi przepuszczać samochody, które zasygnalizowały zamiar zjazdu przed nią. Nie ma miejsca dla ogromnego audi. Dopiero kiedy ostatnie auto wjeżdża na pas - żółtym tempem - Antonia wyprzedza je po prawej. Dźwięk klaksonu zostaje z tyłu, wyobraża sobie przekleństwa i je ignoruje.

- Szybciej. Szybciej.

Przed nią jest długa prosta. Zjeżdża za lewy pas i zwiększa prędkość do dwustu kilometrów na godzinę. Gaz jest przyciśnięty do podłogi, a silnik pracuje na pełnych obrotach. Stopniowo udaje jej się przyspieszyć jeszcze trochę i porsche znajduje się coraz bliżej. Sto metrów, osiemdziesiąt. Sześćdziesiąt metrów.

- Uważaj!

Inny samochód, volkswagen passat, wyprzedza fiata. Antonia pozwala mu dokończyć manewr, a potem wciska się w miejsce powstałe między passatem a fiatem. Tylny zderzak audi znajduje się niespełna trzydzieści centymetrów od fiata, który kołysze się niesiony powietrzem wypieranym przez samochód Antonii i nagle hamuje. Ona bez wahania wyprzedza passata, który także hamuje.

Jon mamrocze coś przez zęby.

- Co mówisz?

- Do ciebie nic. Modlę się do Świętego Krzysztofa, patrona kierowców, żeby pozwolił mi wrócić do Bingo Arizona.

- No cóż, każda pomoc się przyda.

Kolejne wyprzedzenie. Ostatnie.

Porsche jedzie przed nimi, niecałe czterdzieści metrów, a droga jest pusta.

- Musiał nas widzieć.

- Cholera, jasne, że nas widział. Ciśniemy ponad dwieście, a on nie zwalnia.

Silnik audi ledwo daje radę, ale strumień powietrza gigantycznego SUV-a pomaga Antonii prawie go dogonić. Oba samochody są do siebie niemal przyklejone.

„Jeśli teraz zahamuje, zabijemy się”, myśli Jon. Serce wali mu tak jak tancerz nogą na przyjęciu handlarza narkotyków.

- Powiedz, że po twojej stronie nie ma nikogo - prosi Antonia.

- Wolne!

Skრęcая gwałtownie i precyzyjnie, Antonia wydostaje się ze strumienia powietrza porsche i zaczyna się z nim zrównywać. Uderzenie wiatru jest teraz brutalne, spowalnia audi i Antonia stara się ustawić na wysokości porsche, pomimo jego większej mocy.

Jeszcze kilka centymetrów. Ciśnie tak, że kość piętowa wbija się w pedał gazu. Noga jest tak napięta, że sztywnieje jej łydka.

- Telefon, Jon! Zrób mu zdjęcie, kiedy się z nim zrównamy!

Jon walczy z odblokowaniem urządzenia i z ikoną aparatu.

Jeszcze jeden wysięk.

Szyby się zrównują. Oto i Ezequiel. Wysoki, a może to tylko kwestia pojazdu. Silne ramiona. Intensywne oczy płoną nienawiścią z za czarnej kominiarki. Trzecie oko - pistoletu - patrzy prosto na Antonię, gotowe do wystrzału.

Krzyk Jona to pierwsze, co ratuje im życie.

- Hamuj! Hamuj!

Strzał rozbija szybę porsche, ale kula ginie w oddali. Bo na tym samym pasie, niespełna dwieście metrów dalej, jest ciężarówka czteroosiowa. Antonia w samą porę zdejmuje nogę z gazu i bardzo powoli wciska hamulec, tylko tyle, żeby na powrót znaleźć się za porsche. Tym

razem jednak Ezequiel nie zamierza pozwolić, żeby wykorzystywała jego strumień powietrza, by poruszać się wystarczająco szybko, i gwałtownie skręca. Blokuję Antonię, a ta z kolei jest zmuszona zwolnić, żeby nie uderzyć w porsche. Kiedy się orientuje, ciężarówka jest tuż-tuż.

Antonia musi zdecydować, czy zderzyć się z bandą, czy walnąć w trzydziestotonową ciężarówkę.

Wybiera dobrze.

Przy tej prędkości audi przecina stop stali i cynku, jakby był z papieru. Drugie, co ratuje im życie, to fakt, że teren w tym miejscu jest delikatnie pochyły, pokrywając się niemalże – kaprysy życzliwego bożka – z trajektoria, jaką samochód kreśli w powietrzu. Opony nie pękają po kontakcie z podłożem, a inercja szanuje ich przez dobrych pięćdziesiąt metrów, zanim przypomni sobie o ich istnieniu i uświadomi sobie, że powinni byli zrobić kilka koziołków. Kiedy przednia opona wybucha, tarcie i grawitacja zdążyły już spowolnić pęd na tyle, żeby samochód przewrócił się tylko na drzwi od strony kierowcy i pokonał ostatnie metry bokiem, zatrzymując się całkiem na środku jałowego pola.

Jon – pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem podłoża – pomacałby teraz całe swoje ciało, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku, gdyby nie to, że jest uwięziony przez mnóstwo poduszek powietrznych. Przednią, środkową, kurtynę boczną oraz te chroniące nogi. Pół minuty później, kiedy opróżniają się wystarczająco, udaje mu się z nich wygrzebać, a potem odpina pas bezpieczeństwa. Woła Antonię, ale ona nie odpowiada. Dotyka centralnej poduszki, która ich oddziela – samochód jest wart każdego ze stu tysięcy euro, jakie kosztuje – aż udaje mu się zobaczyć jej twarz. Jego partnerka ma zamknięte oczy, z nosa sączy się strużka krwi i spływa po policzku.

„Nie. Nie”.

Jon pospiesznie sprawdza jej puls na szyi. Jest tak zdenerwowany, że znalezienie tętnicy zajmuje mu chwilę. Ale kiedy na nią trafia, oddycha z ulgą. Puls jest mocny i regularny. Może jest tylko oszołomiona z powodu uderzenia w twarz poduszką powietrzną.

- Powiedziałaś ci, że masz mnie nie dotykać – mamrocze.

„Puls normalny, tryb bitch on. Jasne, że nic jej nie jest”.

- A ja, żebyś nas nie zabiła.

- Nie, nigdy mi tego nie powiedziałaś - dziwi się ona, zawsze traktująca wszystko tak dosłownie.

- To podstawowa zasada koegzystencji.

Jon wydostaje się z samochodu - świat wydaje się teraz taki powolny, tak nieruchomy, a teren tak stabilny i bezpieczny - i pomaga Antonii wsiąść.

- Zgubiliśmy go.

- Na to wygląda - mówi Antonia, kopiąc najbliższy kamień.

Jest jeszcze nieco oszołomiona, więc nie trafia.

Ezequiel

Kiedy wraca do kryjówki, w płucach ma ogień, a w żołądku kwas akumulatorowy.

„Głupiec, głupiec, głupiec”.

To drugi błąd, jaki popełnia w bardzo krótkim czasie. W ciągu sekundy wszystko mogło wziąć w łeb. Wszystko. I to przez zaniedbanie.

Wszystko z powodu tego, że nie pamiętał czegoś zupełnie podstawowego.

Nie mógł manewrować nożem w rękawiczkach, więc je zdjął. A kiedy kobieta uciekła, on stracił równowagę i na chwilę oparł się o szybę. Powiedział samemu sobie, że musi przejechać po niej szmatą, zetrzeć te ślady, ale mentalna notatka zniknęła pośród nerwów i złości związanych z pościgiem. Schwytanie jej w lesie było trudniejsze, niż się spodziewał, i dostarczyło mu zwierzęcej, prymitywnej i grzesznej satysfakcji, mimo że nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Ona jest niezwykle cenna żywa, najcenniejsza ze wszystkiego.

Dlatego tak bardzo ryzykował, żeby ją złapać.

„Głupiec, głupiec. Zbyt wcześnie”.

Wolałby zrobić to znacznie później, zwłaszcza że pierwsze zadanie wykonał tak niedawno. Pierwszy rozdział jego dzieła. Złapanie pierwszego nie było wcale trudne.

Unieruchomił go, nie robiąc mu krzywdy, traktował go humanitarnie. Owszem, krzyczał głośniej niż kobieta i musiał go zakneblować, ale tylko dlatego, że był znacznie bardziej przestraszony. Kiedy minął czas, jaki dał matce, i nadszedł nieunikniony koniec, Ezequiel mówił do niego łagodnym głosem i podał mu lekarstwa. Nie cierpiał bardziej niż to absolutnie konieczne.

„Jestem, zasadniczo, dobrym człowiekiem”.

To były długie miesiące ciężkiej pracy. A zakończenie, kiedy oddał swoje dzieło do dyspozycji rodziców, było najtrudniejsze ze wszystkiego. Wolałby trochę odpocząć, zanim przejdzie do następnego rozdziału. Ale nadarzyła się okazja, żeby złapać kobietę, i nie mógł jej zmarnować. Ona znajdowała się bardzo wysoko na liście.

A błąd, głupi błąd o mało wszystkiego nie zepsuł.

Próbuje pisać, żeby się uspokoić. Otwiera zeszyt i zaczyna:

„Ojciec zawsze powtarzał, że przez gwóźdź traci się podkowę traci się konia traci się rycerza przegrywa się bitwę przegrywa się w...”

Nie może. Nie może się skupić. Wrywa kartkę i wbrew swemu przyzwyczajeniu rzuca ją o wilgotną i tłustą ścianę, nie pali jej. Ostrożnie odkłada na stół zeszyt i długopis.

Potem niczym fala wybuchu złość i ręką zrzuca wszystko, co znajduje się na stole. Popielniczka rozbija się na kawałki.

Potrzebuje odreagować. Potrzebuje odreagować i to natychmiast. Sam zeszyt nie może mu pomóc. Zrobi to później, kiedy dostanie to, czego chce.

Teraz może mu pomóc tylko jedno.

Wstaje i idzie korytarzem, przechodząc po odpadkach, które rdzewieją na podłodze, i przystaje przed komorą, w której przetrzymuje kobietę.

Słyszy jej przyspieszony oddech po drugiej stronie drzwi. Przysuwa rękę do liny, która podniosłaby ciężką metalową płytę. Gładzi sznur, który dokładnie uciął i przywiązał z największą starannością. Delikatne szarpnięcie i drzwi by się podniosły. To byłoby takie proste.

„Nie. Nie, z nią nie”.

Idzie dalej, na sam koniec korytarza, żeby wziąć to, czego potrzebuje.

Carla

Zza ściany dobiegają rozproszone dźwięki. Przerażające dźwięki.

Dźwięki, które jej wyobraźnia zamienia w konkretne i rozpoznawalne czyny.

Carla wie, że powinna krzyczeć, protestować, bronić Sandry. Spróbować czegokolwiek, choćby tylko narobić hałasu. Wie o tym tak samo dobrze, jak to, że istnieją dwadzieścia cztery nazwy umaszczenia konia. Jednak w jej sytuacji i jedno, i drugie jest absolutnie bezużyteczne.

Dźwięki nie ustają. Nadal przenikają przez ścianę, infekując jej duszę strachem i wstydem.

Carla postanawia coś z tym zrobić.

Zakrywa dłońmi uszy i zaczyna recytować cichym głosem.

- Kasztanowate. Srokate. Kare. Dereszowate. Gniade...

W przerwach dźwięk wciąż się przedostaje. Straszliwy dźwięk.

Carla recytuje więc szybciej.

11

Kość

Mentor przyjeżdża pół godziny później i nie jest w zbyt dobrym humorze. Zastaje ich oboje siedzących w furgonetce Gwardii Obywatelskiej.

- Proszę, proszę, Scott. Od czasu Walencji nie rozwaliłaś mi jednego z tych - mówi, wskazując przewrócone audi. - Tylko jedno zadrapanie dzieli go od całkowitej katastrofy.

- Musiałbyś zobaczyć, jak wygląda ten drugi - mówi Antonia.

- No, chciałbym zobaczyć ten drugi - odpowiada wkurzony Mentor. - Skoro zamierzałaś narobić takiego zamieszania, to przynajmniej mogłabyś być tak uprzejma i zatrzymać podejrzanego.

- Miał lepszy samochód - mówi Antonia, wzruszając ramionami. - Moglibyśmy dostać cayenne?

- Ja zadowolilibym się tym, żeby nas rozkuto - odzywa się Jon, wskazując ręce na swoich plecach.

Dokumenty Antonii i Jona na nic się nie zdały. Gdy tylko funkcjonariusze Gwardii Obywatelskiej przybyli na miejsce zdarzenia - powoli, wszak jechali priusem - zakuli ich w kajdanki, wykonali test na obecność alkoholu i narkotyków, a kiedy oba wyszły negatywne, chcieli dzwonić po psychiatrę. Powtarzali, że to cud, że nic im się nie stało.

- Widział pan mój nos? - zapytała Antonia, wskazując go. Był spuchnięty i z wacikami w obu dziurkach.

- Nawet nie jest złamany. Normalnie powinniście być martwi.

Mentor prawdopodobnie nie będzie aż tak zły.

- Wiecie, ile będzie mnie kosztować zamaskowanie tego bajzlu? - pyta.

Antonia patrzy w drugą stronę. Jon, który ma obolałe ciało, jest zmęczony, głodny i śpiący, nie wie, czy ją udusić, czy jej bronić. Wybiera to drugie.

- Antonia przynajmniej znalazła ciało szofera.

- Och, tak, pański przyjaciel kapitan Parra właśnie w tej chwili jest na miejscu zbrodni, które znaleźliście. I nieodwracalnie naruszyliście.

- Parra pewnie nie jest zbyt szczęśliwy - mówi Jon, starając się nie uśmiechać.

- A jak pan myśli, inspektorze? Przekreśliliście jego teorię, zanieczyściliście miejsce zbrodni, działaliście na własną rękę, nikogo nie informując, pozwoliliście uciec podejrzanemu... a na dodatek zrobiliście z niego durnia.

- Nie musieliśmy się zbytnio wysilać.

Mentor kręci głową.

- I pościg z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę na autostradzie, na oczach setek cywilów. Media zresztą już tu są. Podaliśmy wersję, że to był „nielegalny wyścig, który na szczęście zakończył się bez uszczerbku na zdrowiu”.

- Widziałeś mój nos? - pyta Antonia, wskazując go.

- Nawet nie jest złamany. Inspektorze, chciałbym porozmawiać z panem chwilę na osobności.

Jon się odwraca, żeby Mentor zdjął mu kajdanki, po czym obaj idą w stronę pozostałości samochodu.

- Szczerze mówiąc, spodziewałem się po panu o wiele więcej - zaczyna Mentor, kiedy odeszli już wystarczająco od Antonii.

- Gdybym dostawał euro za każdym razem, gdy mi to mówiono...

- Miał pan chronić Scott.

- Nawet przed nią samą?

- Zwłaszcza przed nią samą.

Jon spuszcza głowę. Zgadza się. Było mnóstwo „ale” i mnóstwo wymówek, lecz prawda jest taka, że mógł lepiej to wszystko rozegrać.

- To niełatwe.

- Wiem.

Mentor wyciąga z kieszeni paczkę marlboro. Wyjmuje papierosa i dwukrotnie stuka filtrem w drastyczne zdjęcie. Wizerunek przypomina statystę z Żywych trupów.

- Nie rzucił pan?

- Niech pan da mi spokój. Mam wystarczająco dużo na głowie.

Przewrócony samochód, niczym konające zwierzę, wystawia brzuch do porannego słońca. Jon uderza dłonią o jedno z kół.

- Nigdy w życiu nie bałem się bardziej.

- Mógł pan nie pozwolić, żeby prowadziła.

- Rzecz w tym, że skubana jeździ zajebiście.

- Owszem - potwierdza Mentor. - Gdyby samochód Ezequiela nie był tak szybki, w tej chwili siedziałby na komisariacie w kajdankach i wyśpiewywał miejsce pobytu Carli Ortiz.

- No, ale tak się nie stało. I co teraz?

Mentor zapala papierosa zapalniczką zippo z Iron Maiden. Jon unosi brew. Nie wyobraża sobie, że Mentor mógłby być fanem Bruce'a Dickinsona.

„Raczej kameralnego kwartetu z kijami w tyłkach”.

- Teraz. Teraz skończyła się sprawa Carli Ortiz.

- Słucham?

- To jedyne rozwiązanie, jakie mogę panu zaproponować. Status obserwatorów dostaliście tylko dzięki uprzejmości Parry. Ledwie dziesięć minut temu powiedział mi, że jeśli jeszcze raz was zobaczy, utnie panu jaja.

- Cóż to za obsesja tych heteryków na punkcie wiadomo czego.

- Tak naprawdę chciał donieść na pana do Biura Spraw Wewnętrznych.

Jon błędnie. Żaden kolega, nigdy, przenigdy, nie grozi drugiemu doniesieniem do Biura Spraw Wewnętrznych. Budynek bez oznaczeń ani znanego adresu przy ulicy Cea Bermúdez, który zajmują ci ścigający tych złych z odznakami, to ostatnie miejsce, które chciałby odwiedzić policjant. Ci, którzy tam pracują, są pogardzani i znienawidzeni przez pozostałych siedemdziesiąt tysięcy funkcjonariuszy korpusu w całej Hiszpanii. Jest jednak ktoś, kto może wywołać jeszcze większą pogardę: to policjant donoszący na kolegę.

Przez te wszystkie lata, a przecież widział niejedno, nigdy nie usłyszał podobnej groźby. Cholera.

- Nie może mówić serio.

- I to jeszcze jak serio. Parra ma fioła na punkcie władzy i uznania. A w jego rękach porwanie Carli Ortiz to bomba zegarowa.

- A z zewnątrz wydaje się taki skromny.

- Wolałbym, żebyście to wy dwoje zajęli się znalezieniem Ortiz, ale teraz to już niemożliwe. Istota projektu Czerwona Królowa polega na tym, że on nie istnieje. Teraz sprawa Carli Ortiz jest w rękach Parry i WPW.

- Nie sądzę, żeby dobrze to przyjęła - mówi Jon, wskazując Antonię głową.

Ona siedzi w furgonetce i nie spuszcza z nich oka.

- Jak pan sądzi, dlaczego chciałem porozmawiać z panem na osobności? Ona doskonale wie, o czym panu teraz mówię. - Mentor zgniata papierosa i staje plecami do Antonii. - A tak w ogóle umie też czytać z ruchu warg. Nie wiem, czy stoimy wystarczająco daleko, myślę, że tak, ale na wszelki wypadek proszę się odwrócić.

Jon robi, o co prosi.

- Mój ojciec miał psa - ciągnie Mentor. - Wabił się Sam, uroczy bokser. Dobry i słodki. Pewnego dnia przyjaciele przynieśli szynkę de bellota i ojciec poprosił mnie, żebym zaniósł ją do rzeźnika, by ten ją pokroił i wyjął kości. Po powrocie przez nieuwagę zostawiłem kości na blacie kuchennym. Pies je wziął.

Zapala drugiego papierosa, wykonując ten sam, niespieszny rytuał, po czym opowiada dalej:

- Przez prawie trzy godziny nie mogliśmy wejść do kuchni. Pies kompletnie oszalał, stał się bardzo zaborczy, zawzięcie bronił swojego terytorium, nie chciał puścić kości i zagrażał każdemu, kto się do niego zbliżał. Nie przestał, dopóki nie zjadł wszystkiego. Nikt nie zadziera ze zwierzęciem, które w szczęce ma dwieście kilogramów nacisku na centymetr kwadratowy.

- Pański ojciec go uśpił?

- Następnego dnia. Mnie kazał zabrać go do weterynarza. „Ty spieprzyłeś sprawę, ty musisz to załatwić”, powiedział. Nie był człowiekiem intelektu. Płakałem przez całą drogę do weterynarza. Pies był ogromnie zadowolony. Miał straszną sraczkę, ale był zadowolony.

Jon przytakuje powoli. Już wie, do czego zmierza Mentor.

- Będę trzymał Antonię z dala od sprawy Carli Ortiz.

- Nie, nie zrobi pan tego. Nie zrobi pan tego, ponieważ pan nie może, tak samo jak ja nie mogłem przekonać Sama, żeby zostawił kości.

- To sam zaprowadzi ją pan do uśpienia.

- Nie wypuści kości, ale możemy sprawić, żeby gryzła inną. Koniec z Ortiz, ale oboje możecie ciągnąć sprawę Álvara Trueby. Obie ścieżki prowadzą do tego samego celu. Proszę tylko trzymać ją z dala od Parry i jego ludzi, zgoda?

Bruno

„Kiedys bycie dziennikarzem coś znaczyło”.

Bruno Lejarreta od czasu do czasu lubi powtarzać takie zdania. Kiedy trafi się wystarczająco głupi stażysta, żeby czuć respekt przed starym sześćdziesięcioletnim reporterem, samozwańczą żywą legendą redakcji „El Correo de Bilbao”. Ze swoimi kamizelkami i czarnymi koszulami, sygnetami (jeden nosi nawet na kciuku), dżinsami i butami, zmarszczkami i czarnymi włosami (farbuje, ponieważ nie ma ochoty przyznać, że się starzeje) zebranymi w kucyk, Bruno zawsze uchodził za guru dawnego dziennikarskiego świata dla nieopierzonych młodziaków, którzy oczarowani wchodzili do redakcji pierwszego dnia.

Oczywiście nie ma już takich stażystów. Dziś młodzi mają szacunek tylko dla youtuberów, ważne są dla nich liczby obserwujących na Twitterze i Instagramie, liczby odsłon, jaką uzyskał dany artykuł. „Dziesięć rzeczy, które musisz wiedzieć o [Wstaw nazwisko słynnej nieżyjącej osoby]”. Do tego dziesięć odpowiednich stron, żebyś klikał i klikał, a gazeta zwiększa liczbę wyświetleń i może dalej sprzedawać reklamodawcom stare kłamstwo. Jesteśmy ważni, ludzie jeszcze nas czytają. Daj nam jałmużnę!

Nie zawsze tak było, wspomina, kładąc nogi na biurku. Może to robić, ponieważ w redakcji nie ma nikogo, już nikt nie przychodzi tak wcześnie. O ile w ogóle przychodzą, bo dziś wszyscy powariowali na punkcie pracy zdalnej. Jest tylko on, bo oprócz zabijania czasu nie ma nic lepszego do roboty. Dziesiąta rano. Kiedy był młody, o tej godzinie redaktorzy pisali już jak szaleni, fotoedytorzy szukali zdjęć, fotografowie wpadali do redakcji, zostawiali filmy i wychodzili. Epoka papieru. Lata osiemdziesiąte, dziewięćdziesiąte. Najlepsza epoka. Epoka najlepszych.

Wtedy praca dziennikarza to było coś. Dzwonili do ciebie policjanci, politycy, byłeś wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego. W trudnych latach konfliktu człowiek się nie wyrabiał. Wyobraża sobie, że teraz należałoby podawać te informacje w stylu milenialsów. „Chcesz wiedzieć, ile osób zabiła ostatnia bomba ETA? Odpowiedź cię zaskoczy!”

Dziś nikogo nie obchodzą gazety. A w gazetach nikogo nie obchodzą wydarzenia i to w tym właśnie dziale go zostawili, tak bezużytecznym niczym chiński wazon albo były premier. Nie, nikogo nie obchodzą wiadomości dotyczące wydarzeń. Jedyne, co się liczy, to ostatnia cięta riposta Péreza-Revertego pod adresem jakiegoś polityka. Chyba że kobieta zostaje zamordowana wskutek przemocy ze względu na płeć, wtedy zyskują trochę uwagi.

„Ale tylko dlatego, że modne jest oburzanie się z powodu takich zbrodni. Wcześniej nie pisaliśmy o tym nawet króciaka na dwudziestej siódmej stronie. A popełniano ich tyle samo albo i więcej niż teraz”.

Szefostwo chciałoby, żeby Bruno Lejarreta odszedł z gazety. Bruno Lejarreta nie chce i tak też im przekazał.

„Nie mam nic lepszego do roboty”, powiedział.

„Z pewnością wolałbyś się cieszyć wolnym czasem na emeryturze”, odparli bardzo grzecznie (Bruno ma umowę jeszcze z czasów sprzed niewolnictwa).

„Jeśli teraz odejdę, zostanie mi główniana emerytura – powiedział. – Tak więc wypłaćcie mi odprawę”.

Ale nie wypłacili, bo miał sporo podwyżek i uzbierała się z tego sześciocyfrowa kwota. Dlatego dalej pobiera swoją pensję w wysokości trzech tysięcy euro miesięcznie – najwyższą w gazecie zaraz po redaktorze naczelnym – za, mówiąc brzydko i wprost, drapanie się po jajach. W oczekiwaniu na to, który z dwóch dinozaurów umrze wcześniej: dziennikarstwo drukowane czy Bruno Lejarreta. Bruno prawie nie pije, w ogóle nie pali i ani trochę nie obchodzą go rozpustne kobiety (za bardzo kocha i szanuje swoją żonę). Nie ma też dzieci, które mogłyby go przyprawić o wrzody albo zawały. Tak więc zakłady są pół na pół.

Bruno jednak chciałby znaleźć coś, czym mógłby się zająć. Ostatni wspomniał galop w stronę horyzontu – tak by powiedział, gdyby lubił westerny, a tak nie jest. On lubi zapach wydrukowanego tuszu pierwszego egzemplarza, który wychodzi z maszyny rotacyjnej o pierwszej w nocy, tę gazetę, która brudzi ręce na czarno i na pierwszej stronie komuś dowala. Komuś, komu nie spodoba się to, co napisałeś. Reszta to pijar.

Ale w dziale wydarzeń już nigdy nie będzie miał tej ostatniej szansy.

A przynajmniej tak sądził jeszcze trzydzieści cztery sekundy temu.

Dopóki Bruno Lejarreta nie spojrzał bezwiednie na ekran telewizora, był skończonym starym dziennikarzem, który zaczynał kolejny nudny dzień. Wtedy zobaczył informację w porannym serwisie.

– „...Nielegalny wyścig, który na szczęście zakończył się bez uszczerbku na zdrowiu. W spektakularnym wypadku na obrzeżach Madrytu...”

Brunona guzik obchodzi, co mówi prezenterka. Interesuje go tylko to, kogo widzi. A widzi ni mniej, ni więcej, tylko inspektora Gutiérreza stojącego przy samochodzie. Kamera uchwyciła wszystko z daleka, a ekstremalne powiększenie sprawia, że obrazek się trzęsie niczym budowlaniec podczas inspekcji. Ale to on. Elegancki garnitur, krzepka sylwetka. Nie żeby był gruby.

Węch i wzrok Brunona Lejarrety się wyostniają.

Ostatnia wiadomość, jaką mieli na temat inspektora Jona Gutiérreza, dotyczyła śledztwa w sprawie naruszenia dyscypliny. Wideo, na którym było widać, jak podkłada heroinę do bagażnika alfonsa z dnia na dzień stało się wiralem – Boże, jak on nienawidzi tego dziwnego słowa – a potem puf, wszystko zniknęło. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Bruno zna Gutiérreza – na nieszczęście dla nich obu. Nie znoszą się, odkąd powiedzieli sobie kilka słów w związku z informacją, którą jeden chciał podać, a drugi nie. *Txakurra faxista**, ale nie chodzi tylko o to. Jest coś więcej. Przysiągł sobie, że uprzykrzy mu życie. Tak więc ucieszył się, i to bardzo, kiedy inspektor Gutiérrez narobił wielkiego bałaganu. Bruno osobiście napisał p o sprawie z bagażnikiem i zrobił to z niezdrawą

radością, jaką zawsze wywołuje wbijanie gwoździ do cudzej trumny. Biorąc się z niedogodności wbijania ich do własnej.

Gutiérrez co najwyżej mógłby, i powinien, aspirować do siedzenia za biurkiem przez resztę swojego życia zawodowego. Tak jak on.

„Coś się tutaj dzieje”.

Jeszcze trzydzieści cztery sekundy temu Bruno Lejarreta był starym, zmęczonym i znudzonym dziennikarzem. Ale teraz coś zwęszył. Nie wie, co inspektor Gutiérrez robi w Madrycie przy wypadku samochodowym, ale zamierza to sprawdzić.

Dzwoni do żony - żadnego tandetnego WhatsAppa, prawdziwi mężczyźni po prostu dzwonią - żeby powiedzieć, że wyjeżdża, klepie się po kieszeni kamizelki, by się upewnić, że ma w niej kluczyki od samochodu, i patrzy na zegarek. Przy dobrych wiatrach w porze obiadu będzie w Madrycie.

„Oczywiście z przystankiem w Santutxu. Ważnym przystankiem”, myśli. I się uśmiecha. Wilczym uśmiechem.

Wychodząc, nie żegna się z nikim, ponieważ jeszcze nikt nie przyszedł. Nie prosi też o pozwolenie. Bardzo wątpi, czy zauważą jego nieobecność.

* Txakurra faxista (bask.) - faszystowski pies.

12

Fortel

Późnym popołudniem, po przespaniu – wreszcie – kilku godzin, Jon i Antonia spotykają się w Bocablo, kawiarni Hotelu de las Letras, w którym Mentor umieścił inspektora Gutiérreza. Ciekawe miejsce, na rogu Gran Vía, mnóstwo szkła. Wszędzie pełno książek. Ludzie nawet ich nie dotykają, ale ładnie wyglądają.

– Koniec sprawy Ortiz – mówi Jon. A potem o wszystkim jej opowiada.

Antonia nie przyjmuje tego dobrze.

– W tej chwili ta kobieta siedzi w jakiejś gównianej dziurze. Może jest w piwnicy, w jakimś magazynie albo w pokoju wyłożonym wytłoczkami na jajka.

– Myślałem, że wytłoczki są bezużyteczne.

– Ale szaleńcy podpatrzyli to w filmach. I pewnie jest tam sama. Bez rodziny, bez przyjaciół. Nie mogąc przytulić swojego syna ostatni raz. Prawdopodobnie ją związali i zrobili jej krzywdę albo coś gorszego. A ten... ten facet... ten cały Parra...

Milknie, ponieważ znowu odkrywa uniwersalną prawdę, o której zapomina każdego dnia, kiedy kładzie się spać. Światem rządzą miernoty, egoiści i idioci. Zwłaszcza ci ostatni. A kapitan Parra jest interesującą kombinacją tych trzech typów.

Jon zaczyna go bronić.

– Tylko wykonuje swoją pracę.

Inienawidzi się za to, ale Antonia musi zrozumieć, że gra się zmieniła.

- My wykonaliśmy jego pracę. Ich jest ośmiu policjantów. Mają bazę danych, mają samochody z syrenami, mają broń, mają zespół wsparcia. Ale nie potrafią myśleć.

Znowu przerywa. Nie czuje ulgi, ponieważ w obliczu głupoty nie może być mowy o uldze. Żeby poradzić sobie z głupotą, potrzebne są akceptacja lub samobójstwo. O czym tego ranka nie miała czasu pomyśleć. Bo ściagała podejrzanego.

- Nieważne - mówi i jej głos odzyskuje typowy lodowaty spokój. - Znajdziemy Carlę Ortiz. Nie dlatego, że jest milionerką. Tylko dlatego, że to kobieta, która chce przytulić swojego syna, a nie może.

Jon uśmiecha się na to niewinne i niepodważalne stwierdzenie. Nie dlatego, że przez swą naiwność jest mniej prawdziwe i na odwrót. Determinacja bije od Antonii niczym ciepło z pieca.

„Ach, ogień”

- Zrobimy to. Ale mądrze. A nie jak słoń w składzie porcelany.

I chociaż Antonia nie to chce odpowiedzieć, zrezygnowana mówi:

- W porządku.

Ponieważ ostatecznie charakter jej pracy polega na fortelu. Nie możesz powiedzieć pozostałym, że jesteś od nich inteligentniejszy.

- A tak w ogóle co jest w tych kapsułkach, które bierzesz? - pyta Jon jakby od niechcenia. Bo ta sprawa bardzo go martwi.

- Nie wiem - kłamie Antonia.

- W takim razie co one dają?

- W najważniejszych momentach pomagają mi odfiltrować nadmiar bodźców. Spowalniają mnie tak naprawdę.

- Potrzebujesz ich? Jesteś uzależniona?

Antonia ignoruje zniewagę. Bo pytanie jest zbyt ważne. Jest, tak naprawdę, wszystkim.

- Chcę myśleć, że nie. Ale nie zawsze mam rację.

Jon tego nie komentuje. Jest nikim, by kogokolwiek oceniać. Sam ma własne nałogi, z których usilnie obiecuje zrezygnować. Jak na przykład

zakochiwanie się. Każdy radzi sobie jak może. Musi tylko wiedzieć, czy to nie będzie problem.

- Muszę tylko wiedzieć, czy to nie będzie problem - mówi. - Że nie utrudni twojej pracy i nie wpłynie na twoją ocenę.

- Pieprzony złośliwiec - odparowuje Antonia, rozpoznając własne słowa.

- Pytam serio.

- Zobaczymy.

Tyle musi wystarczyć.

- Ostatnio w La Finca, kiedy wysiadłaś z furgonetki...

Nie dodaje: płacząc i będąc kłębkim nerwów.

- Tak, wzięłam ją. I nie, nie chcę o tym mówić.

- Nie o to chodzi. Powiedziałaś wtedy, że morderca nie pomyślał o wszystkim.

Jon próbuje ustalić jakiś punkt wyjścia. Co nie jest łatwe. Śledztwo zwykle trwa tygodniami i prowadzi je wiele osób. Carla Ortiz może i ma wiele osób, ale nie ma czasu.

Álvaro Trueba ma już tylko ich dwoje.

- Myślę, że mamy dwa sznurki, za które możemy pociągnąć: jak i dlaczego.

- To znaczy?

Antonia zamawia kolejną herbatę z ciastkami (zwyczaj wynikający z tego, że w połowie jest Angielką i nie zamierza nigdy z niego zrezygnować), po czym wyjaśnia.

- W tej sprawie nic nie jest normalne.

- Zauważyłem.

- Powyobrażajmy sobie. Wyobraź sobie, że jesteś porywaczem, któremu udaje się uprowadzić syna dyrektorki największego banku w Europie. Co robisz?

- Żądam pieniędzy. Niewyobrażalnej sumy. Ile tylko mogę.

- Właśnie. I nawet nie porwałś krewnego słynnego przemysłowca, jak przed laty w przypadku Revilli. Miliard peset. Jak ci je zapłacą?

- Tyle kasy musi sporo ważyć - zastanawia się Jon. Pamięta tamto porwanie, chociaż w osiemdziesiątym ósmym miał tylko dwanaście lat. Ale to jedna ze spraw, którą analizował w Akademii Policyjnej w Ávili.

- Długa tona. Dlatego na milion peset mówiło się kilo, choć tak naprawdę było to raczej tysiąc sto gramów.

Jon o tym wiedział, więc przytakuje grzecznie, żeby jej nie przerywać. Przy Antonii czasami lepiej udawać głupka i pozwolić, żeby płynęła.

- Jeśli jesteś organizacją terrorystyczną i żądasz okupu za producenta kiełbasy, trudno jest odebrać pieniądze - ciągnie Antonia. - Przy porwaniu zawsze są dwa ważne punkty: kontakt z rodziną i odebranie okupu. W dzisiejszych czasach z tym pierwszym nie ma prawie żadnego problemu.

- Każdy idiota może skorzystać z internetu dla zamaskowania swojej tożsamości.

- A odebranie okupu, gdy żądasz go od bankierki, której instytucja zarabia miliardy rocznie, to prościzna. Wystarczyłoby przelanie pieniędzy na jakieś konto w Bahrajnie albo na Wyspach Marshalla czy w jakimkolwiek rajach podatkowym.

- Dla kogoś takiego jak Laura Trueba to byłaby bułka z masłem.

- I suma nie ma tu znaczenia. Dziesięć milionów euro, sto, miliard. Przelanie pieniędzy zajęłoby jej pięć minut. Później by je spłaciła.

Jon drapie się po głowie, jak zawsze, kiedy jakaś myśl przychodzi mu do głowy.

- Chyba wiem, do czego zmierzasz. W tym porwaniu nic nie powinno wyjść źle.

- Właśnie. Matka ma do dyspozycji niewyobrażalne środki. Nie ma możliwości, żeby złapano Ezequiela podczas przekazania okupu.

- Nic nie mogło wyjść źle.

- A jednak wyszło.

- Myślisz, że mógł zobaczyć jego twarz i dlatego postanowił go zabić?

- Nie sądzę. Ezequiel wydaje się ostrożny, sam widziałeś, że kiedy go ścigaliśmy, miał na sobie kominiarkę. A właśnie, udało ci się zrobić zdjęcia?

Jon wyjmuje telefon i pokazuje zdjęcia, jakie zdołał zrobić. Jest ich cała seria, ponieważ zostawił wciśnięty przycisk aparatu.

- Przesłałem je już Mentorowi, żeby przekazał je Parze. Tego nie mogliśmy zachować dla siebie.

- Dobrze zrobiłeś.

Antonia otwiera serię i przegląda zdjęcia jedno po drugim. Z siedemdziesięciu trzech dwie trzecie uchwyciły tylko szybę i bok porsche. Reszta to ujęcia częściowe albo zbyt poruszone. Tylko dwa z nich są względnie akceptowalne, choć bynajmniej nie na miarę Pulitzera. Oba są bardzo podobne. Największa różnica polega na tym, że na jednym Ezequiel trzyma obie ręce na kierownicy i patrzy przed siebie, a na drugim jest odwrócony w ich stronę i zaczyna wyciągać pistolet.

Na żadnym nie widać jego twarzy.

Antonia przesyła je na swój iPad, żeby móc je lepiej obejrzeć.

- Mentor wysłał je już do Aguado.

- Dobrze. Może ona zdoła zobaczyć coś więcej. Czekaj chwilę...

Antonia powiększa fotografię do maksimum. Jej uwagę zwróciło coś na prawej ręce. Ezequiel ma na sobie czarny sweter i rękawiczki, ale na zdjęciu, na którym zaczyna wyjmować broń, rękaw swetra jest trochę podwinięty.

Pod spodem coś jest.

- Wygląda jak tatuaż - mówi Jon. Nachylił się, by lepiej widzieć.

Jest ledwie widoczny, musi mieć długość około trzech centymetrów.

- Zadzwoń do Aguado i powiedz jej, żeby się na tym skupiła, choć już na pewno to robi. Ona ma narzędzia do analizy kryminalistycznej. Może da nam jakiś trop.

Tatuaż to niewiele, ale zawsze coś. A w tej chwili to coś może być jedyną nadzieją dla Carli Ortiz.

Niczym brzytwa.

Kiedy Jon rozłącza się po rozmowie z doktorką Aguado, oboje myślą o tym samym.

O czasie, jaki minął między porwaniem Álvara Trueby a znalezieniem jego ciała.

Tydzień.

- Skoro nic nie potoczyło się źle, skoro Ezequiel nie miał powodu, żeby zabić chłopaka, w takim razie dlaczego to zrobił?

- Nie dla pieniędzy, to oczywiste. Nie sądzę też, by zrobił to dla przyjemności. To nie jest psychopata, a przynajmniej nie taki zwyczajny.

- Powiedziałaś, że to było coś, czego nigdy wcześniej nie widziałaś.

- Ani ja, ani nikt inny. Myślę, że Ezequiel porywa i zabija z bardzo konkretnego powodu. Który musi mieć jakiś związek z władzą.

- I także ze strachem - dodaje Jon. - Sama widziałaś, że Ramón Ortiz był bardzo przestraszony.

- I nas okłamał. Nie powiedział nam wszystkiego, co przekazał mu Ezequiel. Jaki powód może mieć ojciec, żeby ukrywać informację, która mogłaby uratować życie jego córki?

Choć długo się nad tym zastanawiają, nie znajdują żadnej logiki w zachowaniu biznesmena.

- Myślę, że w tej chwili najważniejsze jest zdobycie tej brakującej informacji.

- Do Ortiza nie mamy dojścia.

- Wiem. Ale pierwszym kluczem tej sprawy jest dlaczego. Jeśli się dowiemy, dlaczego Ezequiel zabija, łatwiej będzie nam go złapać.

Parra

Kapitan Parra jest człowiekiem czynu.

Gdy tylko dostaje telefon, mobilizuje wszelkie dostępne środki w celu przeniesienia zwłok. Techników, lekarza sądowego, sędziego śledczego.

- Wszystko z zachowaniem jak największej dyskrecji, zrozumiano?

Zaczynają przyjeżdżać na obrzeża Centrum Hipiki około dziewiątej. O jedenastej jest już urządzony kompletny cyrk, brakuje tylko gołębi i słoni. Droga do Centrum Hipiki jest zastawiona trzema radiowozami, wieloma nieoznakowanymi wozami, transportem z dwoma zespołami konnymi (trzeba wziąć pod uwagę teren). Jest nawet LDS, Laboratorium Działań Specjalnych, furgonetka taka jak MobLab pod kierownictwem doktorki Aguado w projekcie Czerwona Królowa. Tyle że słabiej wyposażona. I znacznie większa. Biało-niebieska z flagą Hiszpanii na całej długości i półmetrowym napisem POLICJA.

Czysta dyskrecja.

O dwunastej zaczynają przybywać uczestnicy popołudniowych zawodów. Ludzie, powiedzmy, wysoko postawieni. Ludzie z telefonami i Instagramem. Ludzie, którzy torują sobie drogę pośród Wielkiego Karnawału i robią zdjęcia bez wysiadania z samochodów.

Czy ktoś mógł to przewidzieć?

Kapitan Parra mógł.

I oczywiście to zrobił. José Luis Parra to wspaniały profesjonalista. Bardzo dobrze wykonujący swoją pracę. Od sześciu lat stoi na czele WPW ze spektakularnymi wynikami. W tym czasie zajmował się przeszło dwustoma porwaniami, z których osiemdziesiąt osiem koma trzy procenta zakończyło się szczęśliwie.

Kiedy Parra otrzymał polecenie stworzenia jednostki, skupił się na tym, żeby jego podwładni umieli negocjować. Wysłał ich, żeby uczyli się – on jako pierwszy – od najlepszych. W Nowym Jorku i w Quantico, akademii FBI. I żeby w pracy dawali z siebie wszystko, co możliwe i niemożliwe. Jednego razu kapitan Parra musiał stać w deszczu siedem godzin na dachu, gdy próbował przekonać pewnego mężczyznę, żeby opuścił strzelbę. Jego żona i syn klęczeli naprzeciwko niego, po drugiej stronie lufy. Mężczyzna zamierzał ich zabić, a potem strzelić sobie w głowę. Przemoczony do suchej nitki Parra chciał tylko, żeby odwrócił kolejność. „Najpierw zabij siebie, a potem zabijesz ich, sukinsynu”. Nie powiedział tego. Negocjatorzy nigdy nie mówią takich rzeczy. Przemawiają bardzo łagodnym tonem.

Kapitan Parra już od sześciu lat odnosi sukces za sukcesem. Kłopot w tym, że robi to tak dobrze, że nikt nie uważa, iż należy dać mu awans. A Parra jest zdania, że na niego zasługuje. On chce zostać komisarzem, bo ma już po dziurki w nosie gadania z wariatami przez całe godziny. I dlatego, że komisarze zarabiają miesięcznie o czterysta euro więcej. A to, jeżeli jesteś ojcem licznej rodziny, stanowi różnicę między jedzeniem makaronu co wieczór od dwudziestego każdego miesiąca a odżywianiem się jak należy. Kapitan Parra ma obsesję na punkcie białka, każde jego ramię waży po kilka kilogramów. Kłuje się też w dupę, co należy uczciwie powiedzieć. Ale żeby wyglądać jak Dwayne Johnson, trzeba cierpieć.

Żeby awansować – również, jasna sprawa. W każdym razie, żeby awansować, ktoś musi cierpieć. Tak więc Parra dokonał kalkulacji. Jeśli uda mu się w porę uratować Carlę Ortiz, będzie miał zapewnioną chwałę. Ale jeśli tego nie zrobi, to też nie będzie tragedii. Liczy się to, że sprawa jest ważna. Gdyby jego szefów kusilo, żeby odsunąć go ze stanowiska z powodu „presji społecznej”, mówiąc eufemistycznie, musieliby pchnąć go w górę. Z jego dorobkiem wynoszącym osiemdziesiąt osiem koma trzy procent spraw zakończonych sukcesem, w razie gdyby Carla Ortiz znalazła się w tym drugim przedziale spraw nieudanych, co mogą mu zrobić?

A może się tak zdarzyć, jasne, że może się tak zdarzyć. Ponieważ teoria Parry, w której głównym podejrzanym o porwanie był Carmelo Novoa, poszła w diabły po niespełna dwunastu godzinach.

Parra zjawił się na miejscu zbrodni, pytając: „Co mamy?“, jak policjanci w filmach, i przekonał się, że jego główny podejrzany wygląda teraz na ofiarę drugorzędną. Z podciętym gardłem i w ogóle.

Prawda jest taka, że Gutiérrez i tamta idiotka z Interpolu zrobili mu przysługę. Nie wie, jakim cudem zdołali tak szybko zlokalizować samochód, ale zaoszczędzili im wiele godzin i kłopotliwych wyjaśnień. Mimo to jest strasznie wściekły. Bo gdyby tamci nie działali na własną rękę, teraz podejrzany siedziałby w areszcie, a stąd do uratowania uprowadzonej potrzeba tylko kilku godzin w zamkniętym pomieszczeniu i książki telefonicznej – nie zostawia śladów – umiejętnie przyłożona do żeber. A wszystko przez to, że te gnojki chciały działać na własną rękę. Tak czy owak już się ich pozbył i nawet dobrze mu to zrobiło. Dwoje kozłów ofiarnych, na wszelki wypadek. A oni są coraz bliżej rozwiązania sprawy.

Teraz wiedzą, że Carla Ortiz została porwana dla okupu, tak więc trzeba się przyczepić do ojca jak rzep i być przy nim, kiedy dostanie drugi telefon od porywaczy. I kiedy będzie przekazywał okup. Bo ojciec zapłaci, oczywiście, że tak. Pieniądzy mu nie brakuje.

W każdym razie kapitan Parra wie, że kiedy sprawa przedostanie się do wiadomości publicznej, każdy jego krok będzie oglądany pod mikroskopem, musi więc kryć sobie plecy.

Stąd to całe przedstawienie. Media jeszcze nie wiedzą, kim jest ofiara, ale kapitan ma świadomość, że te zdjęcia wcześniej czy później trafią do dziennikarzy, a on chce się upewnić, że kiedy to się stanie, będzie jasne, że nie szczędzono wysiłków. I podczas gdy drogą do Centrum Hipiki przejeżdżają bmw i mercedesy, a ich pasażerowie robią zdjęcia, Parra uśmiecha się spod sosen.

W duchu, rzecz jasna.

Na zewnątrz wydaje polecenia, gestykułując, jak przystało na człowieka czynu, którym jest.

13

Oliwa

Mentor zostawił im w recepcji kluczyki do nowego audi A8, prawie identycznego jak poprzedni, z tą tylko różnicą, że ten jest granatowy, a nie czarny. Był nawet tak uprzejmy, że na desce rozdzielczej położył odręczną notkę.

Bądźcie tak mili i nie rozwalcie go.

M.

czyta Jon na głos i przekazuje karteczkę partnerce. Antonia robi z niej kulkę i rzuca na tylne siedzenie.

- Miałeś dać mi prowadzić - mówi.

- Nie, wielkie dzięki.

- Teraz jesteś po jego stronie?

- Jestem po stronie mojego zdrowia. Dokąd jedziemy?

- Wracamy do La Finki.

- Podejrzewam, że tam jest pierwszy sznurek, za który chcesz pociągnąć.

- Jak sądzisz, dlaczego zostawił tam ciało? Mógł zostawić Álvara Truebę gdzieś w szczerym polu. Ale tego nie zrobił, zostawił go w jednym z domów należących do rodziny, i to nie w byle jakim. Posiadają ich ponad dziesięć, Ezequiel miał w czym wybierać. Tymczasem zostawił go w domu na rzekomo najbezpieczniejszym osiedlu w Hiszpanii.

Jon przytakuje powoli, ciesząc się cudowną jazdą przez Gran Vía. Wiecznie rozkopaną. Na której zawsze panują godziny szczytu.

Kalkuluje, że z taką prędkością do plaza de Cibeles dotrą w następny czwartek.

- I nie zostawił go byle jak. Zadał sobie wiele trudu, żeby przygotować ciało i pozostałe elementy scenerii. Chciał przekazać nam jakąś wiadomość.

- Nie, nam nie. My go nie obchodzimy.

- W takim razie komu?

- Nie wiem - mówi Antonia, zastanawiając się nad odpowiedzią dłuższą chwilę. - To właśnie nie daje mi spokoju. Gdyby był seryjnym mordercą, czerpałby przyjemność z tego, co robi, a także z tego, że wszyscy by się dowiedzieli, co robi. Gdyby był porywaczem, chciałby pieniędzy, nie zostawiłby wiadomości. Gdyby ta sprawa była skierowana konkretnie przeciwko rodzinie Truebów...

- Nie zostawiłby tak pieczołowicie przygotowanego miejsca zbrodni - dodaje Jon. - Ani nie porwałby Carli Ortiz.

- A do tego dochodzą religijne nawiązania. Całe miejsce zbrodni przypominało Psalm dwudziesty trzeci.

Słyszając to, Jon aż podskakuje na siedzeniu.

- No jasne... „Namaszczasz oliwą głowę moją, kielich mój przelewa się”. Dlaczego nie domyśliłem się wcześniej?

- Nie sądziłam, że jesteś taki religijny, inspektorze - dziwi się Antonia.

- Lata katechezy, piękna. Człowiekowi zostają w głowie różne rzeczy oprócz „Mam przyjaciela, który bardzo kocha”.

To o przyjacielu i miłości było prawdą. Jon zapisał się na katechezę w liceum z tego samego powodu, dla którego inni zapisują się do kółka teatralnego na uniwersytecie. Tam odkrył, że w tym wszystkim, czego słuchał i się uczył, jest wielki spokój. Nie wierzył w Kościół, który nie mógł wierzyć w niego, ale nie przejmował się tym zbyt, ponieważ był przekonany, że Jezus nie wierzył w Kościół.

Antonia była oczywiście wierną wyznawczynią ateizmu, który jest inną formą religii, tyle że tańszą.

- Kiedy spaliśmy, doktorka Aguado przesłała mi maila ze składem oliwy z włosów Álvara Trueby - mówi Antonia, otwierając skrzynkę pocztową na iPadzie. - To oliwa z oliwek aromatyzowana mirrą. Trochę poszukała i wygląda na to, że to się nazywa „olej świętego namaszczenia”.

- Ostatnie namaszczenie. Księża nakładają olej na czoło i dłonie umierających.

- Ico to niby daje?

- Przygotowuje na spotkanie z Bogiem. To tak, jakby naoliwić wielbłąda, żeby przeszedł przez ucho igielne.

Oboje starają się nie myśleć o ostatnich chwilach Álvara i o tym, jak musiał cierpieć. Bez powodzenia.

- Przynajmniej jeśli ten olej trudno dostać, może w ten sposób namierzemy Ezequiela - mówi optymistycznie Jon.

- Nie, już sprawdziłam. W internecie można go kupić za pięć euro. Sprzedają go nawet w El Corte Inglés. Nie wspominając o każdym sklepie ezoterycznym w Madrycie.

- Jest popyt na olej dla umierających?

- Używa się go do aromaterapii i innych bzdur.

Jona nieodmiennie zdumiewa natura ludzka, zwłaszcza jego własna. Dziwi się za każdym razem, gdy odkrywa, że gdzieś tam jest cały wszechświat, którego istnienia nigdy sobie nawet nie wyobrażał. „Co za szaleństwo”, myśli. „Czego to ludzie nie wymyślą”. A potem dziwi się własnemu zdziwieniu.

- Więc myślisz, że mamy do czynienia z religijnym fanatykiem?

- Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nie. Znacznie trudniej byłoby mi to zrozumieć.

Ciężar świata spada na barki Antonii Scott. Jej twarz jest zachmurzona, z jej oczu zwisają fioletowe worki. Schwytanie Ezequiela i uwolnienie Carli Ortiz potraktowała bardzo osobiście. A to zawsze gotowy przepis na katastrofę. Ale ostrzeżenie jej przed tym nie ma żadnego sensu. Więc zamiast tego Jon mówi:

- Nie jesteś w tym sama, wiesz?

Powstrzymuje pokusę poklepania jej po ramieniu i tylko uderza dwukrotnie w siedzenie, wystarczająco blisko ramienia, żeby zrozumiała jego intencje. A Antonia – ktoś by pomyślał – uśmiecha się.

- Dzięki.

„Miłe słowo. Cuda się nigdy nie skończą?”

Milczy przez ten czas – dość długi – jaki zajmuje im wydostanie się z centrum miasta i wjazd na M-40. W połowie drogi do La Finki.

- Nie, nie sądzę, żeby był religijnym fanatykiem. W tym przypadku elementy religijne to tylko ozdoba. Jak lakier położony w ostatniej chwili.

- Przy czym nadal nie wiemy dlaczego.

- Nie po to wracamy na miejsce zbrodni. Jedziemy tam, żeby się dowiedzieć jak. Jak Ezequiel zdołał tam wejść?

- Zgoda. To jest twój pierwszy sznurek. A jaki jest drugi? Jak dotrzemy do tego dłaczego?

- Uznasz, że to szaleństwo.

- Zaskocz mnie.

Antonia mu o tym mówi.

I tak, to jest szaleństwo.

Carla

Sandra nie odpowiada.

Carla nie odpuszcza, woła ją wiele razy – dopiero wtedy, kiedy jest pewna, że niebezpieczeństwo minęło – ale Sandra nie odpowiada. Jest sama.

Zapomnij o tej kobiecie.

Martw się tym, żebyś ty przeżyła.

Głos nadal do niej mówi, lecz stracił część swej siły, swojego imperatywu. Fakt, że nie jest sama, że po drugiej stronie ściany jest ktoś jeszcze, w jakiś sposób wszystko zmienił.

Ale Sandra nie odpowiada.

Mijają godziny, a może lata.

Carla śpi, budzi się. Znowu śpi. Zasypia i się budzi niczym ćma fruująca wokół świeczki. Każda chwila, w której ulega ciężkim powiekom i zapada w sen, jest zatrutym błogosławieństwem. Ponieważ miesiące lub minuty później Carla się budzi. I po krótkim poczuciu spokoju natychmiast pojawia się przerażająca wyrazistość jej sytuacji. Fatalnej sytuacji.

Podczas jednej z przerw Carli zdaje się, że słyszy otwierającą się kłapę. Kiedy sprawdza w pobliżu drzwi, znajduje kolejną butelkę wody oraz batonik. Pije trochę, sika do dziury, ale nie może jeść. Nie jest głodna, w żołądku wciąż czuje kwas, usta nadal wypełnia gorzki smak żelaza.

I jest coś jeszcze.

Boi się, że włożono jej coś do batonika.

Musisz jeść.

Może być zatruty.

Jesteś zdana na jego łaskę.

Może cię zabić, kiedy zechce.

Jeśli nie będziesz jeść,

jeśli nie zachowasz się,

nie będziesz miała żadnych szans.

Głos odzyskał moc, znów jest obecny, zajmując miejsce, które zostawiło milczenie Sandry. Teraz słyszy go wyraźniej niż przedtem, nie tylko w swojej głowie, lecz także w nieświeżym powietrzu wokół.

Carla rozrywa opakowanie batonika i bierze gryza, starając się zadowolić głos. Teraz nie brzmi już jak tembr jej matki. Jest inny. Młodszy. Wyrazistszy. Bardziej stanowczy.

- Kim jesteś? - pyta szeptem.

Przecież wiesz.

- Nie, nie wiem.

Głos nie podaje już żadnych odpowiedzi.

Carla je jeszcze trochę. Glukoza i suszone owoce wyrównują poziom insuliny, przywracają jej wyczerpanemu ciału nieco energii.

Musisz znaleźć coś do zrobienia.

Inaczej oszalejesz.

„A to mówi głos w mojej głowie”, myśli Carla.

Ale głos ma rację. Tak więc zabiera się do eksplorowania swojego otoczenia. Tym razem z większą starannością. Analizuje szczegóły swojej celi, uważnie dotykając podłogi i ścian.

Po bokach nie znajduje wiele, zaledwie goły cement.

Jednakże ściana naprzeciwko metalowych drzwi jest pokryta małymi kwadratowymi kafelkami o boku długości około dziesięciu centymetrów. Przy rogu z dziurą ostatni kafelek jest nieco luźniejszy.

Wystaje na kilka milimetrów, a kiedy go dotyka, lekko odchodzi z łagodnym piaszczystym chrzęstem.

Gdyby mogła wsadzić palce między kafelek a zaprawę, być może mogłaby go oderwać.

I co ci to da?

„Nic”, myśli Carla, znowu czując okrutne szarpnięcie rozpaczy.

14

Papierowa torba

Powitanie w La Fince nie jest zbyt gorące.

Nie ma tancerek, konfetti ani czerwonego dywanu.

Jon Gutiérrez nigdy nie był zwolennikiem podsywania tradycyjnej rywalizacji między ochroniarzami a policjantami. Zamierza żyć sto lat, dlatego żyje i pozwala żyć innym. Oni robią swoje, on swoje. Oczywiście należy do mniejszości. Kiedy jesteś policjantem i wypruwasz sobie żyły w radiowozie, pracując za marne grosze od jednego wezwania do drugiego, to bywa, że uważasz się za kogoś lepszego. Taka jest natura człowieka, pogardza tymi stojącymi niżej i nienawidzi tych z góry, aż wchodzi na wyższy stopień i zaczyna od nowa.

Ci z ochrony – tak samo nieufni i nieświadomi, że inspektor Jon Gutiérrez jest z natury łagodny i otwarty, choć zaprzecza temu krzepki wygląd i groźna postawa – nie zamierzają współpracować tego wieczoru.

Jon parkuje audi obok budki wartowniczej. Wsiadają. Ochroniarze stoją przy szlabanie. W palcach jednej ręki papieros, palce drugiej na klamercie paska, Klasyczna Postawa numer jeden, której uczą na zajęciach pierwszego dnia.

– W czym mogę pomóc?

„Czytaj: Czego, kurwa, chcecie?”

– Dobry wieczór. Jestem inspektor Gutiérrez z Policji Krajowej. To moja partnerka. Byliśmy tutaj dwa dni temu, nie wiem, czy panowie pamiętają.

– Dwa dni temu miałem wolne.

To oczywiście kłamstwo, ponieważ mimo ciemności Jon rozpoznał obu. Zwłaszcza tego, który mówi. Dobiega pięćdziesiątki, trzydniowy zarost, kolczyk, który zdejmuje do pracy. Kłamie tak samo jak kłamał przedwczoraj, kiedy powiedział, że nie pracował tamtej nocy, gdy znaleziono Álvara Truebę.

- Potrzebujemy dostępu do nagrań z kamer monitoringu sprzed trzech dni.

Ochroniarz zakłada ręce na piersi i ustawia stopy czubkami na zewnątrz (Klasyczna Postawa numer dwa), po czym udziela niespodziewanej odpowiedzi.

- Oczywiście, inspektorze, z przyjemnością spełnimy pańską prośbę.

Jon się uśmiecha.

- Gdy tylko dostarczy pan szefowi firmy pismo z nazwiskiem wnioskującego funkcjonariusza, wskazując konkretne nagrania i wyraźnie zaznaczając, że to wszystko w ramach śledztwa w sprawie popełnionego przestępstwa. To Prawo o Ochronie Danych, sam pan rozumie.

„Jasne, że tak”, myśli Jon. „Tyle że Carla Ortiz nie może czekać, aż ja złożę wniosek na piśmie w sprawie przestępstwa, które rzekomo nigdy nie zostało popełnione”.

- Widzi pan, rzecz w tym, że nam się bardzo spieszy. Może moglibyśmy pominąć formalności, taka uprzejmość zawodowa.

- A o jak dużej uprzejmości mowa?

Jon drapie się po głowie, potem drapie się po kieszeni. Wszystko, co ma w portfelu. Pięćdziesiąt euro.

- Pięćdziesiąt euro. To wszystko, co mam przy sobie.

- To niech pan wróci, jak będzie miał pięć tysięcy - mówi ochroniarz, choć dobrze wie, że policjant nigdy nie widział naraz pięciu tysięcy w swoim pieprzonym życiu.

Inspektor Gutiérrez poważnie zastanawia się nad skutkami walnięcia go w głowę. Potem mówi:

- No to nic, wracamy. Wielkie dzięki.

- Nie ma za co, skarbeńki.

Po powrocie do samochodu Jon jest wnerwiony. Prowadzi i bez przerwy nawija, porządnie rozeźlony.

- ...i czy ten palant nie powiedział: „Nie ma za co, skarbeńki”? Właśnie tego słowa użyłem ostatnio, kiedy nie przestawali oslepiać nas latarką. Jakby chciał nam jasno pokazać, że to on był tu tamtego dnia, udając mądrałę. Kretyn. Złamas. Nie wiem, dlaczego Mentor nie poprosił o nagrania z kamer monitoringu i dlaczego musimy robić to my, i... Można wiedzieć, co ty robisz?

Antonia nie zwraca na niego uwagi, wprowadza współrzędne do samochodowego GPS-u. Pojawia się pewien adres. Dziewiętnaście minut.

- Dokąd jedziemy?

- Nie przeszkadzaj mi - odpowiada Antonia. Otwiera swój iPad i szuka informacji. Wchodzi na jakąś stronę internetową i zaczyna czytać. - Mam tylko dziewiętnaście minut, żeby się tego nauczyć.

Kiedy zatrzymują się pod adresem, który Antonia wprowadziła do GPS-u, Jon nie może uwierzyć.

- Teraz chcesz tutaj wejść?

- Potrzebuję twoich pięćdziesięciu euro.

- To moje ostatnie pięćdziesiąt euro. Przypominam ci, że jestem zawieszony w obowiązkach bez prawa do pensji.

- Zaraz ci je oddam.

Jon podaje jej banknot. Antonia go bierze, wyjmuje swój dowód osobisty z torby, a tę zostawia na siedzeniu.

- Zaczekaj tu. I zamknij samochód. Nie chcę, żeby ktoś ją ukradł, jeśli zrobisz sobie sjęstę.

Do tego dnia Jon myślał, że nie da się kłąć bez przerwy przez dziewięćdziesiąt cztery minuty, ale tym właśnie się zajmuje przez prawie cały ten czas, kiedy Antonia Scott nie wraca.

Gdy wreszcie się pojawia, w jednej ręce niesie zwykłą papierową torbę, a w drugiej banknot pięćdziesięcioeurowy.

- Wracamy do La Finki.

Jon parkuje przy budce wartowniczej, podejście drugie.

Temperatura powitania: poniżej zera.

- Inspektorze, jeśli przywiózł pan pisemny wniosek o wydanie nagrań, muszę panu przekazać, że nasz przełożony przebywa na urlopie. Z przyjemnością będziemy mogli pomóc w przyszłym tygodniu.

Antonia podaje papierową torbę Jonowi, a ten przekazuje ją ochroniarzowi. To zwykła papierowa torba z czarnym logo z boginią Kybele. Pod spodem małymi literami: Casino Gran Madrid. Ochroniarz patrzy na nią, nie porzucając Klasycznej Postawy numer dwa.

- Co to jest?

Marszczy nos, jak gdyby w torbie znajdowały się pieluchy z drugiej ręki.

- Uprzejmość zawodowa.

Ciekawość bierze górę nad arogancją. Ochroniarz wyciąga rękę i bierze torbę. Waży ją w dłoniach. Zagląda do środka. Wyciąga latarkę. Ponownie zagląda do środka. Spogląda na Jona. Spogląda na swojego kolegę.

- Nie wiedziałem, czy chodzi o pięć tysięcy euro w sumie, czy na głowę, więc przynieśliśmy dziesięć tysięcy, żeby mieć pewność - wyjaśnia Jon.

Podczas gdy ochroniarz i jego kolega naradzają się na stronie - zerkając do torby co trzy sekundy - Jon i Antonia szepczą do siebie, nie przestając na nich patrzeć i się uśmiechać.

- Skąd, do diabła, przyszło ci to do głowy?

- Dzięki historii szofera Ramóna Ortiza, którą nam opowiedział.

- I w ciągu dziewiętnastu minut nauczyłaś się grać w blackjacka?

- Nie, grać nauczyłam się w minutę. W ciągu pozostałych osiemnastu nauczyłam się liczyć karty.

Budka wartownicza

Dziesięć tysięcy euro później Tomás i Gabriel, bo tak brzmią imiona ochroniarzy, stają się czarujący. Tomás, pięćdziesięcioletek z trzydniowym zarostem, prowadzi ich do budki, podczas gdy Gabriel zostaje na zewnątrz, pilnując szlabanu. Budka jest znacznie większa niż normalnie i okazuje się tylko przedsionkiem do miejsca, w które Jon i Antonia potrzebują się dostać.

- Tędy, proszę - mówi ochroniarz, otwierając drzwi w głąbi.

Schody prowadzą do podziemnego pomieszczenia, gdzie znajdują się szafki, strefa odpoczynku, prysznic, mała siłownia.

- Kawy?

Jon chętnie by się napił. Antonia woli herbatę, gdyby była. Jest. Tomás przygotowuje napoje w maszynie podobnej do tych, jakie można spotkać w sali śniadaniowej w pięciogwiazdkowym hotelu.

- Naprawdę nie możemy narzekać. Mamy tutaj wszelkie udogodnienia. Wcześniej pracowałem w hipermarkecie. Dzień w dzień starcia z Cyganami, którzy chowali towar pod koszulami. Nie mam nic do Cyganów, niektórzy z moich najlepszych znajomych są Cyganami, ale...

Jon mu przerywa, zanim się uduś.

- Ma pan tu doskonałe miejsce pracy.

- Najlepsze, jakie mogłem znaleźć. A tym bardziej w moim wieku.

- Rozumiem, że nie chce pan ryzykować jego utraty.

Tomás podaje im parujące filiżanki. Sobie też robi kawę.

- Jestem za stary na szukanie nowej pracy. I mam dwoje dzieci na uniwersytecie.

- Wie pan, co się ostatnio wydarzyło w willi przy Los Lagos?

Tomás odwraca wzrok.

- Umowa była taka, że pokażę wam nagrania. Nic więcej.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy - odzywa się Antonia.

W ciągu dwudziestu lat służby Jon przesłuchiwał mnóstwo osób. Różnych kolorów skóry, różnego wzrostu i różnej postury. Tych, którzy nie chcą mówić ze strachu, tych, którzy kłamią, żeby zrzucić z siebie winę... i tych, którzy przebiegają nogami, by zacząć mówić. Ci ostatni rzucają na przykład coś takiego:

- Nie wiem, czy mogę wam ufać.

A ty musisz zdobyć ich zaufanie, dać im coś w zamian.

Tak więc Jon spogląda na Antonię. Prosi ją o pozwolenie. Ona przytakuje głową.

- Widzi pan... nie jesteśmy zwykłymi policjantami.

- Nie rozumiem - mówi zdezorientowany mężczyzna. - Widziałem pańską odznakę i jest prawdziwa.

- Jest prawdziwa. Ale my nie jesteśmy tacy jak inni.

- O tym już się przekonałem. Ci prawdziwi nie podarowują całych plików w banknotach po sto.

- To, co nam pan opowie, nie zostanie wykorzystane w sądzie. Nie zostanie po tym żaden ślad. Pewna osoba potrzebuje pomocy. I jest ktoś, komu trzeba wymierzyć sprawiedliwość. Pan wie, co się tutaj stało.

Ochroniarz zwiesza głowę. Okazuje się, że kiedy Tomás opuszcza Postawę Klasyczną numer jeden i numer dwa, jest przyzwoitym człowiekiem. Takim, który wstydzi się tego, co jego szefowie kazali mu zrobić. Żeby milczał, odwracał głowę, jeśli cię widziałem, to nie pamiętam i nic się tu nie stało. Łatwo powiedzieć, trochę trudniej zrobić. Niemożliwe, że udałoby się za darmo.

- Tak. Wiem.

- Ile jeszcze osób o tym wie?

- Gabriel i ja. Szef. I gospoia Truebów. To ona weszła do salonu i zobaczyła dzieciaka.

- I potem zadzwoniła do pana. A pan zadzwonił do szefa.

Tomás przytakuje.

- Właśnie kończyłem zmianę.

- To jest normalne? - pyta Jon. - Czy to normalne, że pracownica dzwoni do pana, a nie na policję?

Mężczyzna milczy, zawstydzony. Twarz ma czerwoną, w dłoniach trzyma filiżankę, jakby to była ostatnia deska ratunku.

- Panie Tomásie. - Jon łagodnie zachęca, by mówił dalej.

- Na tym osiedlu sprawy załatwia się inaczej. To nie jest niebezpieczne miejsce, deweloperzy zadbali o to, żeby nie zamieszkał tu byle kto. Muszą wiedzieć, skąd pochodzą pieniądze. Chcieli się tu sprowadzić Rosjanie i Kolumbijczycy. Odmówiono im. Ale i tak ci, którzy tu mieszkają, to ludzie wyjątkowi. O wyjątkowych potrzebach.

- Czy wcześniej zdarzały się incydenty?

- Nigdy tak poważne jak ten. Bez porównania. Ale przykaz zawsze brzmiał: milcz i nie zadawaj pytań.

- I tym razem też pan posłuchał.

- Nie płacą mi za zajmowanie się takimi sprawami.

„Nie”, myśli Jon. „To mnie za to płacą. Ty i wszyscy Hiszpanie”.

Nic nie mówi. Na nic by się to nie zdało. Nie jest na tyle istotny, żeby wymachiwać Konstytucją, artykuł dwudziesty czwarty.

„Staję się cynikiem”, myśli. I oczywiście jest mu to obojętne. Na tym to polega.

Liczy się tylko znalezienie Ezequiela.

- Czy tamtej nocy był ktoś w willi przy Los Lagos?

- Nie. Dom jest zamknięty prawie odkąd go ukończono, sześć czy siedem miesięcy temu. Prawie tu nie przyjeżdżali. Słyszałem, że mieszkają bliżej centrum.

- Wie pan, czy planowali się tu przeprowadzić?

Tomás kręci głową.

- Kiedy właściciele się wprowadzają, zwykle organizują wielkie przyjęcie inauguracyjne. My zawsze o tym wiemy, rzecz jasna. Jeśli

zapraszają sto osób, wcześniej musimy dostać sto nazwisk i odpowiednie numery tablic rejestracyjnych. W przeciwnym razie nie wjadą.

- I nie widział pan tu rodziny?

- Na mojej zmianie nigdy ich nie widziałem. Ale ja zaczynam o ósmej wieczorem i kończę o ósmej rano. Raz zjawili się asystentka z dekoratorem, mieli wymienić podłogę w kuchni, bo nie podobał im się kolor czy coś. Przyjechali bardzo wcześnie, dlatego to pamiętam.

„Mieć dom warty dwadzieścia milionów euro i nawet nie postawić w nim stopy. To dopiero bogactwo”.

- A osoby sprząające? Często przychodzą?

- Codziennie - potwierdza Tomás. - Dom musi być nieskazitelny, chociaż nikt w nim nie mieszka. Wchodzą o siódmej rano, ale o której wychodzą, tego nie wiem. Przypuszczam, że o trzeciej, tyle się tu zwykle pracuje.

- W porządku. Przejdźmy do tamtej nocy. Czy było coś, co zwróciło pana uwagę? Coś nietypowego?

- Nie, obawiam się, że nie.

- Dobrze - mówi Jon. - Przypuszczam, że ma pan listę osób, które wchodziły i wychodziły na pańskiej zmianie. Muszę ją zobaczyć. I jeszcze nagrania.

System monitoringu okazuje się wspaniały. Prawdziwe zaawansowane technologicznie dzieło sztuki. Na całym obszarze La Finki znajdują się czujniki ruchu.

- Oczywiście są wyłączone - mówi Tomás. - W przeciwnym razie bez przerwy by się uruchamiały. Przez króliki.

Oprócz strefy odpoczynku i pozostałych stref dla pracowników znajduje się tu również pokój przeznaczony do monitorowania osiedla. Dziesięć ekranów, które na zmianę pokazują obraz z czterdziestu kamer

bezpieczeństwa. Dwa inne stoją na stole, jeden przekazuje informacje z czujników ruchu (również wyłączony).

- Jest dużo królików?

- Całe mnóstwo. Wcześniej tu było pole.

- To nam nie pomaga.

- To zbyt cichy system. Nie potrzebujemy czujników ruchu. Mamy takie na podczerwień. One wysyłają alarmy wizualne, nie rozważa nam bębneków. Poza tym są ustawione w taki sposób, że nic, co waży mniej niż dwadzieścia kilogramów, nie sprawi, że się uruchomią.

- Ale tamtej nocy nie było żadnego alarmu na podczerwień.

- Obawiam się, że nie. Jeśli chodzi o system, to nie było żadnego włamania tamtej nocy.

- Wszystkie kamery są zwrócone na zewnątrz, prawda? - pyta Antonia, która do tej pory prawie się nie odzywała.

- Oczywiście. Wszystkie ulice wewnątrz osiedla są prywatne. Nie można tu nagrywać.

- A więc potrzebujemy tylko nagrania sprzed bramy wjazdowej.

- Proszę je włączyć, jeśli można - mówi Jon i podczas gdy ochroniarz szuka na twardym dysku odpowiedniego pliku, zwraca się do Antonii: - A dlaczego pozostałych nie?

- Gdyby Ezequiel przeskoczył przez ogrodzenie z ciałem Álvara, uruchomiłyby się alarmy na podczerwień.

- A jeśli system zawiódł?

Antonia wzrusza ramionami.

- Czterdzieści kamer obwodowych z przedziałem czasowym pięciu lub sześciu godzin każda. Przez dziesięć dni z rzędu nie robilibyśmy nic innego, tylko patrzyli w monitor, bez jedzenia i spania.

- Nie mamy tyle czasu - mówi Jon.

Carla nie ma tyle czasu.

- Dlatego musimy obstawiać. Według Aguado zgon nastąpił między ósmą a dziesiątą wieczorem.

- Wiemy, że musiał przewieźć ciało. Tak więc ósma wieczorem to dobry początek.

Antonia prosi Tomása, żeby włączył nagranie na dziesięciu monitorach, tylko na każdym inną godzinę. Ten w górnym rogu zaczyna pokazywać nagranie od ósmej wieczorem, następny od dziewiętej i tak dalej. Ostatni od piątej rano.

W ten sposób:

20 | 21 | 22 | 23 | 00

01 | 02 | 03 | 04 | 05

- Za każdym razem, gdy na którymś z monitorów pojawi się jakiś samochód, zatrzymujemy nagranie i sprawdzamy go z rejestrem wejść - wyjaśnia Antonia pozostałym.

- To bardzo dobry pomysł - przyznaje Tomás. - Zamiast dziesięciu godzin obejrzenie nagrania zajmie nam godzinę.

Zajmuje im to znacznie więcej, ponieważ każde pojawienie się samochodu, wymaga zatrzymania i sprawdzenia w rejestrze, co zabiera trochę czasu. A są ich dziesiątki, zwłaszcza między ósmą a dziewiątą.

Szukają jakiejś anomalii. Czegoś niecodziennego. Nie znajdują niczego. Nie licząc paru taksówek i wielu Uberów, wszystkie wjeżdżające samochody należą do mieszkańców albo przyjaciół mieszkańców, których ci upoważnili do wjazdu. Należałoby osobiście sprawdzić każde nazwisko upoważnionych osób, ale to zajęłoby wiele dni i wymagałoby pomocy innych.

Dlatego tak trudno prowadzi się śledztwa o zabójstwo.

Trzy godziny później oś czasu się kończy. A oni są wyczerpani. Na górnych monitorach ludzie nadal wjeżdżają, wracając do swoich domów po ciężkim dniu pracy albo po kolacji z rodziną. Na tych dolnych prawie nie ma ruchu.

Nagle Antonia się prostuje. Wskazuje środkowy monitor na dole.

- Tutaj. Ta taksówka.

To skoda octavia, najpopularniejsza taksówka w Madrycie. Na lampie dachowej ma numer zero. Typowe, kiedy jadą po kogoś z daleka.

W miarę jak taksówka się zbliża, na ekranie widać, jak Gabriel przepuszcza ją bez żadnych pytań.

Kod czasowy wskazuje 3.52.

- Co tu jest takiego wyjątkowego?

- Już wcześniej widzieliśmy tę taksówką - wyjaśnia Antonia. - Dziewięć trzy cztery cztery FSY. Przyjechała o wpół do jedenastej. Przywiozła kogoś.

Zgadza się. Szybkie sprawdzenie i już mają moment przyjazdu taksówki z taryfą nocną. Widać, jak Tomás się nachyla, żeby zapytać o coś taksówkarza, i natychmiast go przepuszcza. Zdjęcia są z góry, kąt nie pozwala zobaczyć licencji przyцепionej z boku.

- Pamięta pan tę taksówkę?

Ochroniarz patrzy na nich zakłopotany.

- Nie... Niczego nie pamiętam. Prawdopodobnie nachyliłem się, żeby zapytać, dokąd jedzie, podał mi adres i nazwisko i tyle. Tak zwykle postępujemy z taksówkami. A tym bardziej o tej porze, kiedy jest największy ruch.

To prawda. Nagranie pokazuje, że taksówka jest tylko jedną z dziesięciu, które czekają w kolejce do wjazdu na teren La Finki, podczas gdy osaczeni Gabriel i Tomás robią, co mogą. Bogacze nigdy nie grzeszyli cierpliwością.

Zdjęcia nie pokazują jednak ani kierowcy, ani pasażera.

- Jest inna ważna kwestia. Kto prowadził taksówkę? - pyta Antonię Jon. - Ma współnika czy to tylko ktoś, kto tędy przejeżdżał?

Ani Tomás, ani Gabriel nie pamiętają kierowcy. Tylko kolejną anonimową taksówkę. Przejeżdżającą bezkarnie przez szlaban, jak wiele innych każdego dnia. Możliwe, że znaleźli sposób, w jaki Ezequiel dostał się na osiedle. A może to tylko przypadek.

Innymi słowy: nie mają niczego.

A czas dla Carli Ortiz nadal płynie.

16

Zła noc

Jon zostawia Antonię w szpitalu.

Reszta nocy mija bardzo powoli.

Jest zbyt późno, żeby zadzwonić do babci Scott; jest zbyt pobudzona, żeby spać. Nie potrafi przestać myśleć o sprawie Ezequiela ani nie chce tego robić. Raz za razem powtarza wszystkie informacje i wszystkie możliwości. Nic ma nic, co mogłaby zrobić. Przekazali Mentorowi numer rejestracji taksówki, żeby on dostarczył go Parze (jak zwykle ucieknie się do sztuczki, jakoby dostał to od osób trzecich, jak UCO albo CNI), ale Antonia wie, że to będzie ślepy zaułek. Tak więc przysuwa fotel do łóżka i bierze prawą rękę Marcosa, tak jak w najgorsze noce, i tylko patrzy na ścianę i koncentruje się na dźwięku emitowanym przez elektrokardiogram.

O trzeciej w nocy dostaje maila od doktorki Aguado.

Do: AntoniaScott84@gmail.com

Od: r.aguado@europa.eu

Scott,

biorąc pod uwagę odległość między łokciem a nadgarstkiem oraz proporcję do wysokości wnętrza porsche cayenne, szacuję, że Ezequiel ma między 1,75 a 1,85 wzrostu. Oczy brązowe, wiek nieokreślony. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie pani mogła, chciałabym o tym porozmawiać.

Udało mi się też wystarczająco poprawić zdjęcie, które zrobił inspektor Gutiérrez, i zdołałam wyizolować tatuaż. Przesyłam go

w załączniku. To część jakiejś tarczy albo ikony, której nie potrafię zidentyfikować.

Pozdrawiam
dra Aguado

Antonia od razu kontaktuje się z doktorką.

- Nie spodziewałam się, że zadzwoni pani o tej porze.

- Nie miałam nic lepszego do roboty.

Aguado wyjaśnia, że zdjęcie tatuażu wysłała do setek salonów w Hiszpanii, które zajmują się tym biznesem.

- Szanse są niewielkie. Poprosiłam, żeby pomogli mi go zidentyfikować pod prepelem, że chodzi o sprawę gwałtu. Wprawdzie wielu to odstraszy, ale w tym zawodzie jest też sporo kobiet. Może któraś będzie mogła nam pomóc.

To posunięcie jest znacznie bardziej desperackie niż chwytanie się brzytwy. Ale nie mają nic więcej.

- Chciałabym powiedzieć o jeszcze jednym - dodaje Aguado. - Nie miałam odwagi pisać o tym w mailu, nie wydało mi się to profesjonalne. Na podstawie dowodów nie wyciągnęłam ze zdjęcia zbyt wiele, dlatego napisałam, że wiek jest nieokreślony. Ale im dłużej patrzę na ten obrazek, tym bardziej jestem przekonana, że ten mężczyzna ma około pięćdziesięciu lat.

- Na jakiej podstawie?

- Na żadnej naukowej. Postura, budowa ciała... Dlatego chciałam pani o tym opowiedzieć. Intuicja nigdy nie służyła jako dowód, ale niektóre rzeczy po prostu się wie. A jeśli się nie mylę i jest to ktoś w tym wieku, to byłoby to bardzo dziwne.

Antonia zastanawia się przez chwilę nad intuicją doktorki Aguado.

Większość seryjnych morderców zaczyna swoją makabryczną karierę przed trzydziestką. To naturalna konsekwencja ukrytej eskalacji przemocy, która stopniowo się rozwija. Na ich temat napisano mnóstwo książek, nakręcono dziesiątki filmów i seriali, aż uczyniono z nich

charakterystycznych złoczyńców, przydając im szczególnej mistyki, którą publiczność zaczęła postrzegać jako przewidywalną: traumatyczne dzieciństwo, torturowanie zwierząt, fascynacja pożarami, potrzeba seksualnego zaspokojenia. Wszystkie te elementy występują czasami u seryjnych morderców, a czasami nie. Uproszczenie jest wynikiem reakcji społeczeństwa na coś, czego nie rozumie, nałożeniem karykatury na rzeczywistość. W samej Hiszpanii jest ponad milion psychopatów. Bardzo nieliczni dopuszczają się morderstwa, wielu prowadzi pozornie normalne życie. Są szczęśliwymi dyrektorami do spraw zasobów ludzkich, ministrami czy właścicielami barów. Zło, które wyrządzą, nigdy nie trafi na ekrany kin.

O wielu innych nigdy się nie dowiemy. Albo dowiemy się wtedy, kiedy będzie za późno. Luis Alfredo Garavito miał czterdzieści dwa lata, kiedy został zatrzymany. Jakiś żebrak, rzucając kamieniami, odciągnął go od nieletniego, którego trzymał. W ciągu zaledwie sześciu lat zabił sto siedemdziesięcioro dzieci.

Smutna rzeczywistość jest taka, że nauka dopiero zaczyna stawiać stopę na progu ludzkiego umysłu. A jest to dom głęboki na wiele kilometrów.

Smutna rzeczywistość jest taka, że ich nie rozumiemy.

- Jest tam pani, Scott?

- Tak. Myślałam o tym, że to bardzo późny wiek na rozpoczęcie tego typu procederu.

- Wiem. To powoduje, że cała sprawa jest jeszcze dziwniejsza. Chyba że ta osobowość rozwijała się w nim bardzo powoli albo była ukryta przed ludźmi, bo w tym wieku powinien już wcześniej przejawiać skrajną przemoc.

- Nie pierwszy raz osoba pozornie idealna popełniłaby niewyobrażalną zbrodnię. Proszę sobie przypomnieć sprawę rodziców tamtej dziewczynki z Santiago de Compostela.

- To prawda. Ale jestem skłonna myśleć, że Ezequiel nie mieści się w żadnej opisanej typologii.

- Sądzi pani, że w jego sposobie działania są cechy psychopatyczne?

- Bez wątplenia istnieją oznaki socjopatii. Narcyzmu. Sadyzmu. Ale mimo to wciąż nie pojmuję, dlaczego wszystkie media nie mówią o Ezequielu.

Ten element najbardziej zdumiewa Antonię. Że Ezequiel nie upublicznił swoich czynów. Seryjny morderca, narcyz z definicji, cieszyłby się, słysząc swoje nazwisko we wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych. Mając dostęp do zainteresowania sobą kraju i całego świata na odległość jednego kliknięcia, dlaczego nie domagał się swojej nagrody?

- Coś w tym wszystkim nam umyka. Jakiś kluczowy element.

- Może tatuaż coś wyjaśni - mówi Aguado. - Przykro mi, że jeszcze niczego nie znalazłam. Zapewniam, że pracuję bez ustanku.

- Dziękuję, doktorko.

Gdy tylko się rozłączają, dzwoni telefon. To Mentor.

- Obudzisz mojego męża - mówi Antonia.

- Bardzo zabawne. Sprawdziłem rejestrację dziewięć trzy cztery cztery FSY. Nie ma żadnej taksówki o takim numerze. Należy do dwuletniego renault megane. Zgodnie z ewidencją pojazdów właścicielka ma dwadzieścia trzy lata.

- Fałszywa rejestracja.

Rzadko używany samochód. Płaski śrubokręt. Biały nit (trzy euro za opakowanie pięćdziesiąt sztuk). Młotek. Pięć minut na zmianę tablic rejestracyjnych. A ofiara może tego nie zauważyć przez wiele dni, bo kto sprawdza rejestrację swojego samochodu, zanim do niego wsiądzie?

- Na to wygląda. Poszukamy samochodu, zobaczymy, czy w ten sposób namierzemy tę taksówkę.

- To oznacza, że kierowca taksówki wiedział, co się dzieje. To oznacza, że Ezequiel nie działa sam.

U mordercy psychopaty ta cecha jest jeszcze dziwniejsza.

Antonia się rozłącza. Ponownie uważnie wpatruje się w ścianę. Przegląda w swojej przepastnej pamięci dziesiątki znanych jej

przypadków seryjnych morderców, ich motywy, modus operandi, szukając podobieństw, których nie znajduje.

Wewnątrz niej jest wszystko, z wyjątkiem ciszy.

Bruno

„Jon Gutiérrez nie lubi dziennikarzy”.

Bruno Lejarreta przeczuwa to, gdy tylko podchodzi do niego w kawiarni Hotelu de las Letras. Na zegarze za kwadrans siódma rano, ale inspektor Gutiérrez jest już wyelegantowany, wyperfumowany i właśnie je śniadanie. Jajka sadzone z bekonem, sok pomarańczowy, sześć tostów i coś, co wygląda jak basen kawy.

„Ten prostak nalał sobie kawy do miski na płatki”.

To, że inspektor Gutiérrez nie lubi dziennikarzy ogólnie, a Brunona Lejarreta w szczególności, staje się oczywiste: gdy tylko Bruno się pojawia, robi taką minę, jakby zamierzał mu przyłożyć. Nawet zaciska dłoń w pięść i w ogóle. Bruno Lejarreta, samozwańcza legenda baskijskiego dziennikarstwa, napawa się tym odpychającym wyrazem twarzy, tak jak inni podziwialiby Giocondę albo Kaplicę Sykstyńską.

- Co ty tu robisz, do cholery?

- Mnie również miło pana widzieć, inspektorze.

Lejarreta siada naprzeciwko Gutiérreza. Musi odsunąć jeden z obficie wypełnionych talerzy, żeby zrobić miejsce na notes, długopis i dyktafon. Jon patrzy na te dziennikarskie narzędzia, jakby Bruno położył na stole używaną strzykawkę i sześć gramów heroiny.

- Schowaj to.

- Ja pracuję.

- Ja też.

Bruno wskazuje talerz z jajkami sadzonymi, które nagle przestają interesować inspektora.

- Śniadanie na rachunek podatników, inspektorze?

- Śniadanie na rachunek twojej pieprzonej matki.

„Diety w Policji Krajowej bardzo się podniosły. Wcześniej wynosiły sto euro na dzień. A najtańszy pokój w tym hotelu kosztuje trzysta”, myśli Bruno.

- A skoro o matkach mowa, inspektorze. Pańska przesyła panu pozdrowienia.

Tak naprawdę znalezienie jej to była bułka z masłem.

Begoña Iriondo, matka inspektora Gutiérreza, to spokojna kobieta. Ufna. Dziś dobrze jest być matką inspektora policji. Dawniej, w czasach konfliktu, w latach ołowiu, należało bardzo uważać. Jedno słowo za dużo u rzeźnika i człowiek miał kłopoty. Wszędzie byli kapusie. Dziś jest na odwrót. Dziś jest nietykalna. O jedenastej w nocy wychodzi ze stacji metra w Santutxu i idzie spokojnie do domu. Jeśli jakaś banda ją widzi, natychmiast się cofa ze wzrokiem utkwionym w jej torebkę, a jeśli jakiś inny złodziej łapie ją za łokieć, natychmiast pokazują mu miejsce w szeregu. Jej syn to *txakurra*, idioto. Tylko coś jej zrób, a zobaczysz, jak będziesz się śmiał, kiedy zjawi się takich czterech i kopami wybije ci zęby za kontenerem. W pełni zasłużenie.

Tak, teraz wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Begoña Iriondo, i nikomu nie przychodzą do głowy dziwne rzeczy. To jest pozytywne. Negatywne zaś jest to, że wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Begoña Iriondo, w związku z czym Bruno Lejarreta potrzebuje jedynie pół godziny, dziesięciu euro i paczki LM-ów (prawie całej, cholera), by zadzwonić domofonem.

Begoña to kobieta naiwna i ufna i mówi mu, że nie, że syna nie ma, że jest w Madrycie i zajmuje się jakąś ważną sprawą; co pani powie; tak, tak, a ja tutaj sama, widzi pan, ci młodzi nie mają szacunku dla niczego; a nie wie pani przypadkiem, gdzie się zatrzymał; po co to panu do wiadomości; żeby napisać o nim artykuł, proszę pani; w takim razie to by mu się przydało, bo ostatnio ma bardzo złą prasę, a pan wydaje się godny zaufania.

I tym sposobem Bruno Lejarreta pojawia się w Hotelu de las Letras, zjednuje sobie boya hotelowego, podaje mu swój numer telefonu (pisz do

mnie na WhatsAppie o dowolnej porze), daje mu pięćdziesiąt euro (wiadomo, te ceny w stolicy) i ma już pod kontrolą inspektora Gutiérreza.

Któremu ani trochę nie podoba się wzmianka o jego matce.

- Jeśli zbliżyłeś się do mojej matki, obję ci głowę.

„Jacy ci homoseksualiści wrażliwi na punkcie swojej *amatxo*”.

- Jest pan nierozważny. Zostawił ją pan samą w domu. No ale dobrze, mówi, że jest pan tutaj w ważnej sprawie.

- Jestem w Madrycie na urlopie.

- No tak, każdy od czasu do czasu musi odpocząć. A jak to się stało, że był pan wczoraj na M pięćdziesiątce podczas tamtego wypadku?

Inspektor Gutiérrez nie zmienia wyrazu twarzy. Ani trochę.

- Chyba się pan pomylił.

- Nie pomyliłem się. Widziałem pana w telewizji, w garniturze z szarej wełny. Był nieco wygnieciony. Nie tak jak ten. Pan zawsze jest taki wyelegantowany.

Inspektor Gutiérrez nie odpowiada. Ale dłonie ma zaciśnięte w pięści.

Bruno chciałby, żeby mu przyłożył, ponieważ już samo to byłoby newsem. To znaczy chciałby tego tylko metaforycznie, bo jak ta łapa wielkości patelni walnie cię w twarz, to posyła cię do następnego czwartku. I ramiona do kompletu. W końcu inspektor doskonale podnosi kamienie. A w Bilbao jest takie powiedzenie: od najmłodszego do najstarszego ramiona Schwarzeneggera, ramiona *pelotari**, ramiona *harrijasotzaile*.

Gdy się nad tym porządniej zastanowić, lepiej, żeby mu nie przyłożył.

- Proszę posłuchać, inspektorze. Moją uwagę zwraca to, że pańska matka twierdzi, że zajmuje się pan tutaj ważną sprawą, podczas gdy na komisariacie przy Gordóniz powiedziano mi, że jest pan zawieszony w obowiązkach bez prawa do pensji. W związku z tym według Statutu... chwila, mam to gdzieś tutaj - mówi, zerkając do notatek - według Statutu Funkcjonariusza Publicznego pan „jest pozbawiony możliwości wykonywania swoich zadań oraz wszystkich związanych z tym praw”.

- No to całe szczęście, że jestem na urlopie.

- Tak, całe szczęście, bo jako że jest pan zawieszony, wykonywanie obowiązków inspektora policji byłoby poważnym przestępstwem.

Inspektor Gutiérrez jest dobry. Bardzo dobry. Wytrzymuje to wszystko jak dąb. Albo prawie. Bo zmienia mu się nieco wyraz twarzy. O parę tonów. Z typowego zdrowego kolorytu na różowy jak guma do żucia. I Bruno wie, że kłamie. I wie również, że dobrze zrobił, przyjeżdżając do Madrytu.

- No dobrze, inspektorze, proszę spokojnie dokończyć śniadanie. Może się tu jeszcze spotkamy. Ja też jestem na urlopie.

Gutiérrez rzucił już serwetkę na stół, wygląda na to, że zupełnie stracił apetyt.

- Mam nadzieję, że nie.

„Och, tak. I wcześniej, niż ci się wydaje”, myśli Bruno.

* Pelotari - zawodnik grający w pelotę, tradycyjny baskijski sport sięgający XII wieku; polega na odbijaniu piłki ręką o ścianę.

17

Żubr

- To nie będzie wcale łatwe - mówi Jon.

- Nic nie jest łatwe - odpowiada Antonia.

Właśnie się rozłączyła. Przekonanie Mentora, żeby załatwił im to spotkanie, zajęło Antonii blisko godzinę - godzinna rozmowa telefoniczna, podczas której były krzyki, szepty, zawołane groźby, przypomnienie o spłacie starych długów i ogólnie zła atmosfera.

- Nie wiesz, o co mnie prosisz - powiedział jej Mentor.

Ostatecznie się zgodził.

Inspektor i jego partnerka siedzą w audi, czekając przy wejściu do banku, aż Mentor do nich zadzwoni i powie, że mogą wjechać na górę. Antonia nie wątpi, że osiągnie swój cel. Ma w ręku odpowiednie narzędzia. To, co stanie się później, tam, na górze, to już inna historia.

Antonia opuszcza szybę i wygląda. Nawet nie wykręcając sobie szyi, może objąć wzrokiem cały budynek.

Sto tysięcy ton stali, cementu i szkła w połowie alei Castellana.

Trudno uwierzyć, że wszystko zaczęło się od żubra.

Prapradziadek Álvara Trueby skrupulatnie przestrzegał swoich nawyków. Wstawał raczej późno, na śniadanie jadł grzanki z czekoladą na werandzie swojej dworskiej rezydencji w Puente de San Miguel, a potem palił i czytał prasę. „La Voz de Cantabria”, cygaro. „El Adelantado de Santander”, cygaro. „El Imparcial” i „La Correspondencia de España”, pół cygara na obie, bo gazety liberalne trzeba czytać szybko i z uniesioną brwią, bo jeszcze coś się do człowieka przyklei.

Po południu, po obiedzie i obowiązkowej sjeście, don Marcelino Trueba rozkazywał służącym, by zaczepić powóz i sumiennie objeżdżał swoje posiadłości. Musiał się upewnić, że chłopci wypełniają swoje obowiązki, więc tę półtoragodzinną przejażdżkę, choć uciążliwą, traktował jako coś koniecznego. Siedzisko powozu miało kiepską wyściółkę i czasami tyłek don Marcelina był nieco poobijany, ale jak inaczej mógłby sprawdzić, czy najemnicy wykonują swoje zadania?

Po przejażdżce i gorącej kąpieli kamerdyner pomagał mu się ubrać na kolację. Zawsze elegancko, jak przystało na dżentelmena. On u szczytu stołu, jego żona po przeciwległej stronie, sześć metrów dalej. Dziewczynka na środku, bo była już w odpowiednim wieku, żeby posługiwać się sztućcami, nie myląc łyżki do ostryg z widelcem do ślimaków. Po kolacji don Marcelino zamykał się w swoim gabinecie, gdzie oddawał się studiowaniu botaniki i geologii, w obu tych materiałach miał pewną wiedzę. „Dżentelmen winien być światły”, powtarzał jego ojciec. „Ale bez przesady”.

Skrupulatnie przestrzegane nawyki kształtują również szlachcica, odróżniają go od spoconego prostaka. Dlatego też, kiedy pewnego ranka Modesto Cubillas, chłop obrabiający jego ziemie, wszedł na werandę, don Marcelino poczuł się nieswojo. To nie była pora na wizytę.

Modesto, zgodnie ze swoim imieniem, zdjął kapelusz, gniotąc go obiema rękami, brązowymi i szorstkimi.

- Znalazłem coś, co może pana zainteresować, dobrodzieju.

Marcelino się wahał. Takie najście było niedopuszczalne, ale prasa go dziś nudziła, postanowił więc oddać się tej przygodzie razem ze swoim rolnikiem, à la manière tych francuskich powieści, którymi zawsze zaczytywała się jego żona (i które Marcelino pochłaniał w tajemnicy). Ostatnia, dopiero co wydana, *Le Tour du monde en quatre-vingts jours*, opowiadała o przygodach pewnego dżentelmena i jego służącego. Czując się trochę jak Phileas Fogg, wyruszył na pola za Modestem Cubillasem.

Mężczyzna zaprowadził go do jaskini oddalonej o godzinę marszu. Reszta jest historią. Marcelino był pod ogromnym wrażeniem przepięknych malowideł, które znalazł na ścianach, i w następnym roku

opublikował wyniki swoich badań. Don Marcelino otrzymał niestety bardzo niewielkie wsparcie. Prawie nikt z okolicy nie uwierzył, że malowidła z jaskini Altamira pochodzą z czasów prehistorycznych, niektórzy oskarżyli go nawet, że namalował je on sam.

Poruszenie było tak ogromne, że nawet sama Izabela II podczas podróży do wód w Puente Viesgo okazała zainteresowanie wspomnianą jaskinią. Tak więc grupa santanderskich szlachciców stawiała się w dworskiej rezydencji i przerwała śniadanie don Marcelinowi. Ten nawet nie mrugnął, wszak to byli szlachcice, a poza tym robił z nimi interesy.

- Królowa życzy sobie zobaczyć jaskinię na twoich ziemiach, Marce - rzekł jeden.

- Będę wielce zaszczycony, mogąc przyjąć Jej Wysokość - odparł Marcelino, puchnąc z dumy.

- Rzecz w tym - odezwał się drugi - że skoro już przyjedzie, to mógłbyś szepnąć jej słówko na temat banku.

Bank. Sprawa mniejszej wagi, nieznacząca. Bledła w porównaniu z tym, że został poproszony o pokazanie jaskini. Don Marcelino zgodził się więc natychmiast.

Królowa przybyła parę tygodni później. Wtedy złe języki zaczęły robić swoje. Izabela II nie miała zbyt wielu przymiotów, które można by podziwiać, z wyjątkiem cnotliwości, choć też wątpliwej. W każdym razie, jak opowiadano, kiedy królowa ujrzała don Marcelina, z jego bokobrodami połączonymi z wąsami i przystojnym wyglądem, zażądała prywatnej wizyty w jaskini. Najwyraźniej wizyta trochę trwała, w tym czasie królowa przywołała swoje pokojówki, żeby przyniosły wino i ciastka, aby odzyskać siły.

Don Marcelino wyszedł kilka godzin później, z nieco mniej białym kołnierzykiem i obietnicą (wyrwaną w ostatniej chwili, niemal w przelocie), że minister skarbu wyda wymaganą licencję kupcom santanderskim na stworzenie instytucji bankowej.

Królowa, już z powozu, posłała mu dwa całusy (każdy w jeden policzek) i zniknęła pośród kurzu na dróźnie. Miesiąc później założono

bank z kapitałem w wysokości pięciu milionów reali i głównym celem w postaci eksportu pszenicy przez port w Santanderze.

Co się zaś tyczy jego odkrycia archeologicznego, to don Marcelino umarł zdyskredytowany – cóż za ironia – lecz znacznie bogatszy. I od tamtej pory rodzina Truebów rozwijała bank. Towarzyszyły jej tylko dwa motta. Pierwsze: z rządzącym (królem, prezydentem czy generalissimusem) nigdy się nie dyskutuje, bo przecież sprawuje swój urząd tylko tymczasowo. Drugie: bank musi się stopniowo rozwijać.

Sto trzydzieści lat później, pod rozważnym kierownictwem Truebów i kilku innych osób, zbudowano ten ogromny budynek z aktywami w wysokości półtora biliona euro. Największy bank w Europie, mieszczący się w pierwszej dwudziestce na świecie.

Przez zestaw głośnomówiący dzwoni telefon.

– Możecie wejść – oznajmia Mentor. – Chcę wam tylko przypomnieć jedną rzecz. Tobie, Scott, że musiałem prosić o wiele przysług, żeby to załatwić. A panu, inspektorze Gutiérrez, że zrzucam na pana odpowiedzialność.

Rozłącza się.

„Jasne. Bo Antonię Scott tak łatwo kontrolować”, myśli Jon, zamykając pilotem samochód, i kolejny raz rusza za swoją partnerką, która kieruje się już do przeszklnych drzwi.

Żadne z nich nie zauważa postaci (skórzana kurtka i dżinsy, kask na głowie), która robi im zdjęcia z chodnika naprzeciwko.

Carla

Głos Sandry wyrywa ją ze snu.

Powtarza jej imię.

- Jestem tu - odzywa się Carla. - Dobrze się czujesz?

- Bardzo chce mi się spać.

- Skrzywdził cię?

Tym razem Sandra nie szlocha. Tym razem odpowiada od razu.

- Nie chcę o tym mówić.

- Słyszałam.

- Niczego nie słyszałaś.

Carla nie odpowiada. Sama przeżyła niedawno - miesiące, może godziny temu - własny epizod wyparcia.

- Niczego nie słyszałaś, bo nic się nie stało. A jeśli coś słyszałaś, to dlaczego się nie odezwałaś? Dlaczego nie krzyczałaś, żeby mi pomóc?

„Bo się bałam”.

„Bo nie chciałam podzielić twojego losu”.

„Bo tylko zakryłam sobie uszy i wymieniałam nazwy umaszczenia koni, tak samo jak robiłam wtedy, kiedy moja siostra zabierała światło z mojego pokoju, a ja zostawałam sama w ciemnościach”.

- Masz rację - przyznaje Carla. - Nic się nie stało.

Sandra milczy przez dłuższą chwilę. Carla chce zapytać ją o dziurę, o dziurę, przez którą obserwuje Ezequiela, przez którą być może zrobiłaby coś pożytecznego, jak na przykład dała znać komuś z zewnątrz, a może zdobyć jakąś informację. Ale teraz nie ma odwagi przejąć inicjatywy.

- Był taki chłopak - mówi Sandra po chwili.

Carla prostuje się trochę.

- Jaki chłopak?

- Jakiś. Tam, gdzie teraz siedzisz ty.

Carla czuje pustkę w brzuchu i w klatce piersiowej, jak gdyby jej ciało rozdzieliło się na dwie części. Pierwsza, nogi i głowa, w dalszym ciągu ma fizyczną konsystencję, cięższą niż zazwyczaj. Druga połowa, przestrzeń między jej beużytecznymi nogami a zamroczoną głową, przynależy do innego terytorium, do terytorium koszmaru. Tą drugą częścią Carla rozumie, Carla wie, o czym mówi Sandra.

Mimo wszystko pyta.

- Co się z nim stało?

- Strasznie krzyczał. Bał się. A potem przestał krzyzczeć.

Cela, ze swoimi ciasnymi ścianami, ze swoimi nieprzekraczalnymi granicami, stała się dla Carli może nie czymś znajomym, lecz zrozumiałym. Siedziała tu. Została porwana. Nie mogła uciec, nie mogła się z nikim skontaktować. Mogła jedynie czekać, czekać, czekać. I dlatego ustanowiła granice swojej celi jako nowe granice swojego świata. W ciągu spędzonych tu godzin - może miesięcy - jej ciało nauczyło się żyć na tym nowym, maleńkim obszarze. Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i już nie podpowiadały jej fantasmagorycznych obrazów. Jej palce potrafiły znaleźć niezauważalne różnice na podłożu, które pozwalały jej stwierdzić, gdzie się znajduje. Jej uszy przywykły do tego, że każdy dotyk skóry, materiału, każdy dźwięk, jaki wydawało jej ciało, wzmagał się, zwiększał. Teraz cela była zamkiem, w którym ustanowiła swój bastion, swoją granicę, na której zorganizuje ostatnią obronę swojego życia i swojej godności. Nadzieja, o ile w ogóle istniała, trzymała się tego miejsca. Dopóki Ezequiel zostawi ją w spokoju, dopóki nie przekroczy jej granic, czekanie stanie się znośne, stanie się ceną, jaką należy płacić, aż zostanie uratowana i uwolniona.

Słowa Sandry zniszczyły tę mrzonkę z taką samą brutalną skutecznością, z jaką słoń pozbawia kałużę wody jednym tylko niefrasobliwym nadeptaniem.

- Sandra, co się stało z chłopakiem? Kim był? Wiesz, czy go uratowano?

- Bądź cicho. On wrócił. I nie chce, byśmy rozmawiały.

Cisza. Na zewnątrz - być może czyjeś kroki. Carla nie jest pewna, ponieważ jedyne, co słyszy w tej chwili, to jej serce, które wali jak młot.

- No już, musisz mi powiedzieć - prosi zdesperowana. - Potrzebuję wiedzieć.

Sandra powtarza szeptem:

- Strasznie krzyczał.

A potem zalega cisza.

18

Gabinet

„Władza jest dziwna”, myśli Jon.

Ma swoje symbole. Ogromny gabinet na ostatnim piętrze z widokami zapierającymi dech w piersi. Wiele przedpokoi, w każdym sekretarka, żeby człowiek miał świadomość, że przekracza granice. Wykładzina na podłodze. Winda na kartę. Ochroniarz przy drzwiach.

Ale to wszystko są tylko dodatki. Przystawki. Kiedy docierasz do dania głównego, musi spełnić twoje oczekiwania.

Laura Trueba ich nie spełnia. Obserwuje ją z góry, niczym jastrzęb.

Jest wysoka, o wiele wyższa, niż wydaje się na zdjęciach. Wysuszona, o śniadej skórze, czarnych włosach i stalowych oczach. Ubrana w czerwoną spódnicę i czerwony żakiet, tak jak na zdjęciach, które prawie codziennie ukazują się w gazetach.

„Choć to bardzo w korporacyjnym stylu... ale czerwień po stracie syna?”, dziwi się Jon.

Apaszka na szyi owinięta tylko jeden raz. Eleganckie ustępstwo na rzecz kokieterii, w ten sposób zasłania zmarszczki na szyi, które zdradzają jej wiek. Jedyna oznaka słabości w wizerunku wystudiowanym co do milimetra i wyćwiczonym do granic możliwości.

- Dzień dobry. Zapraszam - mówi, wstając zza biurka i prowadząc ich do strefy z sofami i niskim stolikiem, gdzie wisi zdjęcie przedstawiające ją i męża. Żeby tam dotrzeć, potrzebna jest przesiadka.

- Napiją się państwo kawy, herbaty? - pyta uprzejmie sekretarka.

- Państwo zaraz wychodzą - odpowiada jej szefowa, przerywając prośbę o podwójne espresso, którą Jon zaczął już formułować.

Wciąż nie może przeboleć, że Bruno Lejarreta zrujnował mu poranek w hotelu. Toksyczna obecność. Obecność, o której nie powiedział jeszcze Antonii. Ale nie wie, jak poruszyć ten temat, postanawia więc czekać.

„Może to nic takiego”.

Słynne ostatnie słowa.

Sekretarka doskonale rozumiała ton głosu szefowej i zostawia ich samych.

„Tyle że ja w to nie wierzę. Cały ten numer z kawą był przygotowany”, myśli Jon. „Tylko dlaczego?”

- Chcę, żeby państwo wiedzieli - zaczyna Laura Trueba, kiedy zamykają się drzwi za sekretarką i zostają tylko we troje - że zostałam zmuszona do tego spotkania. W tym momencie chciałabym być sama.

- Doskonale rozumiemy, proszę pani. Wiemy, że przeżywa pani okropny czas. Ale przypuszczam, że chce pani także, aby sprawiedliwości stało się zadość.

- Nie wiem, czemu ma to teraz służyć - odpowiada kobieta ostrym tonem. - Wiem, że to państwa praca i obowiązek. Ale zapewne wiedzą państwo również, że państwa szefowie i ja zawarliśmy pewne... porozumienie.

- Dla dobra banku wszystko - stwierdza Antonia. - Prawda?

Jon, siedzący obok Antonii, nie może kopnąć jej pod stołem. Ale w tej chwili bardzo by chciał. Zdaje się, że Laura Trueba również. Zniosła ten cios niewzruszona, ale jej twarz go zarejestrowała.

- Jest pani matką, pani Scott?

Antonia nie spieszy się z odpowiedzią.

- Tak. Jestem.

- W takim razie bardziej niż ktokolwiek inny potrafi pani docenić moje poświęcenie. To wszystko - mówi, wskazując dookoła - i to tutaj - ciągnie, kopiąc w podłogę. Obcas rozbrzmiewa na parkiecie niczym strzał. - To wszystko, z pozoru takie solidne, nic nie znaczy. Zabierzcie nam jutro wszystkie nasze biura, zburzcie nasze oddziały. Bank

pozostanie nienaruszony. Ponieważ bank, proszę państwa, to pewna idea.

- Idea, której trzeba bronić za wszelką cenę – upiera się Antonia.

- Nie oczekuję, że mnie państwo zrozumieją, ani tym bardziej że mnie nie osądzą. Państwo już to zrobili, gdy tylko weszli do tego gabinetu. Oceniają państwo matkę, ale kobieta na moim stanowisku pełni wiele funkcji. Dziecko już straciłam. Teraz prezeska banku zajmie się kontrolowaniem strat.

- Nie tylko pani straciła dziecko. Carla Ortiz zniknęła dwie noce temu – mówi Jon.

Wiadomość spada na Laurę Truebę niczym kamień na środek jeziora. Rozchodzi się po jej twarzy i kończy na jej lewej ręce, która przez chwilę wyraźnie drży, kiedy podnosi ją do ust, by zdusić okrzyk.

- Niemożliwe.

- Obawiam się, że tak.

- Ta sama... osoba?

- Żeby się tego dowiedzieć, potrzebujemy pani pomocy. Wiemy, że za wszelką cenę stara się pani uniknąć skandalu, ale teraz w grze jest kolejne życie. I mamy jeszcze czas, by je uratować.

Laura Trueba wstaje i odchodzi od nich, kierując się do okna. Szybko od podłogi do sufitu, dwanaście metrów szerokości, ma w czym wybierać. Stoi tam przez długie minuty z rękami założonymi na piersi. Niesamowite widoki prowadzą z dachu na dach, a w oddali majaczą Pałac Królewski i Park Oeste. Ale bankierka jest zagubiona we własnym wewnętrznym pejzażu, znacznie bardziej ograniczonym. Pełnym koleców i wnęk.

Kiedy wraca na swoje miejsce, ma zaczerwienione, lecz suche oczy. Chcieć płakać, a móc to robić, to dwie zupełnie różne rzeczy.

- To, co opowiem, jest ściśle poufne. Nie mogą państwo tego nikomu powtórzyć ani wykorzystać publicznie. Czy to jasne?

- Tak, proszę pani – odpowiada Jon.

Trueba zwraca się do Antonii. Ta przytakuje powoli.

- Nie wiem, czy ma pani tego świadomość, ale my nawet nie istniejemy.

- Jeśli nie dotrzymają państwo umowy, pożaluję - dodaje tak lodowatym głosem, że można by po nim jeździć na łyżwach.

Jon nie ma najmniejszych wątpliwości, że mieć tę kobietę za wroga to najgorszy pomysł z możliwych.

- Syn zniknął po południu. Nie wiedzieliśmy o tym, dowiedzieliśmy się dopiero, kiedy zadzwonił do nas porywacz. Ktoś inny odebrał telefon. Kiedy wzięłam słuchawkę, on... ten człowiek przedstawił się jako Ezequiel.

Jon i Antonia jednocześnie prostują się na krzesłach. Patrzą na siebie. Laura Trueba zamyka oczy i zaciska usta. Rozszyfrowała znaczenie tego spojrzenia.

- Powiedział, że ma dziecko, a potem wysunął niemożliwe żądanie.

Inspektor Gutiérrez opiera się pokusie, żeby znowu spojrzeć na Antonię. Oboje mają to pytanie na końcu języka i czekają, aż zada je to drugie. Wreszcie Jon się decyduje.

- Z całym szacunkiem, proszę pani, ale o co takiego poprosił, czego nie mogła mu pani dać?

Laura Trueba, najpotężniejsza kobieta w Hiszpanii, prezeska największego banku w Europie, bierze głęboki oddech, odwraca wzrok i milczy. Z tego milczenia emanuje tyle poczucia winy, że staje się ono niemal widoczne.

- Musimy poznać motywy mordercy, proszę pani.

- W takim razie zapytajcie Ramóna Ortiza. Czy przypadkiem powiedział państwu, o co poprosił go Ezequiel?

Teraz to Antonia i Jon milczą.

- Tak myślałam.

Jon słyszy różne emocje pukające do drzwi: zakłopotanie, złość, smutek. Przekręca w zamku klucz dwa razy i chowa go do kieszeni. Musi to ciągnąć. Musi być coś jeszcze, cokolwiek.

- Musi być coś jeszcze, co może nam pani powiedzieć.

- Niewiele. Po tym, jak wysunął swoje niemożliwe żądanie, dał mi pięć dni na jego spełnienie. Potem dodał: dzieci nie powinny płacić za winy rodziców. I się rozłączył.

- A później? Już się z państwem nie skontaktował?

Kobieta patrzy na podłogę.

- Później dowiedzieliśmy się, że znaleziono ciało.

Jon i Antonia wymieniają spojrzenie. To nie są dobre wieści. Kontakt między porywaczem a rodziną ofiary jest kluczowy. Ta niewidzialna nić jest jednym z najlepszych policyjnych narzędzi, żeby znaleźć przestępców.

- A przez ten czas nie było nic?

Trueba się śmieje. Wybuchu suchym, gorzkim śmiechem, niegodnym takiej osoby jak ona.

- Nieprzespane noce, patrzenie na zegarek, patrzenie na telefon. Absolutna udręka, poczucie winy i ból. Które nie ustępują i nigdy nie ustąpią. Proszę to nazywać nic. Ja to nazwę piekłem, jeśli to pani nie przeszkadza.

- Bardzo mi przykro.

- Są takie decyzje, których nie można podjąć. Wybory, do których nikt nie powinien być nigdy zmuszony. A teraz proszę, by państwo wyszli.

Jon wstaje. Antonia - nie. Jon dotyka delikatnie jej ramienia i ona wreszcie reaguje. Laura Trueba nadal siedzi na krześle, nieruchoma, z zagubionym spojrzeniem, oni tymczasem kierują się w stronę drzwi.

- Inspektorze - woła go.

- Tak, proszę pani.

- Ma pan przy sobie broń?

- Tak, proszę pani.

- Jeśli wpakuje pan kulkę w łeb temu skurwysynowi, to ani panu, ani nikomu z pańskiej rodziny nigdy niczego nie zabraknie.

Czeka, aż wyjdą, żeby móc płakać.

Nie udaje jej się to.

Parra

Kapitan Parra jest wykończony.

Praca na miejscu zbrodni przy Centrum Hipiki okazała się wyczerpująca. Oprócz tego przysłyły prośby o wywiady z wielu mediów. Od dziennikarzy, którzy rozpoznali dzielnego szefa Wydziału Porwań i Wymuszeń Policji Krajowej na zdjęciach, jakie niektóre osobistości znane z pierwszych stron gazet i gwiazdy jeździectwa wrzuciły na swoje profile na Instagramie i Twitterze.

Parra oczywiście nie odpowiedział. Jest zajęтым człowiekiem, jego uwaga jest skupiona niczym laser o dużej mocy na sprawie Carli Ortiz. A poza tym trzeba być nie tylko dobrym, lecz także na takiego wyglądać.

„Przyjdzie czas, kiedy się dowiedzą, co się dzieje. We właściwy sposób”, myśli. Szczyci się tym, że jest strategiem, władcą marionetek.

Kapitan nie spał prawie wcale. Do domu wrócił późno, położył się obok zmęczonej żony, która nawet się nie poruszyła. To już dziesięć lat małżeństwa, chodzenia spać o późnej porze, a jego ciało nie wywołuje już wibracji materaca. Wstał wcześniej, zanim ktokolwiek z rodziny otworzył oko, sprawdził, że dzieci śpią spokojnie (ta wspaniała cisza o poranku). O brzasku jest już w swoim biurze na drugim piętrze Komendy Głównej Policji. Miejsce pomalowane na smutny łososiowy kolor.

Robi spis dowodów, choć nie ma ich wiele.

„Mam ogrodzenie z placu budowy”, myśli.

Gdy tylko murcjańska firma, producent ogrodzenia, się otworzy, czyli za kilka minut, poproszą o nazwisko klienta, który je kupił. Parra dzwonił już osobiście wiele razy, ale w biurze jeszcze nikogo nie ma.

„Mam zdjęcie uciekającego podejrzanego, które zrobili ten pedał i ta idiotka z Interpolu”.

Na którym nie widać absolutnie niczego, tylko faceta, którym może być ktokolwiek i w każdym wieku. I którego nie mogą upublicznić ze względu na szczególne okoliczności sprawy.

„Mam autopsję szofera”.

Która powoduje, że nie ma już swojego głównego podejrzanego i z której wstępny raport wskazuje jedynie na to, że morderca jest praworęczny i że narzędziem zbrodni jest wyjątkowo ostry nóż o około dwunastocentymetrowym ostrzu.

„Gównno mam”, myśli Parra.

Ale porywacz Carli Ortiz zadzwoni ponownie.

„Ta kobieta jest warta kupę kasy”.

Zastanawia się zresztą ile. Najwyższy okup w historii Hiszpanii to ten za Reville, miliard peset, dziś to by było jakieś czternaście milionów euro. Nawet się nie umywa do najwyższego okupu we współczesnej historii – sześćdziesięciu milionów dolarów, jakie zapłacił ojciec Jorge’a i Juana Bornów za ich uwolnienie w 1974 roku.

Parra gryzie skuwkę długopisu (niedawno rzucił palenie, to drogi nałóg) i odchyła się na oparcie krzesła, przypominając sobie szczegóły tamtego porwania. Grupa terrorystyczna Montoneros odcięła główną ulicę Buenos Aires, aleję Libertador, udając robotników, którzy naprawiają rurę gazową. Kiedy przejechał samochód Bornów, terroryści go ostrzelali i zabrali obu braci. Ojciec – najbogatszy człowiek w kraju, handlarz zbożem – przez dziewięć miesięcy odmawiał zapłaty, aż Jorge Born przekonał go, żeby przekazał pieniądze. Nigdy ich nie odzyskali.

Tamte sześćdziesiąt milionów dolarów dziś byłoby warte dwieście pięćdziesiąt milionów euro. Ale ojciec Carli Ortiz może zapłacić nawet więcej. Może zapłacić miliard, dwa miliardy. Ile tylko zażądatają. „To będzie najgłośniejsze porwanie w historii”, myśli Parra. I będzie długie, ponieważ porywacze zażądatają ogromnej kwoty, którą ojciec może zapłacić, potrzeba jednak czasu, żeby zgromadzić tę całą kwotę w gotówce.

„Jeszcze zadzwonią. I wtedy ich złapiemy. Telefony Ortiza mam na podsłuchu. Jego rozmowy są nagrywane. Wcześniej czy później...”

Zadowolony Parra zamyka oczy. Musi tylko poczekać, aż zadzwonią. Bo ostatecznie wszyscy dzwonią.

„Kto nie skorzystałby z okazji, żeby zgarnąć tyle forsy?”

19

Patio

Żadne z nich się nie odzywa.

Kiedy wracają do samochodu, Antonia tylko wprowadza współrzędne do GPS-u, a potem patrzy przez okno. Jon wie, że jest bliska płaczu, ponieważ on też jest bliski płaczu.

Nie pyta, dokąd jadą. Tylko prowadzi.

Są blisko. Osiem minut później podjeżdżają pod szkołę. Przy wejściu wisi brytyjska flaga.

Antonia wysiada z samochodu. Potem uderza w szybę.

- Idziesz?

Drzwi są zamknięte, ale gdy tylko podchodzą, brzęczenie sygnalizuje, że mogą wejść. W recepcji pracownica wita się z Antonią. Uśmiecha się ostrożnie.

- Są na patiu - przekazuje jej po angielsku. - Właśnie wyszli.

- Dziękuję, Megan - odpowiada Antonia w tym samym języku. - Pójdę tam, gdzie zawsze.

Antonia prowadzi Jona korytarzami na drugie piętro. Stąd na patio wychodzi ogromne okno. Antonia otwiera obie połówki i opiera się łokciami o parapet. Obok niej jest wolne miejsce, ale Jon nie wie, czy powinien je zapełnić. W końcu postanawia podejść. Myśli, i słusznie, że inaczej poprosiłaby, żeby został w samochodzie.

Na patiu jest mniej więcej pół miliona potworów w zielonych swetrach, białych koszulkach i szarych spodniach.

- To tamten - mówi Antonia, wskazując jednego z malców, który trzyma w ręku piłkę. Musi mieć cztery lata. Czarne włosy, szeroki

uśmiech. Trudno go nie zauważyć.

- Jak ma na imię?

- Jorge. Jorge Losada Scott – odpowiada z dumą.

- Podobny do ciebie.

- Bardziej do swojego ojca.

- Ma twój uśmiech.

- Tak mówi moja babcia.

- Babcie zwykle są mądre.

- Moja jest. Chciałabym, żebyś ją poznał. Spodobałbyś się jej.

- Ja podobam się wszystkim babciom, piękna. Pytanie, czy ona spodobałaby się mnie.

Antonia zastanawia się nad tym przez chwilę.

- Myślę, że tak. Ogromnie kocha życie i jest strasznie uparta. Tak jak ty. I oboje lubicie wino i angielską wełnę. Sądzę, że bardzo dobrze byście się dogadywali.

Następne pytanie jest tak natrętne, że nie ma sposobu, by zadać je dobrze. Jon robi to najlepiej, jak potrafi.

- Nie mieszka z tobą, prawda?

Następne minuty upływają obute w metalowe buty. Jon nie wie, czy ją uraził, akurat teraz, gdy zaczęła się przed nim otwierać. Rozumie, jaki to przywilej, że ktoś taki zamknięty w sobie jak Antonia, pokazał mu swojego syna, chociaż tylko na odległość. Ma ochotę spoliczkować się za własną głupotę. A potem ona odpowiada.

- Kiedy stało się to z Marcosem, Jorge miał roczek. Ja... nie zareagowałam dobrze. Miałam zaburzenia lękowe. Rzuciłam projekt Czerwona Królowa. Nie odchodziłam od łóżka Marcosa.

Jedna z nauczycielek wciska dzwonek, przerwa dobiega końca. Dzieci biegną, żeby ustawić się w rzędzie, każdy w swoim. Na ziemi są namalowane linie, na których początku znajdują się zwierzęta. Jorge staje na tej, na której namalowany jest lew.

- Babcia i ojciec próbowali zmusić mnie do reakcji, ale to nic nie dało.

Dzieci zaczynają znikać w szkole. Budynek wchłania po kolei wszystkie rzędy. Ten, w którym stoi Jorge, jako ostatni zostaje połknięty przez różowe drzwi.

- Ojciec odebrał mi opiekę nad dzieckiem. Nawet się nie broniłam. Myślę, że wtedy była to dla mnie ulga. Chciałam tylko pogрузić się w ból i poczuciu winy. Nawet dziś, po trzech latach, wydaje mi się to łatwiejsze niż cokolwiek innego.

Antonia patrzy na opustoszałe patio. Tak jak wszystkie szkolne patia, gdy tylko znikają z niego dzieci, zamienia się w szare i deprymujące miejsce.

- Nie mogę spotykać się z nim więcej niż raz w miesiącu i nigdy sama. Ojciec żąda, abym poddała się psychoterapii, zanim mi zaufa. Nie winię go. Na szczęście szkoła pozwala mi przychodzić i patrzeć na niego z tego pomieszczenia, pod warunkiem że mój ojciec się o tym nie dowie.

- Naprawdę się go boją. Co mógłby zrobić?

- Po pierwsze odebrać im licencję.

Jon wybucha śmiechem.

- Kim on jest? Ministrem edukacji?

- Gorzej. Ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Madrycie. A to jest brytyjska szkoła.

- Przynajmniej możesz go widywać.

- Przez jakiś czas to wystarczało.

- Co się zmieniło? - pyta Jon, chociaż tak naprawdę ma na myśli:

„Co się zmieniło, że mi o tym opowiadasz?”

„Co się zmieniło, że mnie tu przywiozłaś?”

„Co się zmieniło, że nagle zachowujesz się jak człowiek?”

Antonia potrząsa głową. To miejsce jest święte.

- Tutaj nie chcę o tym mówić.

20

Tortilla

Jon Gutiérrez lubi gotować.

Oboje umierali z głodu i Antonia zaproponowała, żeby pójść do restauracji na wczesny obiad. Jon zapytał, gdzie niby o tej porze można dobrze zjeść, w końcu to Madryt; Antonia, że co ty sobie wyobrażasz; Jon, że nie masz nawet pojęcia o gotowaniu; Antonia, że tutaj je się lepiej niż gdziekolwiek indziej; Jon, że co ty tam wiesz, skoro tobie wszystko smakuje jak papier. I jako że nie mogli dojść do porozumienia, wylądowali w mieszkaniu Antonii, z przystankiem w supermarkecie na dole: siatka ziemniaków, cebula, butelka oliwy z oliwek, pół tuzina jajek z wolnego wybiegu.

Tak więc Jon zdejmuje marynarkę, zakasuje rękawy koszuli, myje ręce. Obiera ziemniaki i kroi je na bardzo cienkie plasterki. Na patelnię wlewa olej, pilnując, żeby nie rozgrzał się za bardzo. Następnie wrzuca ziemniaki na dwadzieścia minut. W tym czasie sieka cebulę i wysypuje ją na osobną patelnię do zeszklenia. Wyjmuje ziemniaki. Odsącza je. Zostawia, aż trochę przestygną. Później rozgrzewa oliwę do temperatury otchłani piekła i wrzuca ziemniaki. Podwójne smażenie jest kluczowe. Potem już z górki. Jajka ubija na prawie jednolitą masę. Wyjmuje ziemniaki, są chrupiące i delikatnie przypieczone. Odsącza je i osusza nieco ręcznikiem kuchennym. Zostawia je do ostudzenia, żeby nie ścięły jajek po kontakcie z nimi. Następnie miesza je z jajkami i cebulą, dociskając trochę, żeby wszystkie się obtoczyły. Całość wylewa na patelnię. Kiedy brzegi są ścięte, przewraca tortillę na drugą stronę za pomocą talerza. Kluczowy moment. Wychodzi dobrze. Podaje.

Antonia kroi tortillę, z której wypływa nieco złocistego płynu. Próbuje.

- Smakuje jak papier - mówi z pełnymi ustami.

- Cholera, Scott.

Oczywiście to najlepsza tortilla ziemniaczana, jaką Antonia kiedykolwiek jadła. Chociaż ona o tym nie wie ze względu na swoją anosmię. Jon jednak wie o tym za nich dwoje, dlatego zjada trzy czwarte. W kuchni, na stojąco, bo nie ma innego miejsca. Potem dwie kapsułki do ekspresu Nespresso.

Siadają na podłodze w salonie. Przez okienko wciska się pierwsze popołudniowe światło. Milion drobinek kurzu tańczy w promieniu, który znalazł się między nimi.

- Masz niesamowicie przytulne mieszkanie - odzywa się Jon, wskazując gołe ściany, brak mebli.

- Kiedy stało się to z Marcosem, pozbyłam się wszystkiego - wyjaśnia Antonia słabym głosem. - Zostawiłam tylko to, co niezbędne.

Wydaje się kruchsza i bardziej bezbronna niż zazwyczaj.

- Byliście do siebie bardzo przywiązani.

- Jesteśmy. Marcos jest wyjątkowy. Jest rzeźbiarzem, wiesz? Słodki, czuły...

- Jak się poznaliście?

- Na uniwersytecie. Ja kończyłam filologię. On sztuki piękne. Spotkaliśmy się na urodzinach przyjaciółki. Zaczęliśmy rozmawiać i już nie przestaliśmy. Zamieszkałam z nim tydzień później.

- Powiedziałaś mi, że ten budynek należy do niego, tak?

- Rodzinny spadek. To pozwalało mu się skupić na rzeźbiarskiej karierze. Miał już parę wystaw w galeriach sztuki. Zaczynał się wybijać, kiedy...

Nie kończy zdania. Jon wskazuje dookoła.

- Skąd ta zmiana wystroju?

Antonia wzrusza ramionami.

- Mój mózg... nie jest normalny. Mogę robić rzeczy, których nie mogą robić inni.

- Zdażyłem się już zorientować - mówi Jon, upijając łyk kawy. - Na przykład co?

- Mogę ci powiedzieć, którego dnia tygodnia się urodziłeś...

- Czternastego kwietnia siedemdziesiątego czwartego.

- Niedziela. Jeśli coś przeczytam, nigdy tego nie zapominam.

- Sprawdźmy.

Jon chce się o tym przekonać, wyjmuje więc z kieszeni opakowanie gum do żucia i rzuca jej na uda.

Ona na nie patrzy, unosząc brew.

- Nie jestem cyrkową małpką.

- No już, zrób mi tę przyjemność. Przecież jesteśmy sami.

Antonia odwraca opakowanie, czyta skład i odrzuca mu je z powrotem.

- Substancje słodzące (sorbitol, izomalt, syrop maltitolowy, maltitol, aspartam, acesulfam K), baza gumowa, substancja wypełniająca (E170), substancje zapachowe, substancja utrzymująca wilgoć (E422), zagęszczacz (E414), emulgatory (E472a, lecytyna słonecznikowa), barwniki (E171, E133), substancja glazurująca (E903), przeciwutleniacz (E321).

- Wooow. Zrobisz tournée po Sorii i będziesz nadziana.

- Ach, i nie zapominaj, że nadmierne spożycie może mieć działanie przeczyszczające.

- Czego chcesz więcej.

- Jesz za dużo czerwonego mięsa.

- Jakby było jakieś inne. Ale nie rozumiem, jaki to ma związek z brakiem mebli.

- Większość osób ostatecznie o wszystkim zapomina albo czas łagodzi ich emocje. Moja pamięć jest niemal idealna. Jeśli jakieś wspomnienie wpływa na mnie negatywnie, może mi wyrządzić dużą krzywdę. Dlatego nie mam niczego, co przypominałoby mi Marcosa.

- Z wyjątkiem Marcosa - mówi ostrożnie Jon.

- Wszystkie noce spędzam w jego pokoju. Dzięki temu są trochę znośniejsze. Ale w ciągu dnia staram się trzymać daleko. Przychodzę tutaj, pracuję nad... osobistym projektem. I radzę sobie, jak mogę.

- Zawsze tak było? Z tymi wspomnieniami?

- Nie - odpowiada Antonia po krótkiej pauzie. - Nie zawsze.

W tej trzysekundowej pauzie mieszczą się oceany czasu. Pełne tajfunów i wysokich fal, głębokich i wzburzonych wirów.

- Co ci zrobili, dziecko?

Antonia wzdycha. Dziecko. Nie mówi mu, że tak zwraca się do niej babcia Scott. Nie mówi mu, ile razy babcia zadawała jej to samo pytanie. Odwraca wzrok.

- Nie mogę ci powiedzieć.

Co zrobili najpierw

Sala jest czarna i pełna światła. Ściany i sufit są wyłożone materiałem izolacyjnym tak grubym, że nie przepuszcza żadnego dźwięku. Kiedy Mentor mówi przez głośniki, jego głos wydaje się docierać jednocześnie ze wszystkich miejsc.

Antonia siedzi na środku, w pozycji kwiatu lotosu, ubrana tylko w białą koszulkę i czarne spodnie. Jest boso. Powietrze w pokoju jest chłodne, chociaż to może się zmienić w każdej chwili. Mentor kontroluje temperaturę według własnego uznania, żeby jeszcze bardziej wszystko skomplikować.

- Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy. Serb Dejan Milkiavić porwuje samolot lecący do Barcelony. Za uwolnienie stu czterestu pasażerów żąda od władz miliona dolarów w plecaku oraz dwóch spadochronów. Samolot ląduje i mężczyzna wypuszcza wszystkich pasażerów. Potem nakazuje pilotowi, żeby wystartował i poleciał w kierunku pustyni Monegros. Kiedy przelatują nad pustynią, mężczyzna wyskakuje z samolotu z tylko jednym spadochronem. Dlaczego?

- Gdyby poprosił tylko o jeden, władze wiedziałyby, że to tylko dla niego, i mogłyby przekazać mu uszkodzony. Zażądał dwóch, więc nie mogli ryzykować śmierci pilota - odpowiada od razu Antonia.

- Łatwe. Spójrz na ekran.

Antonia patrzy na ogromny monitor przed sobą. Na ciemnym ekranie pojawia się zdjęcie przedstawiające grupę nagich osób patrzących prosto w obiektyw.

- Gdzie jesteś?

Oczy Antonii z największą szybkością skanują fotografię i natychmiast znajdują niezgodność.

- W niebie.

- Dlaczego?

- Jeden mężczyzna i jedna kobieta nie mają pępków.

- Zbyt łatwe i zbyt wolno.

Pod monitorem znajduje się stoper z czerwonymi cyframi. Mierzy czas z dokładnością do tysięcznych części sekundy. Teraz wskazuje 02.437. Dwie sekundy i czterysta trzydzieści siedem tysięcznych.

- Każdego wieczoru mówisz mi, co mam robić, i każdego ranka robię to, co mi powiedziałeś, a mimo to się na mnie złościsz.

Antonia jest zmęczona, ostatniej nocy prawie nie spała, Mentor wymagał od niej ćwiczeń pamięciowych, przez prawie sześć godzin z rzędu recytowała liczby pierwsze. Zastanawia się.

- Budzik.

Cyfry zatrzymują się na 01.055.

- Zbyt wolno. Nie robisz postępów wystarczająco szybko.

- Potrzebuję tylko trochę odetchnąć.

Antonia czuje ciężkie powieki i lekką głowę. Mentor znowu bawi się ilością tlenu w pokoju. Antonia myśli o tym, czy nadszedł czas, żeby to rzucić, dać sobie spokój. Spędzać więcej czasu z Marcosem. Chociaż on jest bardzo wyrozumiały dla jej nieobecności, wie, że ona tego chce, potrzebuje tego.

A przynajmniej tak sądzi. Czasami, kiedy czuje się taka zmęczona, nawet nie wie, po co tu siedzi.

Mentor codziennie mówi jej o osiągnięciu pełnego potencjału.

- Możesz zejść znacznie dalej. Możesz dotrzeć do miejsca, w którym nikogo wcześniej nie było - mówi jej. - Chcesz?

Antonia chce.

- Jest na to pewien sposób, ale będzie bolało. Bardzo bolało. I będziesz inna.

Antonia zgadza się bez większego namysłu. Podpisuje dokumenty, które jej podtykają, zobowiązuje się spędzić kilka miesięcy z dala od rodziny. Ogarnia ją entuzjazm. Przeczuwa, że zdoła przejść przez drzwi prowadzące do miejsca, którego po raz pierwszy nie potrafi przewidzieć.

Minęło wiele dni.

Teraz nie jest już taka pewna.

Antonia zawsze była inna. Od dziecka. W ostatnich dniach pewna myśl toruje sobie drogę w jej głowie niczym okropny przeciek w dachu.

Może wcale nie chce być inna. Może to, czego pragnie, to, czego naprawdę pragnie, to być nieco mniej inna.

Bycie mniej inną zapewnia większe szczęście.

- Mentor, ja... - zaczyna.

Nie ma czasu, by mówić dalej. Nie ma czasu, by pożałować. Drzwi się otwierają i wchodzi trzy osoby w niebieskich kombinezonach. Antonia odwraca się zdziwiona, ale nie ma czasu, żeby się sprzeciwić. Jedna z tych osób obejmuje ją, unieruchamiając jej ramiona, i ją przewraca, druga przytrzymuje jej głowę przy podłodze.

Trzecią osobą jest kobieta, która ma w ręku strzykawkę.

Kiedy Antonia ją zauważa, powstrzymuje krzyk przerażenia. Śmiertelnie boi się igieł. Strach budzi w niej każdy rodzaj bólu, ale igły znajdują się na najwyższym stopniu podium jej osobliwej klasyfikacji medalowej strachu.

To się nazywa trypanofobia. Ale nie ma znaczenia.

Niesamowite zdolności umysłu Antonii znikają w obliczu bólu.

Skóra jest największym organem naszego ciała, chociaż często nie myślimy o niej w ten sposób, tylko jako o zwykłej osłonie, która chroni organy wewnętrzne. To dwa metry kwadratowe usiane zakończeniami nerwowymi. Sto milionów wrażliwych receptorów na całym ciele.

Kiedy zaczynają krzyczeć wszystkie naraz, pobudzone stresem z powodu danej sytuacji, mogą narobić dużo, bardzo dużo hałasu.

W kabinie obserwacyjnej (nie przebywają już na Uniwersytecie Complutense, lecz w miejscu o wiele mniejszym i sekretnym) Mentor rozmawia z niskim, trzęsącym się, łysym i w pół ślepym osiemdziesięcioletkiem ubranym w marynarkę w szkocką kratę. Staruszek nie wygląda zbyt dobrze. Raczej jedną nogą stoi w grobie, a drugą na skórcie od banana.

Nie zwracajmy jednak uwagi na jego wiek. Może to geniusz neurochemii, najwybitniejszy ze swojego pokolenia. Jego nazwisko przewijałoby się na liście kandydatów do Nagrody Nobla, gdyby nie był odrobinę niezrównoważony.

- Proszę sobie nie myśleć, że czuję się z tym komfortowo, doktorze Nuno.

Lekarz opiera o szybę rękę usianą żyłakami, które przypominają burzę z fioletowymi piorunami. Bębni palcami (jego długie i twarde paznokcie powodują nieprzyjemne dzwonienie) i obserwuje, jak kobieta wprowadza igłę w ramię Antonii.

- Podpisała dokumenty, prawda? Poza tym to musi tak wyglądać. Strach i niepokój obiektu wyzwalają produkcję noradrenaliny w rdzeniu nadnerczy. Dzięki temu mieszanka będzie skuteczniejsza.

Przez interkom słyhać krzyki Antonii, więc Mentor go wyłącza.

- Oczywiście strzelamy do muchy z armaty. Wystarczyłaby tylko jedna kropla mieszanki wstrzyknięta bezpośrednio do podwzgórza. Ale zważywszy na to, że obiekt musi być przytomny i że najdrobniejszy błąd przy wprowadzeniu igły spowodowałby śmierć, nie braliśmy tego pod uwagę. Zwłaszcza w przypadku obiektu tak słabo współpracującego.

Naprzeciwno nich Antonia nadal się wije i wierzga nogami, próbując się uwolnić. Kobieta opróżniła pierwszą strzykawkę i wyjmuje drugą.

Wierzganie się nasila.

- Jest pan całkowicie pewny, że procedura jest bezpieczna? - pyta Mentor, odwracając wzrok.

Można by pomyśleć, że po przeprowadzeniu tej operacji w kilkunastu krajach i udzieleniu setek wyjaśnień doktor Nuno ma już dość. Wprost

przeciwnie. Nabiera powietrza i odpowiada jednym tchem.

- Wynaleziona przeze mnie mieszanka jest zwieńczeniem całego życia poświęconego neurochemii.

„Oto człowiek zakochany we własnym głosie”, myśli Mentor, który natychmiast rozpoznaje – i nie cierpi – tych ze swojego gatunku.

- Nie sprawi, że obiekt stanie się inteligentniejszy – ciągnie doktor Nuno. - Nic nie może tego dokonać. Ale może nieznacznie zmodyfikować zachowanie podwzgórza, tak żeby wydzygotało większą ilość histaminy. W sposób, powiedzmy, ciągły.

- A tak po ludzku?

Mentor już wie, co powoduje mieszanka doktora Nuno, ponieważ czytał blisko trzystustronicowy raport, ale chce jedynie, żeby staruszek mówił dalej i odwrócił jego uwagę od tego, co się dzieje za jego plecami.

- Dodatkowa histamina pozwala obiektowi zachowywać nieustanną czujność. Zdolności poznawcze zostają wzmocnione. Uwaga, percepcja, umiejętność rozwiązywania problemów i pamięć będą cały czas na najwyższym poziomie. Jasne i proste.

- Jasne i proste – powtarza posępnie Mentor.

Odwraca się. W pokoju kobieta ze strzykawkami skończyła swoje zadanie. Mężczyźni puszcza ją Antonię i wychodzą. Antonia nie jest świadoma tego, co się dzieje. Zresztą prawie nie będzie pamiętała o nadużyciach, jakie popełniono względem jej ciała i jej wolności. Być może w przyszłości pojawią się jakieś strzępy, pojedyncze obrazy. Na razie tylko leży na podłodze ze skulonymi ramionami, zagubionym spojrzeniem i nogą, którą wstrząsa skurcz.

- Ale mając na względzie wyjątkową inteligencję obiektu i ogromną ilość noradrenaliny, która jak się zdaje została wyprodukowana w obliczu takiego stresu, wyniki mogą ulec modyfikacji – mówi lekarz, znowu bębniąc palcami o szybę. - Niewątpliwie będą... interesujące.

- Już skończyliśmy? – pyta Mentor, nie mogąc się doczekać powrotu do domu.

Doktor Nuno poprawia okulary, a na jego ustach pojawia się nieobecny uśmiech. Z walizki wyjmuje kopertę z papieru kraftowego i podaje ją Mentorowi.

- Ja tak. Pan, drogi panie, dopiero zaczyna.

Mentor otwiera kopertę. W środku jest segregator. W miarę jak przegląda znajdujące się w nim informacje, jego twarz traci kolor.

- Czy to... czy to konieczne?

Doktor Nuno znowu się uśmiecha.

Mentor chciałby, żeby przestał to robić.

- Jeśli chce pan odnieść sukces, to jest jedyna droga.

21

Jasna odpowiedź

Jon patrzy uważnie na Antonię.

- Nie możesz mi powiedzieć czy nie chcesz?

Antonia odwraca wzrok.

Nie zamierza mówić mu o strzępach pamięci.

O obrazach, które wciąż pojawiają się po zmierzchu.

- Nie mogę. I nie chcę.

Co zrobili później

Sala testów się zmieniała.

Teraz jest większa. Krzesło przytwierdzono do podłogi dwunastocentymetrowymi śrubami. Z sufitu zwisa pięć taśm z czarnego nylonu. Najszersza jest przeznaczona na talię. Pozostałe cztery na nadgarstki i kostki. Każda z nich na jednym końcu, na brzegu rzepu zaciskowego, ma wbudowaną elektrodę, która może uwalniać wyładowanie o napięciu trzydziestu woltów.

Dziś kolej na taśmy.

Antonia nie przejmuje się elektrodami. Nie pamięta też zbyt wiele z sesji treningowych. Kiedy zaczynają, siada przy stole. Przed sobą ma szklankę wody i dwie kapsułki. Czerwoną połyka na początku, popijając połową zawartości szklanki. Niebieską weźmie po zakończeniu. Ta zabiera wspomnienia.

Na przykład wspomnienie o tym, że minutę po przyjęciu kapsułki dwaj mężczyźni ubrani w niebieskie kombinezony wieszają ją na taśmach głową w dół.

Głos Mentora rozbrzmiewa przez głośniki.

- Jak wyglądała twoja twarz przed narodzinami?

Antonia głęboko oddycha i zamyka oczy. Stara się oczyścić umysł z hałasu, uspokoić małpy, które skaczą z jednego miejsca w drugie. Powoli, w miarę jak specyfik zaczyna działać, otrzymuje coś w rodzaju ciszy.

W tej narastającej ciemności skupia się na koanie. Paradoksalne pytanie, które mistrzowie zen zadawali swoim uczniom przed wiekami i które Mentor zadaje jej teraz przed każdą sesją.

I w ciszy odnajduje to, jak wyglądała jej twarz przed narodzinami.

Otwiera oczy.

Sesja się zaczyna.

Naprzeciwno niej na ekranie pojawia się zdjęcie. Sześć osób stoi w rzędzie i patrzy w stronę obiektywu. Fotografia znajduje się na monitorze niecałą sekundę.

- Kto miał na szyi chustkę?

- Numer trzy.

- Która kobieta była najwyższa?

- Numer sześć.

- Jakiego koloru była chustka numeru dwa?

- Czerwonego.

Antonia wpada w pułapkę, zanim uświadamia sobie, że numer dwa nie miał chustki. Wstrząs dręczy jej dłonie i stopy, a przeponę zamienia w tamburyn.

Taśmy wznoszą się, aż plecy i pięty Antonii niemal dotykają sufitu.

Na ekranie pojawia się kolejny obraz. Tym razem to liczby. Sześć linijek po jedenaście cyfr w każdej.

Kiedy liczby znikają, uruchamia się stoper pod ekranem. Antonia zaczyna powtarzać cyfry najszybciej, jak może.

Stoper się zatrzymuje.

06.157.

- Ani jednego błędu. Dobrze.

Taśmy opuszczają się o dwadzieścia centymetrów.

Zasady są jasne. Za każdą poprawną odpowiedź - dwadzieścia centymetrów. Jeśli dotkniesz podłogi, trening dobiega końca. Jeśli się pomylisz, jeśli nie odpowiesz wystarczająco szybko, następuje wyładowanie i wznosisz się do sufitu, tracąc cały postęp.

- Im więcej ich stawiasz, tym więcej zostawiasz za sobą.

- Kroki.

Antonia się uśmiecha. Lejący się z czoła pot sprawia, że oczy zachodzą jej mgłą.

„Do podłogi zostało już tylko dwa i pół metra”.

To nie jest szczęśliwy uśmiech.

22

Prorok

Jon czuje wielki smutek, chce zaoferować Antonii pocieszenie z powodu niekończących się nocy, zimna, samotności oraz bólu, jakie w niej wyczuwa. Chce wyciągnąć do niej rękę, chce ją przytulić. Nie robi jednak nic, ponieważ zdaje sobie sprawę, że tylko pogorszyłby sytuację.

- Zabierajmy się do pracy - ucina temat Antonia.

- Jeszcze jedno. Wcześniej powiedziałaś, że coś się zmieniło. Że nie wystarcza ci już widywanie syna raz w miesiącu i przez okno. Dlaczego?

- Laura Trueba.

Jon rozumie. Skrupulatne, aseptyczne zeznanie prezski banku okazało się ciosem dla obojga. W ogóle nie dziwi go więc, że Antonia chciała jak najszybciej zobaczyć swojego syna.

- Zimna suka, bez serca.

- Nie wiem. Może. Ale nie rozumiem tego, co zrobiła. Nie mam pojęcia, o co poprosił ją Ezequiel, że potrafiła mu tego dać. Ale musimy się do tego zbliżyć. To ważne.

Inspektor Gutiérrez przez chwilę siedzi zamyślony.

- To zdanie, które wypowiedziała... Dzieci nie powinny płacić za winy rodziców. Poszukaj na swoim iPadzie. To z Biblii.

Antonia wstukuje i pokazuje mu wynik.

Człowiek, który grzeszy, umrze. Syn nie poniesie kary za winę ojca ani ojciec nie poniesie kary za winę syna. Czy rzeczywiście mam upodobanie w śmierci bezbożnego -

mówi Wszechmocny Pan – a nie raczej w tym, by się odwrócił od swoich dróg i żył?

– Ezechiel, rozdział osiemnasty – mówi Antonia. – Miałeś rację.

– Jak powiedziała by Kapitan Mięśniak, „przyjmijmy, że Ezequiel to pseudonim”. Nasz morderca pożyczył sobie imię od proroka.

Antonia wstaje i opiera się o ścianę.

– Dobra, panie uczęszczający na katechezę. Żeby zrozumiała to ateistka. Kim był ten brodaty facet? Bo przypuszczam, że miał brodę.

– Wszyscy mieli brody, piękna. Ezechiel był żydowskim kapłanem w okresie, kiedy Żydzi przebywali w niewoli babilońskiej. Lud żydowski był więźniem opresyjnej i tyranicznej władzy. I Ezechiel mówił o sprawiedliwości w trudnych czasach. Żeby każdy zapłacił za własne winy, właśnie takie jest znaczenie tych słów.

– Nie jestem teolożką, ale wydaje mi się, że nasz sprawca rozumie to na opak.

– Mamy porwanego syna, niemożliwą prośbę i zdanie, że „dzieci nie płacą za winy rodziców”.

– Zastanawiam się, jakie przewiny może mieć na sumieniu prezesa banku – mówi Antonia.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

Antonia patrzy na niego zdziwiona.

– To był sarkazm.

– Znasz się na tym równie dobrze, jak na teologii – wypala Jon, powstrzymując śmiech.

– A zatem to było porwanie dla szantażu – ciągnie Antonia. – Ezequiel porwał Álvara Truebę, powiedział jego matce, że aby go uwolnić, musi coś zrobić. Ona odmówiła. Nie było więcej negocjacji, nacisków ani telefonów.

– A teraz o coś podobnego poprosił Ramóna Ortiza. O coś, co ma związek z nim nie jako ojcem, tylko przedsiębiorcą.

– I czego Ortiz nie chciał nam ujawnić. Dlaczego?

- Może dlatego, żebyśmy go nie osądzali.

- Sam widziałeś, jak ważny był nasz osąd dla Laury Trueby. Nie. Skoro nie ma miejsca przekazania okupu, skoro nie będzie więcej telefonów... jak ma odebrać pieniądze?

- To musi być coś, co zrobił Ortiz, i on o tym wie. Jakaś publiczna wypowiedź.

„To jedyne, co pasuje”, myśli Jon.

- Dlatego Ortizowi tak bardzo zależy na absolutnej tajemnicy. I Truebie też. Bo gdyby to wyszło na jaw...

Jon drapie się po głowie.

- Antonia, miałaś rację. Tamtego wieczoru, gdy byliśmy z Ortizem, powiedziałaś, że jego zachowanie nie było normalne. Że czuł strach, strach, którego nie rozumiałaś i który nie był strachem o córkę. Teraz już wiemy, czego się bał.

Antonia przytakuje powoli.

- Bał się nas.

Jon patrzy na zegarek.

- Carli Ortiz nie zostało dużo czasu.

- Czterdzieści i pół godziny - odpowiada Antonia.

Dwa tysiące czterysta trzydzieści sześć minut. Wystarczająco czasu, żeby jej serce biło jeszcze sto siedemdziesiąt tysięcy razy, zanim Ezequiel sprawi, że się zatrzyma, jako kara za winy jej ojca.

- No to ruszajmy w drogę - mówi Jon, wstając.

Nie ma innego wyjścia i oboje o tym wiedzą.

Bez żadnych tropów, gdy wyczerpali już wszystkie możliwości, jedynym miejscem, z którego mogą wyciągnąć jakąś informację, jest jedyne miejsce, do którego zakazano im wchodzić.

23

Ojciec

Przed wejściem do bloku Ramóna Ortiza stoją dwaj ochroniarze.

Multimilioner nie wrócił do La Coruñi, tylko odwołał plany związane z pracą i został w stolicy, w swoim mieszkaniu przy ulicy Serrano. Nie mieli dokładnego adresu, lecz Antonia potrzebowała niespełna dwóch minut, żeby go znaleźć, wykorzystując do tego zdjęcia z blogów i kolorowych magazynów. Ostatnie piętro w okazałym budynku, niecałe pięćdziesiąt metrów od El Corte Inglés.

Inspektor Gutiérrezz zostawia samochód nielegalnie zaparkowany na postoju taksówek naprzeciwko bloku, nie zauważając, że jakiś motocykl parkuje kawałek dalej.

Jon odczeka parę minut, a potem wysiada z samochodu. Udaje się na spotkanie, które zapowiada się na krótkie i nieprzyjemne. Jon przypuszcza, że ochroniarze zostali poinformowani, że on i Antonia są personae non gratae w pobliżu Ortiza.

Słusznie przypuszcza. Ochroniarze sztywnieją, gdy widzą, że nadchodzi. Dwie kukiełki ze sprężyną w czarnych garniturach, krawatach i z minami, jakby nadepnęli na coś cuchnącego. Tylko że to coś nie przykleiło im się do butów, lecz idzie w ich stronę z olśniewającym uśmiechem.

- Dzień dobry - wita się inspektor Gutiérrezz.

Antonia również snuła przypuszczenia. Założyła, że kawiarnia (słynny francyzowy lokal o paskudnej francuskiej nazwie, a przecież hiszpański jest taki piękny), która mieści się obok wejścia do budynku, musi mieć

drugie drzwi od zaplecza. Tak więc wysiadła z samochodu trochę wcześniej i zrobiła rundkę dookoła bloku. Wchodzi do kawiarni i rusza prosto za bar, nie prosząc o pozwolenie. Przechodzi, niemal muskając kelnerkę, która obsługuje klientów obładowanych torbami z bardzo drogich sklepów. Kelnerka odwraca się do niej, mówi coś, lecz Antonia nawet nie przystaje, by jej wysłuchać ani dyskutować, tylko idzie dalej i przechodzi przez drzwi wahadłowe (z obowiązkowym iluminatorem) i wkracza do kuchni.

Pachnie prażonymi migdałami i świeżo upieczonym chlebem, choć zapach pochodzi z bułeczek, które zrobiła maszyna, a słabo opłacani pracownicy podgrzewają je w pionowym piekarniku pełnym tac. Dwaj młodzieńcy patrzą ze zdziwieniem na Antonię, lecz ona się nie zatrzymuje. Przechodzi przez kolejne drzwi wahadłowe i mija kierownika, który nachylony przed komputerem, analizuje arkusz kalkulacyjny, tak skoncentrowany, że początkowo nie zauważa obecności Antonii. Po drugiej stronie biura jest korytarz.

Antonia jeszcze się w nim nie znalazła, kiedy kierownik wstaje i krzyczy.

Ona go ignoruje, ponieważ pewien element przemawia na jej korzyść. Prawie nikt nie reaguje instynktownie na takie wtargnięcie w sposób natychmiastowy. Potrzeba czasu na przestawienie się, reinterpretację rzeczywistości, żeby móc zareagować zgodnie z tym, co ta druga osoba robi, a czego w teorii robić nie powinna.

- Halo! Halo, proszę pani!

Antonia pewnym krokiem rusza korytarzem. Jest tu wiele drzwi, a ona nie ma czasu, żeby otwierać wszystkie, więc kreśli w głowie mentalną mapę (położenie ulicy, pierwszy zakręt przy barze kawiarni, drugi w kuchni) i wynik podpowiada jej, że powinna wybrać drzwi na końcu. Kiedy do nich dociera, uświadamia sobie, że wybrała dobrze, bo jako jedyne mają zasuwkę. Antonia walczy z zasuwką, którą otwiera się bardzo opornie.

- Nie może tu pani być - słyszy głos kierownika za swoimi plecami. Jest prawie tuż za nią.

- Jestem spóźniona. Jestem spóźniona - odpowiada Antonia, nie odwracając się, w swojej najlepszej imitacji białego królika z Alicji w krainie czarów. - Jestem spóźniona do dentysty.

Drzwi otwierają się w samą porę, kiedy ręce kierownika już muskają jej ramię. Antonia wślizguje się między futrynę a uchylone drzwi, wychodzi do westybulu i pociąga za kłanek, żeby zamknąć je za swoimi plecami.

- Pieprzona wariatka - słyszy za sobą.

Szykuje się do biegu, w razie gdyby kierownik kawiarni postanowił ścigać ją w westybulu, ale wygląda na to, że jej imitacja królika przyniosła pożądany efekt. Dźwięk przesuwanej zasuwki za plecami wskazuje, że mężczyzna uznał problem za rozwiązany.

Antonia problemy ma jeszcze przed sobą. Wygląda z westybulu i widzi, że Jon dyskutuje z dwoma ochroniarzami. Niczego nie słyszy, ale inspektor gestykuje jak handlarz na targowisku. Zły znak, bo jeśli atmosfera zrobi się gorąca, Parra albo któryś z jego pomagierów szybko się tu zjawia. Poprawka. Nie jeśli zrobi się gorąca, tylko kiedy zrobi się gorąca.

Antonia szacuje, że za dziesięć do piętnastu minut w najlepszym wypadku.

Komplikacja: winda rusza do góry. To jedna z tych odkrytych wind sprzed stu lat. Typ Stigler, wyłożona mahoniem, zjeżdżająca pół metra na sekundę. Zainstalowana przez samego Schneidera, ta informacja znajduje się na kracie z kutego żelaza razem z datą - 1919 rok.

Kolejna komplikacja: ochroniarze stojący przed wejściem otworzyli drzwi do westybulu. Jeden z nich wpycha Jona do środka.

Jeszcze nie zauważyli Antonii, ale jej szanse maleją.

Antonia postanawia wejść po schodach, w razie gdyby ochroniarze przy drzwiach wezwali do pomocy tego, który niewątpliwie pilnuje drzwi na górze. Jej przeczucie się sprawdza, kiedy mija się z windą na wysokości drugiego piętra. Mężczyzna w czarnym garniturze i krawacie ma spiralny przewód, który kończy się w jego uchu. Antonia przykleja się do ściany, usiłując stać się niewidzialna, ale Jacobo Schneider,

legendarny instalator, miał zły gust, pokrywając wewnątrz windy lustrami. Ze wszystkich czterech stron.

Spojrzenia ochroniarza numer trzy i Antonii się spotykają. Antonia rusza biegiem na górę. Jej dziesięciominutowa przewaga znacznie stopniała.

Dociera na piąte piętro bez tchu (Antonia nie jest w dobrej formie) i puka do drzwi. Czasami można tylko być dobrej myśli.

Otwiera Ramón Ortiz we własnej osobie. Kiedy ma dobry dzień, ten osiemdziesięciokilkulatek wygląda na dziesięć lat mniej. Dziś nie jest jeden z tych dni. Ma zapadnięte oczy, szarawą i ziemistą skórę.

- Kto...?

Potem rozpoznaje Antonię.

Trzyma uchylone drzwi niczym tarczę.

- Nie mam dużo czasu, panie Ortiz. Ipańska córka też nie.

Na schodach (całe z marmuru, okazałe fryzy) kroki ochroniarza numer trzy rozbrzmiewają coraz bliżej.

- Chyba nie powinienem z panią rozmawiać - mówi Ortiz z wahaniem.

Jeżeli zamknie jej drzwi przed nosem, co teraz jest jego preferowaną opcją, gra się skończy. Antonia ryzykuje.

- Chyba powinien był pan powiedzieć policji prawdę na temat tego, oco poprosił Ezequiel.

Ramón Ortiz zamiera. Jedyne ruch widać tylko na jego skórze, która zmienia barwę z popielatej szarości na biel pełną poczucia winy.

- Proszę. To może być nasza ostatnia szansa - błaga Antonia.

Zostało sześć sekund, zanim ochroniarz numer trzy ją dopadnie.

Dla innych osób sześć sekund może być maleńkim wycinkiem czasu.

Nie dla Ramóna Ortiza.

W ciągu sześciu sekund Ramón Ortiz widzi przed swoimi oczami rezultaty obu możliwości: wpuścić Antonię i przyznać, że okłamał policję, stając się winnym utrudniania śledztwa i otwierając drogę do tego, żeby cała prawda wyszła na jaw; albo zatrzymać ją na zewnątrz zgodnie ze

swoim pierwotnym zamysłem. W ciągu tych sześciu sekund pojawia się również twarz jego córki Carli – jako mała dziewczynka, która upuściła lody na perski dywan, jako nastolatka, gdy pierwszy raz wróciła późno do domu, płacząc, bo zerwał z nią chłopak.

Ochroniarz numer trzy dopada do Antonii i ją obezwładnia. Nie ma problemu z założeniem jej ręki na plecy i wykręceniem. Antonia nie stawia oporu (a nawet gdyby go stawiała, waży trzydzieści kilogramów mniej niż on). Przez cały ten czas nie odrywa wzroku od oczu Ortiza.

– Proszę – powtarza Antonia ze skrzyżowanymi rękami, żeby nie przerwać kontaktu wzrokowego.

„Jednym tylko gestem może pan zatrzymać to szaleństwo”, mówią jej oczy. „Tylko jedno pańskie słowo może wszystko zmienić”.

Multimilioner odwraca wzrok i powoli zamyka drzwi.

Nawet Coppola nie zamknąłby ich lepiej.

Bruno

„Tak się właśnie uprawia dobre dziennikarstwo”, myśli Bruno Lejarreta. Nikt nigdy nie kochał siebie tak bardzo, jak w tej chwili kocha siebie Bruno.

Cofnijmy się nieco.

Peugeot citystar, który wynajął poprzedniego popołudnia, słono go kosztował, bo aż sto dwadzieścia dziewięć euro dziennie, ale okazało się, że to świetna inwestycja. Szary, dyskretny, z kufrem. Gdy tylko zakłada kask, baskijski dziennikarz staje się jednym z tysięcy kurierów krążących po Madrycie. Jest niewidzialny. A przynajmniej w lusterku wstecznym inspektora Gutiérreza, który nie zorientował się, że jeździ za nim przez cały dzień. Kiedy tylko ten prostak pospiesznie skończył śniadanie, wsiadł do samochodu, a Bruno już czekał na niego na ulicy. Trasa była doprawdy interesująca. Najpierw do mieszkania w Lavapiés, dzielnicy, którą teraz ci politycznie poprawni nazywają wieloetniczną, a którą Bruno nazywa pieszczotliwie „cygańskim gettem”. Wąskie, jednokierunkowe ulice, na których Bruno musiał bardzo się starać, by nie było widać, że ich śledzi, cholera jasna. Tutaj zabrał jakąś dziewczynę, której Bruno nie widział zbyt dobrze, bo bardzo szybko wsiadła do samochodu.

Stąd na aleję Castellana, do siedziby tego banku, no bez jaj. Bruno zrobił wiele zdjęć z chodnika naprzeciwko. Potem do szkoły – naprawdę? Bruno jest kompletnie pogubiony. Później z powrotem do mieszkania w Lavapiés, gdzie siedzą dłuższą chwilę. Bruno nie ośmiela się przegryźć niczego w żadnym barze, po części dlatego, żeby ich nie zgubić, a po części dlatego, żeby czegoś nie złapać. Robi dobrą minę do złej gry i kupuje od

Chińczyka palmierę, z tych już fabrycznie zapakowanych. Za grzechy trzeba odpokutować, więc po zjedzeniu tej przemysłowej trucizny szybko pojawia się zgaga.

Bruno Lejarreta, samozwańcza legenda baskijskiego dziennikarstwa, którego wąż zapewnił mu pamiętne py na pierwszej stronie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, który pokonał czterysta kilometrów, żeby przyjechać do stolicy i który wyczyścił to, co zostało na karcie, żeby wynająć motocykl z powodu czystej intuicji...

„Iczystejszemu złośliwości, do cholery. Trzeba uczciwie powiedzieć”.

...w tej chwili ma dosyć tej inwigilacji, z obolałym tyłkiem i żołądkiem wyróconym na drugą stronę, i pragnie tylko, żeby inspektor Gutiérrezz coś zrobił albo żeby wziąć tabletkę na refluks. Każda z tych dwóch opcji mu odpowiada.

„Co za porażka. Jestem starym nieudacznikiem”.

W końcu inspektor i jego towarzyszka wychodzą z budynku. Bruno podnosi podpórkę i wciska gaz. Kwadrans później są na ulicy Serrano i wtedy coś się dzieje. Dzieje się to, że dziewczyna wysiada z samochodu i biegnie za róg. I że Gutiérrezz jedzie jeszcze kilka metrów i parkuje w zakazanej strefie. Na postoju dla taksówek naprzeciwko okazałego budynku. Zresztą przez cały dzień parkuje niezgodnie z przepisami, co Bruno skrzętnie udokumentował. Inspektor Gutiérrezz nie ma do tego prawa, ponieważ jest zawieszony w obowiązkach, ale samo to nie wystarczy do napisania artykułu.

„Zrób coś, Gutiérrezz”.

Jakby go usłyszał, inspektor wysiada z samochodu i kieruje się do wejścia. „Niczym lalka firmy Famosa”, myśli Bruno, bo jest staromodny.

Dawniej bycie ochroniarzem w Bilbao stanowiło intratny biznes, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo politycy potrzebowali ich usług. Tak więc Bruno widział już wielu i rozpoznaje ich na kilometr, no, na półtora kilometra.

Ci dwaj przed wejściem sztywnieją, przyjmują postawę defensywną, ręce skrzyżowane na piersi, nie dotykaj mnie, co pan tu robi. Gutiérrezz macha rękami, jakby dyrygował orkiestrą Filharmoników Wiedeńskich,

co świetnie wygląda na zdjęciach, które cały czas robi Bruno. W pewnym momencie ochroniarze wpychają go do środka, wcześniej co chwilę dotykając słuchawki w uchu (wcisnąć, żeby mówić, puścić, żeby słuchać), by poprosić o instrukcje lub posiłki.

Bruno siedzi, jak siedział. Wciąż niczego nie ma. Ale przychodzi mu do głowy, w końcu dlatego jest samozwańczą legendą baskijskiego dziennikarstwa, że mógłby sprawdzić, kto tu mieszka. Rzucenie okiem na skrzynkę na listy nie wchodzi w grę, ale dzisiaj wszystko jest w internecie. Brunonowi Lejarrecie, który ma już sześćdziesiąt trzy lata, sprawdzenie, kto jest właścicielem apartamentu na ostatnim piętrze zajmuje dobre piętnaście minut.

„Okurwa”.

Zaczyna się denerwować, jak każdy dziennikarz, kiedy przeczuwa, że może mieć scoop. Bo to się nazywa scoop, a nie żaden exclusive ani bomba. Scoop, myśli Bruno (wiadomo, jest staromodny). Ale jak duży – kto to może wiedzieć.

Bruno czeka, aż inspektor wyjdzie.

Gutiérrez nie wychodzi, przyjeżdża za to kolejny. Wysiada z nieoznakowanego samochodu, ale kamizelka kuloodporna i wygląd gliniarza sprawiają, że od razu rzuca się w oczy. Krępy, ogolona głowa, kozia bródka. Bruno Lejarreta gdzieś już go widział, jest tego całkiem pewny. Gdyby tylko mógł sobie przypomnieć...

Nagle w jego pamięci następuje kliknięcie i wszystko układa się w spójną całość. Tak jak wtedy, kiedy w Tetrisie dokładasz ostatni element i całe rzędy znikają.

José Luis Parra, kapitan Wydziału Porwań i Wymuszeń Policji Krajowej. Przy wejściu do budynku, w którym mieszka Ramón Ortiz, najbogatszy człowiek na świecie.

Ping, ping, ping, ping, główna wygrana.

„Tak się właśnie uprawia dobre dziennikarstwo”, myśli Bruno Lejarreta, nie przestając robić zdjęć. Nikt nigdy nie kochał siebie tak bardzo, jak

w tej chwili kocha siebie Bruno.

Czeka parę minut, licząc, że Parra albo ktoś inny wyjdzie na zewnątrz, nikt się jednak nie pojawia.

Zsiada z motocykla i zabiera się do dzieła. Nie ma żadnego planu, chce się tylko dowiedzieć, musi się dowiedzieć.

Wtedy wychodzą. Wszyscy razem. Najpierw inspektor, potem dziewczyna i Parra na końcu.

- Poległeś na całej linii, Gutiérrez - mówi kapitan.

- Gdybyś mógł wyjąć sobie na chwilę uszy z dupy i mnie wysłuchać... Musisz sprawdzić taksówkę. Przynajmniej rzuć okiem.

- Nie muszę niczego wysłuchiwać. Ostrzegłem cię, że masz się nie wtrącać, mówiłem czy nie? Zachowałem się po koleżeńsku, nawet wobec takiego partacza jak ty.

- Oj tak, bardzo po koleżeńsku. - Gutiérrez się odwraca i celuje w niego palcem. - Trzeba być świnią i złym człowiekiem, żeby grozić Biurem Spraw Wewnętrznych, Parra. Świnią i złym człowiekiem.

- Ciesz się swoim zawieszeniem na stałe, inspektorze.

Gutiérrez się odwraca i wali go po głowie, porządnie, na miarę tryumfu w Lidze Mistrzów. Otwartą dłońią. Brzmi to jak petarda w garnku.

Parra nawet tego nie widzi.

Bruno Lejarreta owszem i niedługo zobaczy to znacznie więcej osób, ponieważ nagrywa wszystko telefonem o wysokiej rozdzielczości zza markizy. Z reklamą konkurencji Ortiza - cóż za ironia.

Po takim ciosie inny, słabszy mężczyzna wylądowałby na tyłku. Inny, mniej wyważony mężczyzna, odpowiedziałby na agresję.

Parra (połowa twarzy czerwona jak krewetka carabinieri na płycie do smażenia) tylko na niego patrzy i się uśmiecha, ponieważ wie, że wygrał.

Gutiérrez także to wie. Odchodzi upokorzony.

Bruno się waha, czy za nim jechać, ale postanawia, że tego nie zrobi. Gutiérrez jest skończony, chociaż teraz to najmniej ważne. Bo on ma scoop, scoop na wyciągnięcie ręki. Tej samej ręki, którą macha do

inspektora, kiedy ten przejeżdża obok niego samochodem. Gutiérrez udaje, że go nie widzi.

Dziennikarz daje Parze chwilę, żeby się uspokoił (nie chce, by kapitan poczęstował go tym, czego oszczędził wkrótce już byłemu inspektorowi), a potem podchodzi do niego, kiedy kieruje się już do swojego samochodu, z telefonem w dłoni.

- Przepraszam, kapitanie. Jeśli można.

Parra nagle się odwraca, w oczach ma ogień. Wściekłość nie minęła mu jeszcze całkiem i dziennikarz robi krok do tyłu. Albo dwa. Podnosi ręce w pokojowym geście.

- Coś pan, do cholery, za jeden?

- Nazywam się Bruno Lejarreta, kapitanie. Wydaje mi się, że pan i ja mamy wiele do omówienia.

24

Mail

W jej dowodzie widnieje Laura Martínez, ale nie reaguje, jeśli ktoś tak się do niej zwraca.

Nie używa tego imienia od siedemnastego roku życia, a od tego czasu minęły już trzy lata. Teraz jest dojrzałą kobietą, kobietą, która ma wszystko poukładane. Może wybrać, jak chce się nazywać, i tak właśnie zrobiła.

Ladybug.

Sama z wielką starannością wytatuowała je sobie na prawym przedramieniu. Potrzebowała trochę pomocy Espectro, żeby przytrzymać szablon, ale później było już łatwo. Biedronka trzymająca filakterię, na której napisała imię, to jedna z jej najlepszych prac i jest z niej dumna. Artystka tatuażu musi nosić na skórze reklamę swojego biznesu.

Dziś jest zmęczona, tego popołudnia przyjęła w studiu nie jednego, nie dwóch, lecz trzech PIT-ów (Pijanych Idiotów Turystów). Przyszli wszyscy razem (dzwoneczek przy drzwiach narobił piekielnego hałasu) i chcieli tatuaż po chińsku. Wybrali jeden z katalogu.

- Co to znaczy?

- Wolność - odparła Ladybug z całkowicie poważnym wyrazem twarzy i poprosiła o zapłatę z góry.

Kiedy igła dotknęła skóry, idioci wyli jak maltretowane psy, ale wytrzymali dzięki tej wspaniałej mieszance, jaką otrzymujesz, kiedy nasączysz alkoholem maczo na oczach jego kumpli. Wszyscy trzej wyszli z wytatuowanymi na ramionach słowami „mokry dywan”. Prawdziwy

sinogram „wolności” wygląda oczywiście znacznie brzydziej. Jest prosty i schematyczny, przypomina komodę i okno. Dlatego nie umieściła go w swoim katalogu.

Po PIT-ach nie przychodzi nikt. Nie licząc Espectro, który wpada, żeby sprawdzić, czy będzie miał szczęście i zdoła dobrać się jej do majtek.

Ladybug z nudy migdali się z nim chwilę za parawanem. Kilka pocałunków, a ten już, prosto do cycków. Podciąga jej trochę koszulkę i przez biustonosz bawi się jej lewym sutkiem, który robi się twardy jak kamień, do kompletu z jego erekcją pod dżinsami. Ona jest podniecona na maksa, całuje go jeszcze trochę i dotyka go przez materiał, ale nagle przestaje. Zawsze jest tak samo, kiedy migdała się w studiu. Tutaj nie mogą nic zrobić, a przynajmniej nic tak naprawdę satysfakcjonującego dla niej, kiedy jej ojciec jest na zapleczu. Jest napalona, a potem nic z tego nie wychodzi, więc przykręca Espectro kurek.

- Wystarczy.

- Dziewczyno, nie możesz mnie tak zostawić - mówi on, napierając wybrzuszeniem na jej krocze.

- Jasne, że mogę.

- Zrób mi chociaż loda.

- Sam sobie zrób. Jutro przyjdę do ciebie i się pobzykamy.

Espectro jest trochę wkurzony, ale w końcu się odsuwa.

- Przyjdź później - mówi, odgarniając jej z oczu zielony kosmyk.

- Zobaczymy - odpowiada ona, machając do niego ręką, gdy odchodzi. Ale wie, że nie pójdzie, bo jest wykończona i boli ją brzuch. Niedługo dostanie miesiączki i w tym czasie zawsze jest bardziej napalona, ale też bardziej rozdrażniona. Jeśli odwiedzi Espectro, to gdy tylko pójda do łóżka, zacznie jej się okres.

„A wtedy będzie Mordor”.

Espectro tak naprawdę ma na imię Raúl, ale kiedy ona postanowiła zmienić sobie imię, on też to zrobił. Z początku uważała, że jest nawet romantyczne, ale zdała sobie sprawę, że Raúl nie czuje się tak naprawdę gotem. Ubiera się na czarno i słucha 45 Grave, The Wake i Diva

Destruction, ale tylko dlatego, że ona to robi. A Ladybug się trochę nudzi. Uświadamia sobie (tak to jest, jak człowiek staje się dojrzały), że zamienia się w chodzący stereotyp, że w końcu rzuci Espectro, bo jest pantoflarzem. Albo jeszcze gorzej: spełni się jej najgorsza obawa: wyjdzie za liberała w krawacie z dyplomem MBA, który głosuje na Obywateli. Największe zło.

„Prędzej umrę”.

Poza tym musi opiekować się ojcem. Odkąd doznał udaru, nie może prowadzić interesu i tylko siedzi na zapleczu, oglądając w telewizji stare filmy. Może poruszać tylko lewą ręką, ale to wystarczy, żeby zmieniać kanał. Jeśli chodzi o całą resztę – jest uzależniony od córki. Ladybug przygotowuje mu posiłki, kładzie go do łóżka, kąpie i karmi bez słowa skargi, nawet w myślach. Zawsze był dobrym ojcem. Tylko oni dwoje przeciwko całemu światu. Jeśli świat chce im dowalić, to będzie mocno zaskoczony.

„Poza tym dochodzi do siebie”, myśli Ladybug z uśmiechem.

To prawda. „Jego stan się poprawia”, stwierdził lekarz. Jeśli w ciągu najbliższych miesięcy nie będzie miał kolejnego ataku, być może zdoła nawet mówić. Z chodzeniem na pewno będzie kłopot, ale może będzie mówił. Jest młody, ma dopiero czterdzieści dziewięć lat.

„Może” to wszystko, czego potrzebuje Laura, przepraszam, Ladybug, żeby każdego dnia wstawać z uśmiechem.

„To mój pieprzony ojciec. Zamknij się albo cię potnę”, grozi, kiedy Espectro pyta, czy nie męczy ją to, że musi się nim codziennie opiekować. Potem ściska go za jaja, żeby wiedział, że mówi serio, że jeśli chodzi o ojca, to nie może z nią zadzierać. A potem daje mu buziaka, żeby nie był zły.

Kolejne „poza tym”: uwielbia swoją pracę. W dzisiejszych czasach pieniądze dają tacy pokroju PIT-ów (tak to jest, kiedy ma się studio przy ulicy Huertas), którzy nie doceniają jej talentu, ale od czasu do czasu pojawia się prawdziwy klient. Ktoś, kto wierzy w Sztukę. I wtedy jest wspaniale, świat staje się trochę lepszy, kiedy nagie ciało zamienia się w płótno dla czegoś pięknego.

Zaczyna się zbierać, klika, żeby wyłączyć komputer. Jeśli się pospieszy, może zdąży jeszcze wpaść do Espectro – mimo wszystko.

Chowa do torby swoje rzeczy, ale komputer się nie wyłącza. „Poczta nie pozwoliła wyłączyć urządzenia”. Sprawdza, o co chodzi.

Pewnie jakiś mail utknął w skrzynce. Owszem. Nie mógł się do końca pobrać, ostatnio często się to zdarza. Jest z poprzedniej nocy. Ladybug go otwiera. To ciężki mail i chce go już przenieść do kosza, kiedy coś jej na to nie pozwala.

Zawiera dziwną prośbę.

Zidentyfikować tatuaż gwałciela.

Zastanawia się, czy to przypadkiem nie invent, ale adres wydaje się prawdziwy, a nadawcą jest kobieta. Klika więc na zdjęcie. Podobnie jak wszystkie znane jej dziewczyny doświadczyła przemocy seksualnej ze strony mężczyzn, w mniejszym lub większym stopniu. „Ale dziś nie jest już tak jak kiedyś. Teraz my, siostry, pomagamy sobie nawzajem”, myśli

Ladybug, która nie weszła jeszcze na rynek pracy jako zatrudniona przez kogoś.

Zdjęcie nie jest zbyt wyraźne i widać tylko część tatuażu, niewielką część, ale da się rozpoznać parę elementów. To dolna część tarczy – bez dwóch zdań. A z jednej strony jest coś owinięte, wygląda jak wąż.

Nie. To coś innego.

„Masz talent do kształtów, Laura”, mówił jej ojciec, kiedy była jeszcze dzieckiem i gryzmoliła swoje pierwsze rysunki. Przedstawiała postaci z Avengersów za pomocą figur geometrycznych. Zielony kwadrat, niebieskie koło, czerwony trójkąt to wszystko, czego potrzebowała, żeby pokazać swoich superbohaterów, i to będąc w wieku, w którym pozostałe dzieci rysowały dłonie z ośmioma palcami przypominające rozdeptane pająki. Jej ojciec miał rację. Czytała kształty tak, jak inni czytali książkę. Wrodzony talent.

To jednak nie wąż pełźnie pod tarczą.

To szcurzy ogon.

I wydaje jej się, że wcześniej już gdzieś widziała ten szcurzy ogon.

Jej serce bije szybciej, ponieważ nagle przypomina sobie, gdzie go widziała. I cieszy się, kiedy odpowiada na maila, jednocześnie jednak czuje ukłucie niepokoju, choć z innego powodu.

„Cholera, właśnie dostałam okresu”.

Parra

Kapitan Parra jest człowiekiem przezornym.

Może i się cieszy, że Gutiérrez sam założył sobie stryczek na szyję. Przy niespodziewanej pomocy jego nowego przyjaciela, tego całego baskijskiego dziennikarza. Wygląda jak skończony starzec. Ale za to jak nagrywa. Wideo, które nakręcił (co za passa, inspektorze, najpierw kurewka, a teraz to), ostatecznie założyło sznur na szyi Gutiérreza, ale i jemu zważyło na barki tego gryzipiórka.

„Ale z drugiej strony... Nawet lepiej”.

Wcześniej czy później informacja musi wyjść na światło dzienne i lepiej, żeby ktoś miał materiał na wyłączność i dodał historii nieco kolorytu. Nieco bohaterstwa. Żeby spojrzeć pod odpowiednim kątem, pod właściwym kątem. Później wszystkie pozostałe media będą za nim powtarzać. W dzisiejszych czasach już nie myślą, tylko powtarzają to, co napisał ten pierwszy.

A skoro o informacji mowa.

Parra wraca właśnie samochodem do Komendy Głównej i rozmawia przez telefon z Sanjuánem.

- Co to ma być z tą taksówką, do cholery, że jeszcze o niczym nie wiem?

- Nie myślałem, że to takie ważne...

- To ja o tym decyduję, nie sądzisz?

Sanjuán przetyka ślinę. Parra niemal widzi go po drugiej stronie linii, skulonego jak przerażony szczeniak. Zawsze obawiający się, że usłyszysz „zła robota”.

- Dostaliśmy maila z CNI.

Parra wjeżdża na rondo Cuatro Caminos. Przepuszcza wcześniejszy samochód, nawet daje znać kierunkowskazem, pozostając na rondzie (choć to nie jest obowiązkowe), ponieważ jest bardzo kulturalnym kierowcą.

- Kurwa mać! CNI?

- Nie wiem, jak ani kiedy się dowiedzieli, czym się zajmujemy - ciągnie Sanjuán. - Napisali, żebyśmy sprawdzili możliwość, że w porwaniu brała udział skradziona taksówka z fałszywymi blachami.

- Dostałeś maila z CNI i myślałeś, że to nie jest ważne.

- To było dziś rano, a wiesz, że dziś...

- Sanjuán, przysięgam na moją teściową, niech spoczywa w pokoju niebawem, że rozwaliłbym ci łeb.

Podczas gdy Sanjuán poświęca chwilę na lizanie ran i patrzenie na telefon ze zboląłą miną, Parra próbuje połączyć fakty. Miał już wcześniej do czynienia z tymi z CNI, gnojkami bez skrupułów, którzy załatwiają sprawy po swojemu. Jeśli jednak znajdują na stole kawałek jedzenia, którego nie zamierzają jeść, zwykle zrzucają okruszki, żeby nakarmić psy.

- Trzeba sprawdzić tę taksówkę. Tylko ostrożnie i rozważnie. *Timeo Danaos et dona ferentes* i całe to gówno.

- *Timeo* co?

- Sanjuán, do cholery. Nie przynoś mi wstydu.

Kiedy Parra dociera do Komendy Głównej, Sanjuán czeka na niego przy drzwiach biura z mnóstwem papierów i z miną zbitego psa.

- Komisariat przy Canillas dostał dziś w południe anonimowe zgłoszenie, że na parkingu przed Centrum Handlowym Gran Vía de Hortaleza stoi taksówka. Wpół spalona. Musieli ją podpalić w nocy, bo już nie dymiła. Koledzy niezbyt się tym przejęli. Miała ją zabrać laweta, kiedy im powiedziałem, że to nasza sprawa.

Parra wzdycha. Gdyby nie kazał mu szukać, samochód byłby już w drodze na złomowisko.

- Posłałeś tam techników?

- Już jadą. Ale spójrz na zdjęcie, które przesłał mi jeden z funkcjonariuszy, który był na miejscu.

Parra patrzy na fotografię. Potem na swojego zastępcę.

- Pokazałeś go ojcu?

- Rozpoznał go.

- Dobra robota, Sanjuán.

Brakuje tylko tego, by Sanjuán pomerdał ogonem.

Ropucha

Jonowi Gutiérrzewi już prawie przeszła ochota na płacz.

Popołudnie, długie i smutne, upłynęło im w kawiarni niedaleko Kortezów, przy ulicy Cedaceros. Żadne z nich nie próbuje napoju. Ani na siebie nie patrzą.

Antonia prawie się nie odzywała, opowiedziała mu tylko o tym, co się stało przed drzwiami mieszkania Ortiza. Zrelacjonowała to aseptycznym tonem. Bez modulacji głosu. Bez emocji.

Fakty mówią same za siebie.

a) Ramón Ortiz nie współpracuje.

b) Z czterdziestu godzin, jakie zostali Carli Ortiz, zmarnowali pięć. Na co? Na

c) ostateczne zrujnowanie kariery inspektora Gutiérreza.

Antonia jest na niego wściekła. To lodowata, biała wściekłość.

– Nie musiałeś go policzkować. Pozwoliłeś mu wygrać.

Jon nie odpowiada. Doskonale wie, że ona ma rację. Na całe szczęście nie zauważyła obecności Lejarrety. Jon owszem, widział go, jak pozdrawia go ręką z chodnika, kiedy on wyjeżdżał z postoju taksówek i włączał się do ruchu na ulicy Serrano.

„Skurwysyn musiał śledzić nas przez cały dzień”.

To bardzo, ale to bardzo złe wieści. Wieści, które ona musi poznać.

Antonia w dalszym ciągu patrzy przez okno. Kto wie, co się dzieje w jej głowie.

Jon chce ją przeprosić i opowiedzieć o dziennikarzu, uwolnić się od tego ciężaru jak najszybciej. To zielona i żylasta ropucha, która wspina się do gardła i zagląda do ust, chcąc wyjść, lecz duma powoduje, że Jon bardzo mocno zaciska zęby, zatrzymując ją w środku. Niech wraca na dół i dalej gryzie mu bebechy.

„Przynajmniej na tyle zasługuję”.

Mała kara w porównaniu z tym, co czeka Carłę Ortiz.

Kelnerka podchodzi z notesem i długopisem, pyta, czy czegoś sobie życzą, tym jakże dobitnym tonem, który znaczy „potrzebuję stolika, tak więc zjedzcie coś, z łaski swojej, albo wyjdźcie”. Jon podnosi wzrok, żeby powiedzieć, że nie, i widzi, że to Carla Ortiz. Widział ją również przy stoliku obok i wcześniej, zanim weszli, jak przechodziła przez ulicę. Teraz widzi ją wszędzie, gdziekolwiek nie spojrzy. Musi stłumić potrzebę wybiegnięcia na zewnątrz i szukania jej, gdzie tylko się da. Wie, że to nic innego jak desperacja, która ciągnie za jego ciało i oszukuje jego wzrok. Desperacja, która przejawia się tym, że próbuje coś chwycić, a jego palce znajdują jedynie powietrze.

- Nic więcej, dziękujemy - odpowiada, patrząc na kelnerkę, która nie jest już Carłą Ortiz, lecz tęgą kobietą dobiegającą pięćdziesiątki.

Musi coś wyczuwać w jego oczach, bo nie nalega. Dwukrotnie stuka długopisem w notes - klik-klak, czubek na zewnątrz, klik-klak, czubek w środku - i mówi:

- Nie musicie się spieszyć.

W przygnębiającym i duszącym świetle ten drobny miły gest kobiety wydaje się Jonowi podmuchem świeżego powietrza. Jest tak wdzięczny, że zostawia na stoliku dziesięć euro napiwku. Gdyby to podliczyć, teraz kelnerka ma więcej pieniędzy od niego.

Ten niewielki oddech, jaki podarował mu wszechświat, daje Jonowi siłę, żeby opowiedzieć o tym draniu Lejarrecie.

- Scott, jest coś, co... - zaczyna.

Antonia podnosi rękę, żeby mu przerwać. Drugą wkłada do kieszeni. Dzwoni jej telefon.

- Mam nadzieję, że to dobre wieści.

Wyraz jej twarzy ulega zmianie, kiedy słucha tego, co przekazuje jej Aguado. Niezupełnie jest to radość, lecz ciemność z pewnością ustępuje.

Powtarza to Jonowi.

- Idę po samochód - oferuje on.

- Nie trzeba. To dziesięć minut piechotą.

26

Western

Neon studia tatuażu świeci na rogu. Wielkie pomarańczowe litery TATOO. Ladybug postanowiła nie zamykać, ponieważ kobieta od maila, doktorka Jakaśtam, poprosiła, żeby zaczekała na jej kolegów z policji. Zostawienie otwartego salonu o tej porze oznacza więcej PIT-ów i więcej chińskich znaków. Czterdziestoletni blondwłosy Holender siedzi na fotelu (ten chce na szyi słowo „siła”), kiedy przychodzą policjanci.

Ladybug wychyla się zza parawanu.

- Proszę usiąść - mówi im, wskazując igłą krzesła w strefie poczekalni. - Już kończę.

Holender wychodzi zza parawanu, cuchnąc środkiem dezynfekującym, a za nim młoda gotka. Ona ma na sobie czarny top i czarne dżinsy. On ma zaczerwienioną szyję z dwoma sinogramami pod uchem. Dziewczyna wyjmuje plaster z pudełka pod ladą (tatuaż jest mały, nie ma sensu zakładać wielkiego opatrunku) i umieszcza go na zaczerwienionym miejscu.

- Dlaczego „kleszcz”? - pyta Antonia, wskazując szyję Holendra.

Ten patrzy na tatuażystkę zdezorientowany.

- *What does she said?*

- *She said that you are strong* - odpowiada Ladybug, wykonując uniwersalny gest pokazywania bicepsów.

- Ha, ha. Kleszcz, *strong* - mówi zadowolony Holender, sądząc, że zna właściwe tłumaczenie. Wyjmuje pięćdziesiąt euro za tatuaż i dorzuca pięć euro napiwku.

Wychodzi. Gdy tylko milknie hałas dzwoneczka przy drzwiach, dziewczyna zwraca się do Antonii.

- O mało nie zniszczyła mi pani biznesu.

Antonia się uśmiecha - po raz pierwszy tego dnia. Jon też się uśmiecha, gdy widzi jej uśmiech.

- Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych dni nie wybierze się do chińskiej restauracji - odzywa się Antonia, pokazując na drzwi, przez które właśnie wyszedł Holender.

- Proszę się tym nie martwić. Chińczycy uwielbiają, gdy laowai ma na skórze śmieszne słowa po mandaryńsku. Nigdy nie ujawnią sekretu. Jestem Ladybug - mówi, podnosząc rękę pełną pierścionków.

Jon i Antonia też się przedstawiają.

- Przepraszam na chwilę... - mówi Ladybug.

Odwraca tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE (teraz w środku widnieje OTWARTE, co jest nieco mylące, jeśli się nad tym zastanowić) i przesuwa zasuwkę.

- Mówisz też po mandaryńsku? - pyta szeptem Jon.

- Lepiej czytam, niż mówię - odpowiada skromnie Antonia.

Ladybug wraca.

- Przyszliście bardzo szybko.

- Akurat byliśmy niedaleko - wyjaśnia Jon. - Koleżanka nam przekazała, że ma pani informacje dotyczące tatuażu, którego szukamy.

- Zgadza się. Poczekajcie chwilę.

Znika za zasłoną w grochy, która prowadzi na zaplecze, i wraca z grubym czarnym segregatorem. Na grzbiecie znajduje się żółta nalepka z napisem 1997-1998.

Ladybug kładzie go na stoliku i otwiera. Jest pełen zdjęć z polaroida przyklejonych na cienkiej tekturze i pokrytych folią.

- Gdzieś tu jest... - mówi, przerzucając strony do przodu i do tyłu.

Zatrzymuje się w trzech czwartych i odwraca segregator. Na stronie znajduje się tylko jedno zdjęcie.

Cztery prawe przedramiona oświetlone fleszem. Ich właściciele znikają w rozmytym mroku utworzonym przez rozbłysk. Na wszystkich czterech widnieje identyczny tatuaż. Karmazynowa skóra dookoła, z krwawiącymi punktami, pokrywa duże żylaste mięśnie.

Wzór tatuażu jest elegancki, stylem przypomina bardziej komiks niż realizm. Szczur o ostrych zębach trzyma tarczę, która przysłania jego tułów. Na tarczy znajduje się inskrypcja nieczytelnym pismem germańskim. Zdjęcie jest kiepskiej jakości, więc litery są ledwie widoczne.

Puls Jona zaczyna przyspieszać, a inspektor próbuje go uspokoić. Jednym z tych mężczyzn może być Ezequiel. Jedno z tych przedramion zamordowało Álvara Truebę, przetrzymuje Carlę Ortiz, strzelało do nich z porsche cayenne.

- Potrzebujemy faktur. Książ rachunkowych. Czegokolwiek. Musimy zidentyfikować te osoby, panienko - mówi Jon.

- Pani, inspektorze. Panienko jest maczystowskie. I obawiam się, że nie mogę wam w tym pomóc. Nie zostało nam nic z tamtego okresu. Mnie nie było jeszcze na świecie, a mój ojciec zawsze miał bałagan.

„Pieprzeni milenialsi”, myśli Jon. „Panią to nazywają moją matkę, a ona ma już prawie siedemdziesiątkę...”

- Czy to pani ojciec zrobił te tatuaże? - pyta Antonia.

- Tak. Dopiero zaczynał, ale już wtedy był dość dobry.

- Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Ladybug wzdycha z gotycką rezygnacją. Ona myśli, że naśladuje Minę Harker graną przez Winonę, ale brzmi to raczej jak powietrze, które ucieka, gdy siada się na grubej poduszce.

- Ja też, proszę mi wierzyć. Chodźcie ze mną.

Prowadzi ich za zasłonę w grochy, a dalej korytarzem do pomieszczenia, w którym pachnie potem i naftaliną. W środku są: błąd i wykrzywiony mężczyzna, wózek inwalidzki, trzydziestocalowy telewizor, western. Jedyne światło pochodzi z ekranu, a strzelanina w O.K. Corral maluje wyraźne cienie na twarzy mężczyzny.

- Tato. Przyszli do ciebie.

Mężczyzna na wózku nie odrywa wzroku od ekranu, na którym Kirk Douglas wyjaśnia Burtowi Lancasterowi, że on nie chodzi na śluby, tylko na pogrzeby.

- Tato - powtarza Ladybug. Nachyla się nad nim i bierze go za lewą rękę. Głaszcze ją powoli, czule.

Mężczyzna ściska dłoń córki.

- To wszystko, co dostaję od niego ostatnio - mówi dziewczyna. - Półtora roku temu miał udar i od tamtej pory powoli wraca do zdrowia. Bardzo powoli.

Na twarzach Antonii i Jona maluje się desperacja. Niemożliwe, że udało im się znaleźć najsolidniejszy jak dotąd trop związany z tożsamością Ezequiela... a ten, kto ma ów trop, jest właściwie warzywem.

„Bóg ma naprawdę okrutne poczucie humoru”, myśli Jon.

- Możemy spróbować go zapytać? - odzywa się Antonia.

Ladybug się zastanawia, zagryzając usta pomalowane na czarno. Piercing w jej nosie porusza się przy tym z oburzeniem.

- Przypuszczam, że próbując, nic nie tracimy. Ale będzie lepiej, jeśli zadacie pytania przeze mnie.

Antonia prosi, żeby pokazała mu zdjęcie.

Brak odpowiedzi.

- Czy pamięta, jak robił ten tatuaż?

Brak odpowiedzi.

- Czy pamięta te osoby?

Brak odpowiedzi.

Na to i na kolejne siedem pytań.

- To na nic - mówi Ladybug. - Nawet w najlepsze dni nie robi nic oprócz pokazywania. Nawet nie wiecie, jak to jest.

Jon wyobraża sobie, że Antonia wie.

Wyobraża sobie, że wie, jak to jest żyć z kimś, kto był silny, czuły, serdeczny. Kto rozmawiał, marzył, żartował, jadł, śmiał się i śpiewał. Kto

był żywy i szczęśliwy, stale obecny, był powodem do radości dla tych, którzy go otaczali. A potem w jednej chwili zamienia się w coś innego. We wspomnienie, w cień, który wymaga ciągłej opieki, nie oferując w zamian niczego oprócz bólu, frustracji i obowiązków. Będąc jedynie czarną dziurą, która ze swoją nieskończoną grawitacją pochłania wszystkie wspomnienia, ciepło i szczęście, nie dając w zamian niczego oprócz satysfakcji – mglistej, intelektualnej – ze spełnionego obowiązku.

Antonia się nie odzywa.

Antonia wciąż myśli. Stara się znaleźć sposób na obejście tej niemożliwej do pokonania przeszkody. Jest pewien koan, który Mentor powtarzał jej niekiedy przed sesjami

(torturami)

treningowymi.

„Co się stanie, gdy niepowstrzymana siła uderzy w nieusuwalny przedmiot?”

Jak wszystkie koany, nie ma odpowiedzi.

„Nie oznacza to jednak, że mamy przestać jej szukać”, myśli Antonia.

- Powiedziała pani, że może pokazać? - pyta dziewczynę.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli już damy mu spokój - odpowiada Ladybug, wstając.

Chce, żeby sobie poszli.

- Proszę. To bardzo ważne - wtrąca Jon i potem dodaje: - Proszę pani.

Gotka patrzy na niego z nieufnością, ale odwraca się do Antonii.

- Tak, czasami może to zrobić.

- Musimy wiedzieć, co jest napisane na tarczy. To mogłoby nam pomóc.

Ladybug zastanawia się przez kilka chwil. Potem idzie po katalog. Kładzie go na podłodze i wyjmuje dwie kartki.

Jest na nich ozdobny alfabet. Z trudem wyłania się spośród bluszczów, sztyletów, run i czaszek.

- Tato, pamiętasz, co umieściłeś na tatuażu tych osób? - pyta łagodnym tonem. Znowu pokazuje mu zdjęcie, na którym pismo germańskie jest ledwie ciemną smugą.

Brak odpowiedzi.

Córka trzyma obie kartki przed jego oczami. Nie zasłania mu telewizora, nie chce go zdenerwować.

Na ekranie Kirk Douglas pluje krwią, przykłada do ust chusteczkę, wyciera sobie brodę ze słynnym dołeczkiem.

Mężczyzna na wózku inwalidzkim porusza lewą ręką. Bardzo powoli.

Panuje absolutna cisza. Antonia i Jon, po drugiej stronie kartek, nie mogą widzieć liter, których dotyka, a minuty, jakie zajmuje mu ich wskazanie, upływają niemiłosiernie wolno.

- En. Be. Ku. To właśnie umieściłeś, tato? NBQ?

Dłoń mężczyzny ściska dłoń córki.

Antonia i Jon spoglądają na siebie.

Tylko trzy litery.

Które zmieniają wszystko.

Oboje czekają, aż wyjdą z salonu, pospiesznie dziękują dziewczynie i jej ojcu za ogromny wysiłek, jaki podjęli.

Potem ona mówi to na głos.

- To policjant.

Trzy litery

Jon Gutiérrez ma jeszcze przyjaciół.

Niewielu, ale jacyś mu zostali. Ten, który odbiera od niego telefon, to Nawarczyk Txema Barandiarán, który mieszka w Madrycie nie wiadomo jak długo. Dwadzieścia lat najmniej. Poznali się w akademii i od tamtej pory widzieli się kilka razy na spotkaniach absolwentów w Ávili. Txema. Fajny facet. Kiedy Jon wyszedł z szafy, ich relacje się ochłodziły, bo wcześniej brali razem prysznice, a o takich sprawach należy uprzedzać. Ale mu przeszło.

Okazuje się, że Txema jest chodzącą encyklopedią. Erudytą, krótko mówiąc. W rodzaju tych, którzy psują sobie wzrok nad książkami. Nie lubi jednak powieści, poezji ani innych bzdur. Jego pasjonuje historia policji. Pracuje w Wydziale Zasobów Ludzkich w Komendzie Głównej. Zna się na rzeczy.

Txema mu opowiada.

„Można powiedzieć, że zaczęło się w 1937 roku w Lizbonie. Pewnego poranka, kiedy portugalski premier i dyktator jechał na prywatną mszę do kaplicy, terroryści, nie pamiętam którzy, podłożyli bombę w kolektorze ściekowym i ją aktywowali.

Nie udało im się. Siła eksplozji rozniosła się po tunelach pod asfaltem, powodując jedynie wgniecenie w karoserii auta i wyrzucając trochę gruzu. Ale to ustanowiło precedens. Pierwsza jednostka Policji Podziemnej powstała w Madrycie w 1958 roku. Tworzyło ją trzydziestu siedmiu funkcjonariuszy wywodzących się z wojska. Ich oficjalnym zadaniem było zapobieganie przestępstwom pod powierzchnią ziemi.

Grabież linii elektrycznych, sprzętu do uzdatniania wody, okradanie banków i sklepów jubilerskich przez wykopane tunele. Ale tak naprawdę najwięcej czasu poświęcali na pilnowanie, żeby Generalissimusowi nie podłożono bomby w stylu tamtej przeznaczonyj dla Salazara.

Dyktatorzy mają tendencję do zwracania uwagi na takie szczegóły.

To była tylko kwestia czasu, kiedy ktoś spróbuje podłożyć bombę pod ziemią. Jak się okazało lata później. 20 grudnia 1973 roku, kiedy trzech terrorystów (którymi okazali się członkowie jednego z najkrwawszych gangów morderców w najnowszej historii) posłali w kosmos Luisa Carrera Blanca, zabijając przy okazji jego szofera oraz inspektora policji, który też jechał samochodem, i poważnie raniąc czteroletnią dziewczynkę, która już do końca życia zmagala się z powikłaniami. Tych trzech skurwysynów podłożyło bombę w studzience kanalizacyjnej na trasie, którą miał przejeżdżać ówczesny premier. Ci byli znacznie bystrzejsi, dokładnie przeanalizowali nieudany zamach na Salazara, bo terrorystów też mają tendencję do zwracania uwagi na szczegóły. Położyli więc worki z piaskiem, żeby fala uderzeniowa poszła we właściwym kierunku, doprowadzając do zapadliska o średnicy ośmiu metrów na ulicy Claudia Coella.

Samochód wylądował na dziedzińcu kolegium jezuickiego, w którym uczyło się dwieście pięćdziesięcioro dzieci, o tej porze zwykle znajdowały się w tym miejscu, gdzie spadło tysiąc osiemset kilogramów złomu. Przypadek sprawił, że dwa dni wcześniej niż zwykle dzieci wysłano na ferie świąteczne, czego terrorystów nie uwzględnili - na takie szczegóły zwracali mniejszą uwagę. Ha, ha, ha, jakie zabawne są te żarty o zamachu na Carrera Blanca, co?

Tamtego poranka 1973 roku Policja Podziemna nie spisała się najlepiej, ale jednostka się rozwijała i ugruntowała swoją pozycję. Kiedy w Hiszpanii nastala demokracja, groźby pod adresem polityków i innych ważnych osób nie ustały. Madryt się rozrastał i potrzebny był ktoś, kto pilnowałby tego, co dzieje się pod poziomem zero, jak policjanci nazywali podziemie. Z czasem wyzwania związane z bezpieczeństwem stały się

bardziej skomplikowane. W 1996 roku Policja Krajowa utworzyła w ramach Policji Podziemnej nowy wydział. Wydział NBQ. To specjaliści od ładunków wybuchowych, ale też od zagrożeń nuklearnych, biologicznych i chemicznych. W początkach działalności wydziału tworzyło go czterech mężczyzn”.

- Czterech fachowców - podsumowuje Txema. - Najlepsi, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

„Zakładam, że zrobili sobie ten tatuaż, kiedy powstał wydział”, myśli Jon.

- Wiesz, co się z nimi stało? Z tymi czterema facetami?

Txema zastanawia się przez chwilę nad odpowiedzią. Jonowi wydaje się, że słyszy dźwięk stukania w klawiaturę, może szuka informacji w komputerze, ale nie jest pewien. W każdym razie kolega mówi:

- Dwóch z nich nadal jest w służbie. Trzeci wyjechał z Hiszpanii, zdaje się, że teraz mieszka w Meksyku, nie wiem.

Pauza.

- A czwarty?

- Czwarty zginął, Jon. Oficjalna wersja jest taka, że to był wybuch w tunelu. Podobno popełnił samobójstwo. Był załamany, bo pół roku wcześniej jego córka zginęła w wypadku samochodowym.

„Jeden mniej. Zostaje trzech”.

Txema dodaje coś jeszcze, zanim się rozłącza.

- Gruby. - Niezrozumiała ksywka, jaką nadali Jonowi w Ávili. - Tutaj w Komendzie wszyscy o tym mówią. Jutro rano przyjdą po ciebie sępy.

Sępy. Ci z Biura Spraw Wewnętrznych. A więc Parra jednak na niego doniósł. Jakoś go to nie dziwi.

Jeśli zatrzymają go jutro rano, jeśli zabiorą go do budynku przy ulicy Cea Bermúdez i poświecą mu w twarz, to koniec. W sprawie narkotyków w bagażniku alfonsa będą go oczywiście cisnąć. I tutaj mogą mu wyrządzić dużą krzywdę. Ale kiedy zaczną się dokładniej przyglądać

temu, co robił przez ostatnie trzy dni, Jon będzie się musiał gęsto tłumaczyć. A nie może tego zrobić, nie zdradzając Antonii.

„Będę musiał wybierać między więzieniem a nią”.

- Dzięki, Txemita.

- Trzymaj się.

Jon wraca do Antonii, która czeka, siedząc na ławce przy ulicy Huertas. Opowiada jej tylko tę pozytywną część. Tę, która potwierdza jej podejrzenia.

Zielona ropucha w jego wnętrzu zamieniła się w Niesamowitego Hulka.

Antonia nie widzi, jak zaciska zęby, żeby nie wypuścić ropuchy ze środka. Jest już skoncentrowana na pierwszym prawdziwym tropie, jaki mają, odkąd zaczęło się to wariactwo. Jednym z tych czterech mężczyzn musi być Ezequiel. Co wyjaśniałoby jego umiejętności, by nie zostawiać śladów na miejscu zbrodni Álvara Trueby, a nawet szalony styl, w jakim uciekał M-50. Ten sposób jazdy Antonia wciąż wspomina z urazą (tak, jest człowiekiem).

Prosi Mentora o numer telefonu Parry. Mentor podaje jej go niechętnie. Nie jest zadowolony.

- Nie jestem zadowolony - mówi.

Antonia go ignoruje. Nie ma czasu na absurdalne ego czy kłótnie. Liczy się jedynie to, że zostały jeszcze trzydzieści dwie godziny do wygaśnięcia terminu wyznaczonego przez mordercę. Jeszcze mogą uratować Carłę Ortiz.

Wybiera numer Parry i mówi:

- Kapitanie, mam informację na temat Ezequiela, którą powinien pan poznać.

Parra

- Kto mówi? - pyta Parra, zanim zdąży się zorientować. - Ach, tak. Ten brelok, który Gutiérrezz wszędzie ze sobą nosi. Interpol, ja pierdolę. Gdybym miał czas, sprawdziłbym, co takiego kombinujecie twoja przyjaciółka i ty.

- Kapitanie, wiem, że nie ma nas pan w zbyt wielkim poważaniu, ale to jest znacznie ważniejsze niż pan i my.

- Nie mam was w zbyt wielkim poważaniu... - Kapitan wybucha suchym śmiechem, który bardziej przypomina szczekanie niż oznakę humoru. - Działając na własną rękę, o mało nie spieprzyliście tego śledztwa.

- Może powinniśmy byli do pana zadzwonić, zanim pojechaliśmy do Centrum Hipiki, ale w zamian...

- Może. Może. Może - drwi Parra, starając się jak najlepiej naśladować głos Sary Montiel. - Proszę mi nie mówić, że w zamian dowiedziała się pani czegoś kluczowego dla losów śledztwa.

- Prawdę mówiąc, tak. Mamy bardzo mocne przesłanki wskazujące na to, że Ezequiel to...

Znowu szczekanie. Ale tym razem owszem, jest w nim radość. Niezdrowa.

- Policjant? Jest pani mocno opóźniona, Interpol. Ezequiel naprawdę nazywa się Nicolás Fajardo. Policjant z Wydziału Podziemnego. Dwa lata temu został uznany za zmarłego. Ale popełnił błąd. Pobraliśmy jego odcisk z kierownicy taksówki, którą ukradł w zeszłym tygodniu. Przed spaleniem spryskał ją wybielaczem i porządnie wyszorował, ale ten odcisk mu umknął... A po przeniesieniu samochodu znaleźliśmy pod bagażnikiem but należący do Carli Ortiz. Są na nim odciski jej i Ezequuela.

Po drugiej stronie panuje cisza. Brzmi jak frustracja.

- Proszę mi przypomnieć, kapitanie, kto panu powiedział, że trzeba szukać taksówki.

„Skąd ona wie o CNI?” W głowie Parry rozlega się alarm, ale jest zbyt zajęty sprawą, żeby przykładać do tego wagę.

- Nie wiem, o czym pani mówi. Wiem natomiast, że niedługo wejdziemy do domu Fajarda. Bo mimo że nie żyje, od dwóch lat opłaca rachunki za prąd, wodę i gaz. I mieszka w suterenie. Kończę. Proszę pozdrowić ode mnie inspektora.

Parra się rozłącza. Tuż po tym przychodzi mu na myśl, że mógł dodać coś w stylu: „Proszę mu przekazać, żeby wcześniej się położył, bo jutro czeka go ciężki dzień”, żeby go dobić. Cholera jasna, że też najlepsze riposty zawsze wpadają mu do głowy po czasie. Na schodach, kiedy już skądś wychodzisz. Albo jeszcze gorzej: śpisz, wstajesz na wpół zombie, żeby się odlać i kiedy stoisz nad muszlą, trzymając penis w rękach, przychodzi ci do głowy idealna odpowiedź, ta, którą powinienes być uraczyć jakiegoś idiotę, i wtedy rozbudzasz się całkowicie i chociaż wracasz do łóżka, nie możesz już spać, tylko rozmyślasz o tym, czego nie powiedziałeś.

Nieważne.

Furgonetka - biała, bez oznaczeń - stoi zaparkowana za rogiem. Wydział Porwań i Wymuszeń siedzi w środku w komplecie. Parra wziął wszystkich.

Jest Cleo, najbrutalniejsza z ekipy, bo to jedyna kobieta i zawsze stara się udowodnić, że można być jednocześnie matką i twardzielką.

Jest Ocaña, najbystrzejszy ze wszystkich, złotousty, czego Parra mu zazdrości. Jego najlepszy negocjator.

Jest Giráldez, dziadek, dobiega pięćdziesiątki, a mimo to ma więcej energii niż oni wszyscy razem wzięci. Taki Miguel Ríos z pistoletem.

Jest Pozuelo, dzieciak, dopiero co skończył akademię, zielony jak oliwka, ale jaja ma z tytanu.

Jest Cervera, największy chuligan, dotyka sobie nosa i pociera dżiastą. Zanim wsiadł, wciągnął kreskę, a dla Parry to jest złe, bardzo złe. Być policjantem to poważna sprawa. Waha się, czy z nim pogadać i powiedzieć, żeby został, ale to byłoby niedobre dla morale pozostałych. Później zdrowo go opieprzy. Sprawy trzeba załatwiać porządnie.

I oczywiście jest kapral Sanjuán, jego zastępca, jego prawa ręka. Zawsze depcze jego cień. Jego dupoliz.

Obrażają się nawzajem, śmieją się, żują gumę, walą butami w podłogę. Znowu się obrażają. To ich sekretny język. Kod, który maskuje ich wzajemną miłość.

Kocha ich do szaleństwa. Wszystkich. To jego ludzie, do cholery. Jego rodzina. Krew z krwi, kość z kości. Oddałby za nich życie, a oni oddaliby je za niego.

Wszyscy patrzą na niego wyczekująco. Czekają, aż wyda rozkaz.

Jeszcze za wcześnie. Chce się upewnić, że niczym nie musi się martwić. Ma Sixto, ósme koło u wozu, który przechadza się po okolicy. Zabrał nawet swojego psa i w ogóle. Wygląda jak zwyczajny człowiek, który wyprowadza labradora na wieczorny spacer. Ubrany normalnie. Krótkie spodenki, tenisówki. Koszulka. Tak jak ubierają się ludzie w robotniczej dzielnicy, jaką jest Lucero.

Spacer zajmie Sixto jakieś dziesięć czy piętnaście minut: ulicą San Fulgencio w górę, półobrót, ulicą San Canuto w dół i z powrotem do furgonetki. Gdy tylko im potwierdzi, że wszystko jest w porządku, rozpoczną operację.

Parra stara się ułożyć jakieś wspaniałe, inspirujące zdanie, które powiedziałaby im, zanim wysiądą z furgonetki.

Nie może jednak niczego wymyślić.

„Przyjdzie mi do głowy, ale w nocy”, myśli zrezygnowany. „To pewne jak w banku. Najlepsze zdania...”

Carla

Carla cały czas woła Sandrę. Z początku tylko szepcze. Wypowiada jej imię, liczy do trzydziestu, znowu ją woła.

Wiedziona niepokojem stopniowo podnosi głos, aż w końcu zaczyna krzyczeć, wołając ją głośno, uderzając w ścianę rękami. Lecz jedyne, co słyszy, to trzy walnięcia w metalowe drzwi, które rozsadzają jej bębrenki w uszach i popychają ją, zwijając w kulkę pełną smarków, strachu i łez, w przeciwny kąt celi.

Nie minęło więcej niż kilka sekund, a może kilka godzin, kiedy Sandra odpowiada.

- Powiedziałaś ci, że nie chce, byśmy rozmawiały. Tylko go rozzłościłaś.

Teraz to Carla nie odpowiada. Wciąż szlocha, z podkulonymi nogami i rękami zakrywającymi twarz.

Nowe ograniczenia zamku: odległość między jej ramionami a klatką piersiową. Na tych kilku centymetrach znajduje pocieszenie.

- Już sobie poszedł - mówi Sandra. - Ale kiedy cię ostrzeżę, że wraca, musisz zamilknąć. Takie są zasady.

Carla wyciera oczy opuszkami palców, wciąga smarki.

- Mam to gdzieś. Niech mnie już zabije i niech to się wreszcie skończy.

- Wiedziałaś, że tak powiesz.

Carla rozciąga rozdartą sukienkę i poprawia ramiączka biustonosza.

- Co masz na myśli?

Sandra waha się przez chwilę.

- No cóż, bo to ty.

- Jak to ja? Kim ja jestem? - odpowiada agresywnie Carla.

Po drugiej stronie ściany panuje tylko niezręczna cisza.

- Sandra?

- Jeśli będziesz mi tak odpowiadać, to lepiej w ogóle nie rozmawiajmy. Mam już wystarczająco problemów.

„No nie wierzę. Jesteśmy w rękach pieprzonego psychopaty, a ta przejmuję się tonem mojego głosu”, myśli Carla.

Ale tego nie mówi. Bo nie chce zrobić sobie z Sandry wroga. Nie chce być sama. Uświadamia sobie, że w tej chwili tego boi się najbardziej. Umrzeć sama, w ciemności.

Możliwe, że Sandra nie jest zbyt inteligentna i niewykluczone, że jest kompletnie zdruzgotana z powodu tego, co się dzieje.

„Cholera, ja też jestem”.

Ale w tej chwili, to jedyne, co ma.

- Przepraszam, że uraziłam cię moim tonem.

- W porządku - odpowiada Sandra po chwili. - Przypuszczam, że to normalne.

- Co masz na myśli?

- Ktoś taki jak ty nie jest przyzwyczajony do przeproszania. Bo jesteś bogata i w ogóle.

Carla bierze głęboki oddech.

- On ci tak powiedział?

To dobre wieści. Jeśli Ezequiel wie, kim ona jest, to porwał ją dlatego, że czegoś chce. Czegoś, co nie ma nic wspólnego z jej ciałem.

- Porównywał mnie z tobą. Powiedział mi, że ty owszem, jesteś ważna. Może dlatego jeszcze tam nie wszedł. Od tego ma mnie.

Carla powoli przełyka ślinę, bardzo ostrożnie dobierając słowa.

- Sandra, ja...

Milknie. Nie da się odpowiedzieć na to, co usłyszała od Sandry. To zwyczajnie niemożliwe.

Bo sama tak właśnie myśli.

Bo to prawda.

Carla jest dziedziczką najbogatszego człowieka na świecie.

Sandra jest taksówkarką.

Możliwe, że na Twitterze ktoś oburzony może wskazywać, że życie obydwu jest warte tyle samo, ale tutaj, w tej norze mordercy, gdzie są trzymane w ciemności, to stwierdzenie jest nie do przyjęcia.

- Wyjdziemy stąd obie, obiecuję ci to - mówi Carla.

Teraz rozumie pasywno-agresywną wrogość Sandry. Kiedy Carla była tylko zwykłą pracownicą, obie były ofiarami. Ale nawet w norze mordercy są ofiary i ofiary.

- Nie obiecuj rzeczy, których nie możesz spełnić. Przypuszczam, że mnie chce tylko wykorzystywać - mówi Sandra. - Co do ciebie... ma inne plany.

Carla się spodziewa, że dziewczyna będzie mówić dalej, lecz ona tego nie robi.

- Jakie plany, Sandra? Jeśli wiesz, musisz mi powiedzieć. Powiedz mi, Sandra - błaga Carla.

- Cśśś. Cicho. Wrócił i jest zły. Chyba coś się dzieje - mówi taksówkarka.

Przypomnienie

Antonia zamyka oczy.

Nietrudno jej znaleźć w swojej kolekcji słów takie, które opisuje to, jak się czuje. *Ajunsuaqq*. W języku inuktitut oznacza „ugryźć rybę i w środku znaleźć tylko popiół”.

Po tylu staraniach nie zostało jej nic, z czego mogłaby się cieszyć albo być dumna. Ale to nie ma większego znaczenia, jeśli w ten sposób zdołają uratować Carłę Ortiz.

Jon siedzi obok niej na ławce na chodniku. Wyjątkowo milczący. Przekazała mu to, co powiedział jej Parra, co skwitował tylko skinieniem głowy. Przed nimi przechodzą ludzie, lecz Antonia nie zwraca na nich uwagi. W archiwach online szuka informacji, której potrzebuje. Trudno coś znaleźć, bo wiadomość dotyczy drobnej sprawy. Bez znaczenia.

„Wybuch gazu pod ulicą Narváez. Tylko jedna ofiara śmiertelna. Funkcjonariusz policji Nicolás Fajardo. Rutynowa kontrola. Fajardo nie pozostawia żadnych znanych krewnych”.

Ani jednej wzmianki o samobójstwie.

O czym to wspominał Jon? Córka.

Znalezienie tej wiadomości jest nieco łatwiejsze. Pół roku przed śmiercią Nicolása Fajarda.

„Śmiertelny wypadek na M-30. Samochód uderza w filary mostu na M-30. Brak śladów hamowania. Policja sądzi, że to samobójstwo. Ofiarą jest dwudziestoletnia kobieta, której inicjały to S. F.”

Powiększa zdjęcia. Strażacy uwijają się wokół rozbitego pojazdu. Nie ma zbyt wiele do zrobienia. Połowa samochodu zniknęła,

skompresowana i zgnieciona niczym pusta plastikowa butelka. Trzeba jechać naprawdę bardzo szybko, żeby uderzyć tak mocno.

Dzwoni telefon.

- Halo.

- Mówi Tomás.

Antonia mruga, w tym momencie siedzi tak głęboko w swoim mózgu, że musi się bardzo starać, by dostosować się do rzeczywistości świata zewnętrznego. Wtedy sobie przypomina. Tomás. Ochroniarz z La Finki.

- Zostawili nam państwo swoje numery telefonów, w razie gdybyśmy sobie coś przypomnieli. Dzwoniłem wcześniej do pani kolegi, ale nie odebrał, więc postanowiłem spróbować się dodzwonić do pani.

Ona wydaje odgłosy potwierdzenia, aha, uhm, ponieważ nadal jest skupiona na fotografii z wypadku. Na czymś, co nie do końca jej pasuje. Na czymś, co powinna widzieć, a wiedzieć nie może.

- Chodzi o to, że dziś, kiedy zaczęła się nasza zmiana - ciągnie Tomás - rozmawiałem z Gabrielem i nagle po kogoś przyjechała taksówka. Tym razem przyjrzelśmy się dokładniej, rozumie pani, odkąd stało się tamto, zaglądamy do środka i patrzymy uważnie, nie pozwalamy już przejeżdżać ot tak.

Kolejne aha.

- I widzi pani, za kierownicą siedziała kobieta, co w dzisiejszych czasach jest zupełnie normalne, na to człowiek nie zwraca już większej uwagi, jeszcze pięć lat temu to było nie do pomyślenia, wydawało się, że to praca tylko dla mężczyzn, bo trzeba jeździć w różne miejsca i wozić nieznanomych w środku nocy... Chodzi o to, że Gabriel i ja przyjrzelśmy się i nagle sobie przypomnieliśmy, obaj w tym samym czasie. Czy to nie wspaniałe, jak działa mózg? Człowiek nie pamięta niczego, kolega też nie i nagle bam, obaj jednocześnie przypominają sobie to samo. To muszą być te skojarzenia. Czerwony to krew. Fioletowy to owoc. Właśnie mówiłem Gabrielowi, że...

Antonii udaje mu się przerwać.

- Co takiego sobie przypomnieliście?

Ochroniarz odchrząkuje.

- Widzi pani, taksówkarzem była kobieta.

Carla

Próbuje znowu zasnąć. Jest coraz słabsza i coraz bardziej wyczerpana. Ma sen. Śni jej się, że ciemność znika, zastąpiona ogromną ścianą białego i pięknego światła, które wypełnia wszystko.

Wtedy słyszy hałas i jakieś głosy.

Głosy dorosłych mężczyzn, którzy krzyczą: „Policja!”.

Którzy krzyczą jej imię.

Wiedziała, że przyjdą. Wiedziała, że to kwestia godzin. Może minut. I już tu są. Wreszcie ją znaleźli.

Serce wali jej jak młot, próbuje się podnieść, zapominając o wysokości sufitu, uderza się w głowę, wskutek czego powstaje rana, która obficie krwawi, ale ona to ignoruje. Nawet nie czuje bólu. Udaje jej się przedostać na czworakach do metalowych drzwi, wali w nie, krzyczy przez wywietrznik.

- Tutaj! Tutaj! Jestem tutaj!

Aborygeńskie słowo

Antonia się zatrzymuje.

Świat również.

- Słucham?

- To była kobieta - powtarza Tomás. - Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się dziwne, że kobieta jeździ o tak późnej porze albo o tak wczesnej, jak zawsze mówię, człowiek nigdy...

Antonia nie słyszy już nic więcej.

Murr-ma.

Wyrażenie w wagiman, języku australijskich Aborygenów, którym posługuje się już tylko dziesięć osób na całym świecie, określające to, co robili do tej pory.

Murr-ma.

Chodzenie po wodzie, szukając czegoś stopami.

Co jest szalenie trudne, ponieważ pozostałe zmysły nalegają na współpracę, a tak naprawdę tylko przeszkadzają.

- Halo?

Antonia się rozłącza. Potrzebuje obu rąk.

Maksymalnie powiększa zdjęcie z wypadku.

To żółty megane.

Tablica rejestracyjna jest słabo widoczna. Antonia robi zrzut ekranu, przesyła go do aplikacji Photoshop Express, stosuje filtr ostrości.

Wtedy się pojawia.

9344 FSY

Murr-ma. Szukanie po omacku. Kiedy jednak dotykasz czegoś dużym palcem – ale nie wcześniej – możesz po to zanurkować. Łączysz elementy puzzli, sumujesz wszystko.

W niespełna sekundę Antonia układa przed sobą wszystkie elementy, którymi dysponuje.

- Córka Fajarda zginęła w wypadku samochodowym na M-30.
- Jej tablica rejestracyjna dwa lata później odnajduje się na taksówce, której używa Ezequiel, aby przewieźć ciało Álvara Trueby.
- Taksówka pojawia się spalona i przesiąknięta środkiem dezynfekującym na parkingu kilometr od komisariatu.
- Anonimowa osoba przekazuje informację o jej lokalizacji.
- Człowiek, który nigdy nie zostawił żadnego śladu, teraz zostawia dwa:
 - a) jeden na bucie Carli Ortiz,
 - b) drugi na kierownicy.
- Na kierownicy, której Ezequiel nie dotknął. Ponieważ prowadziła kobieta.

Jasny wniosek pojawia się chwilę później.

Antonia ciągnie Jona za rękaw, chce, żeby wstał.

– Co jest? – pyta Jon, wracając myślami z jakiegoś miejsca.

– Musimy ich ostrzec. Musisz ich ostrzec NATYCHMIAST.

– O czym?

– Gdzie oni są, Jon?

Nie wiedzą.

Antonia wybiera numer Parry.

Jeden sygnał.

Drugi sygnał.

Poczta głosowa. „Dodzwoniłeś się do...”

Antonia nie zostawia wiadomości. Wykrzykuje ją.

– Parra, posłuchaj mnie. Nie wchodźcie, powtarzam, nie wchodźcie!

To pułapka!

Parra

Zajęli pozycje przed drzwiami mieszkania. Wejście znajduje się poniżej poziomu zero. To jedyna suterena w budynku.

Funkcjonariusze z Wydziału Porwań i Wymuszeń stoją naprzeciwko drzwi na schodach, uzbrojeni w pistolety maszynowe MP5. Okna sutereny wychodzą na ulicę San Canuto, ale są małe i zakratowane. Nikt nie może przez nie wyjść. Na wszelki wypadek zostawili Sixto w furgonetce razem z dziennikarzem. Przyda się ktoś, kto opowie o bohaterskim uwolnieniu. A facet zasłużył na materiał na wyłączność.

„Gotowe”, myśli Parra, powtarzając w myślach plan. Najbardziej obawia się, że Fajardo skrzywdzi zakładniczkę, kiedy poczuje się osaczony, ale od tego jest tu Cervera, który ma gadane jak mało kto. Potrafiłby sprzedać piasek Beduinom.

Martwi go także i to, że facet może strzelać. Ostatecznie to policjant, chociaż stracił rozum. Parra nie zamierza go lekceważyć i przyjechał odpowiednio przygotowany. Wszyscy mają pistolety maszynowe i kamizelki kuloodporne. Cleo, która znajduje się na przodzie, trzyma tarczę balistyczną, więc mogą się ukryć, jeśli sprawy nie potoczą się po ich myśli. Metr stali i kevlaru – nie do przebiccia.

Parze wibruje coś na nodze. Zorientował się, że nie wyłączył telefonu. Rزتargnienie, którego nie darowałby żadnemu ze swoich ludzi. Naciska przycisk rozłączania przez materiał spodni – mając nadzieję, że nikt nie zauważy – aż telefon się wyłącza.

„Dobra, wchodzimy”.

Zamierza już wydać rozkaz, ale brakuje jeszcze ważnego szczegółu. Grzebie przy szyi i wyciąga łańcuszek. Na nim medalik. Anioł rozpościera skrzydła nad dziewczynką, która wchodzi do lasu. To Michał

Archanioł, święty patron policjantów. Całuje go. Nie wstydzi się tego robić. Pozuelo, który stoi obok niego, żegna się. A przecież jest milenialsem i jedyne odniesienie do Boga, jakie zna, to Morgan Freeman z tamtego filmu. Ruch rozprzestrzenia się w całym szeregu.

„Teraz już tak”.

Kapitan daje znak Sanjuánowi, który trzyma taran. Czternaście kilogramów mieszanki ołowiu i żelaza, które nawet w rękach takiego mięczaka jak Sanjuán mogą wyważyć drzwi jednym tylko uderzeniem.

BLAM!

No, może dwoma.

BLAM!

Przy drugiej próbie zamek pęka i Cleo wchodzi jako pierwsza, tarcza wysoko, wrzeszcząc na całe gardło.

- Policja! Wyjdź z rękami w górze! Przyszliśmy po Carlę Ortiz!

Pozostali wpadają za nią niczym tornado.

Gdy tylko wchodzi, znajdują się w pełnym brudu salonie. Meble są poustawiane pod ścianą. Sofa, stoły. Na podłodze walają się resztki papierów, żelastwa i kabli. Światła sufitowe są włączone, ale działa tylko jeden z halogenów.

- Kapitanie - mówi Cleo, kopiąc coś, co leży na podłodze.

To damski but. Do pary do tamtego lewego, który znaleźli na parkingu w Hortalezie.

Parra daje znać Cleo, żeby ruszyła w stronę ciemnego korytarza w głębi. Reszta idzie za nią w szeregu dwójkami. Jedni kryją plecy drugim. Tak jak należy.

Policjantka wchodzi na korytarz z tarczą w dłoni.

Kanister na korytarzu, sprytnie zakamuflowany w komodzie, jest pierwszy. Zawiera czterdzieści litrów mieszanki, w skład której wchodzi podchloryn sodu, kwas solny i aceton. Wybielacz, środek do czyszczenia rur i zmywacz do paznokci. W odpowiednich proporcjach te trzy składniki potrzebują jedynie małego bodźca. Sygnał, przekazany przez

internet za sprawą karty SIM, aktywuje elektryczny detonator, który z kolei odpala plastikowy wkład pełen prochu (który można znaleźć w każdej petardzie), ale wymieszany z magnezem (który można znaleźć w każdym świętecznych fajerwerkach), żeby doprowadzić do eksplozji.

Bomba, którą przygotował Fajardo, nie jest jak dynamit albo plastyczny materiał wybuchowy. Gazy, jakie uwalnia wybuch tych elementów, mogą się rozprzestrzeniać z prędkością ponad dziesięć tysięcy metrów na sekundę. Bombę chlorową wykonuje się ze składników, które można kupić w każdym Leroy Merlin za mniej niż trzydzieści euro, ale trzeba się zadowolić prędkością detonacji rzędu skromnych czterech i pół tysiąca metrów na sekundę. To jednak wystarczy, żeby wypierane powietrze zamienić w ogień, choć ten znajduje się za falą uderzeniową, podążając za nim niczym ogon za swoim psem.

Fala uderzeniowa, nie mając w malutkim korytarzu innego ujścia niż kierunek, gdzie znajdują się policjanci, najpierw trafia w Cleo. Dociska krawędź stalowej tarczy balistycznej do jej twarzy, wbijając się w jej policzki i brwi, łamiąc nos i rzucając ją na podłogę niczym podmuch wiatru zrzuca kartkę. Sanjuán, który szedł obok niej, nie ma tyle szczęścia. Jego ciało zostaje wyrzucone ponad metr w górę, jego głowa rozbija się o sufit, a plecy łamią o framugę drzwi prowadzących na korytarz. Ciśnienie powietrza jest tak silne, że rywalizuje o ciało kaprała Sanjuána z grawitacją i wtórnym prądem konwekcyjnym. Te trzy siły zajmują się złamaniem jego obojczyka, rozdzieleniem kręgow szyjnych i złamaniem lewej ręki na pół na wysokości łokcia, jakby to była sucha gałązka, ponieważ ścięgna nie zostały stworzone do radzenia sobie z takim wysiłkiem.

Razem z płonącym tlenem pojawiają się odłamki.

Fajardo wypełnił kanister grubą warstwą śrub motylkowych ze stali ocynkowanej, więc na tak krótkim dystansie aerodynamika sprawia, że śruba kręci się jeszcze w chwili, gdy dosięgnie napotykanego po drodze ciała. Cleo, która jeszcze leci na podłogę wyrzucona siłą eksplozji (opowiadanie o tym zajmuje trochę czasu), ratuje się przed znaczną

częścią odłamków, które trafiają w tarczę. Jedna ze śrub przebija bojówki oraz delikatną skórę na łydce i zatrzymuje się w kości udowej, zostawiając ranę wlotową wielkości monety o nominale pięćdziesięciu centów. Druga muska palec wskazujący prawej ręki i ogranicza się, rozdrażniona, do odłupania nieco lakieru z lewego paznokcia. Trzecia wpada do lewego oczodołu, rozrywając gałkę oczną, choć na szczęście jedno ze skrzydeł motyla utyka w wyrostku czołowym, zanim dotarłoby do mózgu.

Sanjuán jest wrakiem. Przy takiej prędkości nie pomogła ani kamizelka kuloodporna, ani nic innego. Zanim opadnie na podłogę, jego organy wewnętrzne zamieniają się w marmoladę.

Ci, którzy nie weszli jeszcze na korytarz, zostają rzućeni na ziemię przez falę uderzeniową, chociaż tarcza Cleo odpiera część siły eksplozji oraz mnóstwo odłamków, które po odbiciu od stali wbijają się bezpiecznie w sufit.

Pięciu mężczyzn, którzy zostają w salonie, nie słyszy drugiej bomby.

Pierwsza była tylko jednym czterdziestolitrowym kanistrem.

Pod sofą i innymi meblami ustawionymi po jednej stronie salonu jest kolejnych dwieście. Oczywiście jest to też znacznie większa przestrzeń.

Kiedy zegar – uruchomiony po pierwszej eksplozji – doprowadza do wybuchu drugiej bomby, mężczyźni wciąż jeszcze się podnoszą, będąc w różnych stanach oszołomienia. To sprawia, że ich ciała stawiają mniejszy opór fali uderzeniowej oraz materiałom, które eksplodują w ich stronę.

W tej drugiej bombie Fajardo nie umieścił odłamków, ale to nie jest potrzebne. Stolik kawowy wylatuje z prędkością czterech tysięcy metrów na sekundę prosto w głowę Cervery (który od razu zostaje zdekapitowany przez melaminową krawędź), obracając się przedtem wokół własnej osi i uderzając w bok Pozuelo, niczym rakietka odbijająca piłeczkę pingpongową. Żebra nowicjusza zapadają się, jakby były zrobione z cukru, a kości przebijają mu płuca. Sofa, roztrzaskana na trzy części siłą eksplozji, lata po całym salonie w różnych kierunkach. Największy kawałek, miejsce, w którym Fajardo siadywał, żeby oglądać

telewizję razem ze swoją córką, leci prosto na Giráldeza, który już się podniósł, i trafia go w plecy, łamiąc kręgosłup i przerzucając jego ciało na przeciwległą ścianę, gdzie zostaje przygnieciony, z pękniętą czaszką.

Lampa podłogowa Hektar, kupiona pewnej soboty w Ikea, wystrzeliwuje przed siebie. Ciężka żelazna podstawa, obracając się bez żadnej kontroli, trafia Ocañę w prawą nogę, akurat w chwili, gdy opierał się na niej, żeby wstać. Nie tylko łamie mu kończynę na wysokości kolana, lecz także ją rozrywa, odsłaniając idealnie białą kość tam, gdzie wcześniej były mięso, skóra i sięgająca do podłogi noga.

Parra radzi sobie nie najgorzej. Ciało Cervery osłoniło go przed pierwszą eksplozją, a ciało Pozuela przed drugą. Wprawdzie w szyję ma wbite drzazgi, jedna z nich jest wyjątkowo długa, przeszła przez skórę, zatopiła się w mięsie i wyszła z drugiej strony, ale będzie żył.

Przynajmniej przez chwilę.

Kapitan krzyczy. Z bólu, z paniki, ze złości. Nie może jednak słyszeć własnych krzyków, ponieważ ma pęknięte bębniaki. Ani krzyków swoich ludzi. Widzi Ocañę, jak z niedowierzaniem łapie się za nogę (teraz o pięćdziesiąt procent krótszą) i biegnie do niego, żeby jakoś mu pomóc. Cleo także krzyczy, wzywa wszystkich świętych i nie przestaje kląć, ale Parra też nie może jej słyszeć. Pozostali są mniej lub bardziej milczący – Sanjuán dlatego, że nie ma płuc, Cervera dlatego, że nie ma głowy, a reszta dlatego, że jest nieprzytomna.

Kłopot z bombami chlorowymi polega na tym, że zabija nie tylko sama eksplozja, lecz także żółtopomarańczowy i wyjątkowo trujący gaz, który pojawia się później, powstały w wyniku spalania.

Gęsty gaz najpierw dosięga Cleo. Policjantka stara się wstrzymywać oddech, lecz panika bierze nad nią górę i nie może się powstrzymać od połykania powietrza. To tak, jakby wdychać płynny ogień, który przedostaje się przez tchawicę i osiada na płucach, podpalając wnętrzności.

Parra, tyłem do niej i kompletnie głuchy, nie widzi, jak jego koleżanka się dusi, nie widzi, jak brakuje jej powietrza, jak walczy o oddech, usiłując wydostać się z korytarza pełnego dymu, nie widzi, jak udaje jej się

odwrócić, mimo że jest ranna, nie widzi, jak chwyta się drzwi palcami, próbując wystawić twarz poza chmurę dymu, usiłując oddychać. Nie widzi, jak jej palce drżą, kurczą się, aż tracą siłę.

Nie widzi ognia, który zbliża się do niego z dwóch różnych stron, nie widzi, że obejmie go za sekundę, ponieważ jest zajęty ratowaniem życia Ocañi. Swojemu najlepszemu negocjatorowi, swojemu złotoustemu, który za niespełną minutę będzie martwy z powodu utraty krwi, jeśli nie zdoła założyć mu opaski uciskowej. O ile da radę wyciągnąć sobie pasek.

Ale w zaistniałych okolicznościach nie można wymagać zbyt wiele od kapitana Parry. Jego ucho wewnętrzne, gdzie znajdują się narządy zmysłów, które pomagają utrzymać równowagę i stabilność, zostało zniszczone wskutek wybuchu. Dlatego kiedy spowija go chmura i zaczerpuje pierwszy haust gazu, uświadamia sobie, że za chwilę umrze od trucizny.

Gaz wchodzi w reakcję z wilgocią dróg oddechowych, momentalnie zamieniając się w kwas. Parra rozumie, co się dzieje, ale on jest nie tylko silnym mężczyzną, lecz także mężczyzną odważnym. Nie słucha swoich płuc, które błagają go o powietrze, o czyste powietrze, ponieważ go nie ma. Wytrzymując nieznośny ból, potykając się, zaczyna się czołgać do miejsca, gdzie, jak sądzi, znajdują się drzwi wyjściowe, ciągnąc za ramię Ocañę. Czuje dwie silne przeciwstawne potrzeby. Wymiotować, oddychać. Ogromny wysiłek polegający na przeciągnięciu osiemdziesięciu kilogramów Ocañi (minus to, ile ważyłaby noga) sprawia, że mięśnie zużywają tlen, którego już nie otrzymują.

Ze wzrokiem zamglonym przez gaz (który również wszedł w reakcję z wilgocią jego oczu, zamieniając się w tysiąc kwasowych sztyletów) to cud, że znajduje drzwi. Ale cuda się zdarzają. Być może to zasługa medalika.

Na zewnątrz Parra tylko na sekundę, tylko na chwilę zaczerpuje świeżego powietrza. Dym ruszył za nim, odmawiając porzucenia swojej ofiary. Lecz haust, który udaje mu się złapać i wprowadzić do płuc zapewnia mu niewielką pomoc czy ulgę. Jego rozpalone i podrażnione oskrzela protestują, skurcze w brzuchu stają się coraz ostrzejsze. Kapitan

pada na kolana (przez chwilę myśli o swoim najmłodszym synu Lucasię, jak niespełna tydzień temu nosił go na barana), ulegając odruchowi wymiotnemu i trzymając ręce na żołądku. Udaje mu się zwymiotować kilka kropli żółtawej śliny, ale drogo go to kosztowało. Teraz otacza go trujący dym, nie wie, gdzie są schody, i, co jeszcze gorsze, zgubił Ocańę.

„Nie zostawię cię tutaj. Nie zostawię cię tutaj”.

Po omacku szuka swojego kolegi na podłodze. Lewą ręką natrafia na jego twarz, prawą chwyta go za naramiennik kamizelki kuloodpornej i zaczyna ciągnąć. Dokąd? Nie wie. Na kolanach i ślepy szuka jakiegoś punktu odniesienia.

Nie znajduje niczego.

Nagle prawej rękę udaje się złapać poręcz schodów. Chwyta się jej niczym rozbitek liny ratunkowej. Podciąga się, wchodzi po schodach na kolanach, ciągnie ciało Ocańi, który klinuje się na stopniach, nie chce się piąć. Każdy schodek, każde dwadzieścia centymetrów to Everest.

Parra pokonuje jedenaście, po czym dociera do miejsca, w którym gaz, cięższy niż powietrze, musi zrezygnować z pościgu.

Ostatkiem sił wciąga Ocańię, ma wreszcie jego twarz obok swojej. Kapitan jest bliski utraty przytomności.

Jedną ręką wciąż trzyma poręcz schodów, a drugą swojego kolegę, kiedy słyszy zbliżające się syreny.

Jego ostatnia świadoma myśl jest związana ze zdaniem, którego nie wypowiedział, zanim wysiedli z furgonetki.

„Na mój znak, furia i ogień”.

„Najlepsze zdania zawsze przychodzą do głowy po czasie”.

Ezequiel

Nicolás odsuwa się od ekranu konwulsyjnym gestem. Nie chce dalej patrzeć. Wszystko się skończyło.

Naprzeciwko niego laptop wciąż działa, lecz kamery web są wyłączone. Głośniki, przez które dobiegały ich krzyki, emitują już tylko szum. Wybuch przeciął komunikację między jego dawnym mieszkaniem a bunkrem. Ale trwało to wystarczająco długo, żeby zlikwidować intruzów.

Ona miała rację. W końcu trafili na jego trop, „ale byliśmy od nich sprytniejsi”.

„Nie powinienem się chełpić”, myśli. „Zginęli policjanci”.

Sięga po swój zeszyt i zaczyna nową stronę spowiedzi.

„Zgrzeszyłem przeciw piątemu przykazaniu”, pisze. „Nie chciałem tego zrobić, ale byłem zmuszony. Misja jest zbyt ważna. Upokorzyć potężnych, pokazać im, że ich siła jest niczym w obliczu potęgi sprawiedliwości. Potęga Boga dosięga każdego, a ja wykonuję Jego wolę”.

Wyrywa kartkę i ją podpala. Papier płonie, lecz Nicolás nie czuje, że jego grzechy znikają wraz z dymem, jak przy poprzednich razach. Teraz może myśleć tylko o ludziach, których zabił. Którzy nie byli potężni ani bogaci. Byli jemu równi.

„Ale służyli Złu. Służyli Mammonowi, demonowi bogactwa i chciwości. Nikt nie może służyć dwóm Panom”, mówi do siebie Nicolás, który nie rozumie, dlaczego jego dusza wciąż jest brudna i ciężka, niczym pled pełen błota.

Kiedy zdetonował pierwszą bombę, którą przygotował z taką starannością i dbałością o szczegóły, czuł się dumny. Wiele rzeczy mogło zawieść, ale on przewidział wszystko.

Ale potem przez głośniki dobiegły go krzyki. Krzyki bólu, krzyki desperacji, niedowierzania. Krzyki śmierci. I uświadomił sobie, że to on do tego doprowadził. Wahał się przed wciśnięciem drugiego przycisku, tego aktywującego bombę, która domykała pułapkę i miała zabić ich wszystkich. Potem odsunął rękę.

To Sandra go uprzedziła, nachyliła się nad nim i wcisnęła klawisz na komputerze. Bez wahania, bez wyrzutów sumienia.

Nicolás siedział z pochyloną głową. Nie chciał napotkać jej spojrzenia pełnego dezaprobaty. Odwróciła się plecami i wyszła. A on został sam, z czarnym ekranem, z szumem i zanieczyszczoną duszą, której ogień nie potrafi oczyścić.

Carla Ortiz nadal krzyczy i wali w drzwi, ale Sandra powiedziała, żeby pozwolił jej wrzeszczeć. Nicolás nie cierpi hałasu, który potęguje jego cierpienie i przypomina mu o jego nikczemności, lecz nie chce się jej sprzeciwiać.

Zaczyna nową stronę.

„Jestem, zasadniczo, dobrym człowiekiem”, pisze.

Przerywa, uważnie czyta zapisane słowa. Litery mu się płaczą, tańczą w linijce, zmieniają kolejność, tracą znaczenie.

Wyrywa kartkę, rzuca ją na podłogę, zaczyna od początku.

„Nie jestem dobrym człowiekiem”, pisze.

Tym razem litery zostają na swoim miejscu.

Siedem migawek

Ani Jon, ani Antonia nie będą wyraźnie pamiętać następnych godzin swojego życia, oprócz kolekcji migawek, momentów zatrzymanych w czasie, bez spójności między sobą.

1. Antonia krzyczy na Mentora przez telefon samochodowy. Jon przejeżdża na czerwonym świetle na alei San Vicente, skrzyżowanie z ulicą Arriaza. Mija około trzydziestoletniego mężczyznę w tanim garniturze. W lewej ręce trzyma butelkę. Trochę cydru spada na przednią szybę. Światło semafora zamienia bursztynowe krople w opalizującą krew.
2. Jon pokazuje swoją odznakę funkcjonariuszowi policji miejskiej, który odcina ruch przy wjeździe na ulicę San Canuto. Policjant coś mówi i jedną ręką pokazuje w przeciwnym kierunku, a drugą stara się chwycić Antonię, która prześlizguje się pod taśmą. Jej plecy dotykają plastiku dokładnie w miejscu między słowami NIE i PRZECHODZIĆ, zamieniając prostą linię w trójkąt nierównoboczny. Na tego typu rzeczy Antonia zwykle zwraca uwagę, lecz nie tym razem.
3. Dwóch ratowników medycznych pochyla się nad noszami. Ręce jednego naciskają na klatkę piersiową rannego, ręce drugiego zakładają mu na twarz maskę tlenową. Światła karetki, która odjeżdża już w stronę szpitala z Cerverą w środku, rzucają na twarze ratowników niebiańską poświatę.
4. Strażak z maską tlenową na twarzy ciągnie kolejne ciało, które dołączy do trzech innych, które leżą już w rzędzie na chodniku, przykryte srebrzystymi foliami izotermicznymi. Zamiast odbijać światła stroboskopowe policyjnych aut czy wozu strażackiego, aluminiowe powłoki wydają się je pochłaniać. Jak gdyby leżące pod nimi ciała próbowały zaczerpnąć ostatni oddech życia z otaczającego je powietrza.
5. Antonia schyla się, żeby podnieść medalik, który upadł na ziemię. Dotyka go palcami. Ratownicy nieświadomie zerwali go z szyi kapitana Parry, kiedy

przeprowadzali resuscytację krążeniowo-oddechową. Jeden z policjantów rozmawia z Jonem o tym, co zrobił kapitan. Jon ma wykrzywioną twarz. Policjant ma usta wysunięte do przodu, jakby przygotowywał się do złożenia pocałunku. Tworzą właśnie drugą literę słowa „bohater”.

6. Antonia płacze, przedramię oparte o szybę samochodu, lewa ręka odpycha ramię Jona, które chce ją pocieszyć, choć na nią nie patrzy. Jon nadal wpatruje się w miejsce, gdzie zniknęła karetka, która zabrała kapitana Parre. Zaczyna padać deszcz, delikatny i drobny deszcz, który nie zdoła zmyć plam krwi na chodniku, a jedynie na dłużej zachowa ich świeżość.
7. Antonia stawia nogę na chodniku przed Szpitalem Moncloa. Wysiada z audi bez pożegnania, jeszcze z załzawionymi oczami. Za jej plecami w spojrzeniu Jona odbijają się smutek, strach, wątpliwości i ogromna, niezgłębiona rozpacz. A także błaganie, żeby nie zostawiała go samego tej nocy, być może pierwszej, odkąd się znają, kiedy to on potrzebuje jej bardziej niż ona jego. Antonia tego nie zauważa, ponieważ jest odwrócona plecami.

Carla

Nikt nie przychodzi.

Metalowe drzwi wciąż znajdują się dokładnie w tym samym miejscu. Ciemność jest tak samo gęsta, ze ścian nadal sączy się wilgoć, a gardło Carli jest zdarte do żywego.

Carla płacze bez łez. Wydaje tylko krótkie, szorstkie, zachrypnięte jęki, które zamieniają się w kaszel. Opada na ziemię. Rana na głowie wciąż krwawi, wypełniając zagłębienie między nosem a kanałem łzowym. Czuje, jak krew wpada jej do oczu, podrażniając je, ale nie może nic z tym zrobić.

Jej przyptyw nadziei i energii słono ją kosztował i teraz płaci za to rachunek z odsetkami. Ciało ma tak samo wyczerpane jak morale.

Postanawia, że pozwoli sobie umrzeć. Śmierć to jakiś sposób ucieczki. Pozwolić, żeby ciało przestało oddychać, zatrzymać serce, uniemożliwić przepływ krwi do mózgu. A potem płakać. Mówią, że kiedy człowiek umiera, jego ciało zostaje na ziemi, niczym kotwica, podczas gdy dusza się wznosi. Tak jak na kreskówkach, jak w tym filmie Coppoli, kiedy Mickey Rourke był przystojny. Skoro wszyscy tak mówią, to musi być prawda.

Przez chwilę Carla czuje, jak to się dzieje. Jak jej dusza się wznosi, przenika ściany, leci nad budynkami, lecz nie na spotkanie z Bogiem, tylko na spotkanie ze swoim ojcem, który na nią czeka, nie śpiąc po nocach, wyglądając od niej wieści. A ona pocałuje go w czoło, on poczuje jej obecność, a potem będzie lecieć dalej, aż do ciepła i światła, aż do ogromnej zielonej łąki, rozciągającej się przed ulotnym wschodem słońca.

Nie umiera jednak.

Nadal panuje ciemność.

- Słyszałaś to?

Sandra ją woła, przywracając ją do rzeczywistości – najgorszej rzeczywistości. Ale Carla nie odpowiada. Odpowiedzieć oznacza wrócić, przyznać, że światło się oddala, że w dalszym ciągu jest przykuta do tego kawałka mięsa, które cierpi i krwawi i trzęsie się ze strachu.

- Słyszałaś to, Carla? - powtarza Sandra.

Carla się poddaje.

Musi wiedzieć.

- Co się stało?

- Próbowali cię znaleźć. Ale nie powiodło im się to. I teraz wszyscy nie żyją.

- Mój ojciec zapłaci - mówi Carla. - Musi to zrobić.

- Może. Jeszcze ma czas.

„Brzmi jakoś inaczej”, myśli Carla.

Więcej z nią nie rozmawiaj.

Mówiłam ci, żebyś z nią nie rozmawiała.

- Czas? Jest czas?

- Nie martw się, ja ci pomogę - zapewnia Sandra.

Carla, wciąż słaba, dezorientowana i mająca zawroty głowy z powodu utraty krwi, prostuje się nieco. Teraz rozumie, dlaczego Sandra brzmi inaczej. Nie mówi do niej zza ściany. Mówi do niej z drugiej strony metalowych drzwi.

- Sandra! Jesteś na zewnątrz! Musisz otworzyć drzwi, szybko!

- Już się robi - odpowiada Sandra.

Carla słyszy, jak dziewczyna podchodzi do lewej strony drzwi. Słyszy szarpnięcie i poruszający się mechanizm, ciągnący w górę ciężki metal. Dolna część drzwi się podnosi o centymetr, potem cztery centymetry, osiem centymetrów.

Później znowu opada z metalicznym łomotem, który rozchodzi się po całej celi.

- Jeszcze raz, Sandra. Dasz radę.

Sandra mówi coś, czego Carla nie rozumie. A po chwili pojmuję, że ona nie mówi. Ona się śmieje.

To ostry śmiech, niczym ostrze noża.

„Dlaczego się śmieje?”

„Nie”.

„Nie, nie, nie”.

- Trzymasz z Ezequielem - mówi Carla z żołądkiem ściśniętym ze strachu.

Sandra wciąż się śmieje, jak gdyby nie miała kontroli nad tym śmiechem. Jest to śmiech, który pochodzi z jakiegoś bardzo dalekiego miejsca i który może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

- Aj, co ty masz w głowie, kobieto. Jeszcze tego nie zrozumiałaś? Ja nie trzymam z Ezequielem. To ja jestem Ezequielem.

Carla czuje, jak lodowata pięść grzebie w jej wnętrzu, drapie jej bebechy, grzęźnie w przetyku.

- Czego ty chcesz, Sandra?

- Od ciebie? Niczego. Żebyś siedziała cicho i spokojnie.

- Ile zażądałaś od mojego ojca? Jestem pewna, że...

- Carla Ortiz, zawsze negocjuje. Księżniczka dziedziczka. Tym razem nie chodzi o pieniądze.

- Czego w takim razie zażądałaś?

- Poprosiłam, żeby powiedział kilka słów w telewizji.

- Nie rozumiem...

- Poprosiłam, żeby powiedział o waszych szwalniach w Brazylii. W Argentynie. W Maroku, w Turcji i w Bangladeszu.

Carla się rusza, podchodzi do drzwi, próbuje wyjrzieć przez wywietrznik.

- Mogę ci to wszystko wyjaśnić, Sandra. Nie jest tak, jak pisze prasa...

Sandra znowu zaczyna się śmiać.

- Oszczędź sobie gadki, Carla. Byłabyś bardziej wiarygodna, gdybym nie miała hasła do twojego komputera. Wiesz, co tam znalazłam? To

prawda, że najmniejsze palce są najlepsze do usuwania fastrygi?

- Bardzo pomagamy w tych krajach. Te dzieci pracują za zgodą...

Uciszą ją trzy wściekłe ciosy, jeden po drugim. Tak blisko drzwi, że pogłos wypełnia jej uszy ostrymi gwoździami.

- Zamknij się, suko. Ile jest wart twój dom? Pięć milionów? Ile kosztował twój samochód? Ile kosztowała twoja sukienka na Bal des Débutantes? Dwadzieścia tysięcy pieprzonych euro, suko. Miesięczne wynagrodzenie dla tysiąca dzieci, żebyś przez kilka godzin nosiła szmatę od Zuhaira Murada...

Głos Sandry przyspiesza, jej kolejne słowa stają się niezrozumiałe. Mówi jeszcze przez chwilę i się śmieje, choć Carla nie może niczego zrozumieć.

Chce odpowiedzieć, chce wyjaśnić jej niuanse, trudności rynku międzynarodowego. Pokazać, że wszystko źle interpretuje.

Ale tylko czeka z zaciśniętymi ustami.

„Wszystko jest lepsze niż kolejne uderzenie”.

- Przepraszam, przepraszam - mówi Sandra, kiedy udaje jej się odzyskać równowagę. - Czasami mnie ponosi. Mówią, że tutaj na górze coś nie do końca mam w porządku, ale co, do cholery, mogą wiedzieć psychiatrzy, prawda? Co, do cholery, ktokolwiek może coś wiedzieć. W normalnym świecie to ty byłabyś za kratami. Więc chyba tak naprawdę nie jestem taka szalona, co?

Sandra się nachyla, przyklejając swoją twarz do wywietrznika i ścisza głos. Teraz jest starą przyjaciółką, która szepcze do ucha sekret.

- Słuchaj, świetnie się z tobą bawiłam. Dałaś mi więcej frajdy niż tamten dzieciak, który był tu wcześniej. Pieprzony kłamczuch, nawet nie wiesz, jak próbował mnie oszukać. Ale ty nie, Carla. Ty zachowywałaś się bardzo dobrze.

Wyciągając siły, skąd tylko może, Carli udaje się zadać pytanie:

- Ile czasu mi zostało?

- Co najmniej dwadzieścia sześć godzin. Ale nie powinnaś się chyba martwić. Twój ojciec na pewno zrobi to, o co go poprosiłam. Ostatecznie

to są jego winy, a nie twoje. A ojciec zrobiłby wszystko, żeby jego córka nie zapłaciła za jego winy, prawda?

Odchodzi, lecz jej śmiech jeszcze przez chwilę unosi się między ścianami, niczym gęsta i trująca mgła.

31

Zdjęcie

- Nie można uratować wszystkich - mówi babcia Scott.

Antonia ją obudziła (na angielskiej wsi nie ma jeszcze piątej rano), ale babci to nie przeszkadza. Ona jest zrobiona z wyjątkowego materiału. Materiału, który błyszczy, który odsłania swoją naturę, tylko kiedy o coś ją prosisz. Wiedza o tym daje ogromną władzę, którą Antonia wykorzystuje bardzo odpowiedzialnie. Dlatego babcia się uśmiechała, kiedy odebrała połączenie wideo po czternastym sygnale, z jeszcze z zaspną twarzą. Wie, że nie dzwoniłaby do niej, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

- Był tam przez cały czas. Przed moimi oczami. Gdybyśmy sprawdzili tablicę megane wczoraj wieczorem...

Antonia nie może uwierzyć, że od momentu, gdy odkryli, że tablice taksówki są fałszywe, upłynęło zaledwie dwadzieścia sześć godzin. Ich błędem, ogromnym błędem, było przyjęcie za pewnik, że zostały one skradzione komuś przypadkowemu.

Dwadzieścia sześć godzin. O jedną mniej zostało w tej chwili Carli Ortiz, zanim wygaśnie termin wyznaczony przez Ezequiela.

- Nie możesz brać na swoje barki ciężaru całego świata, dziecko.

Ale babcia Scott wie, że to robi. W ten sam zdecydowany sposób, w jaki wytrzymuje na nich poczucie winy za to, co spotkało Marcosa. Na tych ramionach najwyraźniej znajduje się wystarczająco miejsca na poczucie winy. Babcia rzuca to na karb jej niedostatecznego katolickiego wychowania (oraz, chociaż to spostrzeżenie zabierze ze sobą do grobu, hiszpańskiej krwi jej matki).

- Sześcioro zabitych, babciu. Tylko dlatego, że nie doszłam do właściwego wniosku szesnaście minut wcześniej.

Zwykle babcia Scott wykazuje się wobec wnuczki bezgraniczną cierpliwością, ale czasami ta cierpliwość natrafia na przeszkody.

- Przestań się użalać. To nie ty podłożyłaś te bomby i nie ty przetrzymujesz porwaną kobietę. Jak brzmiało to słowo tych Afrykanów, które mi kiedyś powiedziałaś?

Afrykanie, których ma na myśli babcia, to Ga, grupa etniczna żyjąca na południu Ghany i mająca własny język. A to słowo, o które chodzi babci, to tak naprawdę nie jedno, lecz dwa słowa.

Faayalo zweegbe.

- Tylko ten, kto idzie na poszukiwanie wody, może rozbić dzban. Wiem, babciu. Ale wyjaśnij to temu, kto czeka w wiosce, umierając z pragnienia.

„Wyjaśnij to Carli Ortiz albo ludziom Parry. Sześcioro zabitych, jeden walczący o życie. Isam kapitan, którego rokowania są niepewne”.

- Dziecko, przestań lizać rany. Przestań lamentować nad czymś, czego nie zrobiłaś. Czy kiedykolwiek cieszyłaś się z powodu tych wszystkich ludzi, którym pomogłaś? Ludzi, którzy nawet nie znają twojego imienia? Nie, na miłość boską. Myślisz tylko o tych, których według ciebie zawiodłaś, i biegniesz do tego szpitalnego pokoju, żeby dalej czuć się źle. Co sprawia, że bardzo trudno ci pomóc. Wiesz co? Wracam do łóżka.

Rozłącza się.

Ukogoś takiego jak babcia Scott ta oznaka braku wychowania jest tak dziwna, że Antonia czuje się zdezorientowana.

Wie, że babcia ma rację, ale właśnie tak to funkcjonuje. Liczą się tylko ci, którym człowiek nie zdołał pomóc.

A tym bardziej, gdy ci, których się zawiodło, są najważniejsi.

Na przykład mężczyzna leżący w łóżku. Na zawsze zagubiony we wnętrzu swojej głowy.

- Tak bardzo za tobą tęsknię - mówi do niego Antonia.

Marcos nie odpowiada. Jego tętno pozostaje niezmienione, co potwierdza elektrokardiogram.

Antonia odblokowuje iPad i otwiera aplikację Zdjęcia. W sekcji Ulubione jest tylko jedna fotografia. Ona i Marcos trzymający razem tort urodzinowy. Marcos patrzy na tort, ona w aparat.

Jak zawsze przygląda się sobie z pogardą, ponieważ ta osoba na zdjęciu nie jest nią. To jakaś obca ignorantka, która nie potrafi przewidzieć, co zdarzy się zaledwie kilka tygodni później.

Zasypia.

Śni.

„Marcos siedzi w swojej małej pracowni. Dłuto wrywa z piaskowca suche, synkopowane dźwięki. Ona jest boleśnie świadoma tego, co się wydarzy, ponieważ zdarzało się już tysiąc razy. Nie siedzi w salonie nad mnóstwem papierów z tropami, raportami i zdjęciami. Siedzi obok niego, patrzy przez ramię na rzeźbę, którą tworzy. To siedząca kobieta. Dłonie spoczywają na udach, plecy pochylone – agresywna postawa, która kontrastuje ze spokojem jej twarzy. Naprzeciwko kobiety jest coś, co sprawia, że chce wstać, lecz jej nogi są zatopione w kamieniu, dłuto nie zdołało ich jeszcze uwolnić. Nigdy tego nie robi.

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi. Antonia chce powstrzymać Marcosa, powiedzieć mu, żeby pracował dalej, żeby nadal robili swoje, ale jej gardło jest tak wyschnięte jak bezkształtne kawałki rozrzucone po całej podłodze w pracowni. Słyszy samą siebie (tę drugą kobietę, tę głupią kobietę, tę ignorantkę, która podgłasnia muzykę w swoich słuchawkach), jak coś krzyczy, a Marcos odkłada młotek na stolik obok w połowie ukończonej rzeźby. Dłuto zaś chowa do białego fartucha i idzie otworzyć. Antonia, ta prawdziwa Antonia, Antonia, która wie, co się wydarzy, chce za nim ruszyć i robi to, ale powoli, bardzo powoli, tak więc nie widzi, jak otwiera drzwi, nie widzi, jak nieznajomy w eleganckim garniturze walczy z Marcosem. Kiedy dociera na korytarz, Marcos i nieznajomy leżą już na podłodze. Dłuto wystaje z obojczyka nieznajomego, jego krew jest na fartuchu Marcosa, nieznajomy się wycofuje, ale oddaje jeszcze dwa strzały. Jedna kula mija Antonię,

Antonię prawdziwą, Antonię, która czeka na korytarzu, i dosięga tę ignorantkę, która siedzi w salonie ze słuchawkami na uszach i muzyką już na cały regulator, nie odrywając wzroku od papierów przed sobą. Strzał ociera się o drewniany róg łóżeczka, w którym śpi Jorge, co przekierowuje kulę wystarczająco, żeby zamiast wbić się w ciało Antonii, trafiła ją w plecy i wyszła ramieniem. Przyjemna trajektoria dla kuli. Bez poważniejszych konsekwencji. Tylko kilka miesięcy rekonwalescencji. I może konieczność polakierowania łóżeczka.

Drugi strzał nie jest tak szczęśliwy. Drugi strzał trafia Marcosa w kość czołową, z której lekarze będą musieli później usunąć znaczny kawałek, żeby mózg mógł się rozszerzyć w desperackiej próbie wyzdrowienia. Mówią, że to się stało po odbiciu od ściany. Mówią, że to dlatego, że Marcos rzucił się na nieznanego.

Koszmar nigdy tego nie wyjaśnia. Koszmar zawsze kończy się dźwiękiem drugiego strzału wciąż rezonującym jej w uszach”.

Wtedy się budzi.

A później są nieprzespana noc i dręczące wyrzuty sumienia.

Carla

Carla znowu płacze, lecz tym razem ze złości i wstydu, że została oszukana. Czuje przemożną potrzebę wymiotowania, wyrzucenia z siebie wszystkiego, co, jak sądziła, oznacza dla niej Sandra, jej towarzyszka niewoli – żeby móc zrobić miejsce dla gniewu, który ją ogarnia, powoduje mrowienie na skórze, rozpala jej szyję, czoło i uszy. Zaciska dłonie w pięści, wyobrażając sobie, że to szyja Sandry skręca się między nimi, a nie powietrze. Przyciska stopę, wyobrażając sobie, że miażdży czaszkę Sandry, a nie drzwi...

„Chwila”.

Drzwi nieco ustąpiły.

Ponownie naciska stopą, ale drzwi ustępują tylko parę milimetrów, nie więcej.

Kiedy Sandra opuściła drzwi, nie spadły dokładnie w to samo miejsce. Są tylko odrobinę przesunięte. Wystarczająco, żeby nie wpasować się w futrynę. Powstała niewielka, nic nieznacząca szczelina.

Carla nie kryje frustracji. Wtedy przemawia do niej głos.

Jest coś, co mogłabyś zrobić.

Musisz mnie tylko wysłuchać.

I Carla słucha.

Brzmi głośniej niż przedtem. Wie, że głos to jej jedyny przyjaciel. Zawsze tak było. I wie coś jeszcze. Wie, kto to jest. To Druga Carla. Ta Druga Carla jest silniejsza, bardziej zdecydowana, doskonale wie, co ma zrobić. Ta Druga Carla nie prosi o pozwolenie, Druga Carla działa.

I ona też będzie działać.

Kieruje się do rogu z dziurą, gdzie wilgoć osłabiła fugę, gdzie kafelek się rusza. Niezbyt dużo, ale wystarczająco, żeby wsunąć pod niego palec.

Carla wkłada palec wskazujący między kafelek a ścianę (nie myśląc o tym, co może być po drugiej stronie, jakie łapki, jakie żądła) i czuje, jak cement ustępuje, kruszy się. Niewiele, kilka grudek. Zaledwie kilka grudek.

Myśli o swoim ojcu. Kiedy pytają go, jak zaczął budować swoje imperium, odpowiada: „Sprzedając trzy koszule”.

Carla zaczyna drapać paznokciem.

Za każdym razem odpada kilka grudek.

Miła twarz

Kobieta w recepcji (ma na imię Megan) jest pogrążona w lekturze powieści romantycznej. Dużo czyta, żeby zabić nudę podczas tych martwych godzin. Jedną z niewielu korzyści jej słabo płatnej pracy.

Palce z idealnym manikiurem stukają w szklane drzwi. To kobieta, dobrze ubrana i uśmiechnięta. Ma miłą twarz.

Megan bez wahania wciska elektroniczny przycisk do otwierania. Nikt nie okazałby nieufności wobec tak miłej twarzy jak ta.

Kiedy kobieta o miłej twarzy przechodzi przez próg, Megan z niejaką irytacją odkłada powieść na bok. Pragnie się dowiedzieć, czy bohaterka zdoła się pogodzić z miłością swojego życia, mimo że wybranek pochodzi z nikczemnego wrogiego klanu MacKeltara. Na okładce widnieje bohaterka odwrócona plecami. To bez znaczenia, w centrum uwagi i tak znajduje się mężczyzna z nagim torsem i w kilcie. Wspaniałe mięśnie brzucha i klatka piersiowa jak wyrzeźbiona w marmurze nie wydają się typowe dla osiemnastowiecznego szkockiego regionu Highlands, ale (bom chicka wah wah!) kogo to obchodzi.

- Dzień dobry. Witam w Hastings. W czym mogę pomóc?

Kobieta przysuwa się do niej. Jedną rękę trzyma za plecami. Uśmiecha się.

Teraz, gdy Megan widzi ją z bliska, jej twarz nie wygląda już na tak miłą.

Część trzecia

Antonia

*Żegnajcie, cienie ukochane;
żegnajcie, cienie znienawidzone.
Niczego się nie lękam na tym świecie,
bo śmierć już się po mnie spóźnia.*

Rosalía de Castro

1

Nagłówek

Tym razem wycieńczenie jest silniejsze niż poczucie winy. Kilka minut po przebudzeniu z koszmaru, Antonia zasypia znowu, porwana przez zmęczenie.

Sen ma ciężki, lepki i gęsty niczym smoła, a wyrывa ją z niego dźwięk telefonu. Za oknem świeci oślepiające słońce.

- Włącz telewizor - nakazuje Mentor.

- Który kanał?

- Którykolwiek.

To prawda. Od pierwszego do piątego zmieniają się jedynie twarze za stołami. Stacje przerwały swoje programy, żeby nadawać Wydanie Specjalne. Antonia nie musi nawet czekać, by usłyszeć, o co chodzi. Hashtag zamieszczony na pasku na dole ekranu wyjaśnia to, czego już się domyślała.

- Kiedy to się stało? - pyta, patrząc na zegarek. Jest już po pierwszej.

- Półtorej godziny temu, jakiś baskijski dziennikarz opublikował to na stronie internetowej swojego dziennika.

- Idzwonisz dopiero teraz?

- Miałem spotkanie z ludźmi z góry. Wylatujesz, Scott. To koniec.

Antonia nie dowierza własnym uszom.

- Nie mówisz serio.

- To decyzja góry, Scott.

- Ale teraz mamy nazwisko. Wiemy, kto to jest, i moglibyśmy...

- Teraz to zbyt niebezpieczne - przerywa jej Mentor. - Jest coś jeszcze, Scott. Ten dziennikarz...

Antonia znajduje go na jednym z kanałów, siedzi przy stole razem z innymi gośćmi programu, takimi samymi ignorantami i krzykaczami z niewyparzonymi gębami jak on. Około sześćdziesięcioletni, siwe i tłuste włosy zebrane w kucyk. Antonia rozpoznaje go od razu.

„Ten facet pomachał do Jona wczoraj na ulicy Serrano. Z tym uśmieszkiem”.

Glas wen.

Po walijsku to niebieski uśmiech. Złośliwy grymas wobec cierpienia naszego najgorszego wroga.

- ...wygląda na to, że dziennikarz zobaczył inspektora Gutiérreza w telewizji po waszym pościgu na M-50. Był jednym z tych, którzy napisali o sprawie z alfonsem, którego zamierzał obciążyć.

- Śledził go aż tutaj - szepcze Antonia.

- Wyczuł, że coś się za tym kryje. Przypuszczam, że porozmawiał z Parra, żeby zdobyć informacje na wyłączność. Takie rzeczy się zdarzają.

- Ty go w to wciągnąłeś - mówi Antonia.

- Już ci mówiłem, że to Gutiérrez...

- Ty wciągnąłeś w to Jona. Bo zawsze potrzebujesz marionetki ze złamaną nogą. Ty, Mentor. To ty to zrobiłeś.

- Możesz mnie obwiniać, ile tylko chcesz. Tylko nic nie rób.

- Zostało siedemnaście godzin.

- Teraz to problem policji, Scott. To rozkaz. Trzymaj się od tego z daleka.

- A Carla Ortiz?

- Będą jeszcze kolejne bitwy, Scott. Jeśli będziesz siedzieć cicho.

Mentor się rozłącza.

Miażdżąca logika Mentora. Poświęcasz gońca, żeby pozostać w grze. Bo jedyne, co się liczy, to grać dalej. Dziś jedno życie jutro może być warte sto. Tak jak w tej legendzie o szachach. Jedno ziarno na pierwszym polu, dwa ziarna na drugim, cztery na trzecim. Niezliczone ilości na ostatnim.

„Powiedz to Carli Ortiz, powiedz to jej synowi”.

Ktoś puka do drzwi.

Dźwięk jest nie do pomylenia.

Antonia zwleka chwilę z odpowiedzią. Tak naprawdę nie chce tego robić, ponieważ wściekłość, która gotuje się w jej wnętrzu, szuka ujścia.

A teraz korkociąg puka do drzwi. Antonia podchodzi, ale zamiast otworzyć, tylko odsuwa rygielek.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - mówi Antonia.

Wyczuwa go po drugiej stronie, opartego o drzwi.

- Chciałem ci o tym powiedzieć - odzywa się Jon, w jego głosie wyczuwa się udrękę. - Ale nie znalazłem właściwego momentu.

- Siedzieliśmy w tej kawiarni przy Cedaceros przez trzy godziny i jedenaście minut. W kompletnej ciszy. Wydaje mi się, że to był ten moment.

- Bałem się. I wstydzilem.

Wtedy Antonia wybucha. W sposób okrutny, niesprawiedliwy.

- Twój strach i twój wstyd zabiły Carlę Ortiz.

Chce go skrzywdzić. Chce przenieść cały ból ze swojej duszy do innej.

Udaje jej się to.

Ból oczywiście nie znika z jej duszy, tylko się zwiększa.

Przez drzwi czuje, jak ciężar ciała Jona przestaje się opierać o drewno.

Panuje cisza. Długa.

Ruch pod stopami zwraca jej uwagę. Coś prześlizgnęło się z metalicznym dźwiękiem po lastryku między drzwiami a podłogą.

To pudełeczko z jej kapsułkami.

Antonia opada na podłogę. Bierze pudełeczko i mocno zaciska je w pięści. Próbuje płakać.

Nie udaje jej się to.

2

Ponowne spotkanie

Antonia dalej siedzi na podłodze, starając się pozbierać (minęło dziesięć albo dwanaście minut), kiedy znowu rozlega się pukanie. Sądząc, że wrócił Jon, wstaje natychmiast, przekręca zasuwkę i otwiera.

- Przepraszam, ja...

Przerywa. To nie Jon.

Ten wysoki, szczupły mężczyzna z zapadniętymi policzkami jest tak naprawdę ostatnią osobą na świecie, którą Antonia chciałaby tu widzieć.

Sir Peter Scott, ambasador Zjednoczonego Królestwa w Madrycie, były konsul generalny w Barcelonie, Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego stoi w drzwiach z wyraźnym zamiarem wejścia do środka.

- Ojciec - nie kryje zaskoczenia ona.

- Antonia - wita się on.

Nie ma buziaków ani uścisków, ani nawet śladu radości czy ciepła między nimi. Raczej zimny front z niskim ciśnieniem i możliwym sztormem.

To skomplikowane.

Sir Peter (wówczas tylko Peter) przybył do Barcelony w 1982 roku. W roku mistrzostw świata w piłce nożnej. Podczas gdy wszyscy oglądali, jak Niemcy padają pokonani u stóp Włochów, Peter Scott kończył się urządzać w swoim mieszkaniu przy ulicy Sardenyja. Rzut beretem od areny walk byków, „cóż za barbarzyński zwyczaj”, mówił swojej matce przez telefon. Wtedy był zaledwie urzędnikiem. Za dnia zajmował się swoimi administracyjnymi sprawami w konsulacie. Wieczorami

spacerował po Rambli, popijał kawę i oddawał się swojemu sekretnemu nałogowi: osiemnastowiecznej literaturze angielskiej.

Był właśnie pograżony w lekturze *Pieśni niewinności i doświadczenia* Blake'a, kiedy przechodząca obok kobieta się potknęła i wylała mu cortado na spodnie. Płyn był gorący, ale Peter się tym nie przejął. Bardziej interesowały go czarne oczy tej kobiety. Raczej niskiej o ciemnokasztanowych włosach i tak jasnej, że niemal przezroczystej skórze. Była tak zawstydzona tym, co się stało, że nawet nie przeprosiła. Kiedy pomagała Peterowi pozbierać kawałki filiżanki z chodnika, książka, którą czytał, również spadła, między fragmenty ceramiki a kałużę kawy. Ona, gdy tylko zobaczyła okładkę, wyrecytowała:

- „Jakich młotów dziki szął? W jakim kotle mózg twój wrzał?”

Zaskoczony cytatem ze swojego ukochanego wiersza (najpiękniejszego, najstraszniejszego i najbardziej przygnębiającego wiersza, jaki kiedykolwiek napisano), Peter rzekł:

- Niewielu Hiszpanów zna Blake'a.

Uśmiech nieznajomej rozświetlił całą Rambłę, odbił się od Montjuïc i z powrotem zatopił się w sercu Petera.

- Lepiej, żebym ja go znała - odparła. - Kończę studia na filologii angielskiej.

Jedenaście miesięcy później, słonecznego wrześniowego popołudnia, Peter Scott i Paula Garrido wzięli ślub w kościele Santa María del Mar. Po roku urodziła się dziewczynka o czarnych oczach, której ojciec chciał dać na imię Mary. Oczywiście na cześć Wollstonecraft, a nie Shelley, o której Peter nie ma zbyt dobrego zdania.

- Wykluczone - stwierdziła Paula. - Będzie miała na imię Antonia, jak moja matka, niech spoczywa w pokoju.

Po sześciu latach ciężkiej pracy Peter został mianowany konsulem. Pełnia szczęścia. Paula i on byli w sobie zakochani bez pamięci i szaleńczo kochali swoją córkę. Rok później pewnego ranka Paula zwymiotowała po wstaniu z łóżka. Czowała tępy ból w nadbrzuszu. Osiem tygodni później zabił ją rak trzustki.

Antonia przeprowadziła się do babci Scott, z którą mieszkała przez trzy lata. Ona była teraz jej całą rodziną. Ojciec poświęcił się bowiem pracy i zupełnie ją ignorował. Kiedy Antonia wróciła do Barcelony, mężczyzna, który ją powitał, nie był już jej ojcem, lecz człowiekiem, który wypłacał pensje jej guwernantkom. Śmierć Pauli sprawiła, że uszło mu serce, stał się egoistą i samotnikiem, jak gdyby nieboszczka zabrała ze sobą znaczenie miłości ściśnięte w drżących palcach ze swoich ostatnich dni. Wyraźnie dał Antonii do zrozumienia, że jest w jego życiu czymś zbędnym, przypisem w rozdziale, który został zamknięty na zawsze, a który, z jakiegoś dziwnego powodu, wciąż znajdował się na wolności, żył i oddychał. Dodatkowo inteligencja Antonii, ta błyskotliwość, którą okazywała od najmłodszych lat i która tak bardzo fascynowała Paulę, była dla niego czymś nieprzyjemnym. Ale inteligencja Antonii nie miała skromnego charakteru jak w przypadku jej matki. Była raczej jak ostrze, nóż i pułapka. Dziewczynka bardzo wczesnie nauczyła się ją ukrywać, nie po to jednak, żeby zaskarbić sobie miłość ojca, lecz po to, by uniknąć konfliktów.

Gdy tylko stało się to możliwe, Antonia wyjechała na studia do Madrytu. Jej ojciec został mianowany ambasadorem, kiedy ona była już narzeczoną Marcosa, jeszcze zanim zaangażowała się w projekt Czerwona Królowa. Przez te wszystkie lata widzieli się w sumie pięć razy.

Musiło upłynąć wiele lat, zanim Antonia pojęła, dlaczego ojciec jej nienawidził.

Albo czuł do niej coś w rodzaju nienawiści (w trzech czwartych to odrzucenie, reszta to uraza), co powodowało, że nie mógł na nią patrzeć. Musiało dojść do tego nieszczęścia z Marcosem, żeby zrozumiała. Za każdym razem, gdy widywała Jorgego, żywe, ostre i bolesne odbicie Marcosa (tak samo jak ona była odbiciem swojej matki), Antonia rozumiała. Ale nie wybaczyła ojcu ani go nie usprawiedliwiała, ponieważ z niezdrowymi emocjami można walczyć, tak jak ona robiła to teraz, z mniejszym lub większym powodzeniem. I dlatego, że dzieci żyją tu i teraz, w ciągłej terażniejszości, w której nie chcą, nie mogą, nie

powinny poznać niczego innego poza miłością. A ona owszem, może (przyznaje to teraz, po trzech latach) zawiodła Jorgego, może to wtedy jej ojciec zajął się nim tak, jak dawniej nie zajął się nią. Opiekując się nim, kiedy dla Antonii było to zbyt bolesne.

Może.

Ale Antonia nie współpracowała. Sir Peter walczył w sądzie i wywalczył prawo do opieki nad Jorgem. Zażądał, aby poszła na terapię, zanim zobaczy syna. I miał osobiste przekonanie (podsycane przez wieloletnie zdystansowanie), że jego własna córka jest chora umysłowo.

To skomplikowane.

Antonia się odsuwa, żeby wpuścić ojca.

Sir Peter wchodzi do pokoju, jakby był u siebie. Młody i nieco sztywny Anglik z dobrej rodziny, którego Paula poznała w tamtej kawiarni, stał się całkowitym sztywniakiem.

- Jak się czuje? - pyta, wskazując łóżko, choć nie patrzy na Marcosa, lecz przez okno.

Oczywiście nie był obecny na jej ślubie. To byłoby już zbyt wiele. Ale przysłał bilecik, który - Antonia jest prawie pewna - podpisał osobiście.

- Jest w sypialni - odpowiada. - Czego chcesz?

Ojciec się odwraca i patrzy na nią uważnie. Antonia, która myśli zarówno po angielsku, jak i po hiszpańsku, tym razem sięga po słowo, które nie istnieje w języku kastylijskim, choć nie jest to żadne z jej wyjątkowych słów. Stare. Wpatrywać się w kogoś w taki sposób, że ten ktoś czuje się niezręcznie. Nie jest to coś, co jej ojciec robił wcześniej.

- Gdzie on jest, Antonia?

W jego głosie również jest coś, czego nie słyszała nigdy przedtem.

Strach.

- Kto?

- Gdzie jest Jorge?

I za sprawą tych trzech słów świat rozpada się na pół. Strach przeskakuje z głosu ojca i osiada na jej skórze niczym prąd elektryczny

o niskim napięciu, brzęcząc od opuszek palców aż do uszu, kurcząc jej brzuch i ściskając klatkę piersiową.

- Jest w szkole. Powiedz mi, że jest w szkole.

- Nie ma go w szkole, Antonia. Ktoś zabrał go z sali. Nauczycielka jest w szpitalu, nieprzytomna. Recepcjonistka nie żyje. Obie zostały ugodzone nożem. A dzieci mówią, że to była kobieta. Są przerażone.

Wszystko, co powiedział jej ojciec, wydaje się nierealne. Jak gdyby przytrafiło się to komuś innemu.

„Ale już kiedyś czułam coś podobnego. Kiedy obudziłam się w tym szpitalu”, a Marcos był w agonii na oddziale intensywnej terapii, podczas gdy ona, bezradna, przypominała sobie każdą chwilę przed tragedią. Z takim uporem, że już na zawsze wryły się w jej sny, tak samo jak silne światło zostaje w naszej tęczę po zamknięciu oczu.

„To się nie powtórzy”.

Antonia błyskawicznie wstaje, bierze telefon, torbę. Wrzuca do środka komórkę i iPad.

- Muszę iść.

- Nigdzie nie pójdziesz, Antonia. Dopóki tego nie wyjaśnimy. W szkole mówią, że co kilka dni przychodzisz na niego patrzeć bez mojego pozwolenia. I kobieta w recepcji otworzyła drzwi. To musiał być ktoś, kogo znała. Gdzie byłaś trzy godziny temu, Antonia?

Ona nie odpowiada.

Ból, jaki wywołuje nieufność jej ojca, tylko ją muska. Antonia rejestruje go tak jak ktoś, kto biegnie, by ratować swoje życie, i zauważa, że zaczyna padać deszcz. W jej brzuchu jest poczucie pustki, tak jak wtedy, gdy jesteś w najwyższym punkcie kolejki górskiej. Krew pulsuje w skroniach w rytmie widelca ubijającego białko jajka, jest świadoma każdego oddechu.

Ignorując ojca, kieruje się do drzwi. Musi zadzwonić do Jona. Musi zadzwonić do Mentora. Musi...

- Gdzie jest mój wnuk, Antonia?

Nie przestając iść, Antonia odwraca się, żeby coś mu powiedzieć, i wtedy wpada na ścianę. Przewraca się i natychmiast zauważa ogromne dłonie, które ją przytrzymują, i jednocześnie słyszy charakterystyczny dźwięk plastikowych opasek mocno zaciskających się na nadgarstkach.

- Powiedziałem, że nigdzie nie pójdziesz - mówi ojciec. - Tylko z nami na komisariat.

Ezequiel

Woda smakuje mu jak popiół.

Tak jak wszystko w ostatnim czasie.

Przeniósł siennik, który służy mu za łóżko. Wcześniej pokój w głębi korytarza dzielił z Sandrą, ale teraz córka kazała mu go stamtąd zabrać, ponieważ przywiązała chłopca do ściany i chce, żeby miał wystarczająco miejsca.

Nicolás się zastanawia, od kiedy bycie z Sandrą nie jest już dobre. Od kiedy przestał łagodzić uśmiechem zniewagi i pogardę.

„Jesteś nic niewartym staruchem”

„Nic dziwnego, że twój ojciec cię bił”.

Potem dotykał jej ramienia albo obdarzał ją uśmiechem, żeby uśmierzyć cios.

„Kiedy to się zaczęło?”

Nicolás nie wie albo nie pamięta. Czasami chce wyjechać bardzo daleko, zostawić ją, uciec, nie oglądając się za siebie. Ale później przypomina sobie, jak wyglądały miesiące, kiedy Sandra była

(martwa)

z dala od niego, jak pogrążył się w dole pełnym smoły, z którego nie dało się uciec. Jak to było, kiedy wychodził na ulicę, wsiadał do metra, przebywał wśród ludzi, czuł spojrzenia prześlizgujące się po jego karku i plecach. Oto człowiek, który stracił córkę.

„Nic niewarty staruch”.

„Nic dziwnego, że twój ojciec cię bił”.

Potem Sandra wróciła.

Po prostu wróciła. Pewnej nocy zapukała do drzwi i wszystko było idealnie.

Nie, nie wszystko. Ponieważ wróciła jakaś inna.

Nicolás nie chce tego przyznać, nie lubi prawdy, która się za tym kryje. Nie chce rezygnować z potężnego wpływu woli Sandry. Odkąd wróciła, promienieje energią, która go otacza, która go napędza.

Ale teraz to już nie jest dobra energia. Teraz ta energia zatruwa.

Droga, jaką kazała mu przebyć, wydawała się prosta, ale pojawiły się objazdy. Nieprzewidziane okoliczności, jak ona je nazywa.

„To dziecko. To dziecko nie powinno tu siedzieć”.

Jest za małe.

Nicolás fantazjuje o tym, jak stawia czoło Sandrze, tak samo jak fantazjuje o ucieczce. Krótko, powierzchownie i nieszkodliwie. Tak szybko, jak fantazja się zaczyna, tak szybko, jak jawi się jako lekarstwo na udrękę i dezorientację, Nicolás przypomina sobie samotność. Przerazającą, zimną i nieludzką.

Czy tak było wcześniej? Przed powrotem?

Nicolás też tego nie pamięta. Nie ma konkretnych obrazów z wcześniej. Może fragmenty melodii, ale z pewnością nie p. Pamięta długie dni w tunelach, pamięta uczucie bycia ojcem. Pamięta rzeczy, których nie chce pamiętać, rzeczy, które działy się w nocy, momenty, kiedy odwiedzał pokój Sandry, momenty, w których on był swoim ojcem, a Sandra była nim. Ale je wyrzuca, jakby w rzeczywistości te obrazki go nie dotyczyły. To tylko sny. Nie są prawdziwe. Gdyby takie były, spaliłby odpowiadające im kartki spowiedzi.

Poza tym odkąd wróciła, to już się nie powtórzyło.

Teraz to on zwraca się do niej, żeby poczuć inny rodzaj ulgi, za sprawą metody, którą ona mu pokazała. Klęka i wtedy ona bierze pasek i bije go nim po plecach. Tak jak robił z nim jego ojciec, żeby Nicolás nie grzeszył. Jak robił tuż przed, gdy grzeszył z nim.

Nicolás znowu czuje smak popiołu na języku i podniebieniu. Nie podoba mu się ta dezorientacja, która mu towarzyszy. Odkąd ona wróciła.

Bierze ze stołu pistolet. Ciężar, fizyczna obecność broni uzbraja go w dziwną determinację.

„To są drzwi. Drzwi”, myśli Nicolás.

Wkłada lufę pistoletu do ust. Zęby dotykają metalu, gryzą go. Smar do broni, metal usuwają smak popiołu.

Delikatne naciśnięcie – to wszystko, czego potrzeba. A potem będzie tylko spokój.

Naciska spust, lecz pistolet odpowiada mu jedynie trzaskiem zabezpieczenia.

„Jesteś nic niewartym staruchem”.

„Nic dziwnego, że twój ojciec cię bił”.

Słychać jej zbliżające się kroki i Nicolás jak najszybciej odkłada broń na stół.

Następnym razem. Następnym razem się odważy.

– Wszystko gotowe? – pyta Sandra.

Nicolás przytakuje. Dużo go to kosztowało, ale spełnił wszystko, o co go prosiła.

Ona się do niego uśmiecha.

3

Rolls-Royce

Antonia Scott (metr sześćdziesiąt, pięćdziesiąt kilogramów) kalkuluje swoje szanse na pozbycie się mężczyzny, który ciągnie ją do samochodu stojącego przed wejściem (metr dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt siedem kilogramów). Są zerowe. Nie trzeba nawet dodawać informacji, że mężczyzna ten jest – tak jak wszyscy, którzy odpowiadają za ochronę ambasady – oficerem brytyjskiego SAS. Tak jak GEOS albo Marines, tyle że w wydaniu fish and chips.

Oficer SAS wykonał zadanie rozpoznawcze. Mężczyzna prowadzi bowiem Antonię, popychając ją i warcząc, mniej uczęszczanymi korytarzami tylnej części budynku. Sir Peter idzie za nimi trzy kroki dalej. Schodzą po schodach, przecinają oddział onkologiczny (cały czas w najbardziej niewidocznym miejscu) i wychodzą ze szpitala bocznymi drzwiami, których Antonia nawet wcześniej nie widziała, a przecież od trzech lat właściwie mieszka w Szpitalu Moncloa. Wszystko należyście przeanalizowane, żeby napotkać jak najmniej osób.

Rolls-royce phantom, który czeka na zewnątrz (drugi oficer SAS trzyma otwarte drzwi), to oficjalny samochód ambasadora Zjednoczonego Królestwa i sir Peter jest z niego więcej niż dumny. W innych okolicznościach Antonia być może doceniłaby to, że siłą wsadzają ją do auta wartego pół miliona euro, ale nie w tym przypadku. W tej chwili myśli wyłącznie o tym, że jeśli wcisną ją do tego samochodu, to będzie koniec dla Jorgego, dla niej i dla Carli Ortiz.

Nie może na to pozwolić.

A jednak nie przychodzi jej do głowy żaden sposób, by tego uniknąć. Dać się ponieść panice, rzucić się na ziemię, krzyczeć... to wszystko tylko pogorszyłyby sytuację.

Zanim zdąży się zorientować, już siedzi w samochodzie, na fotelu za kierowcą.

– Popelniasz błąd – mówi do ojca, który zajmuje miejsce obok niej.

Ci dwaj z SAS siadają z przodu.

– Oby to była prawda, Antonia – odpowiada, ale jej nie wierzy. On już uznał ją za winną, ponieważ uważa, że od trzech lat nie jest przy zdrowych zmysłach. Jeszcze kilka dni temu to może i była prawda, ale już nie jest.

„Już nie chcę odebrać sobie życia”, myśli i uświadamia sobie, że to prawda. Po latach samokontroli, pozwalania sobie na fantazjowanie o zakończeniu wszystkiego przez zaledwie trzy minuty każdego wieczoru, teraz wystarczyły tylko cztery dni, żeby wszystko się zmieniło.

„To nie może się tak skończyć”.

Drzwi samochodu się zamykają.

Antonia rozgląda się z desperacją, szukając wyjścia, którego nie ma.

Kierowca, ten sam oficer SAS, który ją tu przyprowadził, uruchamia silnik.

Wtedy następuje uderzenie.

Trzydzieści sekund wcześniej

Jon Gutiérrez nie lubi niesprawiedliwości.

Słowa Antonii go zraniły o wiele bardziej, niż jest gotów przyznać. Pokładał w niej wszystkie swoje oczekiwania, podporządkował wszystko temu, żeby za wszelką cenę znaleźli razem Carlę Ortiz. Oczywiście życie nie jest prostą linią ani ścieżką bez przeszkód, a bagaż, który Jon przywiózł z Bilbao,

i twoje kłamstwa

ostatecznie zniweczyły wszystkie wysiłki.

Tak więc Jon Gutiérrez siedzi w audi A8 bez pracy, bez celu i bez nadziei. Zraniony dzwon na wieży, połowa złamana na pół. W hotelu na pewno czekają na niego przyjaciele z Biura Spraw Wewnętrznych. Ale on nie zrobi im tej przyjemności, o nie. Jeżeli chcą z nim porozmawiać, niech jadą do Botxo, które o tej porze roku wygląda pięknie, a buda psa (jak mieszkańcy Bilbao nazywają Muzeum Guggenheima) błyszczy w czerwcowym słońcu nad samą rzeką.

Gdyby teraz wyjechał i cisnął na maksa, zdążyłby do domu na późną kolację. Mógłby zobaczyć *amatxo*, opowiedzieć jej o swoich troskach i czekać, aż jutro przyniesie gorsze czasy.

Ale wtedy zauważa Antonię ciągniętą do samochodu przez jakiegoś wielkiego i niewątpliwie uzbrojonego typa.

Inspektor Gutiérrez nigdy nie był zwolennikiem doktryny „Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B”. Pierwszy raz dał się ponieść okolicznościom cztery dni temu i tylko dlatego, że nie miał innego wyjścia. Jedyne kościół, którego wyznawcą jest Jon Gutiérrez, w którym zapala świece, klęka i zanosi modlitwy, to kościół Matki Bożej z Moją Partnerką Się Nie Zadziera. Tak więc bez większego zastanowienia uruchamia silnik, wciska pedał gazu, wrzuca bieg (sztuczki, jakich człowiek się uczy, kiedy zadaje się z psychopatami) i wbija audi w bok rolls-royce'a.

„To już drugi”.

4

Odmowa

Siła uderzenia zniekształca bok rolls-royce'a, rozbija na kawałki tylną lewą szybę, pokrywając Antonię szkłem i rzuca ją na jej ojca, który nie zapiął jeszcze pasa. Poduszki powietrzne wyskakują na siedzeniu kierowcy i pasażera, ale z jakiegoś powodu projektant tego samochodu za pół miliona euro uznał, że pasażerowie na tylnych siedzeniach ich nie potrzebują.

Czoło sir Petera uderzyło w okno po jego stronie, tworząc pajęczynę, w której centrum znajduje się karmazynowy pająk. Jego jasne włosy (Antonia jest przekonana, że je farbuje) teraz ociekają krwią.

Antonia leży na nim w poufalej pozycji, jej głowa spoczywa na jego klatce piersiowej, co nie zdarzyło się od dwudziestu siedmiu? Dwudziestu ośmiu lat? Ale ona nie szuka kontaktu (choć wyraźnie słyszy serce ojca, bijące niespełna dwadzieścia centymetrów od jej prawego ucha). Szuka klamki z wyciągniętymi do przodu obiema rękami z powodu plastikowych opasek, którymi ma złączone nadgarstki.

- Nie... - szepcze jej ojciec, wciąż oszołomiony wskutek uderzenia.

Udaje jej się otworzyć drzwi i się wyprostować, przechodzi nad ojcem (ma świadomość, że uderzyła go kolanem w nerki, czego niezbyt żałuje), ale kiedy połowę ciała ma już na zewnątrz, sir Peter łapie ją za nogę i ciągnie do tyłu.

- Tylko pogorszysz sytuację - mówi sir Peter.

Jego córka walczy, kopie ojca w nogi, ręce i klatkę piersiową, aż udaje jej się uwolnić.

„Sytuacja nie może być jeszcze gorsza”.

Obaj oficerowie SAS zaczynają się pozbywać miłosnego uścisku poduszek powietrznych. W drugim samochodzie Jon Gutiérrez robi to samo. Tyle że on ma trochę więcej doświadczenia. Zdołał już nawet ponownie uruchomić silnik i pokazuje jej gestem, żeby wsiadała.

Antonia patrzy na niego i kręci głową.

Rzuca się do biegu w przeciwnym kierunku, oddalając się od Jona, oddalając się od swojego ojca.

„Biegnij, Antonia”.

5

Wolna linia

Trzy godziny później Antonia przestaje uciekać.

Oczywiście nie jest jeszcze bezpieczna.

Udało jej się zgubić tych z SAS, wbiegając w wąską uliczkę między szpitalem a domem spokojnej starości mieszczącym się w budynku obok. Kiedy skręciła za rogiem, nie miała zbyt wielu możliwości. Przed nią była tylko Manzanares. Po drugiej stronie rzeki: osiedle małych domów jednorodzinnych, gdzie Antonia byłaby łatwym celem. Postanowiła więc wejść do domu spokojnej starości. Szła wolnym krokiem, żeby nie zwracać na siebie uwagi, choć wiedziała, że siedzą jej na ogonie. Torba zwisała jej z przodu ze związanych rąk. Kiedy dotarła do schodów, pobiegła do piwnicy, gdzie znajduje się tunel prowadzący do sąsiedniego szpitala. Stamtąd wyszła głównymi drzwiami (niecałe sześć metrów od swojego ojca stojącego plecami do niej, z rękami na głowie, i patrzącego w kierunku, w którym uciekła wcześniej) i przeszła przez ulicę w stronę parku Bombilla, gdzie przy wykorzystaniu kosza na śmieci zdołała pozbyć się plastikowych kajdanek.

Jon był już poza zasięgiem jej wzroku. Audi zniknęło. Chociaż nie mogłaby z nim zbyt długo jeździć, to przynajmniej nie złapałoby jej tak szybko.

„W którym momencie przestajemy być myśliwymi i stajemy się ofiarą?“, zastanawia się Antonia.

Siedzi w McDonalddie przy Gran Vía. To prawdopodobnie najbardziej anonimowe miejsce na powierzchni ziemi, z setkami osób wchodzącymi

i wychodzącymi co minutę, a tym bardziej o tej porze. Szósta wieczorem, moment, kiedy podwieczorek Hiszpanów łączy się z wczesną kolacją zagranicznych turystów. Zdobycie stolika było niemożliwe, więc Antonia je ćwierćfunciaka z serem, duże frytki i McFlurry (będzie potrzebować mnóstwa energii) na jednym z pufów przy wejściu, z tacą na kolanach. Nie sądzi, że szukają jej na ulicy, jest jeszcze bardzo wczesnie, ale siedzi tyłem do szyby. Na wypadek gdyby wrzucili do systemu jej zdjęcie i przypadkiem rozpoznałby ją jakiś bystry funkcjonariusz.

Nie, ojciec na pewno doniósł na nią na policję. Ludzie z wydziału zabójstw bez wątpienia zajmują się sprawą i zechcą z nią porozmawiać. Naturalnie nie mogą poprosić o pomoc Wydział Porwań i Wymuszeń. Ezequiel już o to zadbał.

„Jesteśmy dokładnie tu, gdzie on chciał. Znaleźliśmy go wtedy, kiedy on chciał, byśmy go znaleźli. Nie wcześniej”.

Ludzie z wydziału zabójstw podchodzą do wszystkiego spokojniej niż ci z WPW. Ich klienci nie mogą już protestować ani nie da się wyrządzić im większej krzywdy, więc ujęcie sprawcy jest kwestią czasu. Który zresztą zawsze działa na ich korzyść. Kiedy delikwent ucieka, męczy się. Nie można uciekać wiecznie, a tym bardziej w dzisiejszych czasach, kiedy człowiek siłą rzeczy musi (jeść, pić, spać) zostawić jakiś ślad elektroniczny. Chyba że ma przy sobie kwintal gotówki.

Nie jest tak w przypadku Antonii. Cały jej kapitał to dwudziestoeurowy banknot, który nosi przy sobie zawsze złożony na pół między telefonem a etui - na czarną godzinę.

Ćwierćfunciak z serem wydaje się bardzo czarną godziną, ale teraz zostało jej tylko dziewięć euro i czterdzieści pięć centów.

„Gdy się nad tym zastanowić, nie powinnam była kupować lodów”.

Nie skorzystała z karty kredytowej z powodu nadmiernej ostrożności. O wiele niebezpieczniej jest mieć włączony telefon. Jeżeli naprawdę chcą ją złapać, to niewielkie urządzenie sprowadzi ich prosto do niej, niczym latarnia morska sprowadza statek w czasie sztormu.

Ale nie może go wyłączyć ani się go pozbyć. Ponieważ czeka na pewien telefon i wie, że już niedługo zadzwoni. Z tego samego powodu rozłączyła Mentora, który dzwonił do niej już sześć razy, oraz Jona, który również próbował się z nią skontaktować sześciokrotnie.

Najbardziej było jej żal babci, która także dzwoniła. Tylko raz. Też nie odebrała, choć z wielkim bólem serca.

Linia musi być wolna.

Zostawia końcówkę napoju, żeby popić jedną ze swoich czerwonych kapsulek. Nadmiar bodźców (ludzie, światła, rozmowy, samochody, jej własne przyspieszone myśli) wokół doprowadza ją do szaleństwa i potrzebuje spowolnić swój umysł, odzyskać kontrolę, przefiltrować. Każda z kapsulek zapewnia jej ledwie czterdzieści minut.

Zniepokojem zauważa, że zostały jej już tylko dwie.

Wyrzuca śmieci do kosza i wychodzi na zewnątrz, ruszając ulicą Montera w kierunku Sol, z telefonem w dłoni. Bycie w ruchu pomoże jej pozostać na wolności. A tylko wtedy, gdy będzie wolna, zdoła uratować Jorgego.

Idzie dalej.

Kiedy telefon wreszcie dzwoni, Antonia dociera już prawie do placu Canalejas.

- Dobry wieczór, pani Scott - odzywa się męski głos.

Poważny i suchy.

- Chcę wiedzieć, czy z moim synem wszystko w porządku - odpowiada Antonia.

- Tak. Nie stała mu się żadna krzywda.

- Chcę z nim porozmawiać.

- To nie będzie możliwe. Ale zapewniam, że nie cierpi. Dzieci nie powinny płacić za winy rodziców.

- A jednak wciąż każe im pan płacić, nieprawda?

- Czynie tylko dzieło Boże.

- Skoro pan tak twierdzi. Nie pozwoli mi pan porozmawiać z synem?

- Już powiedziałem, że nie.

- W takim razie chcę mówić z Ezequielem.

- Właśnie z nim pani rozmawia.

- Pan nie jest Ezequielem. Pan jest tylko zwykłym posłańcem. Proszę dać mi ją do telefonu.

Po drugiej stronie linii panuje cisza upokorzenia. Antonia myśli, że się rozłączył. Znowu czuje zawroty głowy, ucisk w żołądku, panikę, której absolutnie nie może ulec.

I coś jeszcze. Odległy dźwięk stukania. Antonia rejestruje go w swojej głowie, żeby wrócić do niego później. Może być ważny.

Wtedy przy telefonie pojawia się nowy głos. Głos kobiety, delikatny i czuły.

- Moje gratulacje, Antonio Scott.

Nie wiedząc dlaczego, Antonia łączy ten kobiecy głos z miłą twarzą. Ale kiedy wśluchuje się w niego uważnie, naprawdę uważnie, uzmysławia sobie, że pod spodem pełzają robaki. Grube i blade, niczym palce trupa.

- Chcę rozmawiać z moim synem - powtarza.

- Mój ojciec wyraził się już jasno w tej sprawie. Proszę mi powiedzieć, skąd pani wiedziała.

Antonia nie wiedziała. Zaczęła coś podejrzewać, kiedy ujawniono tożsamość Ezequiela, ale to był strzał w ciemno, który trafił w cel. Oczywiście nie zamierza się do tego przyznawać.

- To moja sprawa.

Ona się śmieje. I w tym śmiechu robaki wyłazą spod maski, niczym pulsująca i groźna masa.

- Wielka Antonia Scott. Zawsze taka tajemnicza. W porządku. Panią obowiązują takie same zasady, Scott. Zadam pani pokutę za winy, taką samą, jaką dostali Laura Trueba i Ramón Ortiz. Jest pani gotowa, by jej wysłuchać?

Antonia nie odpowiada.

- Jest pani tam?

- Jestem.

- Chce pani zobaczyć jeszcze syna?

- Oczywiście, że tak.

- Pani winą, Scott, jest duma. To mniejszy grzech w porównaniu z przewinami pozostałych rodziców. Zasługuje więc na mniejszą karę. Pani pokutą jest czekanie. Dwanaście godzin. Jeśli wypełni ją pani do jutra do siódmej rano, wypuścimy Jorgego w widocznym miejscu. Gdzie każdy dobry samarytanin będzie mógł go znaleźć.

- Jaka jest alternatywa?

- Alternatywą jest próba znalezienia nas. Możliwe, że zakończy się sukcesem, bo jest już pani bardzo blisko. Ale musi pani wiedzieć jedno: sukces będzie pani porażką. Zrozumiała pani?

Antonia zrozumiała. Zrozumiała bardzo dobrze.

- A co się stanie z Carlą Ortiz?

- Jej los to nie pani sprawa. Jest w rękach jej ojca. On dostał własną pokutę.

- Dlaczego to robisz, Sandra?

Znowu ten robaczywy, trujący i okrutny śmiech.

- Dlaczego? Dziwi mnie, że ktoś o pani umiejętnościach jeszcze tego nie zrozumiał. Robię to, ponieważ mogę. Robię to, ponieważ to... zabawne.

I znów się śmieje.

- Do jutra, Antonio Scott.

6

Zielona herbata

Wchodzi do pierwszego lepszego baru i próbuje się uspokoić, rozważyć możliwości.

Siada przy ladzie. Zamawia zieloną herbatę, żeby strawić śmieciowe jedzenie, które zatyka jej żołądek, oraz informację, która odbija jej się w mózgu.

Kiedy kelnerka nalewa wrzątek do metalowego dzbanka (starannie zaprojektowanego w taki sposób, żeby więcej wody wlać na spodek niż do filiżanki), znowu dzwoni Mentor.

- Nie zastanawiałaś się, dlaczego jeszcze cię nie złapali, skoro masz włączony telefon?

Owszem, zastanawiała się.

- Co zrobisz?

- Przekierowaliśmy - tacy ludzie jak Mentor zawsze używają liczby mnogiej, gdy mówią o rzeczach, których nie potrafią robić - twoją kartę SIM w taki sposób, żeby się wydawało, że jesteś tam, gdzie cię nie ma. Według nowego nerda, którego mamy w zespole, właśnie jesteś z wizytą w Afganistanie. Wisisz mi przysługę.

- Odejmij ją od tych, które wisisz mi ty.

- Ale to nie potrwa długo. W najlepszym wypadku jeszcze godzinę, zanim przełamię bariery. Policja też ma swoich nerdów. Upewnij się wtedy, że masz wyłączony telefon.

Kelnerka stawia przed nią filiżankę. Antonia bierze saszetkę cukru między kciuk i palec wskazujący i potrząsa.

„Godzina. Co najwyżej”.

- Jak źle wygląda sytuacja?

- Zniknął wnuk brytyjskiego ambasadora, porwanie Carli Ortiz pojawia się w każdym serwisie informacyjnym, zamordowano jedną kobietę, a drugą ugodzono nożem. Bomba zabiła sześcioro policjantów, a dwóch ciężko raniła. A ty jesteś jedynym ogniwem łączącym te wszystkie zdarzenia.

- A więc bardzo źle, prawda?

Mentor parska z irytacją.

- Wolałem cię, zanim nauczyłaś się używać sarkazmu, Scott. Twój ojciec strasznie naciska, żeby cię znalezione.

Co nie jest żadną opcją. Ostatnie, co może teraz zrobić, to spędzić całą noc na komisariacie, przywiązana do krzesła i odpowiadając na pytania.

- Twój ojciec obstaje przy tym, że coś wiesz, chociaż opis kobiety, która porwała Jorgego, pasuje do wielu innych podejrzanych. Jedną z nich jest mama Świnki Peppy w płaszczu.

„Logiczne, kiedy świadkowie to dziewiętnaścioro dzieci w wieku czterech lat”.

- Kiedy nauczycielka wyjdzie z OIOM-u - ciągnie Mentor - o ile wyjdzie, mogłaby wszystko wyjaśnić. Ale tymczasem nie możesz dać się złapać, Scott. Nie możesz narazić projektu.

Antonia nie dowierza własnym uszom. Chłód Mentora czasami ją przytłacza.

- Mają mojego syna. Wiesz o tym, prawda?

- Tym bardziej. Jeśli cię złapią, nie będziesz mogła mu pomóc. Wcześniej ty musisz go złapać. Dowiedz się, gdzie jest, i powiedz nam. My zajmiemy się resztą.

Tak po prostu.

Tak niemożliwie.

Antonia bierze głęboki oddech. Efekt, jaki daje kapsułka, zaczyna zniknąć, a więc świat zaczyna nabierać szybkości, emocje pukają do drzwi. Mocno ścisną telefon, lewą dłoń zaciska w pięść i uderza się w udo. Raz i drugi.

Kelnerka rzuca jej dziwne spojrzenie.

„Spokój, spokój”, mówi do siebie. „Ostatnie, czego chcesz, to zrobić przedstawienie i żeby zadzwonili po policję”.

Sugerowanie, by się uspokoić, niczego nie zmieni. Chemia jej mózgu jest, jaka jest. A jej podwzgórze, zmodyfikowane tak, żeby funkcjonowało, jak gdyby zawsze znajdowało się pod presją, w tej chwili naprawdę jest pod presją. A zatem bombarduje histaminę do jej krwiobiegu, jakby nie było jutra. Antonia ma świadomość wszystkiego, co ją otacza.

Automatu do gry, który nie przestaje się kręcić.

Mężczyzny w rogu, który udaje, że czyta, choć tak naprawdę dotyka się pod marynarką, która leży na jego kolanach.

Skrzypiących drzwi do łazienki.

Dźwięku z telewizora, krzesła ze złamaną nogą, drzwibarupiknięciaawhatsappafacetaktóry...

DOŚĆ.

- Jesteś tam, Scott?

- Nie mogę...

- Scott? Masz swoje kapsułki? Musisz wziąć jedną, teraz.

Antonia o tym wie.

Wkłada rękę do kieszeni i wyciąga metalowe pudełeczko. Kiedy próbuje wyjąć jedną z dwóch kapsułek, które zostały, ta spada na podłogę, na wysypisko pełne łupinek po orzeszkach ziemnych, zużytych wykałaczek, pestek oliwek i tłustych chusteczek.

„Nie!”

Antonia się schyla, znajduje ją wśród śmieci, wkłada do ust i przegryza, nie przejmując się zarazkami.

Tym razem nawet nie liczy do dziesięciu ani nie czeka, aż lekarstwo zadziała. Nie ma czasu.

- Czego się dowiedzieli na temat Fajarda?

- Jak na razie tyle, że żyje. Wszędzie go szukają, ale to zajmie trochę czasu. Facet wiedział, co robi, kiedy postanowił zatrzeć swoje ślady.

Jedyne, co łączyło go z życiem, to konto bankowe, z którego nadal były płacone rachunki, ale to normalne, kiedy ktoś umiera. Jeśli nikt nie domaga się tych pieniędzy ani nie informuje banku, że posiadacz konta zmarł, opłaca się rachunki do wyczerpania środków.

- Daj mi coś, co mogę wykorzystać, Mentor. Cokolwiek.

- Wysłałem ci na maila informacje o Fajardzie. Oprócz tego, a i tak jest tego niewiele, nie ma nic, Scott. Udało im się ustalić tylko tyle, że Fajardo został wypisany ze szpitala po samobójstwie córki.

- No cóż, okazuje się, że jego córka też żyje - mówi Antonia.

- Słucham? - dziwi się Mentor.

- Nieważne. Długo by opowiadać. Mów dalej.

Mentorowi trudno jest odzyskać wątek po tym, jak usłyszał rewelację Antonii.

- Tydzień po powrocie do pracy zginął w zawałonym tunelu. To wszystko.

„To jest nic”.

- Jak się miewa Jon?

- Jest kompletnie wytrącony z równowagi. Wydzwania do mnie co pięć minut. Chce ci pomóc, Scott.

- Odpowiedź brzmi nie.

„Nie po tym, jak mnie okłamał”, myśli Antonia. „Nie mogę mu już ufać. A poza tym ma na karku tych z Biura Spraw Wewnętrznych. I dziennikarzy. Jeśli do niego zadzwonię i przyjedzie, nie wiadomo, kto zjawiłby się razem z nim. Mógłby wszystko zniszczyć. Mentorowi też nie mogę ufać. Nie mogę ufać nikomu”.

„To zbyt duże ryzyko dla Jorgego”.

- Jak chcesz. Wyłącz telefon, Scott. Izłap go.

Rozłącza się. Antonia wyłącza komórkę. Otwiera iPad, przełącza go na tryb samolotowy, a potem loguje się do barowego Wi-Fi, żeby ściągnąć plik z informacjami na temat Fajarda.

Nie ma tego wiele. Ale jest zarys historii.

Carla

Wraz z ostatnim pociągnięciem kafelek opada jej na rękę.

Palce wskazujący i środkowy krwawią obficie, paznokcie są obdrapane i połamane, ale Carli udało się oderwać kafelek.

Trzyma go w lewej ręce, ssąc palce prawej, wypluwając krew, kawałki paznokci i piasek. Carla nie może zobaczyć wyrazu swojej twarzy, zwierzęcej, pierwotnej dzikości, jaka się na niej maluje, kiedy wreszcie ma ten ceramiczny kwadrat o rozmiarach dziesięć na dziesięć centymetrów.

Próbując ignorować cierpienie i obrzydzenie, jakie wywołują w niej opuszki palców zdarte do żywego mięsa, Carla zdejmuje sukienkę. Starannie owija w nią kafelek, a potem ustawia go oparty o podłogę i ścianę.

Mysłała o tej chwili całymi godzinami, wyobrażała sobie każdy szczegół tego, co zrobi, tak, żeby nie popełniła żadnego błędu, aż myśli nabrały niemal realnych kształtów.

Musi uderzyć grzbietem dłoni. To musi być suche uderzenie, w sam środek. Nie może po prostu wyszczerbić rogów albo żeby pękł w bardzo nieregularny sposób.

Musi być idealnie. Precyzyjne uderzenie na oślep, w ciemności.

Kilka razy wyznacz trajektorię.

Delikatnie. A potem zrób to.

Carla słucha tej Drugiej Carli, która przejmuje coraz większą kontrolę nad sytuacją, do tego stopnia, że Carla czuje, iż za chwilę przesiądzie się na fotel pasażera. Nie ma nic przeciwko. Zrobiłaby wszystko, byle tylko stąd wyjść i udusić Sandrę gołymi rękami.

Myśli o niej, kiedy dłoń uderza w kafelek. Pod sukienką słyszy delikatny chrzęst.

Materiał spełnił swoją funkcję i nie było słychać tłuczonej ceramiki. Teraz rozwija pakunek ze strachem, że go zniszczyła. Ten kafelek to najcenniejsze, co w tej chwili ma w swoim życiu.

Mnóstwo kawałeczków upada na podłogę, inne ześlizgują się po tkaninie. Carla, po omacku, przeszukuje je z niepokojem. Jeśli kafelek zamienił się w drobiny, to cały wysiłek z ostatnich godzin pójdzie na marne.

*I umrzesz. Wiesz, że
ci nie pomoże, prawda?*

Możliwe, że zajmuje mu to sporo czasu... Koniec końców to bardzo ważna decyzja.

*Gdyby to Mario
był tutaj, a ty musiałabyś
podpalić firmę,
co byś zrobiła?*

Jeszcze ma czas. Jeszcze może to zrobić. Jeszcze może udowodnić, że...

*Że liczysz się dla niego bardziej niż jego imperium?
Głupia krowa. Nie robi tego.
Opuścił cię. Musisz sama o siebie zawalczyć.
Nie możesz liczyć na nikogo!*

Carla cofa się jeszcze o krok, jeszcze bardziej oddaje kontrolę tej Drugiej Carli. Grzebie w sukience, która podarła się podczas stłuczenia kafelka, i znajduje pośród kawałków niemal idealną połówkę.

Ścisną ją w dłoniach z dzikim instynktem. Nawet nie wkłada ponownie sukienki, tylko znowu kieruje się do ściany przy dziurze i wprowadza końcówkę swojego zaimprovizowanego narzędzia między zaprawę a kolejny kafelek. Teraz idzie jej znacznie szybciej i przynajmniej

nie czuje bólu w palcach. Tym razem oderwanie drugiego zajmuje jej niecałą godzinę.

Bierze go bardzo ostrożnie, nie chce zaalarmować swoich porywaczy, co się dzieje. Jest wyczulona na każdy dźwięk pochodzący z zewnątrz.

Właśnie wtedy słyszy płacz po drugiej stronie ściany. To dziecko, małe dziecko. Brzmi jak...

„Mario!”

Carla chce się podnieść, krzyżeć, że tu jest, że to ona, mama, że wszystko będzie dobrze, lecz głos ją powstrzymuje.

To tylko sztuczka.

*Tam, po drugiej stronie,
nie ma żadnego dziecka.*

Carla się waha, ale w końcu rozumie, że to wytwór jej wyobraźni. Po drugiej stronie ściany nie może być czteroletniego chłopca. A nawet gdyby był, to nie może być jej syn. To tylko kolejna sztuczka Sandry, żeby ją torturować.

Słucha więc tej Drugiej Carli. Musi zadbać o samą siebie. Nic więcej.

Kolejny kafelek odkłada na sukienkę i wraca do rogu.

Będzie potrzebować jeszcze co najmniej dziesięciu kafelków.

A nie ma wystarczająco czasu. Wie, że to plan skazany na porażkę, ale jest gotowa walczyć. Ta Druga Carla pokazała jej przekonującą prawdę: Życie jest niczym. To tylko rozbłysk między dwiema nieskończonymi ciemnościami.

Ale ona zamierza wykorzystać ten rozbłysk do ostatniej możliwej chwili.

7

Pokuta

Jedyny sposób na wygranie rozgrywki to zrozumienie zasad gry.

Odkąd zaczęli grać w grę Ezequiela, wszystko było *murr-ma*. Chodzeniem po wodzie, szukając czegoś stopami.

„Teraz gra zaczyna być jasna”, myśli Antonia.

Nicolás Fajardo, funkcjonariusz policji krajowej z przeciętnym przebiegiem służby, dołącza do korpusu w 1996 roku. Nie ma studiów wyższych, a według oceny psychologicznej po pewnej kłótni „brak mu umiejętności społecznych”, tak więc nie zaleca się, żeby brał udział w działaniach publicznych.

„Gdyby był tu Jon, powiedziała by, że to eufemizm”, myśli Antonia. Tęskni za nim. Ale to niebezpieczne uczucie.

Psycholog wyraża wręcz zdziwienie, że Fajardo zdał testy do Akademii. Antonia nie. Neuroza jest procesem stopniowym, a poza tym Fajardo zapewne potrafi ukrywać swoje dziwactwa. Przynajmniej w prostych sytuacjach. Kiedy jednak sprawy się komplikują, widać, co jest pod spodem. I przełożeni się denerwują. Nie wiedzą, co z nim zrobić, bo funkcjonariusz powinien wypełniać swoje zadania.

Jednak wcześniej Fajardo był w wojsku. Dwie misje w Bośni, w 1993 i 1994 roku. Doświadczenie z materiałami wybuchowymi.

Przenoszą go zatem do wydziału NBQ.

Idealnie. Sprawdzając tunele, żeby nie podkładano bomb pod samochody polityków, nie musi pomagać starszkom w przechodzeniu przez ulicę. Prześlizguje się tylko przez ciemne dziury, niczym szczur, którego czterej koledzy tatuują sobie na rękach.

Los uśmiecha się do Fajarda, o czym świadczy brak notatek w dokumentacji. Są tylko te dotyczące spraw osobistych. Piętnastodniowy urlop z okazji ślubu w 1997 roku. Kolejne piętnaście dni wolnego, kiedy został ojcem, w 1998 roku. Tygodniowy urlop z powodu pogrzebu, w 2007 roku. W nawiasie żona.

Nie podano przyczyny śmierci. Ale Antonia może wyciągnąć własne wnioski. Ponieważ od 2006 roku powtarzają się oceny psychologiczne. Terapeuci zawsze wpisują tę samą opinię, prawdopodobnie dlatego, że zainteresowany nawet nie stawiał się na wizytę: stres. Tylko jeden z nich, w 2008 roku, ośmielił się bardziej zagłębić w przyczyny zachowania policjanta i jego raport jest druzgocący.

Pacjent dorastał w rodzinie z niższej klasy średniej, z agresywnym i okrutnym ojcem. Prawdopodobnie był wykorzystywany seksualnie albo dostawał ciężkie kary cielesne. Toksyczne otoczenie miało ogromny wpływ na jego rozwój emocjonalny i osobowość. Wybrał wojskową ścieżkę kariery, gdzie sytuacje stresowe tylko pogłębiły jego PTSD. Mimo że sprawnie funkcjonuje przez naśladownictwo, pacjentowi brak podstawowych umiejętności społecznych czy rzeczywistych strategii radzenia sobie, a jego osobowość jest bardzo słaba. Codzienna praca pogłębiła zaburzenia wynikające z PTSD. Zaleca się natychmiastowe zwolnienie czynnej służby.

„Mamy szczęście, że uznano go za zmarłego, w przeciwnym razie nigdy nie mielibyśmy tej informacji, ponieważ nie wyszłaby z szuflady psychologa”.

I prawdopodobnie nigdy się to nie stało. Bo Fajardo pracował dalej. W obliczu setek wakatów do objęcia w całej Hiszpanii, o wiele więcej w czasie kryzysu gospodarczego, ktoś postanowił, że nie można rezygnować z Fajarda. Jego praca w sumie niezbyt różniła się od zadań psów na lotniskach, które siadają przed walizkami, jeśli wyczują w nich

materiał wybuchowy. Tak więc naklejali na niego plastry. Rysperydon. Olanzapina. Zyprazydon.

I tak to ciągnął.

Pewnego dnia, dwa lata temu, coś się stało.

Sandra Fajardo upozorowała własne samobójstwo.

Antonia próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądają relacje Fajarda i jego córki. Dziewczynka, która dorasta bez matki, dorosły z poważnymi problemami psychicznymi, bez żadnej partnerki, człowiek, który w dzieciństwie doznał fizycznych nadużyć.

Jaka jest ta dziewczynka w wieku dziesięciu lat? Jedenastu.

Trzynastu i czternastu, kiedy jej ciało się zmienia.

Podczas gdy przełożeni Fajarda odwracają wzrok, wiedząc, że ten człowiek to chodząca bomba zegarowa o wiele groźniejsza niż te, których szuka pod ziemią.

Antonia się zastanawia, jak wygląda życie tych dwóch osób.

Kto może wiedzieć, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami, w salonie i sypialni? Kto może wiedzieć, co się dzieje między dwiema osobami, dzień po dniu, rok po roku, podczas tysiąca nocy?

Ona tego nie wie. Ale dzięki tej rozmowie telefonicznej potwierdziła coś, co już przeczuwała. W tym momencie, kiedy się dowiedziała, że odcisk palca na kierownicy taksówki należy do Nicolása Fajarda, wywnioskowała, że nie on jest Ezequielem. Zrozumiała, że Parra i jego ludzie są w niebezpieczeństwie.

Antonia nie wie, co się stało między Sandrą a jej ojcem, ale się tego domyśla. Uważa, że słabszy element się przystosował i ewoluował, aż stał się potężniejszy. Najpierw musiał cierpieć, znieść mnóstwo bólu, aż nauczył się dominować nad tym, kto go wywoływał. A później pewnego dnia postanowił, że nadszedł czas, żeby zadawać ból innym.

To Sandra, jako dziecko, zapłaciła za winy ojca Nicolása. Teraz dorosła i kazała płacić za nie innym. Nakładać na nich niemożliwe do wykonania pokuty, jak postąpiła wobec Laury Trueby i Ramóna Ortiza.

Zmusić ich to rezygnacji z tego, kim są, z samych siebie, z tego, co ich definiuje. Z sukcesu.

Jak postąpiła z samą Antonią, dając jej ten niemożliwy wybór. Żeby uratować życie swojego syna, musi pozwolić Sandrze wygrać.

Musi siedzieć cicho jeszcze przez dziesięć i pół godziny. Zostawić Carlę Ortiz na łasce decyzji, jaką podejmie jej ojciec, bez względu na to, jaką pokutę zadał mu Ezequiel, choć Antonia jest pewna, że jej nie wypełni.

A Jorge przeżyje. Życie za życie. Życie za to, że ograniczy się do robienia tego samego, co robiła przez ostatnie trzy lata: niczego.

„Nie”, myśli Antonia. „To się nie stanie”.

„Nie ufam tej suce. Nie pozwolę, żeby mój syn spędził w jej rękach choćby sekundę dłużej niż to konieczne. Nie pozwolę, żeby syn Carli Ortiz nie zobaczył już swojej matki”.

„Nie zamierzam jej zostawić”.

To tak, jakby zostawiła samą siebie.

Antonia czuje dziwne ukłucie. Zabawne, że ona, której decyzja Laury Trueby wydała się potworna (i kosztowała życie jej syna), teraz znajduje się w takiej samej sytuacji i podejmuje identyczną decyzję.

„Chyba faktycznie zaczynam rozumieć ironię”, dziwi się Antonia.

„To prawda. Czasami miłość zabiera nas w skomplikowane miejsca. Ale nigdy nie możemy zrezygnować z nas samych”.

Myśli o tamtej dziewczynie z salonu tatuażu, o tym, w jak bezwarunkowy sposób opiekuje się swoim ojcem. Ale nie zrezygnowała przy tym z bycia sobą. Ktokolwiek inny w jej sytuacji nie pozwoliłby im zbliżyć się do jej ojca, miłość wzięłaby górę nad zrobieniem tego, co należy. A jednak ona nalegała, zmusiła swego ojca, żeby zwrócił na nich uwagę, żeby oderwał wzrok od tamtego filmu...

Nagle doznaje olśnienia.

- Kirk Douglas - mówi Antonia na głos. - Cholerny Kirk Douglas!

- Słucham, skarbie? - pyta kelnerka z akcentem z Hawany.

Antonia nawet jej nie słyszy. Ponieważ jej stopy znalazły właśnie w piaszczystym dnie pod stopami (*murr-ma!*) element puzzli, o którym nawet nie wiedzieli, że go szukają.

Inagle już wie, jak może pokonać Ezequiela.

Spogląda za zegarek. Nie ma dużo czasu, by się przygotować.

„Będę musiała znaleźć drogę. I wykonać dwa telefony”.

8

Telefon

Pierwszy do Mentora.

- Czyś ty oszalała? Powiedziałem, że masz wyłączyć komórkę.

- Potrzebny mi numer telefonu.

- Twoja ochrona już nie działa, Antonia. W tej chwili policja już wie, gdzie jesteś. Lepiej uciekaj.

- Najpierw podaj mi numer telefonu.

- Czyj numer telefonu?

Antonia mu mówi.

- Zwariowałaś? Nie, nie zamierzam ci podawać.

- W porządku. W takim razie dalej będę siedzieć sobie spokojnie w tym barze.

- Antonia...

- Chyba już słyszę syreny.

- Jesteś nie do wytrzymania.

9

Kolejny telefon

Drugi telefon pod numer, który podał jej Mentor, zanim się rozłączył.
Odbiera po trzecim sygnale.

- Wszystko wiem.

Klasyka, owszem. Ale niezawodna.

10

Szantaż

„Park Retiro, brama O'Donnell. Naprzeciwko Casa Árabe”.

To adres, który dostała.

Antonia czeka oparta (ręce założone na piersi, ugięta noga) o tablicę z informacją, że bramy parku są zamykane o północy. Jest już osiemnaście minut później, ale z parku nadal wychodzą ludzie. Podczas Targów Książki godziny otwarcia są wydłużane. Niektórzy wydawcy zostają na swoich stoiskach do bardzo późna.

Antonia zerka na zegarek co trzydzieści sekund. Carli Ortiz zostało już tylko sześć i pół godziny.

„Trzysta dziewięćdziesiąt minut”.

„Dwadzieścia trzy tysiące czterysta sekund”.

Pojawia się samochód. Duży. Czarny.

Antonia odsuwa się od tablicy (prostuje nogę, zdejmuje ręce z piersi) i rusza w stronę pojazdu.

Otwiera tylne drzwi i wsiada.

Na przednich siedzeniach są dwie osoby, które patrzą przed siebie. Trzecia postać siedzi skulona w rogu.

Światła samochodu są wyłączone, silnik również. Jedyne światło obecne w środku pochodzi z latarni, a i tak ledwo przebija się przez przyciemnione szyby.

Niektóre rozmowy najlepiej prowadzić w ciemności.

- Przypuszczam, że zdaje sobie pani sprawę, że mnie szantażuje - odzywa się postać w rogu. Jej zużyty głos jest szeptem.

- Oto właśnie chodzi.

- Czego pani chce? Pieniędzy?

Antonia potrząsa głową i wyjaśnia, czego potrzebuje.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko.

- Zna pani bardzo cenny sekret, pani Scott. Sekret, za który wielu by zabiło.

- Nie obchodzi mnie to.

Postać się pochyla i Antonia po raz pierwszy widzi jej twarz. Nawet w słabym świetle latarni widać, że Laura Trueba w ciągu zaledwie paru dni postarzała się o dziesięć lat.

- Jak to pani odkryła?

Antonia myśli o Kirku Douglasie. „Cholerny Kirk Douglas”.

- Portret w pani gabinecie – odpowiada. – Chłopiec, który zginął, miał dołeczek w brodzie. Ani pani, ani jej mąż go nie mają. A żeby pojawił się u dziecka, musi mieć go jedno z rodziców. Teoretycznie istnieje możliwość, że odziedziczy się go po innym krewnym, ale wynosi ona jeden przypadek na pięć tysięcy.

- Nie wiedziałam o tym – mówi Laura Trueba.

„Nie, oczywiście, że nie”.

- Pani zachowanie wyjaśniło resztę. Czowała się pani winna. Ale nie zachowywała się pani jak matka, która pozwoliłaby umrzeć swojemu dziecku. Zastanawiam się zresztą, co by się stało, gdyby tym dzieckiem był Álvaro.

- Ja też, proszę mi wierzyć. Chciałabym móc pani powiedzieć, że znam odpowiedź, że zachowałabym się inaczej. Ale skłamałabym.

Antonia ją rozumie. Dusza składa się z małych przegródek włożonych jedna w drugą, niczym matryoszka. Jeśli je wyjmujesz i wyjmujesz, w końcu docierasz do ostatniej laleczki. A jej twarz nigdy nie wygląda tak samo, jak twarz największej lalki. Ta ostatnia twarz może być podła i okrutna.

- To nie jedyne kłamstwo, jakie nam pani powiedziała. Oszukiwała nas pani od początku. Ezequiel nie porwał go w szkole, prawda? Wtedy nie mogłoby być mowy o pomyłce.

- Nie - przyznaje Laura Trueba. - To się stało niedaleko domu, z którego zwykle korzystamy, naszej willi w Puerta del Hierro. Dlatego doszło do pomyłki.

- Kto to był?

- Syn mojej gospodyni - odpowiada przygaszonym głosem zabarwionym wstydem. - Jest rówieśnikiem Álvara, tego samego wzrostu. Mieszkają z nami, są w rodzinie od zawsze. Nawet jeżdżą z nami latem do Santanderu. Jego matka zajmuje się wszystkimi moimi domami.

- Dlatego miała pani zdjęcie z jej synem na plaży.

- Jedyne, jakie z nim miałam.

- Jak się nazywał?

- Jaime. Jaime Vidal. Dobry chłopak. Przyjaźnił się z Álvarem. Chodził do porządnej szkoły, osobiście o to zadbałam. Oczywiście nie do tej samej, co Álvaro... To nie byłoby właściwe... ale to była dobra szkoła.

- Prywatna.

- Tak.

- Dlatego miał na sobie mundurek, kiedy Ezequiel go porwał.

Antonia natychmiast wyobraża sobie, co się wydarzyło. Jaime stoi tyłem, w mundurku, marynarka i krawat. Na osiedlu, które nie ma prywatnej ochrony. Fajardo tylko czekał w pobliżu w samochodzie, aż zobaczył chłopaka otwierającego furtkę do willi własnymi kluczami, i sądził, że to Álvaro.

- Wiemy, że wysiadł z autobusu na przystanku. Stamtąd do domu jest sześćset metrów, ale nigdy nie dotarł. Jego matka się zamartwiała. Wtedy zadzwonił... ten człowiek. Powiedział mi, że ma Álvara.

- A pani nie wyprowadziła go z błędu.

- Bałam się! - broni się Trueba na skraju płaczu. - A gdyby wrócił po Álvara? Musiałam chronić własnego syna!

- O co poprosił panią Ezequiel?

Laura Trueba z powrotem odchyła się na siedzenie.

- To już bez znaczenia. Coś, na co nie mogłam się zgodzić.

- A tym bardziej dla syna służącej.

Bankierka wciska przycisk otwierający szybę. Wąska szczelina, jaką uchyla, przynosi niewielką ulgę w gorącym samochodzie.

- Nie może pani zranić mnie żadnym słowem, jakim sama nie zraniłabym się już wcześniej, pani Scott.

- Domyślam się - mówi Antonia po chwili zastanowienia. - Co powiedzieli państwo matce?

- Prawdę. Jedną prawdę. Że ktoś porwał Jaimego, bo pomylił go z Álvarem. Że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go uwolnić, za wszelką cenę.

- A potem przekazali jej państwo ciało.

Laura Trueba milczy. Antonia wie, że ta kobieta nigdy nie stanie przed wymiarem sprawiedliwości, nigdy nie zazna upokorzenia wynikającego z konieczności tłumaczenia się ze swoich działań przed sędzią i ławą przysięgłych. Nigdy nie dosięgnie jej kara. Ale wygląda na to, że sama o nią zadbała.

Podobnie jak szczelina w oknie, przynosi to niewielką ulgę.

Ale zawsze lepsze to niż nic.

- Skończyliśmy? - pyta Trueba.

- Kiedy da mi pani to, o co prosiłam.

- Alejandro.

Jeden z mężczyzn siedzących z przodu się odwraca i podaje swojej szefowej torbę z czarnego materiału. Trueba z kolei przekazuje ją Antonii. Jest ciężka, a przez materiał daje się wyczuć metalową wypukłość.

Antonia wyjmuje pistolet. Nawet w półmroku metal wydaje się pochłaniać słabe światło w groźny i zabójczy sposób.

- Wie pani, jak go używać? - pyta Antonię mężczyzna.

- Nie.

Mężczyzna odwraca się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, bierze broń z rąk Antonii i wyjaśnia.

- To Glock czwartej generacji. Siedemnaście kul w magazynku. Nie ma zabezpieczenia, więc jeśli naciśnie pani spust, to lepiej po to, żeby chciała pani strzelić.

Antonia bierze broń i wkłada do swojej torby. Otwiera drzwi i zaczyna wysiadać.

- Ta oferta, którą złożyłam pani koledze, dotyczy także pani, pani Scott - mówi Trueba. - Jeśli wpakuje pani kulkę w łeb temu skurwysynowi...

Ale Antonia wysiadła z samochodu, zanim tamta zdążyła dokończyć zdanie.

Ramón

Nocą starość jest o wiele straszniejsza.

Wierzenia ludowe, tak bardzo kłamliwe, przypisują starcom znacznie większą mądrość i znacznie większe opanowanie niż młodym. Po osiągnięciu zaawansowanego wieku ciało uwalnia się od swoich najpilniejszych potrzeb, lubieżnych pragnień, nienasyconego głodu i wybuchowego temperamentu. Starcy są cierpliwi, starcy przedkładają pokój nad wojnę, starcy potrafią słuchać, a kiedy mówią, robią to mosiężnymi literami z marmurowej wieży, w której umieścili ich czas i cierpliwość i gdzie tylko kwestią czasu pozostaje, gdy dobiegną końca ich dni, zestalone jako wzór i pamiątka dla przyszłych pokoleń.

„To wszystko bzdury”, myśli Ramón Ortiz.

Starcy są nieustępliwi, pełni uprzedzeń, znają tylko jeden sposób postępowania.

To starcy rozpoczynają wojny z powodu dumy, pieniędzy lub patriotyzmu. Albo dowolnej mieszanki poprzednich trzech elementów.

Starcy mają takie same potrzeby jak każdy podniecony i wygłodniały nastolatek. Gdyby ciało im na to pozwoliło, piliby do nieprzytomności, jedliby, aż pękliby, i pieprzyliby się, aż penis rozpadłby się na kawałki. Dwa miliardy tabletek viagry sprzedawanych rocznie potwierdzają to ostatnie.

Ale ciało mu na to nie pozwala.

To, co zostało Ramónowi Ortizowi, który wcześniej był mocną i energiczną maszyną, to worek dolegliwości i upokorzeń. Po dwóch lub trzech godzinach lekkiego i przerywanego snu wstaje codziennie z bolącymi kośćmi, gardłem jak papier ścierny i wilgotnymi slipkami z powodu utraty moczu. Co kilka dni odwiedza lekarza, zawsze

wychodzi z kolejną receptą. Towarzyszą mu trwałe i bolesne wspomnienia o nieżyjących żonach – jedna odeszła w kwiecie wieku, druga niecały rok temu. Je niewiele, ponieważ apetyt fizyczny się zmniejszył, chociaż ten umysłowy wciąż jest obecny, niczym delikatny cień, niczym fantomowa kończyzna, w którą żołnierz chce się jeszcze podrapać, lecz palce napotykaają jedynie powietrze.

Nocą, kiedy zmęczenie okrywa ramiona niczym lodowaty koc, kiedy oczy pieką, kiedy nogi nie utrzymują już ciężaru, starość jest karą gorszą niż śmierć.

Ramón zna wielu starców. Są tacy, którzy śmieją się z własnych dolegliwości, tacy, którzy chcą kolejnej partyjki w karty, kolejnego kieliszka wina, kolejnego zachodu słońca. Są tacy, którzy przeklinają swój los, są tacy, którzy chowają wszystko w sobie. Prawie wszyscy przeglądają się rano w lustrze, nie rozpoznając twarzy, którą zwraca im odbicie, i zastanawiają się, kto ukradł im młodość, jak mogło się to przytrafić akurat im.

Wszyscy, których zna, bez wyjątku, to tylko dzieciaki bojące się wilka pożerającego ich dni coraz większymi chapnięciami.

Wszyscy, których zna, bez wyjątku, oddaliby wszystko, co mają, żeby wyciągnąć z kapelusza lampę Aladyna. Z trzech życzeń wystarczy im jedno. Znów mieć dwadzieścia lat, wiedząc to, co wiedzą teraz. Mieć możliwość, żeby cofnąć się w czasie, żeby tym razem zrobić wszystko dobrze. Pożegnaliby się ze wszystkim, co mają i znają. Z domem, pieniędzmi, rodziną i przyjaciółmi. Z dziećmi. Bez wahania. W ciemnej nocy, w jakiej pogrążona jest dusza, ich wzrok przeszukuje mroczne zakamarki w poszukiwaniu chciwego diabła, który sprzedaje eliksiry na wieczną młodość. Ale ciemność jest dziurawa i pusta niczym klepsydry ich życia.

Wszyscy daliby wszystko.

„Ja nie”.

Ramón Ortiz jest człowiekiem wyjątkowym. Kiedy analizuje się życie tych osób, które osiągnęły wielki sukces, ich dokonania należy rozumieć jako mieszkankę talentu, inteligencji, pracy i szczęścia. W przypadku

Ramóna Ortiza jest jeszcze piątą czynnik. Ma on mianowicie niezłomną wolę. Jego życie, to, kim jest, zostało zdefiniowane przez pracę, przez powolną, kamień po kamieniu, ziarno po ziarnie, budowę piramidy, w której można spędzić wieczność.

Jeśli takiemu człowiekowi dasz do ręki pistolet i powiesz: rozwal sobie łeb albo zabiję twoją córkę, strzał rozbrzmi, jeszcze zanim skończysz mówić.

Jeśli takiemu człowiekowi jak Ramón Ortiz powiesz, żeby zniszczył dzieło swojego życia...

- Zrobiłbym cokolwiek, Jesús, cokolwiek.

Siedzą w fotelach w salonie jego domu. Zgasił wszystkie światła, z wyjątkiem lampy podłogowej stojącej po drugiej stronie salonu.

- Wiem, Ramón. Wiem o tym bardzo dobrze - mówi jego adwokat.

„Chcesz powiedzieć: cokolwiek... tylko nie to”.

Jesús Torres jest osobistym doradcą Ramóna Ortiza od ponad trzydziestu lat. W ciągu tych trzech dekad nauczył się dostosowywać swoją rolę do każdej sytuacji z niezwykłą precyzją, jak jeden z tych szwajcarskich zegarków, które tak docenia. Albo lepiej: jak dobra whisky.

Patrzy na szklanekę, którą trzyma w dłoni. Wyborna szkocka whisky. Prezent, jaki zrobił Ramónowi pewien arabski szejek zesłej zimy z okazji urodzin. Dalmore Trinitas. Sześćdziesiąt cztery lata leżakowania. Tylko trzy butelki na całym świecie. Ponad sto tysięcy euro za każdą.

Ramón wyjął ją wcześniej z barku, bez zastanowienia. Otworzył, postawił na stole, nalał do dwóch szklanek na trzy palce (alkohol miał lśniący karmelowy kolor), a potem w milczeniu zaczął patrzeć na zegar.

Torres pociąga łyk - łyk za tysiąc euro - i delektuje się smakami i doznaniem, przetrzymując go w ustach przed połknięciem. Najpierw mocne nuty rodzynek, kawy, migdałów i gorzkiej pomarańczy. Może pomelo. Na pewno drzewo sandałowe i piżmo. Później, gdy przetyka, fala muszkatelu, marcepanu, melasy. I na końcu na podniebieniu zostaje posmak trufli, cukru muscovado i łupiny orzecha włoskiego.

To wspaniała whisky, podobnie jak wspaniała jest praca doradcy.

Są niuanse, subtelności, nuty, które dostrzega się w pierwszej kolejności, a inne zostają na później i torują sobie drogę na przyszłość.

Dziś praca Torresa nie jest pracą doradcy, lecz spowiednika.

- To moja córka, Jesús. Kocham ją całym sercem.

- Tak, Ramón. I to również twoje życie. Nie martw się. Nie odważy się. Jutro zadzwoni i poprosi o pieniądze. Ona wróci cała i zdrowa.

Multimilioner się waha. W prawej ręce, leżącej na kolanach, trzyma zdjęcie swojej córki. W prawej - komórkę. Pomimo późnej pory wystarczyłoby wykonać tylko jeden telefon. Za pół godziny mógłby wystąpić na konferencji prasowej transmitowanej przez wszystkie stacje telewizyjne w kraju. Za godzinę informacja obiegłaby cały świat.

„Multimilioner przyznaje, że wzbogacił się na niewolniczej pracy i ogłasza zamknięcie swojej firmy”. Straszny nagłówek.

- Mam jeszcze czas, żeby zadzwonić.

- To twoja decyzja. Jeżeli uważasz, że to właśnie powinieneś zrobić, zrób to. Zadzwoń.

Ramón na niego patrzy. W półmroku jego oczy przypominają dwie szczeliny, które otwierają się na obsydianową otchłań.

- Co ty byś zrobił, Jesús?

„Gdyby to było moje dziecko, prędzej podpaliłbym cały świat, niż pozwoliłbym, żeby włos spadł mu z głowy”, myśli adwokat. Ale tego nie mówi. Jego syn jest bezpieczny w domu, z jego wnukami. I to nie o niego toczy się gra. Stawką jest praca Torresa. Do przejścia na emeryturę zostały mu dwa lata, zamierza zrobić to po skończeniu siedemdziesiątki, a później spędzać czas na swoim jachcie i się upijać. Za honorarium, jakie co miesiąc wypłaca mu Ortiz, można kupić wiele szklanek szkockiej whisky. „Może nie tak dobrej jak ta”.

- To nie jest kwestia tego, co ja bym zrobił - odpowiada adwokat. - Nie ja odpowiadam za dobrobyt i miejsca pracy prawie dwustu tysięcy osób zatrudnionych bezpośrednio. Ani za ponad milion zatrudnionych

pośrednio. Ani za akcjonariuszy, z których wielu zainwestowało oszczędności całego życia.

„Zdecydowanie nie tak dobrej jak ta”, myśli, pociągnawszy kolejny łyk Dalmore.

- To moja odpowiedzialność. Wielkie obciążenie - mówi Ramón Ortiz. Wygląda, jakby za chwilę miał się rozplakać.

„Ty zadbaj o to, żeby pieniądze nadal płynęły, stary przyjacielu. Księżniczka jest drugorzędna. Pieniądze są potrzebne”.

- Koroną strojne głowy spać nie mogą, Ramón. Wy, wielcy ludzie, musicie podejmować trudne decyzje - mówi poważnym tonem.

Ortiz miota się w fotelu i odblokowuje telefon.

Torres marszczy brwi. To ostatnie, co mu powiedział, było błędem. Niewątpliwie połechtał jego ego, ale także zrównał obie decyzje. Nie bazując na moralności (Bóg wie, że jest bardzo daleki od kierowania się czymś tak prostym), lecz na trudności. Obie decyzje nie mogą być tak samo kosztowne.

„Trzeba to trochę dopasować”.

- Mniej znaczący człowiek łatwiej podjąłby decyzję. Ale ty już wybrałeś. I jak zawsze wybrałeś najbardziej wyboistą drogę.

„Teraz tak. Nieco pochlebstwa o posmaku wielkości i majestatyczności”, myśli Torres. Pociąga kolejny łyk.

„Zdecydowanie whisky godna króla”.

Ramón Ortiz na powrót blokuje telefon. Nie, taki mężczyzna jak on nie może zachowywać się jak pozostali. Przestraszeni starszycy może mogą sobie pozwolić na zniszczenie pracy całego życia w obliczu groźby. Taki mężczyzna jak on musi podejmować decyzje, wobec których inni by zbledli, trzęśli się i cofnęli. Taki mężczyzna jak on jest gotów przyjąć smutek wynikający z podejmowania decyzji, które innych odstrasza.

Albo miłość, albo odpowiedzialność.

- To bardzo skomplikowane, Jesús - mówi.

- Zrobienie tego, co należy, jest w zasięgu nielicznych - odpowiada Torres.

„Jakie to szczęście, że mam cię obok siebie w tym jakże trudnym momencie”, myśli multimilioner.

11

Mail

Pokrywa wjazdu znajduje się u zbiegu ulic Hermosilla i General Pardiñas. Nie ma w niej nic wyjątkowego. To tylko zwykłe żelazne koło deptane codziennie przez setki osób.

Antonia rozgląda się dookoła, ale nie ma nikogo. Dochodzi pierwsza w nocy, a w tej okolicy nie ma barów ani turystów.

W drodze na spotkanie z Laurą Truebą Antonia zatrzymała się w sklepie „prawie wszystko za jedno euro”, żeby wydać siedem ze swoich ostatnich dziewięciu euro na łom. Jego końcówkę wprowadza teraz przy krawędzi pokrywy wjazdu. Z początku nie ustępuje (gdzie jest Jon, kiedy go potrzebuje), ale po kilku próbach udaje jej się włożyć końcówkę między pokrywę a krawędź. Potem jest już łatwo. Pokrywa się otwiera i Antonia odsuwa ją z wielkim wysiłkiem i piekielnym hukiem.

Schodki.

Zostało niewiele ponad pięć godzin.

„Lepiej, żebym się nie pomyliła”.

Siedząc na brzegu studzienki kanalizacyjnej, Antonia włącza telefon (teraz nie ma już znaczenia, czy ją znajdą, bo tam, gdzie się wybiera, nie mogą jej śledzić) i nagrywa wiadomość wideo, żeby wysłać ją mailem do babci Scott.

- Cześć, babciu. Zrobię to, co należy, chcę tylko żebyś wiedziała, że...

Robi pauzę. Trudno jej wypowiedzieć te dwa słowa.

- ...że cię kocham. I spójrz na to z pozytywnej strony - dodaje z drżącym uśmiechem - ostatecznie to ja miałam rację. Dziewięćdziesiąt trzy lata i przeżyjesz nas wszystkich.

Wysłała maila do babci, a potem wykonuje ostatni telefon.

Nie potrzebuje zadawać tego pytania, ale robi to mimo wszystko.

A Jon Gutiérrez odpowiada jedyne, co może odpowiedzieć.

Antonia wyłącza telefon i po raz ostatni rzuca okiem na cichą i pustą ulicę. Będzie burza, powietrze jest oburzone, wściekłe. Światła w domach są zgaszone. Po drugiej stronie okien normalni ludzie śpią, zmęczeni swoim normalnym życiem, nieświadomi istnienia potworów, które czają się pod ich stopami.

Antonia się uśmiecha i zaczyna schodzić w ciemność.

To nie jest szczęśliwy uśmiech.

12

Dylemat

- Zbudowano mnie na wodzie, moje mury z ognia są - mówi Antonia na głos, żeby dodać sobie otuchy.

Kiedy Antonia myśli o Madrycie, nie myśli o Puerta del Sol, o Muzeum Prado czy o Puerta de Alcalá. Nie, ona myśli o muralu przy placu Puerta Cerrada.

Kiedy Antonia przyjechała do Madrytu na studia, odmówiła zajęcia jednego z wielu mieszkań, jakimi Ambasada Zjednoczonego Królestwa dysponuje w stolicy. Chciała żyć z dala od wpływu swojego ojca, więc wynajęła małe studio przy ulicy Cava Baja. To były inne czasy.

Każdego popołudnia po powrocie z uczelni piła kawę w barze przy placu. Jeśli była ładna pogoda, siadała na tarasie ze swoimi notatkami naprzeciwko wielkiego muralu autorstwa Alberta Corazóna. Na fioletowym tle zanurzony w wodzie krzemień uderza o krzesiwo, które wydziela iskry. Wyżej znajduje się napis:

- Zbudowano mnie na wodzie, moje mury z ognia są - powtarza Antonia.

Tym razem ciszej. Tutaj, nisko, dźwięk działa w dziwny sposób.

Zeszła prawie półtora metra i teraz znajduje się w korytarzu serwisowym. Przystaje na chwilę, żeby uruchomić swój nowy nabytek, latarkę, na którą wydała swoje ostatnie dwa euro. Właściciel „prawie wszystko za jedno euro”, Chińczyk, który twierdził, że ma na imię Pepe, był tak uprzejmy, że nie zauważył, że Antonia chowa do tylnej kieszeni spodni kilka baterii.

Antonia wkłada baterie i wciska przycisk, trzymając kciuki. W końcu latarka za dwa euro z takiego sklepu zwykle działa na słowo honoru.

Diody LED się zapalają.

Antonia zagłębia się w korytarz serwisowy i zaczyna szukać między odnogami, tunelami i schodami. Korytarz serwisowy to nowoczesna konstrukcja zaprojektowana po to, żeby pomieścić światłowód, linię telefoniczną i elektroenergetyczną. To najpłytsza część podziemia. Żeby znaleźć to, czego szuka, będzie musiała zejść niżej, znacznie niżej. A nie wszystkie ścieżki są tak drożne. Na wielu z nich musi brodzić w śmierdzącej i lodowatej wodzie, w której unoszą się wszelkiego rodzaju odpadki. Woli nie myśleć o tym, co muska jej nogi albo przyczepia się do ubrań.

Gubi się wiele razy, musi zawracać. Buty przeciekają, nogi są mokre po kolana.

Czas ucieka.

Chociaż madrytczycy o tym zapomnieli, mural Corazóna przedstawia pierwszy symbol miasta Madryt datowany na XII wiek. Krzemień ze względu na to, że z tego kamienia zbudowano mury, a w nocy strzały najeźdźców wydobywały z niego iskry, które wyglądały jak ogień. A do tego to piękne motto po kastylijsku, które Antonia niczym mantrę wciąż powtarza cichym głosem, próbując się jednocześnie zorientować na podziemnej mapie pobranej z forum dla topografów. Mapa jest stara, sprzed ponad dwóch dekad, więc napotyka problemy. Ale to, czego ona szuka, nie ma dwudziestu, lecz tysiąc sto lat.

Arabowie, którzy założyli miasto w IX wieku, nazwali je Magerit, co oznacza „miejsce obfitujące w wodę”. Były tu dziesiątki strumieni, rzeczek i mokradeł. A pod nimi warstwa wodonośna o powierzchni ponad dwóch tysięcy sześciuset kilometrów kwadratowych i głębokości dochodzącej w niektórych miejscach do trzech tysięcy metrów powstała dziesięć milionów lat temu.

„Zbudowano mnie na wodzie”.

Antonia trafia wreszcie do kolektora ściekowego, otwartej przestrzeni na trzech poziomach, gdzie siedem średniej wielkości tuneli łączy się w ogromny kanał poniżej. W miarę jak światło latarki omiata gigantyczne betonowe usta, które wymiotują błotnistym płynem, Antonia bardzo się cieszy, że niczego nie czuje. Odpadki i nieczystości gromadzą się wszędzie. Bezkształtna masa wilgotnych chusteczek osadza się na kracie, która dzieli główny tunel na dwie części.

Na mapie nie ma już więcej wskazówek.

Antonia spogląda na zegarek. Minęła czwarta nad ranem.

Traci zbyt dużo czasu. I nie tylko to.

Przed sobą ma siedem tuneli, musi więc niektóre wykluczyć i iść dalej. Nie może przemierzyć ich wszystkich.

„Muszę być w odległości co najmniej pięciuset metrów”, myśli. „Ale każdy niewłaściwy zakręt, jaki obiorę, może się okazać fatalny”.

W pamięci przywołuje mentalną mapę miejsc, które przeszła, starając się znaleźć trasę, dzięki której będzie mogła się zorientować, lecz nie udaje jej się to.

Jej umysł jest zbyt pełny, zbyt spięty i płaci za małą ilość tlenu oraz zmęczenie.

Antonia wkłada rękę do kieszeni, gdzie w metalowym pudełeczku znajduje się ostatnia czerwona kapsułka. Musi wybrać. Jeśli weźmie ją teraz, żeby znaleźć drogę, możliwe, że kiedy dotrze do celu, jej działanie już minie.

Czterdzieści minut jasności umysłu, a później... koniec.

Znowu spogląda na zegarek.

„Nie wiem, którędy iść. A nie mogę sprawdzić wszystkich tuneli”.

„Jeśli nie wezmę tabletki, nie zdążę na czas”.

„Jeśli ją wezmę i zdążę...”

Nie będzie mógł stawić czoła Sandrze Fajardo i jej ojcu. Wie o tym.

Antonia siada na ziemi między przyprawiającymi o mdłości kałużami i wkłada kapsułkę pod język.

„Tylko ten raz. Ten będzie ostatni”, myśli. Rozgryza kapsułkę.

Potem liczy od dziesięciu do zera i schodzi po schodkach w stronę zdrowego rozsądku.

Carla

Geometria to coś wspaniałego.

Carla nigdy nie miała dobrych ocen z przedmiotów ścisłych. Starać się starała. Tacie bardzo na tym zależało, więc się starała. Ale nie była w tym dobra. Jednakże już jako osoba dorosła musiała pracować w szwalni należącej do firmy ojca. To była część jej szkolenia, które rozpoczęło się w jednym ze sklepów, gdzie całymi miesiącami składała ubrania, a zakończyło wraz z objęciem stanowiska dyrektorskiego jednego z działów firmy. Tymczasem, na jednym z poziomów w drodze na szczyt, ojciec wysłał ją do szwalni.

Nie do jednej z tych, które istnieją w prawdziwym świecie. W świecie, w którym prawdziwe osoby chcą się ubrać dobrze i niedrogo. W świecie, w którym jej ojciec i ona (tak, ona też) spełnili pragnienie tych prawdziwych osób, które w zamian zrobiły z nich milionerów, nie zadając niewygodnych pytań.

Nie, Ramón wysłał ją do jednej ze szwalni w Galicji. Jednej z tych, które mają po to, żeby pojawiały się na zdjęciu w raporcie rocznym, z dobrze opłacanymi i uśmiechniętymi pracownikami.

W jej drugim tygodniu w szwalni Carlę posadzono przy jednej z potężnych przemysłowych maszyn do szycia i wyjaśniono, co ma robić. Kiedy ją uruchomiła, niezauważalnie przesunęła rolkę podającą. Zanim zdążyła ją zatrzymać, igła wykonała biały ścieg na dziesięciu metrach materiału. Po okropnej przekątnej.

- Malutkie przesunięcie na początku każdej prostej i kończysz bardzo daleko od miejsca, w którym powinnaś być - powiedział jej kierownik szwalni.

Carla zmagazynowała tę wiedzę na samym dnie swojej pamięci, sądząc, że nigdy jej się nie przyda.

Aż do teraz.

Podarła swoją sukienkę na prostokątne paski, mniej więcej dwa razy większe od kafelków. W ciemności nie było to łatwe zadanie. Następnie owija pierwszy kafelek i próbuje włożyć go między drzwi a ścianę.

Nie wchodzi.

Carla stara się popchnąć drzwi ręką, żeby zyskać potrzebne milimetry, lecz drzwi ani drgną. Wcześniej udało jej się trochę je przesunąć, ale jej mięśnie ledwo reagują po tym, jak przez wiele godzin pracowała przy kafelkach przygarbiona. Już prawie nie ma sił.

„Gdybym mogła się chwilę przespać. Zamknąć oczy choćby na kilka minut”.

*Zrób to. Zrób to i już nigdy
ich nie otworzysz.*

Carla jest tak zmęczona, tak wyczerpana, że czuje tylko potężne oszołomienie. We własnym umyśle wykonuje krok do tyłu, oddając trochę więcej miejsca tej Drugiej Carli. To ona próbuje popchnąć drzwi plecami, by móc ją przesunąć, lecz gołe i brudne podeszwy stóp ślizgają się na wilgotnej podłodze. Wreszcie znajduje odpowiednią pozycję. Leżąc na plecach, opiera się nogami o ścianę, prawą dłoń przyciska do drzwi, a lewą próbuje wsadzić kafelek.

Porusza się.

Wchodzi.

Drzwi przesunęły się na zewnątrz zaledwie o kilka milimetrów, ale Carla cieszy się jak dziecko, czuje, jak fala euforii narasta od dolnej części pleców aż do karku, dreszcz oczekiwania. To nagroda od umysłu, ale także pułapka. Teraz nie może się zatrzymać.

Następny umieszcza pod spodem. Ostrożnie, żeby nie wyciągnąć pierwszego.

„Pięć centymetrów. Potrzebuję tylko pięciu centymetrów”.

„Gdyby tylko miała trochę więcej czasu, żeby wyrwać więcej kafelków...”

- Ale go nie masz. Pracuj dalej.

Tym razem ta Druga Carla nie odzywała się już w jej głowie. Tym razem użyła własnego głosu, własnego gardła, własnych strun głosowych. Carla zdaje sobie sprawę, że teraz dzieli powietrze, którym oddychają. I że jeśli wciąż będzie oddychać, kiedy wszędzie słońce, być może już nic z niej nie zostanie. Z tego, kim była wcześniej.

Jeśli wciąż będzie oddychać.

13

Przejście

Wspomagana czerwoną tabletką, Antonia przez długie minuty analizowała różne możliwości i doszła do wniosku, że powinna pójść jedną z dróg znajdujących się naprzeciwko niej. To ogranicza możliwości do zaledwie trzech tuneli.

Nie podoba jej się myśl pójścia tym środkowym, nie podoba jej się też powietrze w tym po lewej, które wydaje jej się duszne i gęste. W ostatnim biegną szczury: w ciemności słyszy ich piski.

„To dobry znak. Szczury oddychają tym samym tlenem co ja”.

Rusza przejściem po prawej.

Droga delikatnie się wznosi, po czym dwieście metrów dalej gwałtownie skręca i rozwidla się na dwie ścieżki. Woda płynie tu znacznie szybciej, co utrudnia posuwanie się naprzód. Ścieżka po lewej nie nadaje się do przejścia, jest zbyt wąska. Ta po prawej jest mniejsza niż główna i musi iść skulona, ale udaje jej się dojść do kolejnego rozwidlenia. Jest to przestrzeń wielkości dwóch metrów kwadratowych, tak niska, że musi niemal uklęknąć.

„To tutaj”, myśli Antonia. „To tutaj umarł Fajardo”.

Wskazówki, jakimi dysponowała Antonia, żeby znaleźć to miejsce, były nieliczne. W raporcie dotyczącym jego śmierci wspomniano o „końcu nieużywanej podziemnej instalacji wodnej w odległości trzystu metrów od węzła wodociągowego numer 78”.

To w tym miejscu.

Kanat. Podziemna instalacja wodna zbudowana przez Arabów wiele wieków temu. Wysoki na metr dziewięćdziesiąt, szeroki na siedemdziesiąt centymetrów – podziemny kanał. Jeden z setek zapomnianych korytarzy wykopanych w podziemiach przez mieszkańców dawnego Mageritu.

Kanaty stanowiły główne źródło zaopatrzenia miasta w wodę aż do XIX wieku, kiedy nowoczesne techniki budowlane i materiały zastąpiły to monumentalne dzieło. Ponad sto kilometrów wwierconych w samo serce ziemi. Bezużyteczne i zapomniane, te architektoniczne cuda pozostały nienaruszone.

Według raportu w trakcie sprawdzania tunelu detektor gazów, który miał przy sobie kolega Fajarda, wydał dźwięk. Fajardo, który szedł przodem, nie usłyszał go i kontynuował pracę. Jego kolega go zawołał, lecz było już za późno. W rozwidleniu nagromadził się metan, wypierając tlen z wnętrza kanatu. Kolega Fajarda wciąż go wołał i wtedy doszło do wybuchu. Część tunelu się zawaliła. Kolega ruszył po pomoc, ale w tym tak wąskim miejscu wydobyć ciało Fajarda zajęło sześć dni.

Na zewnątrz kanatu wciąż znajdują się pozostałości gruzu. Taśma policyjna odpadła z jednej strony i zwisa teraz smętnie na jednym z końców.

Technicy oczyścili tunel wystarczająco, żeby wyciągnąć ciało jego kolegi, lecz w środku zostawili sporą ilość gruzu.

„Tyle że to, co zabrali, to nie było ciało jego kolegi”, myśli Antonia, przedzierając się przez gruzy. Kamienie ranią jej przedramiona i kolana, ale udaje jej się przejść. Kiedy wyłania się po drugiej stronie, kaszląc i cała w kurzu, nabiera coraz większej pewności, że intuicja jej nie zawiodła.

Brakuje jej szczegółów, ale wie wystarczająco.

Fajardo oszukał swojego kolegę. Kiedy znajdował się już poza zasięgiem jego wzroku, zdetonował bombę. Metan sam w sobie nie mógłby spowodować, że opadłaby taka ilość gruzu. Fajardo musiał dorzucić własne składniki. Ale ze względu na alarm wykrywacza gazów i zeznanie jego kolegi, nikt nie przyjrzał się dokładniej wypadkowi, który

przytrafił się temu samotnemu i uciążliwemu mężczyźnie. Ograniczono się jedynie do wyciągnięcia ciała na powierzchnię.

„Ciało. Ciało podobnej budowy, co Fajardo, ubrane w uniform Fajarda, poparzone i zmiażdżone przez pół tony gruzu. Nikt nie przyjrzał mu się dokładniej. Tylko szybko go pochowano i sprawę odłożono do akt”.

„Mieli go pod nosem. I go nie widzieli”.

Teraz Antonia zaczyna rozumieć, jak funkcjonuje umysł Ezequiela. Brakuje jej jeszcze wielu szczegółów. Nie wie na pewno, w jaki sposób Sandra Fajardo zdołała upozorować własną śmierć, chociaż ma wiele możliwych teorii. Nie wie też, skąd Nicolás Fajardo wziął ciało, które udawało jego zwłoki, chociaż dla policjanta to całkiem proste.

„Jak ja bym to zrobiła? Prawdopodobnie wzięłabym z kostnicy Policji Sądowej. Albo jeszcze lepiej: z Wydziału Medycyny Uniwersytetu Complutense”.

W piwnicy uczelni bez żadnej kontroli piętrzą się setki ciał, zapomnianych marionetek dla studentów. Antonia była tam kiedyś z powodu bardzo skomplikowanej sprawy. Setki ciał z żyłami i jamami pełnymi formaldehydu, z wyschniętymi kończynami wystającymi spod białych prześcieradeł. Oddzielone nogi i ręce, ucięte głowy z opuchniętymi językami i wszelkiego rodzaju elementy, które swego czasu były ludźmi. Ludźmi, którzy oddali swoje ciała dla nauki, żeby w przyszłości inni mogli przeżyć, a oni leżą tu dziś zapomniani. Tak łatwo byłoby położyć jedno z tych ciał na noszach...

„Dość”.

Te wszystkie szczegóły i procedury, choć fascynujące, są rozgąszczeniami, które kusząco rozciągają się w jej myślach, lecz ona nie może się nimi teraz delektować. Gdyby złożony umysł Antonii nie znajdował się pod słabnącym działaniem czerwonej kapsułki, mógłby zatracić się w nich na wiele godzin. Ale nie może sobie na to pozwolić.

Czas się kończy.

Teraz najważniejsze pytanie brzmi: gdzie? Ale po tym, gdy już w miarę zrozumiała jak, Antonia ma coraz większą pewność, że trafiła w miejsce, w którym ukrywa się Ezequiel.

Lubi napawać się tym, że jest od nas bystrzejsza. Najpierw fałszywa tablica rejestracyjna taksówki, którą wzięła ze swojego rozbitego samochodu. Później śmiertelna pułapka, jaką zastawiła na nas w swoim dawnym mieszkaniu. Wszystko obraca się wokół tego, co jest jej znajome.

A gdzie całymi miesiącami mógłby się ukrywać ktoś, kto nie żyje, ktoś, kto nie może używać pieniędzy ani podpisywać dokumentów? Jakie miejsce wybrałby ktoś przyzwyczajony do poruszania się pod ziemią niczym ryba w wodzie, kto doskonale zna każdy sekret kryjący się pod ziemią Madrytu?

Wskazówkę dostała dzięki odległemu stukotowi, który usłyszała podczas pauzy w rozmowie.

Odpowiedź znajduje się niespełna dwieście metrów od miejsca, w którym Fajardo upozorował swoją śmierć.

Antonia pokonuje kanat, świadoma, że czasu jest coraz mniej. Ale mimo to przystaje, wyjmuje telefon i otwiera aplikację notatek głosowych. Głośno i wyraźnie nagrywa wiadomość, po czym idzie dalej.

Na końcu kanatu znajdują się drzwi. Stare. Szare żeliwo z ciężkim kołem jako gałką.

Antonia kładzie rękę na pręcie, który uruchamia koło. Chce już przekręcić, kiedy przygląda się uważniej i dostrzega coś, czego nie powinno tu być.

Czarny kabel elektryczny. Zakamuflowany za dźwigniami całego mechanizmu. Antonia by go nie zauważyła, gdyby jeden z kawałków masy klejącej, którą przymocowano kabel, nie stracił swojej przyczepności i się nie poluzował.

Oświetla kabel latarką, aż do górnej części drzwi. Nad futryną sprytnie umieszczono długą i grubą taśmę z bezkształtnej masy. Antonia jest przekonana, że nie chce, aby do tej bezkształtnej masy dotarł jakikolwiek impuls elektryczny.

„Na końcu kabla jest kontakt. Jeśli koło się przekręci... Bum”.

Była o krok od śmierci. Tłumi jednak okrzyk tryumfu.

Bomba pułapka może oznaczać tylko jedno.

Ezequiel jest bardzo blisko.

Antonia nie zna się na dezaktywacji bomb. Ale urządzenie jest prymitywne. To tylko kabel w bardzo prostym urządzeniu. Ostatnie zabezpieczenie kogoś, kto jest przekonany, że nikt tędy nie wejdzie. Ale na wszelki wypadek...

„Muszę pociągnąć za kabel tak, żeby nie doszło do kontaktu. A później przekręcić koło”.

Czas dla Carli Ortiz dobiega końca. Tak więc Antonia się nie zastanawia, tylko pociąga za koniec kabla i życzy sobie powodzenia. Zamyka oczy, zaciska zęby.

Wybuch nie następuje.

Antonia z wielkim wysiłkiem przekręca koło, wywołując zgrzytanie i protesty dwóch dźwigni, które odblokowują drzwi.

Patrzy na zegarek. Jest szósta rano. Carli Ortiz zostało czterdzieści siedem minut.

Zanim wejdzie, ostatnią myśl poświęca Jonowi.

„Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że masz oczy szeroko otwarte”.

Carla

Siódmy kafelek nie może wejść.

Poprzednie wciskała z największą starannością, za każdym razem zyskując kilka milimetrów. Ten proces wygląda tak samo jak wpychanie ostatniej książki na pełną półkę. Najlepszym sposobem jest wysunięcie dwóch książek na tyle, żeby umieścić tę trzecią między nimi.

Nacisk kafelków między drzwi a framugę sprawił, że drzwi stopniowo się podnosiły, oddzielając się ledwie o kilka centymetrów w górnej części. Ale to za mało.

Carla próbuje włożyć rękę, lecz zatrzymuje się na nadgarstku. Potrzebuje jeszcze jednego kafelka.

Siódmy jednak stawia opór. Ciężar, jaki unoszą poprzednie jest już tak duży, że nie może rozdzielić ich na tyle, żeby wcisnąć ostatni. Nie wspominając o tym, że musi je jednocześnie przytrzymywać wewnętrzną częścią dłoni, naciskając do góry, żeby nie wypadły. I całą tę czynność musi wykonać tylko jedną ręką, lewą, ponieważ prawej potrzebuje do popychania drzwi na zewnątrz.

Od wielu godzin trzyma ręce w górze, więc jej mięśnie są całkowicie zdrętwiałe. Robiła krótkie przerwy, żeby wrócić krążenie, lecz jej ciało jest słabe i odwodnione i nie reaguje. Jest u kresu sił. W każdej chwili może stracić przytomność.

„Dotarłam tylko do tego miejsca”, myśli.

- W porządku - odpowiada jej głosem ta Druga Carla. Która teraz coraz bardziej staje się Prawdziwą Carlą. Tą, która dowodzi. Tą, która przywiodła tutaj je obie. - W porządku, poddaj się. Zwracaj uwagę na ból, zwracaj uwagę na wyczerpanie. Poddaj się cztery milimetry przed metą.

„Daj mi spokój”.

- Mam nadzieję, że cię tu znajdą, żeby twój ojciec zobaczył, że miał rację. Że nie było warto wszystkiego niszczyć, żeby cię ratować.

„Nie, nie”.

- Bo nigdy nie stanęłaś na wysokości zadania.

Upokorzona i wściekła Carla wciska ostatni raz, napina całe ciało, udaje jej się poruszyć drzwi i przytrzymać je wystarczająco. Siódmy kafelek wchodzi. Ledwie jedna trzecia jego długości.

Wyczerpana, oddychając z trudem, Carla robi sobie przerwę. Ból wypełnia jej sztywne ręce.

- Nie przestawaj - szepcze ta Druga Carla. - Właśnie teraz zaczyna się najważniejsze.

Carla się podporządkowuje, odwraca się, żeby w ciemności włożyć rękę przez otwór. Zanim to robi, krótka myśl przelatuje jej przez głowę. Że po drugiej stronie, w ciemności, nieuchwytnie kształty z dzieciństwa przybrały postać mężczyzny z nożem, czającego się w mroku, z gotowym ostrzem, czekając, aż ona wyciągnie rękę, by wbić je w jej wewnętrzną część dłoni.

„Niech się odważy”, myśli.

Wyciąga rękę.

Klinuje się w połowie przedramienia, ale opuszkami palców udaje jej się musnąć linę.

Musi tylko za nią pociągnąć. Ale jest za daleko.

- Żeby ją przybliżyć, musisz ją przeciąć.

Carla ponownie wkłada rękę. Kiedy znowu wystaje na zewnątrz, tym razem w palcach mocno trzyma połowę kafełka.

14

Tunel

Jon Gutiérrez nie lubi opuszczonych tuneli.

To nie kwestia estetyki, bo prawie niczego nie widzi. Nie ma światła, więc nie musi widzieć swoich spodni od garnituru, które pobrudził i rozdarł, skacząc z peronu.

Jona Gutiérreza w opuszczonych tunelach wnerwia to, że są pełne ładunków wybuchowych.

„Przeklęte bomby pułapki”, myśli Jon. „W Bilbao to się już nie zdarza”.

– Musisz wejść punktualnie o szóstej rano, gdy tylko otworzą metro – powiedziała mu Antonia Scott, kiedy zadzwoniła do niego pięć godzin temu. – Będziesz miał bardzo mało czasu na dotarcie.

– Powiadomię kogoś. Ty i ja sami...

– Nie, Jon. To mój syn. Nie chcę mieszać do tego nikogo więcej.

Jon starał się zapamiętać wskazówki Antonii.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Im będziesz bliżej, tym większe prawdopodobieństwo, że trafisz na bombę. Tunel jest bardzo szeroki, więc wyzwalacz zapewne jest na ziemi albo nieznacznie nad. Idź ostrożnie. Nie nadeptuj żadnego miejsca, którego nie możesz zobaczyć.

Gdy tylko pierwszy pociąg przejeżdża przez pusty peron na stacji Goya, Jon zeskakuje na tory. Droga do bocznego tunelu jest ukryta za metalowymi drzwiami, zamkniętymi na grubą starą kłódkę. Tyle że ta pozornie nienaruszona kłódka niczego nie trzyma. Kiedy Jon przekreca gałkę, kłódka porusza się razem z drzwiami.

„No to idziemy”.

Powietrze w tunelu jest stęchłe, gorzkie. Ze ścian się sączy, a farba to tylko biaława pozostałość między plamami wilgoci. Cisza jest przerywana jedynie przejeżdżającymi pociągami linii numer dwa.

- To sto siedemdziesiąt metrów - powiedziała Antonia. - Właściwie cały tunel znajduje się na zakręcie, z wyjątkiem prostej na końcu, ale będziesz musiał uważać. Jeśli zobaczą, że się zbliżasz, będziesz łatwym celem.

Co oznacza, że będzie musiał zgasić latarkę i ostatnie trzydzieści metrów pokonać po ciemku.

Jon idzie bardzo powoli, patrząc pod nogi. Na środku zebrał się zielonkawy cuchnący szlam, wypełniający zagłębienia, w których dawniej znajdowały się tory.

„Nie nadeptuj żadnego miejsca, którego nie możesz zobaczyć”.

Jon bardzo ostrożnie wybiera, gdzie stawia stopy. Szlam nie pokrywa całego cementu, więc opiera swój ciężar tylko w suchych miejscach. Czasami musi stawiać kroki po przekątnej, innym razie długie na dziewięćdziesiąt centymetrów.

Idzie bardzo powoli. I całe szczęście.

Pierwsza pułapka to prawie niewidoczny kabel. Przecina tunel z jednej strony na drugą, przytwierdzony do ściany wkrętem. Drugi koniec ginie w szlamie.

Jon się schyla i wykorzystuje jedną ze swoich chusteczek, żeby usunąć część zielonkawego błota z zagłębień, w których kiedyś leżały tory.

Spod spodu wystaje niebieski plastik, którym coś jest owinięte. Jon nie wie, co to, ale jest pewien, co by się stało, gdyby kabel się zerwał. Znowu wstaje i ostrożnie przechodzi nad kablem.

Jon nie traci czujności. I całe szczęście.

Druga pułapka znajduje się niemal od razu po pierwszej. Tyle że tym razem to nie jest kabel. Jon zauważa ją prawie że przypadkiem, ponieważ latarka odbija się w soczewce emitera podczerwieni

umieszczonego na ścianie. Dziesięć euro w każdym sklepie z elektroniką. Identyczny jak te w windach.

Przyklejony do ściany, inspektor Gutiérrez musi dokonywać akrobacji, żeby przejść nad czujnikiem zamontowanym pół metra nad ziemią. Kiedy udaje mu się odejść kawałek dalej, oddycha z ulgą.

Podejrzewa, że gdyby przerwał komunikację między dwoma czujnikami, świat wokół niego zrobiłby bum.

Osiemdziesiąt metrów dalej trafia na kolejną pułapkę. Jest identyczna jak ta pierwsza, tyle że tym razem kabel umieszczono tak nisko przy ziemi, że jest właściwie niewidzialny. Zresztą Jon go nie widzi, kiedy nad nim przechodzi. Tylko czystym przypadkiem na niego nie nadeptuje. Zdaje sobie sprawę z jego obecności, obłany zimnym potem, kiedy widzi przed sobą drugi i trzeci czujnik na podczerwień. Umieszczone na różnych wysokościach. Pół metra i metr nad ziemią.

„Ja pierdołę”, myśli Jon.

Bo jak niby ma tędy przejść?

Nie pozostaje mu nic innego, tylko się przeczołgać i mieć nadzieję, że na ziemi nie ma kolejnego kabla.

Inspektor Gutiérrez rzuca się więc w błoto i przeczołguje się pod czujnikami. Wyłania się po drugiej stronie. Garnitur, ręce i twarz są umazane w śmierdzącym szlamie, a on ma odruch wymiotny. Zapach, który wciska się do nozdrzy, jest absolutnie ohydny.

Nie może się powstrzymać i wymiotuje, jeszcze na czworakach. Obrzydzenie bierze górę nad jego ciałem, kontroluje je i porusza nim mimowolnie, niczym mięsień pod wpływem prądu elektrycznego. Wypluwa ślinę, przełyka, znowu wypluwa jeszcze więcej śliny. Kiedy otwiera oczy

(jeszcze żyję, cholera, jeszcze żyję)

odzyskanie kontroli zajmuje mu dłuższą chwilę.

Czuje się brudny.

Nie mając chusteczki, którą mógłby się wytrzeć, Jon zdziera z siebie marynarkę i próbuje usunąć sobie z brody lepki szlam i jak najlepiej

wyczyścić dłonie, wykorzystując do tego jedwabną podszewkę. Zostawia za sobą tę część garderoby, która już do niczego się nie nadaje.

„Nie ma takiej pralni, która by to wyprała”, myśli.

Zostaje w samej koszuli. Pod nią prześwituje słowo POLICJA na kamizelce kuloodpornej. Ale niedużo. Koszula jest z egipskiej bawełny i kosztowała fortunę.

Nadeszła pora podjęcia decyzji. Bo przeczuwa, że kawałek dalej tunel już się kończy. Teraz, kiedy diody LED są pokryte błotem, dostrzega słabe światło przenikające przez krzywe ściany.

- Na końcu będzie prosta. Kiedy tam dotrzesz, zgaś latarkę - powtórzyła mu Antonia. - Bo cię zobaczą.

- A jeśli na ostatnich metrach będzie jakaś pułapka, to co wtedy?

Antonia nie odpowiedziała na to pytanie.

Jon gasi latarkę. Nadszedł moment, by szedł na oślep, wiedziony jedynie słabym blaskiem, który ma przed sobą.

Przemierzając się w ciemności, mając za jedyny punkt odniesienia ścianę, do której przykleił się plecami i rękami, Jon jest ogromnie świadomy swojego ciała. Mięśnie zeszywniałe od napięcia. Żołądek jest teraz pustym supłem napierającym na przeponę. Serce wali jak młot. Krew dudni w uszach. Szczęka jest obolała od zaciskania zębów. Oczy spragnione informacji. Wyciągnięte opuszki palców czują każdą plamę wilgoci. Świat jest przepaścią, a ciemność nie zapewnia schronienia, tylko niebezpieczeństwo.

Myśli o swojej śmierci, która wydaje mu się nieunikniona. O wszystkim, co kiedyś chciał zrobić, a zrezygnował, bo jutro też będzie dzień. O *amatxo*, której nie powiedział *agur**.

Trzydzieści metrów. Jeszcze trzydzieści metrów, nie wiedząc, czy następny krok nie natrafi na kabel albo nie przetnie obwodu dwóch czujników podczerwieni. Nie wiedząc, czy następny krok nie będzie ostatnim. Nie wiedząc tak naprawdę, dlaczego idzie dalej. Pewność rozpuściła się w pełnej kwasu misce strachu. Obowiązek, honor, dobroć -

teraz to tylko słowa, zlepki liter bez żadnego znaczenia. Których jego ciało nienawidzi, żadne przetrwania.

„Jeśli chcesz żyć sto lat”, myśli Jon, „nie żyj tak jak ja”.

* Agur (bask.) – do widzenia.

15

Sekret

Po drugiej stronie kanatu i drzwi pułapki jest korytarz serwisowy.

Ale ten jest o dziesiątki lat starszy niż tamten, który Antonia znalazła na początku swojej drogi. Od tamtego czasu minęły godziny, które wydają się już dniami. Teraz jest opuszczony. Po ludziach, którzy go przemierzali, pozostały jedynie ślady. Ceramiczna reklama na ścianie oferuje „Lampy Castilla, wszystko, co najlepsze dla Twojego radia, skrytka pocztowa 242, Madryt”. Kolejna kawałek dalej przekonuje, że „Pałac Ideales, zachowasz szczupłą sylwetkę! Dostępne w kioskach Compañía Arrendataria de Tabacos”.

„Lata trzydzieste”, oblicza Antonia w myślach. Zanim stało się korytarzem serwisowym, to było publiczne przejście podziemne. Zamknięte dawno temu, dedukuje, widząc, jak gwałtownie się kończy. Goła ceglana ściana prawdopodobnie zasłania dostęp do ulicy.

Przeciwnie strona tunelu prowadzi do miejsca, które jest zamknięte od prawie pół wieku.

Do miejsca, które teraz stanowi kryjówkę Ezequiela.

Madryckie metro skrywa wiele sekretów.

Jednym z nich jest stacja widmo, opuszczona dekady temu. Swego czasu była częścią jedyne odgałęzienia linii numer dwa, która łączyła Goyę z Diego de León. Otwarta w 1932 roku, przestała być używana dwadzieścia sześć lat później, kiedy zmieniła się trasa i zainaugurowano linię numer cztery. Ta ogromna infrastruktura została wyłączona z użytku dla mieszkańców, ale pracownicy podziemia znaleźli dla niej

nowe zastosowanie. Nocami, kiedy metro przestawało jeździć, maszyniści wykonywali ostatni kurs.

Był on znany jako „pociąg pieniędzy”.

Sześćdziesięciu krzepkich mężczyzn odbierało tysiące monet, które kasjerki uzbierały w ciągu całego dnia, i wsypywali je do wielkich worków, które potem przynosili do pociągu pieniędzy. Następnie transportowali je na stację widmo Goya bis, gdzie wrzucali worki na duże podłużne stoły na peronie. Tam aż do wczesnych godzin porannych liczyli drobniaki. To, czego nie zdążyli przeliczyć, gromadzono w wielkich sejfach stworzonych na miarę przez renomowaną firmę Fichet. Tylko dwaj najstarsi i najbardziej zaufani pracownicy znali szyfr do sejfów.

Na początku lat siedemdziesiątych to miejsce zostało opuszczone. Pracowników przeniesiono, a pociągi pieniędzy zlikwidowano. Do zbierania wpływów z biletów wprowadzono nowe metody.

Goya bis już naprawdę zamieniła się w stację widmo. Została pozbawiona elektryczności, a tory, które do niej prowadziły, zostały zabrane i wykorzystane w innych miejscach sieci metra. Natomiast wiodący do niej blisko dwustumetrowy tunel został zablokowany drzwiami, przez które już nikt nie przechodzi.

Miejsce, o którym wszyscy zapomnieli.

Idealna kryjówka.

Antonia analizuje przejście przed sobą. Na końcu są dwie pary schodów prowadzące na peron. Oblicza liczbę kroków, które będą potrzebne.

Gasi latarkę.

Ściany są pokryte białymi kafelkami, które odbijają światło niczym lustro, mimo że są pełne kurzu. Nie chce powiadamiać wrogów o swojej obecności.

Resztę drogi będzie musiała przebyć po ciemku.

Czas nie jest już linią prostą, zniknął w ogniu pilnej potrzeby. Jej życie (to, kim jest i dlaczego) nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko

niepewna i niebezpieczna terażniejszość. Teraz los Jorgego, Carli Ortiz, jej własny nie leży już całkowicie w jej rękach.

Cały ten ogromny wysiłek na nic się nie zda, jeśli – gdy przystąpi do realizacji planu – Jon nie wypełni swojej części zadania.

Teraz musi zrobić to, przed czym zębami i pazurami wzbraniała się przez całe życie: zaufać drugiemu człowiekowi.

Ezequiel

Tej nocy Nicolása dręczyły duchy.

Próbował zasnąć, ponieważ czekał go trudny, niebezpieczny dzień i potrzebował energii. Śmierć, którą rozważał ostatniej nocy (jako rozwiązanie, jako pożądane błogosławieństwo), teraz wydaje mu się niemożliwa. Piekło, gdzie karaluchy nie giną, a ogień nie gaśnie, jest prawdziwe. Teraz to wie, ponieważ powiedziały mu o tym duchy. Tej nocy stały w kolejce, żeby go odwiedzić, żeby wślizgnąć się między siennik a stos ubrań, który służy mu za poduszkę, żeby go torturować. Duchy. Chłopak, z którego upuścił krew, policjanci w jego dawnym mieszkaniu. Jego córka Sandra. Ona nie mówiła, tylko patrzyła na niego tymi smutnymi oczami, z powiekami do połowy masztu typowymi dla kogoś, kto żyje życiem, na które nie zasługuje.

Sandra przypomniła mu tym spojrzeniem o rzeczywistości, od której on ucieka od wielu miesięcy.

„Nie jesteś martwa. Nie chcę, żebyś była martwa”.

Ezequiel wierci się na sienniku. Przed sobą widzi (a może mu się śni) gniazdo, w którym ptak o czarnych piórach składa jajo, po czym odlatuje. Budzi się, pali go skóra, ale się nie poci, bo trawi go gorączka, wysoka gorączka, która powoduje, że ma ciężką głowę i obolałe ręce. W kieszeni koszuli schował sobie tabletki ibuprofenu, ostatni blister z opakowania. Sięga po niego. Czuje pod palcami, że wszystkie przezroczyste przegródki są puste, a ich małe sreberka zwisają smutno.

Podnosi się na tyle, żeby przekręcić pokrętło lampy gazowej. Niebieska butla jest prawie pusta, niedługo trzeba będzie ją wymienić, ale zostało wystarczająco, żeby oświetlić sporą część peronu. Przy ścianie

stoją dwa wielkie wysokie sejfy. Między nimi przejście, które prowadzi do pokoju, który kiedyś służył za biuro, a w którym dziś śpi Sandra
(nie jest martwa)

obok dziecka, małego dziecka, które nie przestawało płakać, odkąd go tu przyprowadzono, i które teraz najwyraźniej padło z wyczerpania.

Sandra wstała. Słyszysz, jak otwiera drzwi biura i idzie tutaj.

Nicolás wie, co mu powie. Noc się kończy, nadszedł czas. Kobieta będzie musiała dołączyć do duchów. Sandra wymyśliła sposób, szczególnie okrutny. Wyjaśniła mu też, co zrobią później z ciałem. Porzucą je o świcie przed jednym ze sklepów jej ojca. Gdzie wszyscy będą mogli je zobaczyć. Sandra mówi, że nadszedł czas, by skończyć z ukrywaniem się. Że nadeszła pora, by świat poznał jej dzieło.

Nicolás nie chce.

Wzrokiem szuka na stole swojego zeszytu, ale jest bardzo daleko, a ona już tu jest, ubrana w niebieski kombinezon, na którym zostały jeszcze zaschnięte brązowe plamy. Pocieszenie w postaci spowiedzi będzie musiało poczekać kilka godzin. Do tej pory dołoży nową porcję grzechów. I więcej plam na kombinezonie.

- Mam nadzieję, że wypocząłeś - mówi Sandra. W jej głosie nie ma ironii ani okrucieństwa, ona nie wie o duchach. Nie ma w nim też słodyczy ani prawdziwego zainteresowania. W tym neutralnym przerażającym głosie nie ma nic więcej oprócz wyrażenia własnego pragnienia, własnej potrzeby.

Nicolás nabiera w tym momencie (to krótki moment) przekonania, że duchy mają rację. Mgła, która od miesięcy przesłaniała jego myśli, teraz się podnosi i przez sekundę Nicolás widzi rzeczywistość taką, jaka ona jest. Zamierza powiedzieć Sandrze, żeby wyszła. Tak będzie lepiej, wyjdzie i nic nie powie.

Potem mgła znowu opada, myśl go opuszcza, moment mija.

- Przyprowadź już kobietę - nakazuje Sandra.

Nicolás patrzy na zegarek. Czarny. Nylonowy pasek. Duża kwadratowa tarcza. Dziwny przedmiot w tym miejscu, sługa porządku

w labiryncie chaosu.

- Zostało jeszcze jedenaście minut.

Sandra wzrusza ramionami.

- Nie ma sensu tego przedłużać.

Przyniosła grube skórzane paski. Podaje je Nicolásowi irytującym, rozkazującym gestem.

Nicolás patrzy na rękę Sandry, jakby zwisały z niej dwa jadowite węże. On owszem, chce to przedłużyć. Przełożyć o kilka godzin. Po nocy, której był dręczony przez duchy, ostatecznie, czego chce, to przywiązać te narzędzia tortury, poczuć miękkie, delikatne i drżące ciało kobiety pod tymi pasami. Może jutro, kiedy zdoła już napisać coś w swoim zeszycie, stworzy opowieść, która nada sens temu, co się z nim dzieje. Temu, co robi.

- Jakiś problem?

Sandra ma w oczach dziwny błysk. Oczywiście jest w nich groźba, ale i coś jeszcze. Kalkulacja. Arytmetyka. Nicolás nie wie, co takiego szacuje, czy Sandra próbuje określić, czy może się jej jeszcze przydać, czy też wręcz przeciwnie, nadszedł czas, żeby zostawić wyczerpanego konia. Nicolás tego nie wie, lecz wyczuwa zagrożenie, podobnie jak psy, kiedy ich właściciele przygotowują się do wyjścia z domu i zostawiają je same na wiele godzin.

- Żaden problem - potwierdza Nicolás, wyciągając rękę i biorąc pasy.

Sandra jeszcze ich nie puściła, gdy dobiega ich głos.

- Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam.

Dawno temu Nicolás wybrał się ze swoją córką do zoo. W pawilonie z węzami był pyton birmański. Kiedy podeszli bliżej, gad odwrócił głowę dokładnie tak samo, jak w tej chwili odwróciła ją Sandra w stronę dźwięku.

Pochodzi ze schodów na końcu peronu.

- Przykro mi, że swoją obecnością zniszczyłam to, czym się właśnie państwo zajmowali - odzywa się ponownie głos Antonii Scott.

Sandra puszcza pasy, które zostają w rękach Nicolása. Nachyla się nad stołem i bierze pistolet oraz jedną z latarek.

- Zabij chłopca - rozkazuje mu. - Ja się tym zajmę.

Nicolása nie przeraża rozkaz, tylko towarzyszący mu uśmiech. Jak gdyby Sandra czekała na to najście. Jak gdyby właśnie tego pragnęła najbardziej na świecie.

Carla

Trzy minuty wcześniej

Lina jest już prawie przecięta.

Skóra na jej przedramionach jest zdarta w wielu miejscach, a jej ramiona protestują, bo przez długie godziny trwały w tej samej pozycji, ale zostało jeszcze tylko kilka nitok.

Ostatnim wysiłkiem udaje jej się dokończyć pracę. Gdy tylko lina pęka z łagodnym trzaskiem, ogromny ciężar metalowych drzwi opada na jej ramię, przygniatając je. Ból jest nieludzki, lecz ona nie puszcza liny, której złapała się z całych sił.

Trzyma w zębach kawałek kafelka i zaczyna ciągnąć, zdzierając jeszcze więcej skóry z przedramion, która zostaje na zardzewiałych krawędziach drzwi. Udaje jej się chwycić ją także lewą ręką i ciągnie dalej. W jej sercu nie ma nadziei, nie ma też pewności, że przeżyje. Jedyne silna potrzeba, by wciąż oddychać. Ból jest drugorzędny, ból jest akceptowalny. Ból to życie, tytaniczny wysiłek to życie. Nieznośne pragnienie, żrący płyn, który gotuje jej się w płucach, błagając, by zaniechała swojego wysiłku, to życie. Poddać się to śmierć.

Dwie piędzi. Trzy. Kafelki, których użyła jako ogranicznik, spadają na ziemię, a hałas, jaki robią, wydaje się Carli głośny niczym syrena strażacka.

Musi się pospieszyć. To niemożliwe, żeby tego nie usłyszeli.

Zaczyna się powoli czołgać do otworu, który udało jej się właśnie stworzyć. Nie może puścić liny. Gdy to zrobi – drzwi opadną. Dźwięk mógłby zaalarmować porywaczy, o ile nie zrobiły tego już spadające kafelki.

Wydaje jej się, że w oddali słyszy głosy, jeden głośny głos kobiety, lecz nie zwraca na to uwagi.

Ciało znajduje się już prawie na zewnątrz. Wciąż jednak trzyma wyciągniętą rękę, z trudem przytrzymując metalowe drzwi.

Po drugiej stronie celi wylania się ta Druga Carla. Dawna Carla wydaje jej się teraz daleką krewną, w rodzaju tych, które spotykasz na ślubach i której imię ktoś musi podpowiedzieć ci na ucho, zanim się z nią przywitasz.

To właśnie na prawą rękę tej Drugiej Carli opadają drzwi (wydając przy tym delikatny dźwięk), kiedy opuszczają ją siły.

Kiedy była mała, Carla (ta dawna Carla) pobiegła na oczach swojego ojca, żeby nie dopuścić do tego, by brama garażowa się zamknęła. Jedna z tych wielkich bram garażowych zamykanych poziomo. Wsadziła rękę, żeby dotknąć fotokomórki, zanim zamknęłaby się całkowicie. Ale się spóźniła. I brama ją przycisnęła. Dawna Carla krzyczała i płakała przez całą drogę do szpitala. Została jej brzydka blizna na przedramieniu i lekko zapadnięty mięsień – nadal widoczne mimo upływu kilku dekad.

Ta Druga Carla, Nowa Carla, nie robi nawet najmniejszego hałasu. Nie wypuszczając kafelka, zagryza wewnętrzną część policzka, żeby odwrócić uwagę od bólu, który czuje w przedramieniu. Carla jest teraz uwięzionym, niebezpiecznym zwierzęciem. Byłaby gotowa odgryźć sobie rękę, byle tylko się stąd wydostać. Musi się obrócić i przykucnąć, by ostatkiem sił podnieść drzwi na zawiasach i uwolnić przedramię.

Drzwi opadają z trzaskiem.

Carla jest wolna.

Fakt, że jest tam sama, w niepewnym półmroku, wywołuje w niej strach, jakiego nie czuła wcześniej. Strach, że utopi się na płyciźnie po przepłynięciu wpraw wzburzonego morza.

Teraz ciało domaga się od niej, żeby uciekała, biegła w którymkolwiek kierunku. Po jednej stronie korytarza dostrzega delikatne światło, przeczuwa więc, że to nie jest odpowiednia strona. Wie to. Nowa Carla wie różne rzeczy. Po przeciwległej stronie jest tylko większa ciemność, w której znajduje się jedynie wysepka światła.

Rusza do drzwi.

Drzwi pokoju, który znajduje się tuż obok jej celi. Drzwi z drewna i szkła. Drzwi, przez które znowu słyszy płacz dziecka, które woła swoją mamę.

„To pułapka. Uciekaj. Uciekaj”.

Ale nie może uciekać. Musi się dowiedzieć.

„Muszę się dowiedzieć”, myśli, przysuwając się do drewnianych drzwi.

Może i jej ciało błaga, żeby lepiej się nie dowiadywała, ale ona już zbyt dużo czasu – całe życie – odwraca się plecami do prawdy, żeby ustąpić i tym razem.

Pokój jest malutkim biurem oświetlonym lampą gazową, meble odsunięto na bok, żeby na podłodze zrobić miejsce na materac. Po drugiej stronie, przywiązany do rury taśmą klejącą za jeden nadgarstek, siedzi chłopiec. Ubrany w szare spodnie i zielony sweter. Oczy ma zapadnięte i czerwone, głos ochrypły od płaczu. Kiedy Carla wchodzi do pokoju, chłopiec patrzy na nią przerażony. Carla nie jest świadoma swojego wyglądu, dopóki nie przegląda się w oczach dziecka. Zakrwawiona zjawa, pokryta brudem i potem, której jedyny ubiór ogranicza się do biustonosza i majtek.

Carla kuca przy chłopcu.

- Jak masz na imię?

Chłopiec odwraca wzrok od tego nowego potwora, który wyłonił się z mroku, żeby go dręczyć. Otwiera usta, żeby płakać, znowu napęlnia płuca.

- Nie. Nie. Spokojnie. Jestem Carla. Przyszłam ci pomóc.

Nie oczekuje, że chłopiec odpowie albo przetrawi jej obecność, bo nie ma czasu do stracenia. Używając fragmentu kafelka, zaczyna przecinać taśmę klejącą, którą chłopiec jest przywiązany do rury. Teraz, gdy może go zobaczyć, zdaje sobie sprawę, jak malutkie i żałosne jest to zaimprovizowane narzędzie. A jednak przywiodło ją aż tutaj.

Chłopiec patrzy na nią szeroko otwartymi oczami, wciągając smarki. Nie rozumie, dlaczego ten umazany krwią brudny potwór mu pomaga.

Nagle przenosi wzrok nad ramię Carli i w jego oczach znowu pojawia się przerażenie.

„Onie”, myśli Carla, chwilę za późno rozumiejąc, że popełniła błąd.

Mężczyzna z nożem stoi za jej plecami, łapie ją za włosy, brutalnie rzuca na ziemię.

- Nie możesz tego robić. Nie powinnaś tego robić!

Carla uderza głową o beton, leży na plecach zamroczona. Mężczyzna z nożem rzuca się na nią, zaciska palce wokół jej szyi i zaczyna ścisnąć.

„Właśnie tak się to kończy, kiedy próbujesz zrobić coś dobrego”, myśli Carla. „Właśnie tak się to kończy”.

Podczas gdy palce mężczyzny z nożem miażdżą jej tchawicę, Carla czuje jedynie niezrozumiałe poczucie niesprawiedliwości. W czasie swojego pobytu w ciemności nauczyła się, że Bóg, Dobro i Zło to tylko puste słowa pisane wielkimi literami. Ale został w niej jeszcze oddech nadziei w pewnego rodzaju równowadze wszechświata. Ten sam, który skłonił ją do wejścia do pokoju, przywabioną płaczem tego chłopca, którego noga trzęsie się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. But na wysokości kostki ma nadruk ze SpongeBobem Kanciastoportym, który stracił oko i część ręki od gry w piłkę. Carla uświadamia sobie (w ostatnim przeblysku jasności umysłu, który zużywa jej ostatnie resztki tlenu), że taki sam but ma jej syn Mario. I również jest otarty w tym samym miejscu. To jeden z tych, które oni robią. Wada, o której powiadomiłaby odpowiedni departament, wysyłając maila. Stanowczo, lecz uprzejmie.

Jej oczy znowu zalewa białe oślepiające światło.

„Umrę”, myśli Carla. Nie ma ani niedowierzania, ani strachu, ani rozpacz. Tylko porażka.

Wtedy coś słyszy - zmysł słuchu jako pierwszy zaczyna działać w mózgu, kiedy człowiek się przebudza, a znika jako ostatni. Męski, stanowczy głos. Nie rozumie sensu słów. Ale palce przestają ścisnąć jej

gardło i ciało Carli przejmują kontrolę, na powrót uruchamia płuca, zaczerpuje powietrze wielkimi haustami, czuje, jak ponownie zalewa ją życie...

Wtedy rozbrzmiewają strzały.

16

Przynęta

Antonia idzie bardzo powoli.

Wie, że jej jedyna szansa spoczywa w rękach Jona. Że ona jest niczym więcej jak przynętą, która ma służyć do odsunięcia od drzwi jednego z tych dwojga i dać inspektorowi Gutiérrezowi szansę.

Podczas gdy jej głos mocno rozbrzmiewa w korytarzach, Antonia porusza się tak wolno, jak tylko może, mając nadzieję, że echo odbijające się od kafelków pozwoli wystarczająco zmylić któreś z tych dwojga, które ruszy na jej poszukiwania.

Antonia jest przekonana, że to będzie Sandra, która zechce osobiście z nią skończyć.

Porusza się więc powoli. Tak wolno, jak może. Dookoła świat spiskuje, żeby zdradzić jej lokalizację. Beton chrzęści pod jej stopami, szelest ubrania wyrывa szepty ze ścian. Każdy ruch jest donosem. Jej umysł staje się coraz pełniejszy. Kapsułka całkowicie przestała działać, Antonia musi się bardzo starać, żeby zachować jasność umysłu w obliczu wielkiego napięcia.

- Dźwięk to cudowna sprawa, nieprawdaż? - Głos Antonii niesie się po korytarzu. - Człowiek nigdy nie jest pewien, skąd dochodzi.

Sandra wchodzi po schodach. Antonia widzi za sobą odbicie latarki przeszukującej ciemność i dalej idzie przed siebie, to jedyna droga, jaka jej została. Wiązka światła oświetla wejście na korytarz. Później Sandra schyla się na końcu schodów, po czym gwałtownie wyłania się zza rogu. Oddaje dwa strzały, kule przecinają korytarz, wbijają się w przeciwległą

ścianę tuż przy bramce wyjściowej, nie znajdując po drodze niczego oprócz powietrza. Wtedy latarka oświetla telefon, na który Antonia nagrała długą notatkę głosową, pełną pauz, jako przynętę, by ich-
oszukać.

Sandra za późno zdaje sobie sprawę z oszustwa i nogą miażdży telefon z pomrukiem frustracji, po czym biegnie schodami w dół.

17

Biuro

Plan był bardzo prosty.

„Gdy tylko usłyszysz mój głos, przyjdą do mnie”.

Jon wyłania się z tunelu, jakimś cudem żywy. Nie nadepnął na żaden kabel, a jeśli to zrobił, nie aktywowała się żadna pułapka.

Przed sobą ma opuszczoną stację. Peron po jego lewej stronie jest widoczny w świetle lampy gazowej, która tworzy fantasmagoryczną bańkę, a na ścianach maluje mroczne cienie. Z najbliższego korytarza dobiegają odgłosy walki.

Jon z wielkim trudem dostaje się na peron, czując się przy tym całkowicie odsłonięty. Musi oprzeć się obiema rękami, żeby tam wejść. Potem rusza korytarzem. Jedna noga z przodu, kolana lekko ugięte, pistolet wycelowany przed siebie. Za swoimi plecami słyszy dwa strzały, ale i tak idzie dalej.

- Priorytetem jest mój syn, Jon. Cokolwiek usłyszysz, nie przychodź mi z pomocą. Idź dalej. Znajdź go - powiedziała mu Antonia.

To właśnie zamierza zrobić.

Na końcu mieści się biuro, z którego dobiegają odgłosy. Kiedy podchodzi do drzwi, widzi mężczyznę plecami do wejścia, siedzącego okrakiem na półnagiej kobiecie, którą dusi własnymi rękami. Ona wierzga nogami.

- Stać, policja! - mówi Jon z pistoletem w dłoni, mierząc prosto między łopatkę mężczyzny. - Ręce na głowę, już.

Mężczyzna zwleka chwilę. Mimo że jest odwrócony plecami, Jon potrafi dostrzec jego zaskoczenie. Nie spodziewał się, że ktoś mu

przerwie, nie w tym momencie.

- Ręce na głowę - naciska Jon. - Nie każ mi powtarzać, Fajardo. To koniec, do cholery.

Fajardo odwraca się do niego - jego twarz odcina się w świetle drugiej lampy gazowej. Za nim Jon widzi syna Antonii z szeroko otwartymi oczami.

„Żyje. Żyje. Zdążyliśmy”.

Nie przestając mierzyć w Fajarda, Jon sięga do paska i wyjmuje kajdanki. Zakłada je na jeden nadgarstek mężczyzny. Nie może już założyć na drugi. Nie słyszy też dźwięku płuc Carli Ortiz, które znowu napełniają się powietrzem. Nie słyszy nawet dwóch strzałów, które go powalają. Zanim runie na ziemię, czuje tylko ból.

Carla

Mężczyzna z nożem odsuwa się od niej i Carla się wymyka, rusza na czworakach w stronę chłopca. Jej myśli są zaskakująco puste, jej wspomnienia zniknęły. Podobnie jak strach i ból. Nie liczy się nic oprócz tego, by do końca uwolnić go od tej taśmy klejącej, którą zostawiła odciętą w połowie. Kafelek leży na podłodze. Podnosi go bardzo słabymi palcami i zabiera się do dzieła. Lecz tylko drapie plastikową powierzchnię, nie wspominając o przecięciu włókien materiału, który znajduje się między srebrną warstwą a tą zawierającą klej. Jej ręce zachowują się jak ręce szmacianej lalki, jej umysł tak samo. Stara się zaczerpnąć więcej powietrza, pomimo zawrotów głowy i zamglonego wzroku próbuje się skoncentrować na tych czterech centymetrach taśmy, które zostały do przecięcia. Kafelek jest bezużyteczny w jej bezwładnych dłoniach (prawa już nie reaguje, lewa nigdy nie przydawała się na zbyt wiele), tak więc nachyla się nad nadgarstkiem chłopca i używa zębów, kłów, których kiedyś nie zgodziła się usunąć, mimo że to zaoszczędziłoby jej długiego noszenia aparatu. Ale ona chciała mieć wszystkie swoje zęby.

Carla gryzie, wbija, przegryza. Kiedy szarpie taśmę, jeden z kłów pęka wzdłuż. Ból dosięga ją w tym samym czasie, kiedy taśma przerywa się z trzaskiem.

- Biegnij - mówi Carla do chłopca. - Biegnij i nie oglądaj się za siebie.

Mały się podnosi, mija mężczyznę z nożem (który nachyla się nad policjantem, dusząc go tak, jak wcześniej dusił ją), przechodzi przez drzwi i znika w ciemnym korytarzu.

18

Peron

Ze schodów, na których jest przyczajona, Antonia słyszy, jak Sandra z powrotem biegnie tam, skąd przyszła. Jej plan, który polegał na zwabieniu jej najpierw do telefonu, a później zaatakowaniu, gdy będzie schodzić po drugiej stronie, właśnie szlag trafił. Sandra ją uprzedza i wraca na peron, ponieważ zwietrzyła pułapkę.

Antonia wstaje i próbuje ją śledzić. Schodzi po schodach, ale jej umysł uparł się, żeby grać w przeciwnej drużynie. Kiedy otwiera się przed nią słabo oświetlony peron, różne elementy kumulują się w jej głowie, w ułamku sekundy pokazując jej smutną i makabryczną historię.

Stół, na którym umarł Jaime Vidal, nastolatek porwany omyłkowo zamiast Álvara Trueby.

Lampa gazowa, która migocze, ostrzegając, że już się kończy.

Pozostałości ubrań, kartony po pakowanej żywności – zdumiewająca i prozaiczna codzienność sprawców tego horroru.

Pęknięcia na ścianie, stare i niebezpieczne.

Kurz w kątach, karaluch, który biegnie, kiedy ona przechodzi w pobliżu.

Siennik, przedmioty dotorturporzuconenaziemi...

Antonia nie może oddychać. Przeciążenie informacjami jest zbyt wielkie dla jej mózgu, który domaga się od niej jakiegoś sposobu filtracji, kontrolowania tych wszystkich bodźców, które opowiadają jej o tym, co działo się tu całymi dniami, tak wyraźnie i dokładnie, jakby oglądała wideo w wysokiej rozdzielczości nałożone na obrazy prawdziwego świata.

„Muszę iść dalej. Muszę iść dalej”.

Idzie dalej, przemierza peron, potykając się. Podnosi pistolet, bo w głębi Sandra celuje przed siebie, w stronę korytarza, i bez względu na to, do kogo zamierza strzelić, Antonia wie, że musi temu zapobiec. Pociera oczy, próbuje wycelować. Jej mózg wysyła do palców polecenie oddania strzału, lecz wygląda na to, że przekazanie go, przepływ strumienia danych, trwa całą wieczność.

Sandra strzela dwa razy.

Antonia - raz.

Strzał Antonii mija Sandrę, co jedynie ostrzega ją o obecności Antonii za jej plecami. Sandra przykuca za jednym z sejfów. Antonia, mrugając kilka razy, żeby spróbować się uspokoić, chowa się za drugim.

Z biura na końcu korytarza wybiega Jorge, minąwszy Jona leżącego na ziemi i duszonego przez Nicolása, i pędzi w stronę peronu.

Prosto w ręce Sandry, która chwyta go, gdy znajduje się na jej wysokości.

Łapie go w pasie i trzyma w górze, mimo że chłopiec wierzga i się wiję, i przystawia mu pistolet do głowy.

- Porusz się, a cię zabiję, pieprzony bachorze - szepcze mu do ucha.

Sandra wstaje.

- Mam twojego syna - mówi. - Nie waż się zbliżyć.

- Jorge! - woła Antonia.

Chłopiec rozpoznaje swoją mamę, krzyczy, znowu wierzga nogami. Chce do niej pobiec, ale nie ma szans w starciu z siłą Sandry, która wykorzystując go jako tarczę, wskakuje z nim na peron i znika w ciemnym tunelu.

Carla

Carla odczuwa niezwykły spokój. Utrata krwi, duszenie, odwodnienie zebrały swoje żniwo. Osuwa się po ścianie i zamyka oczy.

„Mogę już odpocząć”, myśli.

Ale musi zrobić coś jeszcze. Chociaż nie może sobie przypomnieć, co to takiego. Choć przeczuwa, że to ważne.

Otwiera oczy. Policjant wciąż leży na ziemi i umiera. Carla to wie, przeczuwa, że musi coś z tym zrobić. Uratować go, tak jak on uratował ją. Ale Carla jest słaba. A jednak...

Podnosi się z trudem i na czworakach udaje się jej zbliżyć do mężczyzny z nożem.

Myśli o Carmelo wykrwawiającym się na polanie.

„Należał do rodziny”.

W lewej ręce nadal trzyma kafelek. Ostry kafelek. Podnosi rękę, żeby się zamachnąć, i wbija go niczym sztylet w kark mężczyzny z nożem.

Mężczyzna przeczuwa coś w ostatniej chwili i gwałtownie odwraca głowę. Ten ruch w połączeniu z dźgnięciem Carli sprawia, że końcówka kafełka zatapia się w aorcie. Mężczyzna patrzy na Carłę z niedowierzaniem (próbując przyswoić to, co się dzieje), a jednocześnie zdejmuje palce z gardła policjanta i usiłuje wyjąć sobie z szyi ten dziwny element. Przerywany strumień krwi tryska z jego tętnicy, a mężczyzna przewraca się na ziemię w ciepłą i powiększającą się kałużę, która moczy kolana Carli.

Umiera długo, a Carla przygląda się jego ostatnim chwilom, jego żalostnej walce, by powstrzymać krwotok, jego wytrzeszczonym oczom. Pustym oczom marionetki. Posłałaby go do piekła, jak czynią bohaterki filmów, kiedy zabijają złoczyńcę, ale nie czuje takiej potrzeby. Nie czuje

żadnych emocji. Ona tylko wyeliminowała szkodnika. To jak zmiżdżenie ślimaka butem.

„Teraz już tak? Czy teraz mogę odpocząć?”

Jej ciało odpowiada za nią. Opada na klatkę piersiową policjanta. Nie słyszy bicia jego serca. Carla czuje mglisty smutek, że się spóźniła, po czym pochłania ją ciemność.

19

Peron

Antonia za chwilę zemdleje. Wie to. Jej mózg jest zaprogramowany (zmutowany, nienaturalnie zmieniony), żeby funkcjonować na najwyższych obrotach w spokojnych sytuacjach. Jednak w sytuacji zagrożenia histamina w jej mózgu wymyka się spod kontroli i sprawia, że jest podatna na każde dane, jakie jej wyjątkowy umysł dostaje i próbuje nimi zarządzać. Psychopatka, która przystawia pistolet do głowy twojego dziecka i wykorzystuje je jako żywą tarczę, uciekając tunelem potencjalnie usianym ładunkami wybuchowymi, znajduje się bardzo wysoko wśród sytuacji zagrożeń, jakie Antonia Scott (czy ktokolwiek inny) może sobie wyobrazić.

Całkowicie świadoma wszystkich elementów swojego otoczenia, od starej reklamy na ścianie

(Persil wypierze sam)

aż po wypitą do połowy puszkę coca-coli

(czujesz, że żyjesz)

przy nodze stołu, niecałe pół metra od kałuży zaschniętej krwi, Antonia wstaje. Ciężar broni w jej ręku ciągnie ją do przodu, aż do czarnego półokręgu, który pochłonął Sandrę i jej syna. Jakoś udaje jej się zejść na peron, potyka się, pada na cement. Czuje, że za chwilę jej głowa rozpadnie się na pół.

Kiedy się podnosi, znowu się potyka. W samą porę, bo w ciemności pojawia się błysk. Sandra do niej strzeliła i Antonia czuje, jak kula przelatuje, muskając jej włosy, tak blisko, że gwizd powoduje ból uszu.

- Nie idź za mną, Scott!

Antonia nie słucha – jej umysł przetworzył strzał na tym samym poziomie, co zardzewiałą śrubkę na ziemi, którą widziała z bardzo bliska, gdy się przewróciła. Dalej idzie przed siebie, w stronę swojego syna.

Wchodzi w ciemność. Stopniowa redukcja bodźców w tunelu, w miarę jak Antonia się w niego zagłębia, pomaga jej odzyskać spokój.

Może wykorzystać otaczającą ją ciemność.

Antonia przywiera do ściany, oddycha głęboko i zamyka oczy. Stara się oczyścić swój umysł z hałasu, uciszyć mały skaczące z jednej strony na drugą. Powoli liczy od dziesięciu do jednego.

„Jak wyglądała twoja twarz przed narodzinami?”

Ponownie otwiera oczy i dalej zagłębia się w tunel. Gdzieś przed sobą słyszy, jak Jorge się wyrывa.

– Twój syn wcale mi nie pomaga, Scott. – Głos Sandry odbija się od ścian, nabierając wszechobecnego, groźnego brzmienia. – W tunelu są pułapki, wiesz? A ja nie wzięłam latarki. Więc jeśli dalej będzie wierzgał i nie da mi się skoncentrować, może przypadkiem na jakąś trafię.

Antonia, z sercem ściśniętym strachem, musi znowu zamknąć oczy i oddychać głęboko.

– Jorge. Jorge, posłuchaj mnie.

– Mamo! Mamo, pomóż mi!

Jej syn płacze rozpaczliwie. Duszę Antonii rozdzierają ból i niepokój. Ale nie będzie mogła mu pomóc, jeśli on się nie uspokoi. Jeśli on się nie uspokoi.

– Jorge, musisz być spokojny. Musisz być cicho i masz mnie posłuchać. Jeśli będziesz się ruszał, to będzie dla ciebie niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Musisz być spokojny, słyszysz?

– Chcę do domu! Chcę zobaczyć dziadka!

„Dziadka”, myśli Antonia, a jej dusza dostaje porządny cios.

– Niedługo pójdziesz do dziadka, kochanie. Ale teraz musisz się uspokoić.

Chłopiec przestaje wierzgać.

– Tak lepiej – mówi Sandra.

Słyszy, jak stawia jej syna na ziemi – logiczne, bo chłopiec sporo waży. Stara się interpretować sytuację na podstawie dobiegających ją dźwięków. Teraz musi iść przodem, ciągnąc go za rękę.

Antonia zbliża się do miejsca, w którym tunel zaczyna skręcać. Wyciąga rękę i ją zabiera. Tak jak przypuszczała, Sandra na nią czekała i teraz strzela w stronę ruchu, który wychwycała w malutkich resztkach światła, które przenikają tu z peronu. Antonia rusza się, gdy tylko słyszy strzał, korzystając z okazji, że deflagracja na chwilę oślepiła Sandrę. Biegnie po przekątnej do przeciwległej ściany, a później przywiera do tej samej, przy której stała wcześniej, w samą porę unikając strzału, który Sandra posłała w stronę ściany, od której właśnie odeszła.

– Nie uda ci się uciec, Sandra. A Carla Ortiz przeżyje. Poniosłaś porażkę na całej linii – mówi Antonia, umieszczając rękę przed ustami, żeby stłumić dźwięk i żeby Sandra nie mogła dokładnie określić, skąd dochodzi.

Pojawia się śmiech, śmiech złośliwy, jadowity i okrutny.

– Wciąż myślisz, że to z powodu Carli Ortiz? Albo Álvara Trueby? Wciąż wierzysz w którąś z tych głupich bajek, które wymyśliłam dla tego kretyna Nicolása Fajarda? Wcale nie jesteś taka bystra, jak mi opowiadano, Antonio Scott.

Antonia idzie coraz wolniej. Głos Sandry rozbrzmiewa coraz bliżej, a echo jest mniejsze. Musi być niecałe sześć albo siedem metrów od niej. Gdyby słyszała, jak się zbliża, nie musiałyby się zbytnio wysilać, żeby trafić.

Odwraca się, żeby odpowiedzieć (nie powinna, ale potrzebuje, by dalej mówiła), kieruje głos w stronę peronu, ponownie wykorzystuje rękę, żeby go stłumić, żeby stał się nieokreślony.

– Kto ci o mnie opowiadał, Sandra?

– I jeszcze muszę ci to mówić... Ty, która pamiętasz wszystko, nie przypominasz sobie, komu wyrządziłaś krzywdę? Jakie skutki zostawiła twoja walka ze złem?

Antonia nie odpowiada, ponieważ nie ma odpowiedzi.

- Ale on mnie znalazł, Scott. On mnie wziął i uczynił mnie lepszą. Nauczył mnie manipulować Fajardem. Wymyślił Ezequiela dla ciebie. Nieprzypadkowo wybraliśmy imię proroka. Prorok mówi w imieniu większej siły. Prorok ogłasza to, co nadejdzie.

Antonia czuje, jak jej ciało ściska dreszcz czystego przerażenia. A także nienawiści. Ponieważ wreszcie zrozumiała (z zimną, ostrą pewnością), co się działo od początku. Jak się z nią bawili.

„On”.

„Boże, jaka ja byłam głupia”.

Ale teraz nie może o tym myśleć.

Blisko, coraz bliżej, Antonia słyszy, jak Jorge znowu się wiję, wyczuwając być może obecność swojej matki.

- Każ mu przestać, Scott - mówi Sandra i tym razem w jej głosie jest coś więcej niż okrucieństwo. - Każ mu przestać albo umrzemy tu wszyscy troje.

Strach. Ona się boi.

„Musimy być blisko jednej z bomb”.

Antonia łamie sobie głowę, starając się znaleźć sposób na uratowanie syna.

I wtedy uświadamia sobie, że to nie jest zadanie dla najbardziej inteligentnej osoby na świecie.

To jest zadanie dla matki.

- Jorge - woła go. - Masz mnie wysłuchać. Jesteś w niebezpieczeństwie. Zagramy w grę. To taka gra, w jaką grasz w szkole. Jajko i kaczka, pamiętasz? Musisz zachowywać się bardzo spokojnie, bardzo spokojnie jak jajko, a kiedy ci powiem...

Antonia zapomniała przyłożyć rękę do ust i Sandra się zorientowała, skąd dochodzi jej głos. Podnosi broń w ciemności.

Antonia też.

- Duck! - krzyczy.

Jorge rzuca się na ziemię, jak robił tysiące razy na szkolnym patiu i w klasie, ponieważ duck to po angielsku kaczka, ale także - zalety

dwujęzycznej edukacji – padnij.

Sandra strzela.

Antonia też.

Oba rozbłyski, niemal jednoczesne, przerywają ciemność. Strzał Sandry trafia w ścianę, kilka milimetrów od oka Antonii. Strzał Antonii trafia w ramię Sandry, która upada do tyłu w ciemności.

Jorge biegnie w stronę matki, która go chwytą, rzuca na ziemię i przykrywa własnym ciałem.

Wtedy następuje eksplozja.

Ogień przechodzi nad nimi – Antonia czuje palący żar na nagiej skórze przedramion, na osmalonych włosach. Z sufitu i ze ścian spada mnóstwo gruzu, niektóre bryły bardzo blisko.

Kiedy opada kurz i znika dym, oboje żyją.

Jorge przytula się do matki w ciemności.

– Dobrze się spisałem, mamó?

– Bardzo dobrze, Jorge – odpowiada ona.

– Chcę do dziadka.

– Już to słyszałam – przyznaje matka niechętnie.

A potem robi coś, czego nie robiła od trzech lat. Całuje go w czoło. Z ogromną czułością. Gdy tylko jej usta odrywają się od jego skóry, zdumiona Antonia zastanawia się, jak w ogóle mogła bez tego żyć.

Carla

Pierwsze, co widzi Carla po odzyskaniu przytomności, to nachylającą się nad nią kobietę. W jej twarzy nie ma niczego wyjątkowego, dopóki się nie uśmiecha. A jest to uśmiech pełen światła.

Policjant też tu jest. Wygląda na to, że nic mu nie będzie, choć ma czerwoną twarz i posiniaczoną szyję. Carla pamięta, że uratowała mu życie. Cieszy się z tego powodu.

Wykonują wiele telefonów. Carla nie jest zbyt świadoma tego, co się dzieje. Policjant coś mówi, kobieta też.

„Jestem w stanie szoku”, myśli. Poddaje się temu.

Później oboje prowadzą ją starymi i cuchnącymi tunelami. Towarzyszy im dziecko. Wszystko ma ulotny odcień snu. Mimo że przechodzą przez okropne miejsca, Carla czuje się bezpiecznie. Jeszcze przyjdą koszmary, jeszcze będzie na to czas. Teraz czuje tylko, jakby się unosiła, jak gdyby drogę ku światłu dziennemu pokonywała na pokładzie magicznego dywanu.

W połowie drogi spotykają dwóch policjantów i ratownika medycznego, którzy poświęcają jej całą swoją uwagę, przemywiają jej rany środkiem odkażającym, zarzucają jej na ramiona koc, podają płyny. Zabierają ją od drugiego policjanta, dużego i szerokiego (nie żeby był gruby), od kobiety i dziecka. Prowadzą ją do schodków. Po drugiej stronie słyszą odgłosy ulicy, normalne życie, wolność. Wreszcie.

Carla odmawia wejścia po schodkach, wyrывa się, przytrzymuje się stopni.

- Chcę iść z nimi - mówi, wskazując za siebie. - To oni mnie uratowali.

Niska kobieta się nachyla, żeby uściskać swoje dziecko, i daje znać dużemu policjantowi, pokazując w stronę Carli. Duży policjant kręci

głową. Oboje dyskutują przez kilka chwil. W końcu duży policjant wzrusza ramionami i podchodzi do Carli.

- Jak się pan nazywa? - pyta ona.

- Jon Gutiérrez, pani Ortiz.

- Dziękuję za uratowanie mi życia.

- I wzajemnie. Jesteśmy kwita.

- Pan został dwukrotnie postrzelony z mojej winy. Myślę, że wciąż wygrywam.

Jon się odwraca i wskazuje dwie dziury w swojej koszuli.

- W Bilbao to by oznaczało dwie rany. W kamizelce nie sędzę, bym miał nawet siniaka.

Carla chce się roześmiać, ale udaje jej się ledwie rozciągnąć usta w uśmiechu. Wskazuje w górę, na krąg światła, gdzie odcinają się dwie wyczekujące głowy.

- Czeka na mnie?

- Pański ojciec? Tak, powiadomiliśmy go. Z pewnością jest już na górze. Jesteśmy w pobliżu jego domu.

Carla zastanawia się, co powie, kiedy go zobaczy. Czy odważy się wyrzucić mu zdradę, jego tchórzliwą ojcowską zdradę.

Nie będą sami. Z daleka słyszy flesze aparatów fotograficznych, improwizowane relacje reporterek, mówiących do kamer na żywo. Koniec końców znajdują się tylko trzy metry pod powierzchnią. I w odległości całego życia.

Zawstydzić go publicznie. To bez wątpienia byłaby największa zemsta.

Ale oznaczałoby również zniszczenie wielu rzeczy i wielu osób.

- Jest pan gotowy, by być sławnym? - pyta Jona.

- Ja już byłem sławny, proszę pani. Ale w negatywnym sensie. Nie przeczę, że przydałoby mi się trochę dobrej prasy.

- W takim razie niech pan wyjdzie pierwszy, inspektorze. A kiedy będę już na górze, proszę objąć mnie ramieniem i zaprowadzić do mojego ojca.

Jon grzecznie przytakuje i zaczyna wchodzić. Carla rusza za nim.
Jeszcze nie wie, co powie Ramónowi Ortizowi.
Ale ma jeszcze kilka metrów, by o tym zdecydować.

EPILOG

Kolejne zakłócenie

Antonia Scott pozwala sobie myśleć o samobójstwie tylko trzy minuty dziennie.

Dla innych osób trzy minuty mogą być maleńkim wycinkiem czasu. Nie dla Antonii.

Te trzy minuty, podczas których Antonia myśli, jak się zabić, to jej trzy minuty. Nie rezygnuje z nich. Nie odmawia ich sobie. Są święte.

Wcześniej to one utrzymywały ją przy zdrowych zmysłach, teraz są jej klawiszem escape. Porządkują jej umysł. Przypominają jej, że bez względu na to, jak źle ułoży się gra, zawsze może ją zakończyć. Że zawsze będzie jakieś wyjście. Że może spróbować wszystkiego. Teraz przeżywa je niemal z optymizmem. Teoretyzuje z nimi tak, jak naukowiec teoretyzuje ze swoimi formułami. Jak dziecko, które marzy, żeby zostać astronautą, chociaż ostatecznie będzie pracować w warsztacie. Pomagają jej. Teraz to one dają jej siłę, żeby żyć.

Dlatego ani trochę jej się nie podoba, kiedy bardzo dobrze znane jej kroki, trzy piętra niżej, przerywają rytuał.

Antonia jest pewna, że idzie, aby się pożegnać.

A to podoba jej się jeszcze mniej.

Fikus

Jon Gutiérrez nie lubi pożegnań.

To nie kwestia lenistwa. Jego pożegnania zwykle są krótkie i zwięzłe, żadnych długich i poruszających przemówień ani kolacji przeciągających się do białego rana z popijawą i gloryfikacją przyjaźni. Parę klepnięć po ramieniu, żadnych smutnych spojrzeń, żadnych „do zobaczenia kiedyś”, pod którymi kryje się „nigdy”, żadnej tęsknoty okazywanej z wyprzedzeniem.

Nic z tego nie przeszkadza Jonowi w pożegnaniach, ponieważ Jon nie utrzymuje zbyt wielu relacji (jest monogamistą) ani nie cierpi, kiedy ludzie znikają z jego życia (jest seryjnym monogamistą).

Jona wnerwia to, że musi się pożegnać z Antonią Scott. Być może dlatego wszedł po schodach. Żeby odwlec ten moment.

- Nie uczysz się na błędach, co?

Jon wyłania się zza ogromnej rośliny. Niósł ją przez sześć pięter i nie ma ochoty wysłuchiwać upomnień.

- Nie zmieścił się do windy - kłamie.

- Co to jest? - Antonia wskazuje ogromny fikus, jak gdyby w jej mieszkaniu pojawiła się nagle trzygłowa małpa.

- Fikus.

- To widzę. Dlaczego przyniosłeś mi fikusa?

Jon stawia gigantyczną i ciężką donicę w rogu salonu, gdzie Antonia nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko żyć z tą rośliną. Albo zadzwonić po ciężarówkę od przeprowadzek, żeby ją zabrali.

- Pomyślałem, że może nadszedł czas, byś znowu umeblowała mieszkanie. Tak krok po kroku - mówi Jon, usuwając odrobinę ziemi, która została na rękawie marynarki.

- Nie mam ręki do roślin. Wszystkie zabijam. Mówię serio, to jest moja supermoc. Będzie martwy, zanim zdążysz wyjść.

Jon uśmiecha się w duchu. Taka inteligentna, a jeszcze się nie zorientowała, że roślina jest z plastiku.

„Prawdopodobnie zajmie to trochę czasu”.

- Będziemy musieli zaryzykować - mówi.

Antonia patrzy na fikusa z zakłopotaniem.

Podobnie jak sarkazm, figury retoryczne jak metafora czy porównanie nigdy nie były jej mocną stroną, ale ludzie się zmieniają.

Nawet ona może to zrobić.

- Jest tu taka rodzina, na trzecim po lewej, która chce się przeprowadzić. Znaleźli dobrą pracę w innym mieście.

- Cieszę się razem z nimi.

- Pomyślałam... Pomyślałam, że może byłbyś zainteresowany. To znaczy, jeśli nie spieszysz się ci za bardzo z powrotem do Bilbao.

Jon zastanawia się przez chwilę. Niezbyt długi.

- A co zrobimy z *amatxo*?

- Tutaj też są salony bingo.

- Będziesz ode mnie pobierać czynsz w postaci obiadów w pudełkach, jak od reszty?

- Twoja matka dobrze gotuje?

Jon śmieje się w duchu, myśląc o gulaszu swojej matki. Czy dobrze gotuje, pyta.

- Aj, piękna. Byłabyś zachwycona.

Oboje milkną, patrząc na fikusa.

- A więc jesteśmy razem - odzywa się Jon.

- Na to wygląda.

- Ico nas czeka teraz?

Od jakiegoś czasu Antonia zastanawia się nad tym samym.

Minęło osiem dni od uratowania in extremis Carli Ortiz i kurz zaczął opadać. Media zapomniały już o policjantach, których śmiercią byli przerażeni, a brak publicznej informacji na temat życia Nicolása Fajarda i jego córki sprawiły, że źródło wyschło. Teraz uwaga wraca stopniowo na zwycięstwa drużyn piłkarskich i wypadki celebrytów.

Tyle że policjanci pojechali na Cmentarz Almudena ze swoimi próbkami, żeby sprawdzić, kto został pochowany w grobie oznaczonym jako SANDRA FAJARDO.

I po pięciu dniach otrzymano zaskakujące wyniki.

- Badanie DNA jest jednoznaczne - informuje Antonię Mentor przez telefon. - Kobieta w grobie to córka Nicolása Fajarda.

- Jak bardzo jednoznaczne?

- Dziewięćdziesiąt dziewięć koma osiem procenta.

- Dość jednoznaczne, owszem - przyznaje Antonia.

- Nie podadzą tego do wiadomości publicznej. Oficjalnie sprawa jest zamknięta.

„Co za niespodzianka”.

Antonia Scott ma pewien problem.

Brakuje jej jednego ciała i ma o jedno za dużo.

Bo jeśli kobieta w grobie jest córką Nicolása, to w takim razie kim jest kobieta, do której strzelała w tunelu? Kim jest kobieta, która uciekła, aktywowała bombę pułapkę i na którą zważyło się pół tony gruzu?

Której ciało - tego jej właśnie brakuje - nie zostało jeszcze znalezione.

Antonia nie przestaje się nad tym zastanawiać.

Nie może przestać myśleć o tym, jak do niej mówiła, w jaki sposób się do niej zwracała. Jak gdyby ją znała. Z niewytłumaczalną poufałością, którą Antonia przypisywała szaleństwu.

Teraz nie jest już taka pewna.

Ostatnie zdania Sandry (by jakoś ją nazywać), wciąż rezonują w jej głowie.

„Ty, która pamiętasz wszystko, nie przypominasz sobie, komu wyrządziłaś krzywdę? Jakie skutki zostawiła twoja walka ze złem?”

„On mnie wziął i uczynił mnie lepszą”.

„On”.

„Nieprzypadkowo wybraliśmy imię proroka”.

„Prorok mówi w imieniu większej siły”.

„Prorok ogłasza to, co nadejdzie”.

- I co nas czeka teraz? - zapytał Jon.

Antonia zastanawia się, czy powinna go w to wciągać (albo ile może mu powiedzieć), ale ostatecznie idzie do szafy w swojej sypialni. Wraca z grubą brązową teczką. Starą, wymiętoszoną.

Siada na podłodze (plecami do fikusa, pewne rzeczy wymagają czasu) i zaczyna rozkładać zawartość teczek przed sobą.

Jon, pogodzony już z brakiem wygod, siada obok niej.

- Pomyślałam, że dopóki Mentor nie znajdzie dla nas kolejnego zadania, może mógłbyś mi pomóc w małym osobistym projekcie. To jedyna sprawa, jakiej jeszcze nie udało mi się rozwiązać.

- Mentor coś wspominał. Ale nie powiedział, o co chodzi. Cóż to za sprawa, której nie potrafi rozwiązać najinteligentniejsza osoba na świecie?

Antonia tego nie mówi, ale myśli o tym, jak złożone systemy się dostosowują. Eskalacja. Policja kupuje broń półautomatyczną, przestępcy kupują broń automatyczną. Zakładają kamizelki kuloodporne, oni używają naboju przebijających kamizelki. Zatrudniasz wyjątkowy umysł, by pracował na własną rękę, a oni...

- Zawsze znajdzie się ktoś inteligentniejszy od ciebie.

Wyjmuje z teczek małą plastikową torebkę zip i podaje ją Jonowi. W środku jest karteczka. Kiedy Jon ją odwraca, widzi zdjęcie.

Zostało zrobione z daleka i przedstawia eleganckiego, około trzydziestopięcioletniego mężczyznę. Jasne falowane włosy. Właśnie ma wsiąść do samochodu. Jon myśli, że przypomina nieco tego szkockiego

aktora, który grał główną rolę w filmie *Trainspotting*. Ale trudno powiedzieć. Zdjęcie jest niewyraźne.

- To jego jedyna istniejąca fotografia. Zresztą on nie wie, że ona istnieje. W przeciwnym razie, nie spocząłby, dopóki by jej nie zniszczył i nie zabił wszystkich, którzy ją widzieli. Lubuje się w takich teatralnych gestach.

- Kto to jest?

- Płatny zabójca. Być może najdroższy na świecie, nie wiem. Bez wątpienia najlepszy. Każde morderstwo może upozorować na przypadkową śmierć. Nawet te najbardziej skomplikowane. Pracował w Ameryce, na Bliskim Wschodzie, w Azji... Od trzech lat w Europie.

Jon nie kryje zaskoczenia. W Europie działa kilku płatnych zabójców i wszyscy są dość znani organom ścigania. Ostatecznie jeśli o tobie wiedzą, to dobra reklama.

- Dlaczego nigdy o nim nie słyszałem?

- Bo on nie jest typowym rewolwerowcem, Jon. Ten człowiek jest diaboliczny. Prawie nigdy nie zbliża się do ofiary osobiście. Jego ulubioną metodą jest zmuszenie kogoś, żeby zabił za niego.

Inspektor Gutiérrez drapie się po głowie.

- Wygląda na poważnego faceta.

- To najgroźniejszy człowiek na świecie, Jon. Diaboliczny. I chcę, żebyś pomógł mi go dopaść.

- Jak się nazywa?

- Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Nikt go nie zna.

Antonia waha się przez chwilę. I w końcu podaje nazwisko, nazwisko, którego nie wypowiedziała na głos od trzech lat. Odkąd wszedł do jej mieszkania, odkąd strzelił do niej, odkąd sprawił, że Marcos zapadł w śpiączkę. Odkąd ukradł jej wszystko.

- Każe się nazywać panem White'em.

Nota od autora

Lubię zamieszczać różne szczegóły dotyczące prawdziwych zdarzeń, które mnie zainspirowały lub posłużyły jako dokumentacja do moich powieści. Isą tacy czytelnicy, którzy z jakiegoś powodu to doceniają.

Zacznijmy od inteligencji Antonii, która wcale nie jest tak daleka od prawdy. W celu stworzenia procesów myślowych zachodzących w jej głowie opierałem się na sposobie, w jaki odkryto wielkość umysłu i umiejętności dwóch kobiet: Marilyn Vos Savant z ilorazem inteligencji 228 (choć liczyby są dyskusyjne) i Edith Stern, która już w wieku szesnastu lat wykładała matematykę abstrakcyjną na Uniwersytecie Michigan. W przypadku Edith, z ilorazem inteligencji 205, natura nie działała sama. Dwa dni po jej narodzinach jej ojciec Aaron Stern zwołał konferencję prasową i zapowiedział, że zrobi ze swojej córki geniusza. Poświęcił temu całe swoje życie i cały czas dziewczynki (którą zabrał od matki), pracując z kartami, na których pokazywał jej zwierzęta, słynne budynki i pojęcia, odkąd miała zaledwie kilka tygodni. W wieku dwóch lat dziewczynka znała już cały alfabet. Dziś Edith Stern ma na koncie 128 patentów zarejestrowanych na swoje nazwisko i jest jedną z osób, której praca miała największy wpływ na informatykę w czasie rzeczywistym. Ta metoda, choć nieludzka i absolutnie niezalecana, nie została wykorzystana po raz pierwszy. Stosował ją już Teon z Aleksandrii w IV wieku wobec swojej córki Hypatii, pierwszej kobiety uznanej za geniusza. Hypatia wyróżniała się w dziedzinach matematyki, filozofii i astronomii. Została zamordowana przez tłum religijnych fanatyków. Motywy przyczyniły się do powstania wielu pasjonujących książek – nie ustawaj w poszukiwaniach którejs z nich, Czytelniku.

Pozwoliłem sobie na kilka dowolności, jeśli chodzi o geografię Las Rozas i wawóz Majalacabra, miejsce, w którym usytuowałem Centrum Hipiki. Mam nadzieję, że mieszkańcy Las Rozas mi to wybaczą.

Wiersz, który rozpoczyna historię miłości sir Petera Scotta i Pauli Garrido, ostateczna przyczyna istnienia Antonii Scott, to Tygrys. To rzeczywiście najpiękniejszy wiersz, jaki kiedykolwiek napisano. Spokojna lektura, nawet w tłumaczeniu, wypełnia duszę pięknem, strachem i zamętem. Blake prowadzi dialog ze Złem ukazanym w postaci tygrysa i zastanawia się:

Tygrys, Tygrys gorejący

Żywym żarem w dżungli nocy;

Jakież oko stworzyć śmiało

Twoją straszliwą doskonałość?

Blake wypytuje tygrysa i odległe niebiosa o tego Boga, nieświadomego modlitw, zdolnego stworzyć Baranka i koszmar o długości trzech metrów. Cały wiersz jest wspaniały, ale wersy, które matka Antonii recytuje swojemu przyszłemu mężowi, wydają mi się najbardziej znaczące. W końcu ona jest kotłem, który ukształtuje mózg, którego jedynym celem jest pokonanie Zła.

Zdanie „Jak wyglądała twoja twarz przed narodzinami?” to koan, podobnie jak mógłby nim być paradoks nieodpartej siły. Zawsze pasjonowały mnie ćwiczenia logiczne przedstawiające nierozwiązywalny problem. Zresztą chińskie słowo *máodùn*, czyli paradoks, jest jednym z tych wyjątkowych słów, które Antonia mogłaby włączyć do swojego słownika. Dosłownie oznacza ono „włócznia-tarcza”.

Etymologię tego słowa zawarł Han Feizi w swoim traktacie filozoficznym z III wieku.

Historia opowiada o tym, jak pewien mężczyzna próbował sprzedać włócznię i tarczę. Potencjalni nabywcy pytali:

- Jak dobra jest twoja włócznia?

- Może przebić każdą tarczę!

- A jak dobra jest twoja tarcza?

- Może zatrzymać każdą włócznię!

- A co by się stało, gdyby twoja tarcza spróbowała zatrzymać twoją włócznię?

I wtedy mężczyzna nie wiedział, co odpowiedzieć.

I jeszcze wyjaśnienie końcowe, choć przypuszczam, że nie jest ono konieczne, odnoszę jednak wrażenie, że dzięki temu zaoszczędzę sobie wielu wiadomości i pytań.

Tak.

Antonia i Jon powrócą.

Podziękowania

Podziękowania zechcą przyjąć:

Antonia Kerrigan i cały jej zespół: Hilde Gersen, Claudia Calva, Tonya Gates i pozostałe, jesteście najlepsze.

Carmen Romero, która jako pierwsza uwierzyła w tę książkę i miała do mnie większą cierpliwość, niż na to zasługiwałem. Cały zespół Penguin Random House, a szczególnie pracownicy działu handlowego, którzy robią wszystko, co w ich mocy, żeby zabierać książki do najdalszych zakątków. A także Eva Armengol i Juan Díaz.

Rodrigo Cortés, który rezygnował z godzin (i tak już niewielu) na sen podczas montażu swojego genialnego filmu Blackwood, żeby przeczytać maszynopis i zamieścić cenne uwagi.

Arturo González-Campos, mój przyjaciel, mój współnik w wielu szaleństwach, który przeczytał, dodał coś od siebie i mnie uspokoił.

Javier Cansado, który go nie przeczytał, ale widział trailer.

Joaquín Sabina i Pancho Varona, którzy kołyszają mnie z głośników.

Manuel Soutiño – znowu byłeś blisko, z dobrym słowem i przyjaźnią. Dzięki. Wiele Ci zawdzięczam.

Bárbara Montes – zawsze. Nawet kiedy pisałaś własną powieść, El Pintor de Tiovivos (wkrótce w księgarniach!), znajdowałaś czas, żeby pomóc mi przy tej książce. Jesteś moją Rękawicą Nieskończoności ze wszystkimi klejnotami w środku. Kocham Cię.

Oraz Ty, Czytelniku, za to, że dzięki Tobie moje książki odniosły sukces w czterdziestu krajach. Dziękuję i ściskam mocno. Ostatnia prośba. A raczej dwie prośby.

Pierwsza: nie opowiadaj nikomu zakończenia ani nie pisz mi na ten temat komentarzy w mediach społecznościowych. Jeśli zamieszczasz

recenzję na stronie internetowej księgarni albo na Goodreads (dziękuję, to naprawdę bardzo pomaga), nie wspominaj o zakończeniu ani słowem, nawet pod oznaczeniem SPOILER, ponieważ każdy mógłby to zobaczyć, co zepsułoby niespodziankę. Jeżeli chcesz mi coś przekazać albo zapytać o coś w TEJ SPRAWIE, możesz zrobić to przez e-mail, a ja bardzo chętnie odpowiem Ci osobiście.

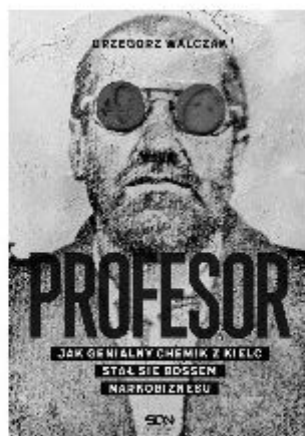
Druga prośba: jeśli dobrze się bawiłeś przy lekturze, napisz do mnie i mi o tym powiedz (ale powtarzam: nie mów o zakończeniu w mediach społecznościowych!).

juan@juangomezjurado.com

twitter.com/juangomezjurado

A CO, GDYBY AKCJA SERIALU *BREAKING BAD* DZIAŁA SIĘ W POLSCE?

Ryszard J. zwany Profesorem potrafił w ciągu dwóch dni w połowych warunkach wyprodukować amfetaminę o wartości czterech milionów funtów. Brytyjska policja uznała jego narkotyki za najczystsze, jakie kiedykolwiek skonfiskowała. Nad substancjami, nad którymi pracował, pochyłali się najlepsi eksperci.



SYLWETKA JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ INTELIGENTNYCH POLSKICH PRZESTĘPCÓW ZWIĄZANYCH Z NARKOBIZNESEM

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

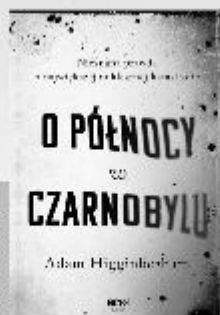
WYDAWCA I DROGOCENNA
KSIĘGARNIA

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami sine qua non, warunkiem koniecznym
Istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA SQN

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl

Reina Roja

Copyright © Juan Gómez-Jurado 2018

Autor representado por Antonia Kerrigan, Agencia Literaria

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN
2023

Copyright © for the translation by Barbara Bardadyn 2023

Redakcja - Kornelia Dąbrowska

Korekta - Paulina Stoparek, Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład - Katarzyna Kotynia

Adaptacja okładki - Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcie na okładce - CoffeeAndMilk / Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382107067

ISBN epub: 9788382107074



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas,

energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiak, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś,
Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz
Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata
Pokrywka
Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał
Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl